# Julia Quinn

## Sekrety małżeństwa

AMBER

Romans historyczny

# Julia Quinn

# *Sekrety małżeństwa*

Przekład
Agnieszka Zajda
Agnieszka Dębska

AMBER

Korekta
Halina Lisińska
Anna Raczyńska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© Oliver Sved/iStock/Thinkstock

Tytuł oryginału
The Secrets Of Sir Richard Kenworthy

Copyright © 2015 by Julie Cotler Pottinger
All rights reserved.
Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2015 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-5679-5

Warszawa 2015. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

juras@evbox.pl

*Dla Tillie, siostry mojego serca.*
*I dla Paula, choć nadal uważam,że powinieneś był się zdecydować na Rycerzy Jedi*

# 1

***Pleinsworth House, Londyn, wiosna 1825***

**B**yło prawdą powszechnie znaną – by posłużyć się cytatem z książki, którą jego siostra przeczytała dwa tuziny razy – że samotnemu a bogatemu mężczyźnie brak do szczęścia tylko żony[1].

Sir Richard Kenworthy nie posiadał wielkiego majątku, jednak był samotny. Zaś co do ożenku…

A to już bardziej skomplikowana sprawa.

W jego przypadku określenie „brak do szczęścia” nie wydawało się właściwe. Bo kto potrzebuje do szczęścia żony? Jak przypuszczał, człowiek zakochany. Jednak on zakochany nie był ani teraz, ani nigdy przedtem i nie spodziewał się, by coś podobnego miało wkrótce nastąpić.

Nie żeby z gruntu sprzeciwiał się tej idei. Po prostu brakowało mu na to czasu.

Z drugiej strony, żona…

Wiercąc się na krześle, zerknął do programu, który trzymał w ręku.

*Serdecznie witamy*
*na* XIX *Dorocznym Wieczorze Muzycznym Rodziny Smythe-Smith*
*z udziałem świetnie przygotowanego kwartetu:*
*skrzypce, drugie skrzypce, wiolonczela i fortepian*

Miał złe przeczucia.

– Jeszcze raz dziękuję, że zechciałeś mi towarzyszyć – powiedział Winston Bevelstoke.

Richard przyjrzał mu się sceptycznie.

– Częstotliwość twoich podziękowań – zauważył – nieco mnie niepokoi.

– Jestem znany z nienagannych manier – odparł Winston, wzruszając ramionami. Zawsze tak robił. Właściwie większość wspomnień Richarda o przyjacielu wiązała się z jakimś wymownym „cóż-mogę-rzec”.

– To naprawdę bez znaczenia, czy zdam egzamin z łaciny. Jestem drugim synem.

– Wzruszenie ramion.

– Zanim znalazłem się na brzegu, łódź wywróciła się już do góry dnem. – Wzruszenie ramion.

– Jak to w życiu bywa, najlepszym rozwiązaniem jest obwinianie siostry. – Wzruszenie ramion. (A również złośliwy, szeroki uśmiech).

Dawniej Richard przejawiał taką samą beztroskę. I prawdę mówiąc, bardzo by chciał znowu móc nie traktować życia poważnie.

Ale – o czym już była mowa – brakowało mu czasu. Miał dwa tygodnie. No, powiedzmy, trzy. A cztery to już absolutnie ostateczny termin.

– Znasz którąś z nich? – zapytał.

– To znaczy?

Richard uniósł program.

– Którąś z muzykujących dam.

Winston odchrząknął. Jego spojrzenie z poczuciem winy ześlizgnęło się w bok.

– Wahałbym się przed nazwaniem tego muzyką…

Richard spojrzał w stronę sceny, przygotowanej w sali balowej Pleinsworth House.

– Znasz je? – powtórzył. – Zostałeś im przedstawiony? – Dobrze było przyjacielowi robić, jak zwykle, zagadkowe uwagi, ale on przyszedł tu w określonym celu.

– Dziewczęta Smythe-Smithów? – Winston wzruszył ramionami. – Większość znam. Pozwól, że zerknę, kto gra w tym roku? – Popatrzył na swój program. – Przy fortepianie lady Sarah Prentice… Dziwne, przecież ona jest mężatką.

Do diaska!

– Zwykle są tylko panny – wyjaśnił Bevelstoke. – Co roku gnane do występów. Kiedy już wyjdą za mąż, wycofują się.

Richard doskonale o tym wiedział. Prawdę mówiąc, głównie dlatego zgodził się uczestniczyć w familijnym wieczorze muzycznym. I bynajmniej nikogo nie mogło to dziwić. Kiedy nieżonaty dwudziestosiedmioletni dżentelmen po trzech latach nieobecności zjawia się ponownie w Londynie… Nie trzeba być swatającą matką, by pojąć, co to oznacza.

Tyle że nie przewidywał takiego pośpiechu.

Z pochmurną miną obrzucił spojrzeniem fortepian. Instrument wyglądał na solidnie wykonany. Kosztowny. Zdecydowanie porządniejszy niż ten, który on miał u siebie, w Maycliffe Park.

– Kto jeszcze? – mruknął Winston, czytając elegancko wydrukowane nazwiska. – Panna Daisy Smythe-Smith na skrzypcach. Uhm, poznałem ją. Okropna.

Po dwakroć do diaska!

– A czego jej brakuje? – spytał Richard.

– Poczucia humoru. Co nie byłoby jeszcze najgorsze, skoro i wszystkim pozostałym daleko do bycia duszami towarzystwa. Chodzi o to, że u niej to takie… mało subtelne.

– Jak można mieć mało subtelny brak poczucia humoru?

– Nie wiem – przyznał Winston. – Ale ona ma. Za to jest bardzo ładna. Jasne, sprężyste loki i tak dalej. – Gestem koło ucha przedstawił tę blond sprężystość, sprawiając, że Richard zaczął się zastanawiać, jakim cudem ruch dłoni przyjaciela tak wyraźnie nie dotyczył ciemnych włosów.

– Lady Harriet Pleinsworth, również na skrzypcach – ciągnął Winston. – Nie wydaje mi się, byśmy zostali sobie przedstawieni. To musi być młodsza siostra lady Sarah. Świeżo ze szkolnej ławy, jeśli pamięć mnie nie zawodzi. Nie może mieć wiele więcej niż szesnaście lat.

Po trzykroć do diaska! Czyżby należało w tej chwili po prostu wyjść?

– I na wiolonczeli… – Winston przesuwał palcem po obfitym tekście programu, dopóki nie znalazł właściwego miejsca. – Panna Iris Smythe-Smith.

– A jej czego brakuje? – zapytał Richard. Bo wydawało mu się mało prawdopodobne, by tym razem wszystko było w porządku.

Bevelstoke wzruszył ramionami.

– Niczego. O ile mi wiadomo.

Co zapewne oznaczało, że w wolnym czasie panna Iris lubi jodłować. Kiedy akurat nie ćwiczy się w sztuce wypychania zwierząt.

Na krokodylach.

Doprawdy, on zawsze miał szczęście.

– Jest bardzo blada – dodał Winston.

Richard obrzucił go czujnym spojrzeniem.

– A to coś złego?

– Oczywiście, że nie. Po prostu… – Winston przerwał, marszcząc w skupieniu brwi. – No cóż, prawdę powiedziawszy, mniej więcej tyle potrafię sobie o niej przypomnieć.

Jego przyjaciel powoli skinął głową i powędrował wzrokiem do wspartej na stojaku wiolonczeli. Również wydawała się kosztowna. Choć, rzecz jasna, Richard nic nie wiedział na temat produkcji wiolonczel.

– Skąd ta nagła ciekawość? – zagadnął Bevelstoke. – Wiem, że palisz się do ożenku, ale na pewno jesteś w stanie znaleźć lepszą partię niż jakaś panna Smythe-Smith.

Jeszcze dwa tygodnie temu mogło tak być w istocie.

– A poza tym chyba potrzebujesz kogoś z posagiem?

– Wszyscy potrzebujemy kogoś z posagiem – odparł Richard ponuro.

– Co prawda, to prawda. – Chociaż Winston Bevelstoke był synem hrabiego Rudland, ale drugim synem. I nic nie wskazywało, by miał odziedziczyć imponujący majątek. Zwłaszcza że jego starszy brat cieszył się dobrym zdrowiem, a w dodatku spłodził dwóch potomków. – Ta smarkata Pleinsworthówna pewnie dostanie z dziesięć tysięcy – dodał, znów obrzucając program pełnym namysłu spojrzeniem. – Ale jak już mówiłem, jest dość młoda.

Richard się skrzywił. Nawet on stawiał sobie jakieś granice.

– A kwieciste panienki…

– Kwieciste?

– Iris i Daisy – wyjaśnił Winston. – Ich siostry to Rose i Marigold[2]. I nie mogę sobie przypomnieć, co jeszcze. Tulipan? Dzwoneczek? Biedactwo, miejmy nadzieję, że nie Chryzantema.

– Moja siostra ma na imię Fleur[3] – nie omieszkał nadmienić Richard.

– I urocza z niej dziewczyna – gładko wybrnął Winston, chociaż w życiu panny Kenworthy nie widział.

– Zacząłeś mówić, że…

– Tak? Ach, faktycznie. Kwieciste panienki. Nie mam pewności, jak u nich z wianem, ale nie może być tego dużo. Zdaje się, że tam jest pięć córek. – Wargi Winstona ściągnęły się w bok, kiedy to rozważał. – A może nawet więcej.

Co niekoniecznie musi oznaczać skromny posag, pomyślał Richard, bardziej wiedziony nadzieją niż czymkolwiek innym. Ta gałąź rodziny Smythe-Smith była mu mało znana – prawdę mówiąc, wszystkie jej gałęzie były mu mało znane. Wiedział tylko, że Smythe-Smithowie skrzykują się co roku, wyłaniają ze swego grona cztery wykonawczynie i urządzają u siebie koncerty, w których większość jego znajomych uczestniczy bardzo niechętnie.

– Weź to – odezwał się nagle Winston, podając mu dwa zwitki waty. – Podziękujesz później.

Richard wpatrywał się w przyjaciela, jakby ten postradał rozum.

– Do uszu – dodał tytułem wyjaśnienia Bevelstoke. – Zaufaj mi.

– Zaufaj? Takie słowo z twoich ust przyprawia mnie o dreszcze.

– Tym razem – odparł Winston, napychając uszy watą – naprawdę nie przesadzam.

Richard dyskretnie rozejrzał się po sali. Winston nie czynił żadnych wysiłków, by ukryć swoje działania, chociaż z pewnością zatykanie uszu na koncercie

musiało zostać uznane za grubiaństwo. Jednak chyba niewiele osób zwróciło na to uwagę, a na twarzach tych, którzy zwrócili, malowała się raczej zazdrość niż potępienie.

Zatem, wzruszywszy ramionami, sir Kenworthy poszedł w ślady swego sąsiada.

– Co za szczęście, że tu jesteś. – Bevelstoke przechylił się w jego stronę, żeby Richard mógł go dosłyszeć przez kłębki waty. – Nie wiem, czybym to zniósł bez wsparcia.

– Wsparcia?

– Towarzystwa nieszczęsnych kawalerów do wzięcia – zażartował Winston.

Towarzystwo nieszczęsnych kawalerów do wzięcia? Richard przewrócił oczami.

– Niech Bóg cię ma w swojej opiece, jeśli podchmielony próbujesz wydawać osądy.

– Och, i ty wkrótce będziesz miał tę przyjemność – odciął się Winston i palcem wskazującym uchylił kieszeń fraka dość szeroko, by ukazać małą metalową flaszkę.

Kenworthy wytrzeszczył oczy. Nie był świętoszkiem, lecz nawet on wiedział, że nie należy jawnie popijać podczas muzycznych popisów młodych dziewcząt.

A potem się zaczęło.

Po minucie Richard uświadomił sobie, że dopycha watę w uszach. Nim pierwsza część utworu dobiegła końca, poczuł bolesne pulsowanie żyły na skroni. Jednak dopiero przy długiej solowej partii skrzypiec dotarła do niego cała powaga sytuacji.

– Piersiówka – niemal wydyszał.

Musiał Winstonowi przyznać, że ten nawet nie uśmiechnął się z przekąsem.

Pociągnął długi łyk. Zawartość flaszki okazała się grzanym winem, jednak odrobinę uśmierzyła ból.

– Możemy wymknąć się podczas przerwy? – szepnął.

– Nie ma przerw.

Richard ze zgrozą wlepił wzrok w program. Nie był muzykiem, ale one niewątpliwie musiały wiedzieć, że to, co robią… że ten tak zwany koncert…

To był po prostu zamach na ludzką godność.

Według programu cztery damy na prowizorycznej scenie wykonywały właśnie koncert fortepianowy Wolfganga Amadeusza Mozarta. Jednak zdaniem Richarda określenie „fortepianowy” powinno oznaczać prawdziwą grę na fortepianie. Tymczasem siedząca przy tym instrumencie młoda kobieta wydobywała zeń zaledwie połowę wymaganych tonów, a może i to nie. Nie widział jej twarzy, ale ze sposobu, w jaki pochylała się nad klawiaturą, można było wnosić, że jest pianistką bardzo skupioną.

Aczkolwiek niezbyt wprawną.

– To ta bez poczucia humoru – szepnął Winston, wskazując głową jedną ze skrzypaczek.

Aha, panna Daisy. Dziewczyna z podrygującymi blond lokami. Spośród czterech wykonawczyń wyraźnie najbardziej pewna swego talentu. Kiedy smyczek sunął po strunach, jej ciało nachylało się i kołysało jak u wytrawnego wirtuoza. Te ruchy wydawały się nieomal hipnotyzujące. Osoba głucha, jak przypuszczał Richard, mogłaby uznać, że Daisy jest całkowicie zjednoczona z muzyką.

Podczas gdy była zjednoczona wyłącznie z hałaśliwymi dźwiękami.

Co do drugiej skrzypaczki… Czy tylko on dostrzegł, że nie umiała czytać nut? Patrzyła wszędzie, tylko nie na swój pulpit; od początku koncertu nie przełożyła nawet jednej strony. Przygryzając przez cały czas wargę, rzucała gorączkowe spojrzenia na pannę Daisy i próbowała naśladować jej ruchy.

Została mu tylko wiolonczelistka. Oczy Richarda spoczęły na niej, kiedy przeciągała smyczkiem po długich strunach swego instrumentu. Niezwykle trudno było dosłyszeć jej grę wśród zgiełku, który robiły obie skrzypaczki, ale czasami niski, żałobny ton wymykał się temu szaleństwu i Richard, chcąc nie chcąc, pomyślał:

Jest całkiem niezła.

W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że ona go fascynuje – ta starająca się ukryć za pudłem wiolonczeli drobna kobieta. Przynajmniej wiedziała, jakie są beznadziejne. Jej męki były dotkliwe i wyraźne. Za każdym razem, gdy docierała do pauz w partyturze, zdawała się wewnętrznie kulić, jak gdyby mogła zmniejszyć się do zera i pstryk! zniknąć.

Była to panna Iris Smythe-Smith, jedna z kwiecistych panienek. Wydawało się wprost niewiarygodne, że istniało bliskie pokrewieństwo między nią a rozkosznie niczego nieświadomą złotowłosą Daisy, która ze skrzypcami w ręku nadal wyginała się na wszystkie strony.

Iris. Dziwne imię dla równie niepozornej osóbki. Zawsze uważał irysy za najbardziej olśniewające kwiaty, z tymi ich głębokimi fioletami i błękitami. A tymczasem ta dziewczyna była tak blada, że niemal bezbarwna. Włosy miała o odcień zbyt rude, by pełnoprawnie nazwać ją blondynką, a jednak określenie „rudoblond” też nie pasowało. Ze swego miejsca w połowie salonu nie widział jej oczu, jednak przy tej kolorystyce również musiały być jasne.

Była dziewczyną z rodzaju tych, których można nie zauważyć.

A jednak Richard nie potrafił oderwać od niej wzroku.

W końcu to koncert, powiedział sobie. Więc gdzie niby miał patrzeć?

Poza tym skupienie się na jedynej nieruchomej sylwetce w jakiś sposób działało kojąco. Muzyka tak bardzo drażniła mu nerwy, że czuł zawroty głowy za każdym razem, kiedy tylko spojrzał w inną stronę.

O mało nie zachichotał. Iris Smythe-Smith z połyskującymi, jaśniutkimi włosami i zbyt wielką dla tak drobnej osóbki wiolonczelą stała się jego wybawicielką.

Sir Richard Kenworthy nie wierzył w znaki, ale ten przyjął za dobrą wróżbę.

Dlaczego on tak się gapi?

Wieczór muzyczny był wystarczającą udręką – co Iris mogła przewidzieć, jako że już po raz trzeci została wypchnięta na scenę i zmuszona do ośmieszania się przed starannie dobranym londyńskim towarzystwem. Publiczność na koncertach Smythe-Smithów zawsze stanowiła interesującą mieszankę. A więc po pierwsze rodzina; chociaż w pełnej okazałości, ale podzielona na dwie odrębne grupy: matki i całą resztę.

Matki wpatrywały się w scenę z rozanielonymi uśmiechami, głęboko przeświadczone, że ich córki, dzięki prezentacji wybornych muzycznych talentów, wzbudzają zazdrość wszystkich panien ze swojej sfery.

– Jakie znakomite – zachłystywała się rok w rok Maria Smythe-Smith. – Jakie dystyngowane.

Jakie ślepe, odpowiadała jej w duchu Iris. Jakie głuche.

Gdy zaś szło o pozostałych Smythe-Smithów – mężczyzn, ale też większość kobiet, które już złożyły ofiarę na ołtarzu muzycznej niekompetencji – zaciskali oni zęby i starali się zapełniać widownię, by tym sposobem ograniczyć zasięg upokorzenia.

Ich rodzina była cudownie płodna, więc pewnego dnia, zgodnie z modłami Iris, miała szansę osiągnąć rozmiary wykluczające zapraszanie kogokolwiek spoza grona krewnych. Iris już słyszała samą siebie, jak mówi: „Mamo, po prostu nie ma aż tylu miejsc”.

Niestety, potrafiła również usłyszeć, jak matka poleca sekretarzowi ojca, by wynajął salę koncertową.

Co do reszty audytorium, wiele osób przychodziło każdego roku. Kilka z nich, zdaniem Iris, by okazać gospodarzom życzliwość. Niektórzy zjawiali się tylko dla śmiechu. No i były jeszcze te Bogu ducha winne ofiary, najwyraźniej żyjące w głębokiej nieświadomości. Na dnie oceanu.

Albo na innej planecie.

Iris nie umiała sobie wyobrazić, jakim cudem dotychczas nie słyszeli o

muzycznych wieczorach u Smythe-Smithów albo – bardziej konkretnie – nie zostali przed nimi ostrzeżeni. A jednak co roku pojawiało się parę nowych zbolałych twarzy.

Jak ten mężczyzna w piątym rzędzie. Dlaczego on tak się gapi?

Była absolutnie pewna, że nigdy przedtem go nie widziała. Miał ciemne włosy z rodzaju tych, które kręcą się, kiedy pogoda jest bardzo mglista, a jego rysy odznaczały się subtelną elegancją, całkiem przyjemną dla oka.

Jest przystojny, uznała Iris, chociaż nie powalająco przystojny.

Zapewne nie był wysoko utytułowany. Jej matka bardzo skrupulatnie podchodziła do towarzyskiej edukacji córek. Niewiarygodne, by istniał nieżonaty arystokrata poniżej trzydziestki, którego Iris i jej siostry nie znałyby chociaż z widzenia.

Może to baronet? Albo jakiś właściciel ziemski? Musiał mieć niezłe koneksje, bo w jego towarzyszu rozpoznała młodszego syna hrabiego Rudland. Byli sobie kilkakrotnie przedstawiani, co oznaczało jedynie, że jaśnie wielmożny pan Bevelstoke mógł ją poprosić do tańca, gdyby miał taką ochotę.

Ale jak dotąd nigdy nie miał.

Iris nie żywiła o to do niego urazy, a jeśli nawet, to niewielką. Rzadko się zdarzało, by podczas balu miała zajętych więcej niż połowę tańców. Jednak lubiła obserwować wir zabawy. Niejednokrotnie zastanawiała się, czy największe gwiazdy w ogóle zauważają, co się wokół nich dzieje. Czy ktoś, kto jest zawsze w oku przysłowiowego cyklonu, potrafi dostrzec ukośne linie zacinającego deszczu albo poczuć przenikliwy chłód wiatru?

Może i podpierała ściany. To żaden wstyd. Zwłaszcza jeśli lubiła je podpierać. Otóż właśnie, niektóre…

– Iris – usłyszała syknięcie. Jej kuzynka, Sarah, nagląco zerkała na nią znad klawiatury fortepianu.

O, do diabła, przegapiła swoje wejście!

– Przepraszam – mruknęła, chociaż zapewne nikt tego nie dosłyszał.

Nigdy się nie spóźniała. Nawet jeśli pozostałe wykonawczynie były tak porażające, że w zasadzie nie miało żadnego znaczenia, czy włączyła się we właściwym momencie, czy też nie. Dla niej była to zasadnicza kwestia.

Bo ktoś musiał zagrać, jak należy.

Przez następnych kilka stron partytury pilnie zajmowała się swoim instrumentem, usiłując nie zwracać uwagi na Daisy, która nadal krążyła po całej scenie. Jednak gdy dla wiolonczeli nastała kolejna dość długa przerwa, Iris znowu uległa pokusie, by podnieść oczy.

On nadal ją obserwował.

Miała coś na sukience? We włosach? Dotknęła ich bezwiednie, niemal się spodziewając, że trafi palcami na jakąś gałązkę.

I nic.

Teraz była już po prostu zła. Nieznajomy próbował się z nią drażnić. To jedyne wytłumaczenie. Co za niewychowany prostak. I idiota. Naprawdę sądził, że jest w stanie zirytować ją bardziej niż jej własna siostra? Żeby przebić Daisy w skali uciążliwości na miarę siódmego kręgu piekieł, potrzeba by chyba Minotaura grającego na akordeonie.

– Iris!

– Och! – mruknęła ze złością. Znów nie zauważyła swego wejścia. Chociaż, doprawdy, kim była Sarah, żeby się uskarżać? W drugiej części przeskoczyła całe dwie strony.

Odnalazłszy w partyturze właściwe miejsce, Iris włączyła się do gry, stwierdzając z ulgą, że koniec koncertu już blisko. Pozostało jej jeszcze tylko wydobyć z wiolonczeli ostatnie tony, dygnąć, jak gdyby wszystko to czyniła z własnej woli, i zdobyć się na uśmiech podczas wymuszonych oklasków.

A potem mogła już wyłgać się bólem głowy, wrócić do domu, zamknąć za sobą drzwi, usiąść z książką i ignorując zachowanie siostry, udawać, że za rok nie będzie tak samo.

Chyba że do tego czasu zostałaby czyjąś żoną.

To była jedyna droga ucieczki. W rodzinie Smythe-Smithów każda osoba stanu wolnego (oraz płci żeńskiej, oczywiście) musiała dołączyć do kwartetu, kiedy powstawał wakat związany z instrumentem, który sobie wybrała. I musiała grać, dopóki nie stanęła na ślubnym kobiercu.

Tylko jednej z kuzynek udało się wyjść za mąż, zanim wypchnięto ją na scenę, a to dzięki spektakularnemu połączeniu szczęścia i sprytu. Otóż Frederica Smythe-Smith, obecnie pani Frederica Plum, uczyła się gry na skrzypcach, dokładnie tak samo jak jej starsza siostra Eleanor. Jednak Eleanor, by użyć słów matki Iris, „nie miała wzięcia”. Prawdę mówiąc, grała w kwartecie przez rekordowe siedem lat, zanim szczerze pokochała pewnego poczciwego wikarego, który miał na tyle rozsądku, by odpowiedzieć jej tym samym. Iris dosyć lubiła Eleanor, nawet mimo że kuzynka uważała się za znakomitą artystkę. (Którą nie była).

Natomiast Frederica… Opóźniony sukces siostry na małżeńskim targowisku oznaczał, że kiedy ona debiutowała, krzesło skrzypaczki było wciąż jeszcze zajęte. A że zrobiła wszystko, by możliwie najszybciej znaleźć męża…

To już należało między bajki włożyć, przynajmniej zdaniem Iris.

Obecnie kuzynka mieszkała na południu Indii, co niewykluczone, że miało jakiś związek z tamtym koncertowym unikiem. Od lat nikt z rodziny jej nie widział, chociaż czasami docierał do Londynu list przynoszący wieści o upałach i korzennych przyprawach, a zdarzało się, że i o słoniach.

Iris nienawidziła gorąca i niespecjalnie lubiła pikantne dania, ale kiedy siedziała w sali balowej Pleinsworth House i próbowała udawać, że tych pięćdziesiąt osób nie widzi, jak ona robi z siebie pośmiewisko, uparcie nachodziła ją myśl, że Indie mogą być całkiem przyjemnym miejscem.

W sprawie słoni nie wyrobiła sobie jeszcze opinii.

Może w tym roku zdołałaby znaleźć męża? Prawdę mówiąc, przez ostatnie dwa lata, czyli odkąd zaczęła bywać, nie starała się za bardzo. Jednak jak miała się starać, skoro nikt – czemu trudno było zaprzeczyć – nie zwracał na nią uwagi.

Z wyjątkiem (tu podniosła wzrok i natychmiast opuściła) tego obcego mężczyzny w piątym rzędzie. Dlaczego on tak jej się przyglądał?

To nie miało sensu. A Iris – nawet bardziej niż ośmieszenia – nie cierpiała rzeczy, które nie miały sensu.

# 2

Dla Richarda było absolutnie jasne, że panna Iris Smythe-Smith planuje czmychnąć przy pierwszej nadarzającej się okazji. Nie rzucało się to w oczy, ale obserwował niechętną wiolonczelistkę już tak długo, że praktycznie stał się ekspertem od jej min i gestów.

Należało szybko działać.

– Przedstaw nas sobie – zwrócił się do Winstona, wskazując mu ją dyskretnie.

– Naprawdę?

Richard szorstko skinął głową.

W odpowiedzi Winston wzruszył ramionami, wyraźnie zaskoczony, że przyjaciela zainteresowała akurat bezbarwna panna Smythe-Smith. Lecz jeśli nawet był ciekaw powodów, to poza tym początkowym zdziwieniem nie pokazał już nic po sobie. Natomiast zaczął przepychać się przez tłum, manewrując na swój zwykły zręczny sposób. Kobieta, o którą im chodziło, stała w pobliżu drzwi. Może i czuła się zakłopotana, ale bystrym wzrokiem obserwowała salę, gości i ich wzajemne relacje.

Wybierała moment ucieczki. Richard był tego pewien.

Jednak jej plany zostały pokrzyżowane. Zanim zdążyła ruszyć do wyjścia, stanął przed nią Winston Bevelstoke.

– Panno Smythe-Smith – zagadnął zarazem wesoło i uprzejmie. – Co za przyjemność znowu panią widzieć.

Iris nieufnie dygnęła. Najwyraźniej jej znajomość z Winstonem nie była tego rodzaju, by uprawniać do równie ciepłych powitań.

– Panie Bevelstoke – wymamrotała.

– Pozwoli pani, że przedstawię mego dobrego przyjaciela. Sir Richard Kenworthy.

Richard się ukłonił.

– Bardzo mi miło panią poznać – powiedział.

– Mnie także.

Oczy, jak już wcześniej zdążył się domyślić, miała jasne. Jednak widząc jej

twarz wyłącznie w blasku świec, nie potrafił rozeznać koloru. Szare albo może niebieskie, otoczone rzęsami tak bladymi, że byłyby niewidoczne, gdyby nie ich nadzwyczajna długość.

– Moja siostra przesyła pozdrowienia – odezwał się znowu Winston.

– Tak, ona zwykle bywa – szepnęła panna Smythe-Smith z ledwie zauważalnym uśmiechem. – To bardzo uprzejmie z jej strony.

– Och, nie sądzę, żeby uprzejmość miała tu coś do rzeczy – odparł miło.

Panna Smythe-Smith uniosła jaśniutkie brwi i utkwiła w nim wzrok.

– A ja sądzę, że uprzejmość ma tu do rzeczy bardzo wiele.

Richard był skłonny przyznać jej rację. Nie potrafił sobie wyobrazić innego powodu, by siostra Winstona naraziła się na udział w takim wydarzeniu więcej niż raz w życiu. Jednak podziwiał przenikliwość, jaką objawiła w tej kwestii Iris.

– Przysłała mnie w swoim zastępstwie – ciągnął niezrażony Winston. – Powiedziała, że byłoby nie do pomyślenia, aby naszej rodziny w tym roku nikt nie reprezentował. – Zerknął na przyjaciela. – Stanowczo przy tym obstawała.

– Proszę przekazać siostrze moje wyrazy wdzięczności. A teraz panowie wybaczą, ale muszę…

– Czy mogę zadać jedno pytanie? – wpadł jej w słowo Richard.

Iris, która odwracała się już w stronę drzwi, zastygła w pół ruchu i ze zdumieniem popatrzyła na sir Kenworthy'ego. To samo uczynił Winston.

– Oczywiście – odparła cicho, ale jej oczy nie wydawały się aż tak łagodne, jak ton głosu. Była dobrze wychowaną młodą damą, a nowy znajomy baronetem. Nie mogła odpowiedzieć mu inaczej i obydwoje świetnie zdawali sobie z tego sprawę.

– Od jak dawna gra pani na wiolonczeli? – Richard rzucił bez zastanowienia pierwsze pytanie, które przyszło mu do głowy i dopiero, gdy padło, uświadomił sobie, jak bardzo jest niegrzeczne. Przecież Iris wiedziała, że grały okropnie i że on musi myśleć to samo. Drążenie kwestii jej muzycznego wykształcenia było po prostu okrucieństwem.

Ale działał pod presją. Nie mógł pozwolić, by panna Smythe-Smith odeszła. A przynajmniej, by odeszła bez chwili rozmowy.

– Ja… – zająknęła się Iris i Richard poczuł, że się zaplątał. Przecież nie miał zamiaru… Och, diabli nadali!

– Występ był czarujący – wtrącił Winston z taką miną, jakby chciał przyjaciela kopnąć.

Richard szybko zareagował, pragnąc zrehabilitować się w jej oczach.

– Chodziło mi o to, że grała pani z nieco większą wprawą niż kuzynki.

Iris zamrugała kilka razy. Psiakrew, teraz posunął się do tego, że obraził jej

krewne. Jednak lepsze to niż obrazić ją samą, uznał.

I brnął dalej.

– Siedziałem niedaleko, po pani stronie sali i od czasu do czasu mogłem dosłyszeć wiolonczelę oddzielnie od pozostałych instrumentów.

– Rozumiem – odparła powoli, z pewną dozą rezerwy. Było jasne, że nie bardzo wiedziała, co myśleć o jego zainteresowaniu.

– Jest pani całkiem biegłą wiolonczelistką.

Winston popatrzył na przyjaciela z niedowierzaniem. Richard bez trudu mógł sobie wyobrazić dlaczego. W ogłuszającym hałasie nie było łatwo wychwycić dźwięki wiolonczeli i dla niewprawnego ucha występ Iris musiał być równie okropny jak cała reszta. Toteż opinia Richarda mogła wydawać się fałszywym pochlebstwem najgorszego rodzaju.

Tyle tylko, że panna Smythe-Smith wiedziała, iż naprawdę gra lepiej od swoich kuzynek. Dostrzegł to w jej oczach, kiedy zareagowała na jego słowa.

– Wszystkie uczyłyśmy się od dzieciństwa – odparła.

– Oczywiście.

Można było się spodziewać, że tak powie. Nie miała zamiaru oczerniać rodziny przed obcymi.

Zaległo niezręczne milczenie. Panna Smythe-Smith znów uśmiechnęła się grzecznie z wyraźną intencją, by przeprosić towarzystwo i odejść. Jednak zanim zdążyła się odezwać, Richard zapytał:

– Skrzypaczka to pani siostra?

Winston rzucił mu zaciekawione spojrzenie.

– Jedna z nich, tak – przyznała Iris. – Ta jasnowłosa.

– Młodsza siostra?

– Owszem, o cztery lata – odparła nieco ostrzejszym tonem. – To jej pierwszy sezon, chociaż w kwartecie grała już w zeszłym roku.

– Skoro o tym mowa – wtrącił Winston, szczęśliwie wybawiając Richarda od wymyślania kolejnych wybiegów, by zatrzymać pannę Smythe-Smith – dlaczego przy fortepianie siedziała lady Sarah? Myślałem, że kwartet jest tylko dla niezamężnych dam.

– Brakowało nam pianistki. Gdyby Sarah nie zgłosiła się z pomocą, musiałybyśmy odwołać koncert.

W powietrzu zawisła oczywista wątpliwość: czyby to było naprawdę aż tak straszne?

– Mojej matce pękłoby serce – dodała Iris i Richard nie potrafił odgadnąć, jakie uczucia zabarwiły jej głos. – Tak samo ciotkom.

– Bardzo uprzejmie ze strony lady Prentice, że w potrzebie użyczyła swego talentu – oznajmił.

A wówczas jego rozmówczyni wymamrotała coś szczególnie dziwnego:

– Była nam to winna.

Sir Kenworthy wytrzeszczył oczy.

– Słucham?

– Nic takiego – odparła Iris, uśmiechając się promiennie… i fałszywie.

– O nie, muszę nalegać. – Teraz był już szczerze zaintrygowany. – Nie może pani rzucić takiej uwagi i pozostawić ją niewyjaśnioną.

Spojrzenie panny Smythe-Smith umknęło w bok. Może chciała się upewnić, czy nikt z jej rodziny nie słyszy. Albo po prostu usiłowała nie przewrócić oczami.

– To nic takiego, naprawdę. Po prostu Sarah nie grała w zeszłym roku. Wycofała się w dniu koncertu.

– Został odwołany? – Zmarszczywszy czoło, Winston próbował sobie przypomnieć.

– Nie. Wystąpiła guwernantka jej sióstr.

– Aaa, istotnie. – Pokiwał głową. – Pamiętam. Świetnie ją pamiętam. Doprawdy godne uwagi, że znała ten utwór.

– Pani kuzynka zachorowała? – zapytał Richard.

Panna Smythe-Smith już otworzyła usta, by mu wyjaśnić, co zaszło, a potem w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Był tego pewien.

– Tak – odparła zwięźle. – Dość kiepsko się czuła. A teraz proszę mi wybaczyć, ale czekają na mnie sprawy niecierpiące zwłoki.

Dygnęła, panowie ukłonili się i odeszła.

– Co to było? – zagadnął natychmiast Winston.

– To znaczy? – odparował Richard, udając, że nie wie, o co chodzi.

– Praktycznie zatarasowałeś wyjście własnym ciałem, żeby nie mogła uciec.

Richard wzruszył ramionami.

– Uznałem, że jest interesująca.

– Ona? – Winston zerknął w stronę drzwi, za którymi przed chwilą zniknęła panna Smythe-Smith. – Dlaczego?!

– Nie wiem – skłamał Richard.

Bevelstoke popatrzył na przyjaciela, potem jeszcze raz na drzwi i znowu na niego.

– Muszę powiedzieć, że nie jest typem kobiety, które dotychczas ci się podobały.

– Nie – rzucił Richard, chociaż nigdy nie myślał o swoich preferencjach w taki sposób. – Nie, nie jest.

Ale też nigdy dotąd nie musiał znaleźć sobie żony. I to w ciągu dwóch tygodni, ni mniej, ni więcej.

Następnego dnia Iris tkwiła w salonie, razem z matką i Daisy oczekując na nieuniknione wizyty. Pani Smythe-Smith nalegała, by obie córki podejmowały gości. Wszak wszyscy będą chcieli pogratulować im występu.

Iris przypuszczała, że wpadną jej zamężne siostry. I najprawdopodobniej jeszcze kilka innych pań. Tych samych, które z dobroci serca co roku zjawiały się na wieczorach muzycznych. Reszta wczorajszej publiczności będzie unikała domu Smythe-Smithów – każdego z ich domów – jak przysłowiowej zarazy. Ostatnią rzeczą, na jaką ktokolwiek miałby ochotę, było prowadzenie uprzejmej konwersacji o tej muzycznej katastrofie.

To zupełnie tak, jak gdyby skały Dover rozpadały się i waliły do morza, a w pobliżu towarzystwo zebrane przy herbacie szczebiotałoby: „Och, co za porywające widowisko. Chociaż trochę szkoda plebanii”.

Było jeszcze wcześnie. Żaden gość dotychczas nie zaszczycił pań Smythe-Smith swoją wizytą. Iris przyniosła sobie coś do czytania, ale Daisy nadal tryskała radością i triumfem.

– Myślę, że wypadłyśmy znakomicie – oświadczyła.

Starsza z sióstr oderwała oczy od książki tylko na tak długo, by powiedzieć:

– Nie, nie wypadłyśmy znakomicie.

– Może ty nie, bo chowałaś się za tą swoją wiolonczelą. Ale ja nigdy nie czułam się tak pełna życia i zestrojona z muzyką.

Iris zagryzła wargi. Mogła ripostować na tyle różnych sposobów. Te głupstwa aż się prosiły o użycie całego sarkazmu, który miała w swoim arsenale. Jednak trzymała język na wodzy. Po wieczorze muzycznym zawsze czuła się rozdrażniona i nieważne, jak bardzo irytowała ją Daisy – a irytowała, och, irytowała – to nie ona była winna, że Iris jest w takim złym humorze. W każdym razie nie tylko ona.

– Wczorajszego wieczoru przyszło tylu przystojnych dżentelmenów – paplała dalej młodsza panna Smythe-Smith. – Zauważyłaś, mamo?

Iris przewróciła oczami. Oczywiście, że ich matka zauważyła. Do jej powinności należało wypatrzenie w sali każdego wolnego mężczyzny. Chociaż nie, chodziło o coś więcej. To była misja.

– Widziałam pana St. Claira – ciągnęła Daisy. – Ależ szykownie wygląda z tym warkoczykiem.

– Nigdy się tobą nie zainteresuje.

– Nie bądź niemiła – skarciła starszą córkę Maria Smythe-Smith, po czym

zwróciła się do młodszej: – Jednak Iris ma rację. Zresztą wcale byśmy sobie tego nie życzyli. To człowiek zbyt rozwiązły, jak na towarzystwo dla porządnej panienki.

– Rozmawiał z Hyacinth Bridgerton – odcięła się Daisy.

Iris zerknęła na matkę, niezmiernie ciekawa jej reakcji i szczerze mówiąc, rozbawiona. Trudno było znaleźć rodzinę popularniejszą, czy bardziej szanowaną niż Bridgertonowie, nawet jeśli Hyacinth – ich najmłodsza córka – uchodziła za istne półdiablę.

Pani Smythe-Smith zrobiła to, co zawsze, kiedy nie chciała udzielić odpowiedzi. Uniosła brwi, zniżyła podbródek i pogardliwie pociągnęła nosem.

Rozmowa była skończona. A przynajmniej ten jej wątek.

– Ale Winston Bevelstoke to nie rozpustnik. – Daisy niezwłocznie zmieniła kurs. – Siedział na samym przodzie.

Iris tylko prychnęła.

– On jest wspaniały!

– Nigdy nie twierdziłam inaczej – odparła. – Ale musi mieć koło trzydziestki. I siedział w piątym rzędzie.

Ostatnie zdanie najwyraźniej zdumiało ich matkę.

– W piątym…

– Co trudno uznać za sam przód – przerwała jej Iris. Doprawdy, nie cierpiała, kiedy ludzie opacznie ją rozumieli.

– Och, na litość boską – jęknęła Daisy – co za różnica, gdzie siedział. Liczy się, że w ogóle przyszedł.

Teoretycznie miała rację, ale przecież nie o to Iris chodziło.

– Winston Bevelstoke nigdy nie zainteresuje się siedemnastolatką – wyjaśniła siostrze.

– A dlaczego nie? Myślę, że jesteś zazdrosna.

Iris przewróciła oczami.

– Tak dalece się mylisz, że po prostu brak mi słów.

– Obserwował mnie – upierała się młodsza panna Smythe-Smith. – To, że dotychczas jest kawalerem, świadczy tylko o tym, że uważnie wybiera. Może po prostu czeka na idealną młodą damę.

Iris nabrała powietrza, dławiąc uwagę, która cisnęła się jej na usta.

– Jeśli poślubisz Winstona Bevelstoke’a – odparła spokojnie – pierwsza ci pogratuluję.

Oczy Daisy się zwęziły.

– Mamo, ona jest znów uszczypliwa.

– Nie bądź uszczypliwa, Iris – powiedziała Maria Smythe-Smith, nie odrywając wzroku od swojej robótki.

Iris skrzywiła się gniewnie. Tę matczyną reprymendę znała na pamięć.

– Kim jest dżentelmen, który wczoraj towarzyszył panu Bevelstoke'owi? Ten z ciemnymi włosami?

– On po koncercie rozmawiał z Iris – wtrąciła Daisy.

Pani Smythe-Smith utkwiła przenikliwe spojrzenie w starszej córce.

– Wiem.

– Nazywa się sir Richard Kenworthy – odparła Iris.

Jej matka uniosła brwi.

– Jestem pewna, że był po prostu uprzejmy.

– Bardzo długo był uprzejmy. – Daisy zachichotała.

Iris popatrzyła na siostrę z niedowierzaniem.

– Rozmawialiśmy przez pięć minut. Może nawet nie tyle.

– To i tak dłużej, niż większość dżentelmenów z tobą rozmawia.

– Daisy, teraz ty nie bądź niemiła – zbeształa ją matka. – Niemniej jednak muszę przyznać ci rację. Myślę, że to trwało więcej niż pięć minut.

– Wcale nie – mruknęła Iris.

Jednak pani Smythe-Smith jej nie usłyszała. Albo, co bardziej prawdopodobne, postanowiła ten protest zignorować.

– Będziemy musieli dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

Otwarte z oburzenia usta Iris przybrały kształt litery „O". Spędziła raptem pięć minut w towarzystwie sir Richarda, a matka już knuła przeciwko temu biednemu człowiekowi.

– Nie robisz się młodsza – dodała pani Smythe-Smith.

Na twarzy Daisy wykwitł złośliwy uśmieszek.

– Świetnie – rzuciła Iris. – Następnym razem spróbuję zdobyć jego zainteresowanie na cały kwadrans. To powinno wystarczyć, żeby posłać po specjalne zezwolenie na ślub.

– Och, myślisz? – zachwyciła się Daisy. – Jakie by to było romantyczne.

Iris wytrzeszczyła na siostrę oczy. Teraz ona nie zauważyła sarkazmu?

– Każdy może wziąć ślub w kościele. – Daisy ekscytowała się coraz bardziej. – Ale specjalne zezwolenie to coś… specjalnego.

– Stąd nazwa – mruknęła Iris.

– One okropnie drogo kosztują i nie są wydawane komu popadnie.

– Wszystkie twoje siostry brały ślub, jak należy, w kościele – wtrąciła się pani Smythe-Smith. – I ty też tak go weźmiesz.

To kategoryczne stwierdzenie zakończyło rozmowę przynajmniej na pięć sekund. Bo tyle Daisy była w stanie przesiedzieć w milczeniu.

– Co czytasz? – zapytała, wyciągając szyję w stronę siostry.

– *Dumę i uprzedzenie* – odparła Iris, nie podnosząc oczu. Zaznaczyła jednak palcem właściwy wers. Na wszelki wypadek.

– A nie czytałaś już tego?

– To dobra książka.

– Jak książka może być na tyle dobra, żeby czytać ją dwa razy?

Iris wzruszyła ramionami, co mniej ograniczona osoba uznałaby za oznakę niechęci do dalszej rozmowy.

Ale nie Daisy.

– Wiesz, też to czytałam – oznajmiła.

– Naprawdę?

– Szczerze mówiąc, nie wydało mi się zbyt dobre.

Na te słowa Iris w końcu uniosła wzrok.

– Słucham?

– Bardzo mało realistyczne – wyraziła swoją opinię Daisy. – Naprawdę mam uwierzyć, że panna Elizabeth odrzuciła oświadczyny pana Darcy'ego?

– Co to za panna Elizabeth? – Pani Smythe-Smith wreszcie oderwała uwagę od swego haftu i powiodła wzrokiem po twarzach córek. – I kim jest pan Darcy?

– Było jasne jak słońce, że nigdy nie trafi się jej lepsza partia – ciągnęła Daisy.

– Tak właśnie mówił pan Collins, kiedy się oświadczał – odpaliła Iris. – A potem pan Darcy poprosił ją o rękę.

– Kim jest pan Collins?

– To wszystko fikcyjne postacie, mamo.

– Bardzo głupie, gdyby mnie kto pytał – dodała wyniośle Daisy. – Pan Darcy jest naprawdę bogaty. Natomiast o wianie panny Elizabeth nawet nie ma co wspominać. To że zniżył się do oświadczyn…

– On ją kochał!

– Oczywiście, że tak – odparła Daisy z irytacją. – Nie było innych przyczyn, żeby ją prosić o rękę. A Elizabeth mu odmówiła!

– Miała swoje powody.

Daisy przewróciła oczami.

– Miała dużo szczęścia, że poprosił ją jeszcze raz. I tyle.

– Myślę, że powinnam to przeczytać – powiedziała pani Smythe-Smith.

– Proszę. – Iris ogarnęło nagłe przygnębienie. Wyciągnęła tomik w stronę matki. – Możesz wziąć mój egzemplarz.

– Ale jesteś dopiero w połowie.

– Już to czytałam.

Maria Smythe-Smith sięgnęła po książkę, przerzuciła kartki do samego początku i jej wzrok spoczął na zdaniu, które Iris znała na pamięć.

„Jest prawdą powszechnie znaną, że samotnemu a bogatemu mężczyźnie brak do szczęścia tylko żony”.

– Cóż, to faktycznie prawda – mruknęła pani Smythe-Smith.

Iris westchnęła, zastanawiając się, jak by tu zabić czas. Właściwie mogła pójść po inną powieść, ale tak wygodnie umościła się na sofie, że za nic nie chciało jej się ruszyć. Westchnęła więc ponownie.

– Co się dzieje? – zażądała wyjaśnień Daisy.

– Nic.

– Wzdychasz.

Iris zwalczyła chęć, by jęknąć.

– Nie każde westchnienie ma związek z tobą.

Jej siostra prychnęła, obrażona i odwróciła się. Iris zamknęła oczy. Może mogłaby uciąć małą drzemkę? Poprzedniej nocy nie spała zbyt dobrze. Nigdy dobrze nie spała po wieczorze muzycznym. Chociaż zawsze powtarzała sobie, że będzie, skoro cały rok dzielił ją od strachu przed kolejnym koncertem.

Jednak sen nie nadchodził, zwłaszcza że nie mogła powstrzymać mózgu od odtwarzania każdej chwili, każdej sknoconej nuty. Każdego wyrazu szyderstwa, litości, szoku, zdumienia na twarzach słuchaczy… Niemal potrafiła wybaczyć kuzynce jej zeszłoroczną rejteradę. Iris to rozumiała. Niech niebiosa mają ją w swojej opiece, nikt nie rozumiał tego lepiej niż ona.

A potem sir Richard Kenworthy uparł się ją poznać. O co w tym wszystkim chodziło? Nie była aż tak niemądra, by myśleć, że jest nią zainteresowany. Nie uważała się za diament pierwszej wody. Wierzyła, że pewnego dnia wyjdzie za mąż, ale jeśli tak się stanie, to nie dlatego, że oczarowała kogoś od pierwszego wejrzenia.

Nie była czarująca. Według Daisy nie miała nawet rzęs.

Nie, jeśli ktoś poprosi o rękę Iris, będą to oświadczyny z rozsądku. W końcu jakiś dżentelmen może uznać, że jest całkiem miła i docenić korzyści płynące z posiadania w rodzinie wnuczki hrabiego, choćby i ze skromnym posagiem.

I właśnie że miała rzęsy. Po prostu były bardzo jasne.

Musiała dowiedzieć się czegoś więcej o sir Richardzie. A co ważniejsze wymyślić sposób, by dokonać tego bez zwracania uwagi. Nie mogło wyglądać, że się za nim ugania. Zwłaszcza kiedy…

– Goście, madame – zaanonsował lokaj.

Iris usiadła. Czas na prawidłową postawę, pomyślała z fałszywą wesołością. Ramiona do góry, ściągnąć łopatki…

– Pan Winston Bevelstoke.

Daisy wyprostowała się i muśnięciem poprawiła suknię, ale przedtem zdążyła jeszcze rzucić siostrze spojrzenie oznaczające: „a nie mówiłam”.

– Oraz sir Richard Kenworthy.

# 3

*C*hyba wiesz – powiedział do niego Winston, gdy zatrzymali się u stóp schodów przed domem Iris – że nie wypada rozbudzać cudzych nadziei.

– A ja sądziłem, że składanie wizyty młodej damie to powszechnie przyjęty obyczaj – odparł Richard.

– Owszem. Ale tu chodzi o Smythe-Smithów.

Richard, który już zaczął wspinać się po stopniach, przystanął.

– Czy ta rodzina odznacza się czymś szczególnym? – zapytał delikatnie. – Oprócz unikalnych talentów muzycznych?

Potrzebował szybko się ożenić, ale równocześnie plotki – czy, nie daj Boże, skandal – należało ograniczyć do minimum. Jeśli Smythe-Smithowie ukrywali jakieś mroczne tajemnice, musiał mieć tego świadomość.

– Nie – odparł Winston, niepewnie kręcąc głową. – Wcale nie. Tylko… No cóż, chyba można by…

Richard czekał, kiedy przyjaciel w końcu to wykrztusi.

– Konkretnie ta gałąź rodziny Smythe-Smithów jest nieco… – Bevelstoke westchnął, niezdolny dokończyć zdania.

Przyzwoity z niego człowiek, pomyślał Richard i się uśmiechnął. Winston mógł podczas koncertu zatykać uszy watą i pociągać z piersiówki, ale nie potrafił powiedzieć złego słowa na temat kobiety, nawet gdy chodziło tylko o brak powodzenia.

– Jeśli zaczniesz się zalecać do panny Smythe-Smith, ludzie będą ciekawi dlaczego.

– Bo jestem taką dobrą partią. – W głosie Richarda zabrzmiała ironia.

– A nie jesteś?

– Nie. – Cały Winston, nigdy nie zważał na podobne rzeczy. – Nie jestem.

– Dajże spokój, nie może być aż tak źle.

– Po rozrzutnych rządach ojca ledwie zdołałem ocalić grunty Maycliffe. Jedno skrzydło domu praktycznie nie nadaje się do mieszkania. I jestem prawnym opiekunem moich sióstr. – Uśmiechnął się cierpko. – Nie, nie powiedziałbym, że

ze mnie znakomita partia.

– Wiesz, że… – Jego przyjaciel zmarszczył brwi. – Dlaczego część domu nie nadaje się do mieszkania?

Richard pokręcił głową i ruszył na górę po schodach.

– Nie, naprawdę, jestem ciekaw. Ja…

Ale sir Kenworthy już opuszczał kołatkę.

– Zalanie – odparł. – Robactwo. Prawdopodobnie duch.

– Jeżeli wpadłeś w aż takie tarapaty – rzucił szybko Winston, zerkając na drzwi – potrzebny ci większy posag niż to, co zastaniesz tutaj.

– Możliwe – mruknął Richard.

Miał jednak swoje powody, dla których odszukał pannę Smythe-Smith. Iris była inteligentna; nie potrzebował długiego czasu w jej towarzystwie, żeby się o tym przekonać. I ceniła sobie rodzinę. Na pewno. Bo z jakiej innej przyczyny brałaby udział w tym nieszczęsnym wieczorze muzycznym?

Ale czy jego rodzinę mogłaby cenić na równi z własną? Tak by musiało się stać, gdyby się pobrali.

Drzwi otworzył dość tęgi lokaj i ze sztywnym ukłonem przyjął od gości bilety wizytowe. Chwilę później zostali wprowadzeni do małej, ale eleganckiej bawialni utrzymanej w odcieniach bladej żółci, złota i zieleni. Richard natychmiast zauważył Iris, która siedząc na sofie, spokojnie przyglądała mu się spod rzęs. U innej kobiety takie spojrzenie mogłoby uchodzić za zalotne – w przypadku Iris było raczej baczne. Oceniające.

Wyrabia sobie zdanie, pomyślał. Nie wiedział, co o tym sądzić. Powinien czuć się rozbawiony.

– Pan Winston Bevelstoke – zaanonsował lokaj. – Oraz sir Richard Kenworthy.

Iris, Daisy i ich matka wstały, by powitać gości, a oni, zgodnie z dobrym obyczajem, najpierw poświęcili uwagę pani domu.

– Panie Bevelstoke – przemówiła z uśmiechem Maria Smythe-Smith – nie widziałam pana całe wieki. Jakże się miewa pańska droga siostra?

– Dziękuję, doskonale – odparł Winston. – Zbliża się do końca połogu, inaczej wczorajszego wieczoru byłaby obecna. – Po czym wskazując Richarda, dodał: – Jak mniemam, nie zna pani jeszcze mojego dobrego przyjaciela. Sir Richard Kenworthy. Byliśmy razem w Oksfordzie.

Maria Smythe-Smith uśmiechnęła się uprzejmie.

– Sir Richardzie.

Kenworthy pochylił głowę.

– Pani Smythe-Smith.

– Moje młodsze córki – przedstawiła gospodyni stojące za nią dziewczęta.

– Wczorajszego wieczoru miałem już zaszczyt poznać pannę Smythe-Smith – odrzekł Richard, pozdrawiając Iris lekkim ukłonem.

– Tak, oczywiście.

Maria Smythe-Smith tonęła w uśmiechach, które nie docierały do jej oczu, a Richard znów miał nieodparte wrażenie, że jest mierzony i ważony. Jednak według jakiej miarki, tego nie wiedział. Było to diabelnie denerwujące i nie po raz pierwszy przyłapał się na myśli, że Napoleon zostałby pobity znacznie wcześniej niż pod Waterloo, gdyby tylko do opracowania wojennej strategii oddelegowano londyńskie mamusie.

– Moja najmłodsza. – Pani Smythe-Smith skłoniła głowę w kierunku drugiej córki. – Panna Daisy Smythe-Smith.

– Panno Daisy – powiedział uprzejmie Richard, pochylając się nad jej dłonią.

Winston uczynił to samo.

Gdy już niezbędnym formalnościom stało się zadość, obaj mężczyźni usiedli.

– Jak się panom podobał koncert? – zagadnęła Daisy.

Zdawała się kierować to pytanie do Winstona, za co Richard był jej niezmiernie wdzięczny.

– Och, bardzo – odparł nieszczęśnik, odchrząknąwszy ze sześć razy. – Nie przypominam sobie, kiedy ostatnio, ehm…

– Przypuszczam, że nigdy nie słyszał pan Mozarta granego z takim zapałem – przyszła mu na ratunek Iris.

Richard uśmiechnął się. Miała bystry umysł, co było zdecydowanie pociągające.

– Nie, nigdy – podchwycił szybko Winston; w jego głosie zabrzmiała wyraźna ulga. – Było to wyjątkowe doświadczenie.

– A pan, sir Richardzie? – spytała Iris.

Napotkał spojrzenie jej oczu – bardzo, bardzo jasnoniebieskich, stwierdził wreszcie – i ku swemu zdumieniu dostrzegł w nich błysk zuchwałości. Czyżby się z nim droczyła?

– Niezmiernie się cieszę, że wczoraj byłem obecny.

– To nie jest odpowiedź – zaprotestowała głosem zbyt cichym, by mogła dosłyszeć ją matka.

Richard uniósł brwi.

– Jest nią w takim stopniu, w jakim zamierza ją pani przyjąć.

Usta panny Smythe-Smith otwarły się, jakby chciała gwałtownie złapać oddech, ale w końcu odparła po prostu:

– Miło, że pan przyszedł, sir Richardzie.

Rozmowa toczyła się spokojnie od jednego przewidywalnego tematu do drugiego (pogoda, król i znowu pogoda), dopóki Richard, wykorzystując banalność ich konwersacji, nie zaproponował spaceru po pobliskim Hyde Parku.

– Bo pogoda jest taka ładna.

– Właśnie, mówiłam dokładnie to samo! – wykrzyknęła Daisy. – Słońce świeci wprost nadzwyczajnie. Czy na dworze jest ciepło, panie Bevelstoke? Dzisiaj jeszcze nie wychodziłam z domu.

– W miarę – odparł Winston, rzuciwszy przyjacielowi krótkie, lecz mordercze spojrzenie.

Teraz rachunki zostały wyrównane; może nawet Richard zaciągnął u niego dług. Wieczór muzyczny w Pleinsworth House z pewnością nie mógł być aż tak męczący jak godzinny spacer pod ramię z panną Daisy. A obaj dobrze wiedzieli, że to nie Winstonowi przypadnie towarzystwo starszej z sióstr.

– Zdziwiłam się, widząc pana u nas w tak krótki czas po koncercie – powiedziała Iris, kiedy tylko znaleźli się na dworze i ruszyli w stronę parku.

– A ja się dziwię, słysząc, że pani to mówi – odparował Richard. – Na pewno nie sprawiam wrażenia kogoś mało zainteresowanego.

Otworzyła szeroko oczy. W innych warunkach Richard nie byłby taki bezczelny, ale teraz nie miał czasu na subtelne umizgi.

– Nie całkiem rozumiem – powiedziała ostrożnie. – Cóż takiego zrobiłam, by zasłużyć na pańskie względy.

– Nic – przyznał. – Ale na względy nie zawsze trzeba zasłużyć.

– Naprawdę? – zdziwiła się Iris.

– W każdym razie nie natychmiast. – Uśmiechnął się do niej, zadowolony, że rondo jej budki jest dość wąskie, by nie zasłaniać całkiem twarzy. – Czy właśnie nie to jest celem zalotów? Zdobycie pewności, iż te początkowe względy były zasłużone?

– Sądzę, że to, co pan nazywa względami, ja nazywam pociągiem.

Richard zachichotał.

– Oczywiście, ma pani rację. Proszę przyjąć moje przeprosiny i słowa wyjaśnienia.

– A więc jesteśmy zgodni. Nie zyskałam pańskich względów.

– Ale zaczęła mnie pani pociągać – szepnął zuchwale.

Policzki dziewczyny nabrały koloru i Richard uświadomił sobie, że kiedy panna Smythe-Smith się czerwieni, to rumieniec pokrywa każdy cal jej skóry.

– Przecież pan wie, że nie to miałam na myśli – wymamrotała.

– W pełni zyskała pani moje względy – oznajmił stanowczo. – Jeśli nie

wczorajszego wieczoru, to dzisiejszego ranka.

W jasnoniebieskich oczach pojawił się wyraz oszołomienia. Iris nieznacznie pokręciła głową, po czym znów obróciła wzrok na ścieżkę przed sobą.

– Nigdy nie lubiłem u kobiet głupoty – ciągnął Richard tonem niemal tak lekkim, jakby czynił uwagę na temat wystawy sklepowej.

– Z pewnością nie zna mnie pan na tyle dobrze, żeby ocenić moją inteligencję.

– Potrafię wystarczająco ją ocenić, żeby wiedzieć, że nie jest pani głupia. A czy mówi pani po niemiecku i potrafi rachować w pamięci, tego dowiem się wystarczająco szybko.

Wydawało się, jakby Iris próbowała powstrzymać uśmiech. Po chwili powiedziała:

– Co do jednego, odpowiedź brzmi: tak.

– Niemiecki?

– Nie, rachunki.

– A to szkoda. – Popatrzył na nią znacząco. – Język mógłby się okazać bardzo przydatny w kontaktach z rodziną królewską.

Roześmiała się.

– Sądzę, że do tej pory oni wszyscy znają już angielski.

– Owszem, ale nadal żenią się z Niemkami, prawda?

– A ponadto – dokończyła – w najbliższym czasie nie spodziewam się posłuchania u Jego Wysokości.

Richard parsknął stłumionym śmiechem. Doceniał, że nie straciła rezonu.

– Zawsze zostaje jeszcze mała księżniczka Victoria.

– Która przypuszczalnie nie mówi po angielsku – przyznała Iris. – Bo jej matka na pewno nie mówi.

– Poznała ją pani? – spytał ironicznie.

– Oczywiście, że nie. – Rzuciła mu krótkie spojrzenie i Richard poczuł, że gdyby znali się lepiej, mógłby temu towarzyszyć przyjacielski kuksaniec. – No cóż, zostałam przekonana. Muszę natychmiast znaleźć nauczyciela niemieckiego.

– Ma pani talent do języków?

– Nie, ale wszystkie obowiązkowo uczyłyśmy się francuskiego, póki mama nie uznała, że to brak patriotyzmu.

– Nadal jeszcze? – Wielkie nieba, przecież wojna skończyła się prawie dziesięć lat temu[4].

W oczach Iris pojawił się szelmowski błysk.

– Mama potrafi długo chować urazę.

– Proszę mi przypomnieć, żebym niczym nie rozgniewał pani matki.

– Tego faktycznie bym nie polecała – mruknęła speszona, po czym lekko przechyliła głowę i się skrzywiła. – Mam obawy, że trzeba ratować pana Bevelstoke'a.

Richard rzucił okiem na przyjaciela, który szedł ścieżką jakieś dwadzieścia stóp przed nimi. Wczepiona w jego ramię Daisy przemawiała z takim wigorem, że jej jasne loki naprawdę podskakiwały.

A Winston robił dobrą minę do złej gry, jednak wyglądał dość niewyraźnie.

– Kocham Daisy – westchnęła Iris – ale trzeba się do niej przekonać. Och, panie Bevelstoke! – krzyknęła i puściwszy ramię swego towarzysza, niemal biegiem rzuciła się w stronę siostry i Winstona.

Richard przyśpieszył kroku.

– Panie Bevelstoke, chciałam zapytać – dosłyszał głos Iris – jak pan ocenia traktat petersburski?

Winston wytrzeszczył oczy, jakby przemówiła do niego w obcym języku. Po niemiecku na przykład.

– Pisali o tym we wczorajszej gazecie. Na pewno pan czytał.

– Oczywiście – odparł i było to jawne kłamstwo.

Nie zważając na gniewne spojrzenia siostry, Iris uśmiechnęła się promiennie.

– Zdaje się, że został uzgodniony zadowalająco dla wszystkich stron. Zgodzi się pan z tym?

– Ehm… owszem – przytaknął z rosnącym entuzjazmem Winston. – Tak, w rzeczy samej. – Wreszcie zrozumiał intencje Iris, nawet jeśli nie miał pojęcia, o co go pytała. – Absolutnie.

– O czym wy rozmawiacie? – zażądała wyjaśnień Daisy.

– O traktacie petersburskim – odparła Iris.

– Tak, tyle już powiedziałaś – zirytowała się młodsza panna Smythe-Smith. – Ale co to takiego?

Iris zamarła.

– Och, no cóż, to jest…

Richard zdusił śmiech. Ona nie wiedziała. Rzuciła się na pomoc, żeby ochronić Winstona, ale sama nie znała odpowiedzi na swoje pytania.

Naprawdę trudno było nie podziwiać jej tupetu.

– To jest porozumienie, no wiesz – brnęła dalej – pomiędzy Wielką Brytanią a Rosją.

– Otóż właśnie – wsparł ją Winston. – Traktat. Jak sądzę, podpisany w Sankt Petersburgu.

– Co za ulga – dodała Iris. – Nie uważa pan?

Winston natychmiast przyznał jej rację.

– O, tak. Dzięki niemu powinniśmy spać znacznie spokojniej.

– Nigdy nie ufałam Rosjanom – powiadomiła ich Daisy, prychając.

– No, nie wiem, czy posunęłabym się aż tak daleko – zaoponowała Iris.

Rzuciła rozpaczliwe spojrzenie Richardowi, jednak on tylko wzruszył ramionami. Zbyt dobrze się bawił, żeby interweniować.

– Moja siostra o mało nie poślubiła rosyjskiego księcia – oznajmił bezceremonialnie Winston.

– Naprawdę? – Daisy nagle się rozpromieniła.

– To znaczy niecałkiem. Ale ten książę chciał się z nią ożenić.

– Och, jak cudownie – rozpływała się, niezrażona.

– Przed chwilą mówiłaś, że nie ufasz Rosjanom – przypomniała jej Iris.

– Nie miałam na myśli członków rodziny carskiej – odparła Daisy lekceważąco i zwróciła się do Winstona: – Proszę mi powiedzieć, czy był szalenie przystojny?

– Doprawdy, nie jestem w tej sprawie najlepszym sędzią – wykręcał się Bevelstoke, ale szarmancko dodał: – Jakkolwiek miał bardzo jasne włosy.

– Och, książę. – Daisy z westchnieniem przycisnęła drżącą dłoń do serca. Po czym jej oczy się zwęziły. – Dlaczego, u licha, ona za niego nie wyszła?

Winston wzruszył ramionami.

– Nie sądzę, żeby chciała. Zamiast tego poślubiła baroneta. Są w sobie tak zakochani, że zbiera się na mdłości. Chociaż Harry to zacny człowiek.

Daisy tak gwałtownie wciągnęła oddech, że Richard był pewien, iż usłyszano ją w Kensington.

– Przedłożyła baroneta nad księcia?

– Na niektórych kobietach tytuły nie robią wrażenia – wtrąciła Iris i odwróciwszy się do Richarda, powiedziała przyciszonym głosem: – Może mi pan wierzyć albo nie, ale dzisiaj już drugi raz odbywamy tę rozmowę.

– Naprawdę? – Uniósł brwi. – A o kim rozmawiały panie przedtem?

– O fikcyjnych postaciach – wyjaśniła. – Z książki, którą czytałam.

– A jaka to książka?

– *Duma i uprzedzenie*. – Machnięciem ręki zbagatelizowała sprawę. – Na pewno pan tego nie zna.

– Prawdę mówiąc, znam. To jedna z ulubionych lektur mojej siostry. Uważałem za rozsądne zapoznać się z literackimi gustami Fleur.

– Czy pan zawsze tak po ojcowsku traktuje swoje rodzeństwo? – zapytała go z kpiną w głosie.

– Jestem ich opiekunem.

Wargi dziewczyny rozchyliły się. Przez chwilę jeszcze się wahała, po czym rzekła:

– Proszę mi wybaczyć. Wyszło niegrzecznie. Nie wiedziałam.

Uprzejmie skinął głową, przyjmując przeprosiny.

– Fleur ma osiemnaście lat i jest bardzo romantyczna. Gdyby to od niej zależało, czytywałaby wyłącznie melodramaty.

– Ta powieść to nie melodramat!

– Nie – odparł ze śmiechem – ale nie wątpię, że w głowie Fleur w to właśnie zdołała się obrócić.

Jego słowa rozbawiły Iris.

– Od dawna sprawuje pan opiekę nad siostrą?

– Siedem lat.

– Och! – Dłoń panny Smythe-Smith uniosła się do ust. – Jakże mi przykro. Dla młodego mężczyzny to niewyobrażalny ciężar.

– Z żalem muszę przyznać, że na początku faktycznie tak do tego podszedłem. Mam dwie młodsze siostry i prawdę mówiąc, po śmierci ojca obie odesłałem na stałe do ciotki.

– Nie mógł pan postąpić inaczej. Zapewne jeszcze się pan uczył.

– Owszem, na uniwersytecie – potwierdził. – Wyrzucam sobie nie to, że się nimi sam nie zająłem. Jednak powinienem był bardziej się angażować jako ich opiekun.

Iris pocieszająco dotknęła jego ramienia.

– Jestem pewna, że robił pan wszystko, co w pana mocy.

Richard był pewien, że wręcz przeciwnie, ale powiedział:

– Dziękuję.

– A ile lat ma pana druga siostra?

– Marie-Claire niedługo skończy piętnaście.

– Fleur i Marie-Claire – szepnęła Iris. – Bardzo z francuska.

– Moja matka lubiła bujać w obłokach. – Posłał jej uśmiech, po czym dodał nieznaczne wzruszenie ramion. – A ponadto była pół-Francuzką.

– Czy pana siostry są teraz w domu?

Skinął twierdząco.

– Tak. W Yorkshire.

Iris pokiwała głową w zamyśleniu.

– Nigdy nie dotarłam tak daleko na północ.

To go zdumiało.

– Naprawdę?

– Przez okrągły rok mieszkam w Londynie – wyjaśniła. – Mój ojciec jest

czwartym z pięciu synów. Nie odziedziczył ziemi.

Richard zastanawiał się, czy w ten sposób udzielała mu ostrzeżenia. Gdyby był łowcą posagów, powinien szukać gdzie indziej.

– Oczywiście, odwiedzam moje kuzynki – ciągnęła lekkim tonem – ale one wszystkie mieszkają na południu Anglii. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek zajechała dalej niż do Norfolk.

– Krajobraz na północy jest całkiem inny. Bywa dość dziki i ponury.

– Nie okazał się pan nadmiernie entuzjastycznym ambasadorem swoich stron – zbeształa go Iris.

W odpowiedzi parsknął śmiechem.

– Nie wszędzie jest dziko i ponuro. Ale takie miejsca też są na swój sposób piękne.

Ta uwaga wywołała jej uśmiech.

– W każdym razie – dodał Richard – Maycliffe leży w całkiem przyjemnej dolinie. Raczej monotonnej w porównaniu z resztą hrabstwa.

– A to dobrze? – zapytała, unosząc brwi.

Znów się roześmiał.

– Tak naprawdę mieszkamy niezbyt daleko od Darlington i kolei, którą tam właśnie budują.

W niebieskich oczach błysnął podziw.

– Naprawdę? Bardzo bym chciała to zobaczyć. Czytałam, że kiedy ją skończą, będzie można podróżować piętnaście mil na godzinę, ale nie wierzę w takie prędkości. To brzmi strasznie niebezpiecznie.

Richard z roztargnieniem pokiwał głową, zerkając na Daisy, która nadal maglowała Winstona o rosyjskiego księcia.

– Jak przypuszczam, pani siostra uważa, że Elizabeth nie powinna była odrzucać pierwszych oświadczyn pana Darcy’ego.

Iris popatrzyła nieprzytomnie, po czym zamrugała i odparła:

– Ach, tak, powieść. Oczywiście, ma pan rację. Daisy uznała Lizzy za osobę bardzo nierozsądną.

– A co pani o tym myśli? – zapytał i w tej samej chwili uświadomił sobie, że naprawdę chce poznać jej zdanie.

Milczała przez jakiś czas, dobierając właściwe słowa. Richardowi to nie przeszkadzało. Kiedy rozmyślała, mógł się jej lepiej przyjrzeć. Była ładniejsza, niż początkowo sądził. Jej rysy odznaczały się przyjemną symetrią, a różowe wargi barwą niespodziewanie intensywną, biorąc pod uwagę, jak jasną miała karnację.

– Zważywszy na to, co Elizabeth w tym czasie wiedziała – odezwała się w

końcu – nie wyobrażam sobie, jak mogłaby go przyjąć. Czy chciałby pan poślubić kogoś, kogo nie może pan darzyć szacunkiem?

– Z pewnością nie.

Żarliwie pokiwała głową, ale zaraz zmarszczyła brwi, kiedy jej wzrok padł na Winstona i Daisy, którzy tymczasem zdołali już znacznie ich wyprzedzić. Nie było słychać, o czym rozmawiają, jednak Bevelstoke wyglądał na człowieka w opałach.

– Znowu musimy go ratować – powiedziała z westchnieniem. – Tylko że teraz pan to zrobi. Ja już wyczerpałam swoją wiedzę o rosyjskiej polityce.

Richard pochylił się ku swojej towarzyszce wystarczająco blisko, by móc szepnąć jej do ucha:

– Traktat petersburski określił granicę pomiędzy Ameryką Rosyjską[5] a Terytorium Północno-Zachodnim[6].

Iris przygryzła wargę, wyraźnie próbując powstrzymać uśmiech.

– Iris! – zawołała Daisy.

– Wygląda na to, że nie będziemy musieli wymyślać żadnych pretekstów – mruknął Richard, kiedy zbliżali się do pary przed nimi.

– Zaprosiłam pana Bevelstoke'a na wieczór poezji u Pleinsworthów w przyszłym tygodniu – oświadczyła młodsza panna Smythe-Smith. – Nalegaj na jego obecność.

Iris popatrzyła na nią ze zgrozą, po czym spojrzała na Winstona.

– Ja… mam nalegać?

Widząc taki brak determinacji, Daisy prychnęła nadąsana i znów zaatakowała nieszczęśnika.

– Musi pan przyjść, panie Bevelstoke. Po prostu musi pan. To na pewno będzie budujący wieczór. Poezja zawsze jest taka.

– Nie – zaprzeczyła Iris z bolesnym grymasem. – Wcale nie będzie.

– Oczywiście, stawimy się obaj – zapewnił Richard.

Oczy Winstona zmrużyły się niebezpiecznie.

– W żadnym razie tego nie przeoczymy – ciągnął tymczasem jego przyjaciel.

– Pleinsworthowie są naszymi kuzynami. – Iris rzuciła Richardowi znaczące spojrzenie. – Może pamiętają panowie Harriet. Grała na skrzypcach…

– Drugie skrzypce – wpadła jej w słowo Daisy.

– …podczas wczorajszego koncertu.

Richard przełknął ślinę. Iris najwyraźniej mówiła o tamtej dziewczynie, która nie potrafiła czytać nut. Z drugiej strony, nie było powodu sądzić, że ten drobiazg źle wróży wieczorowi poezji.

– Harriet to nudziara – poinformowała ich Daisy – ale jej młodsze siostry są

słodkie.

– A ja lubię Harriet – powiedziała Iris stanowczo. – Bardzo ją lubię.

– Tak czy inaczej, jestem pewien, że będzie to przemiły wieczór – podsumował Richard.

Rozpromieniona Daisy wsunęła rękę pod ramię Winstona i poprowadziła go z powrotem w stronę bramy Cumberland, przez którą uprzednio wchodzili. Richard ruszył za nimi wolniejszym krokiem, żeby móc chwilę jeszcze porozmawiać na osobności z Iris.

– Czy gdybym jutro złożył państwu wizytę – zapytał, ściszając głos – zastanę panią w domu?

Iris nie patrzyła na niego, a szkoda, bo znów by chciał zobaczyć, jak się rumieni.

– Tak – szepnęła.

W tym momencie sir Richard Kenworthy podjął decyzję. Zamierzał poślubić pannę Iris Smythe-Smith.

# 4

***Wieczorem tego samego dnia, Londyńska sala balowa***

*J*eszcze ich nie ma – powiedziała Daisy.

Iris udawała, że się uśmiecha.

– Wiem.

– Obserwowałam drzwi.

– Wiem.

Daisy bawiła się koronką przy sukience o barwie mięty.

– Mam nadzieję, że panu Bevelstoke'owi spodoba się moja suknia.

– Nie wyobrażam sobie, by mógł nie dostrzec, że jest urocza – odparła szczerze jej siostra.

Przez większość czasu Daisy dosłownie doprowadzała ją do szału i Iris nie zawsze miała dla niej miłe słowo, ale chętnie prawiła komplementy, kiedy były zasłużone.

Daisy była śliczna. Zawsze była śliczna z tymi swoimi jasnozłocistymi lokami i ustami jak pączek róży. W zasadzie siostry nie różniły się tak bardzo karnacją i barwą włosów, ale co u młodszej lśniło niczym złoto, u starszej pozostawało całkiem wyblakłe, spłowiałe.

Ich niania powiedziała kiedyś, że Iris mogłaby zniknąć w cebrzyku mleka. I doprawdy niewiele przesadziła.

– Nie powinnaś nosić tego koloru – odezwała się znów Daisy.

– A właśnie naszły mnie życzliwe myśli – mruknęła Iris. Lubiła swoją jasnobłękitną jedwabną suknię. Sądziła wręcz, że podkreśla barwę jej oczu.

– Musisz ubierać się w coś ciemniejszego. Dla kontrastu.

– Dla kontrastu?

– No tak. Potrzebujesz choć trochę kolorów.

Któregoś dnia zabije swoją siostrę. Naprawdę.

– Następnym razem, kiedy pojedziemy po zakupy – ciągnęła niezrażona Daisy – pozwól mi wybrać twoje suknie.

Iris patrzyła na nią przez chwilę, po czym obróciwszy się na pięcie, ruszyła przed siebie.

– Idę po lemoniadę.

– Przynieś też dla mnie, dobrze?! – zawołała Daisy.

– Nie.

Nie sądziła, by jej odpowiedź została dosłyszana, ale specjalnie o to nie dbała. W końcu Daisy zrozumie, że żaden orzeźwiający napój szybko się nie pojawi.

Podobnie jak siostra, Iris przez cały wieczór obserwowała drzwi. Jednak w przeciwieństwie do niej, starała się robić to ukradkiem. Kiedy wcześniej tego dnia sir Richard odprowadził ją do domu, wspomniała, że wieczorem będzie na balu Mottramów. Było to doroczne wydarzenie, zawsze z tłumem uczestników. Iris wiedziała, że jeśli nawet sir Kenworthy nie miał zaproszenia, bez trudu mógł je zdobyć. Nie powiedział, że się zjawi, ale podziękował za informacje. A to przecież z pewnością coś znaczyło?

Okrążyła salę, zajęta tym, co zawsze wychodziło jej najlepiej podczas podobnych wydarzeń towarzyskich: patrzeniem. Lubiła stać gdzieś na obrzeżach. Z zapałem obserwowała swoje przyjaciółki. I znajomych. I ludzi, których nie znała, i tych, których nie lubiła. Było to zabawne. Szczerze mówiąc, przeważnie czerpała z tego więcej przyjemności niż z tańca. Tylko że tym razem…

Tym razem czekała na kogoś, z kim naprawdę chciała zatańczyć.

Gdzie on się podziewa?

Zgoda, niemodnie przybyła na bal o czasie. Jej matka skrupulatnie pilnowała punktualności, nieważne jak często słyszała zapewnienia, że godzina podana w zaproszeniu jest tylko wskazówką. Jednak teraz sala balowa tętniła życiem i ktokolwiek żywił obawę, że zbyt wcześnie się pojawił, nie miał już powodu do zmartwień. A za godzinę…

– Panno Smythe-Smith.

Odwróciła się gwałtownie. Przed nią stał sir Kenworthy, uderzająco przystojny w wieczorowym stroju.

– Nie zauważyłam, kiedy pan wszedł – powiedziała Iris i natychmiast zaczęła się w duchu biczować. Głupia, głupia. Teraz on już wiedział, że ona…

– Czekała pani na mnie? – zapytał, unosząc kąciki warg w znaczącym uśmiechu.

– Oczywiście, że nie – zająknęła się. Bo nigdy nie była dobrą kłamczuchą.

Sir Kenworthy pochylił się w ukłonie i ucałował jej dłoń.

– Bardzo by mi pochlebiało, gdyby jednak tak.

– Właściwie nie czekałam na pana – odparła, usiłując nie okazywać zakłopotania. – Ale istotnie rozglądałam się od czasu do czasu. Żeby sprawdzić,

czy pan przyszedł.

– Więc pochlebia mi to pani rozglądanie się.

Spróbowała się uśmiechnąć. Jednak flirt nie był jej mocną stroną. W towarzystwie osób, które dobrze znała, potrafiła puentować rozmowy z wrodzonym talentem i dowcipem. Jej sarkazm w połączeniu z kamienną miną stał się rodzinną legendą. Ale wystarczyło postawić ją przed przystojnym mężczyzną, a już język plątał się jej w supły. Tego popołudnia spisywała się tak dobrze tylko dlatego, że nie miała pewności, czy Richard się do niej zaleca.

Łatwo być sobą, kiedy stawka jest niska.

– Ośmielam się żywić nadzieję, że zarezerwowała pani dla mnie jakiś taniec – ciągnął Kenworthy.

– Zostało mi jeszcze wiele tańców, o które nikt nie poprosił, sir. – Zresztą jak zwykle.

– To niemożliwe.

Iris przełknęła ślinę. Spojrzenie Richarda było tak intensywne, że wytrącało ją z równowagi. Tęczówki miał ciemne, niemal czarne. Po raz pierwszy w życiu zrozumiała, co ludzie mają na myśli, mówiąc, że mogliby zatonąć w czyichś oczach.

Ona mogłaby zatonąć w jego oczach. I czerpałaby radość z tego upadku.

– Trudno pojąć, że mężczyźni w Londynie są aż tak głupi, by zostawić panią na uboczu.

– Nie mam nic przeciwko temu – odparła. Po czym, kiedy dostrzegła, że jej nie uwierzył, dodała: – Naprawdę! Bardzo lubię obserwować innych.

– Tak? – mruknął. – I co pani widzi?

Iris rozejrzała się po sali. Środkowa jej część była wirem kolorów, kiedy damy obracały się w tańcu.

– Tam – powiedziała, wskazując młodą kobietę, oddaloną od nich o jakieś dwadzieścia stóp. – Matka ostro ją strofuje.

Sir Richard wychylił się nieco, żeby mieć lepszy widok.

– Nie dostrzegam nic nadzwyczajnego.

– Niektórzy zapewne by powiedzieli, że strofowanie przez matkę nie jest niczym nadzwyczajnym. Ale niech pan się przyjrzy uważniej. – Iris pokazała palcem tak dyskretnie, jak tylko mogła. – Ona wpakuje się w znacznie większe kłopoty. Nie słucha.

– Potrafi to pani zauważyć z takiej odległości?

– Mam pewne doświadczenie w byciu strofowaną.

Sir Kenworthy roześmiał się na głos.

– Sądzę, że byłoby nietaktem spytać, co też pani zrobiła, by dać powód do takiej bury.

– Istotnie, byłoby – odparła z figlarnym uśmiechem. Może wreszcie uczyła się flirtować. Prawdę mówiąc, było to całkiem miłe.

– No, dobrze. – Richard uprzejmie skinął głową. – Jest pani świetną obserwatorką. Dodam to do pani licznych przymiotów. Ale nie uwierzę, że nie lubi pani tańczyć.

– Wcale tego nie mówiłam. Powiedziałam tylko, że nie lubię tańczyć wszystkich tańców po kolei.

– A dzisiejszego wieczoru tańczyła pani przez cały czas?

Obdarzyła go uśmiechem. Czuła się śmiała, silna, zupełnie jak nie ona.

– Teraz nie tańczę.

Ciemne brwi uniosły się na taką zuchwałość i Richard natychmiast złożył uprzejmy ukłon.

– Panno Smythe-Smith, czy uczyni mi pani ten wielki zaszczyt i zatańczy ze mną?

Iris rozpromieniła się, dość nieudolnie udając wyrafinowaną nonszalancję. Podała mu dłoń i podążyła za nim na środek sali, gdzie pary ustawiały się już do menueta.

Kroki tańca były zawiłe, lecz po raz pierwszy w życiu Iris miała wrażenie, że przechodząc od jednej figury do drugiej, wcale nie musiała myśleć co dalej. Jej stopy wiedziały, gdzie się przemieszczać, ręce wyciągały się akurat we właściwych momentach, a tymczasem jego oczy – och, te jego oczy – ani na chwilę się od niej nie odrywały, nawet gdy menuet posyłał ich do innych partnerów.

Nigdy nie czuła się równie ceniona. Nigdy nie czuła się równie…

Pożądana.

Zadrżała i potknęła się. Czy to właśnie jest tak być obiektem pragnień mężczyzny? Też go pragnąć? Obserwowała swoje zakochane kuzynki i z konsternacją kręciła głową, jak ten stan je ogłupiał. Mówiły o pełnym uniesień oczekiwaniu, o palących pocałunkach, a potem, już po ślubie, ich zwierzenia ograniczały się do cichych szeptów pomiędzy wtajemniczonymi. Były jakieś sekrety – wyglądało, że bardzo przyjemne – które nadawały się tylko dla uszu mężatek.

Iris zupełnie tego nie rozumiała. Kiedy kuzynki opowiadały o tej idealnej chwili pożądania tuż przed pocałunkiem, mogła jedynie myśleć, że brzmi to okropnie. Całować kogoś w usta… Dlaczego, na litość boską, miałaby chcieć coś takiego robić? Cała sprawa wydawała się dość nieapetyczna.

Tymczasem teraz, gdy krążąc w tańcu, przyjmowała dłoń sir Kenworthy'ego i pozwalała mu się prowadzić, nie potrafiła oderwać oczu od jego warg. Coś się w niej przebudziło, jakaś dziwna tęsknota, jakiś głód z głębi trzewi, który kradł jej oddech.

Dobry Boże, to było pożądanie. Ona pragnęła Richarda. Ona, która nigdy dotąd nie chciała nawet trzymać mężczyzny za rękę, teraz pragnęła go poznać.

Zastygła.

– Panno Smythe-Smith? – Sir Kenworthy natychmiast znalazł się u jej boku. – Czy coś się stało?

Iris zamrugała i wreszcie przypomniała sobie, żeby oddychać.

– Nie, nic – wyszeptała. – Zrobiło mi się trochę słabo, to wszystko.

Odprowadził ją na bok, z dala od innych tancerzy.

– Proszę pozwolić, że przyniosę pani coś do picia.

Podziękowała mu, po czym czekała, siedząc na jednym z krzeseł dla przyzwoitek, dopóki nie wrócił ze szklanką lemoniady.

– Niezbyt zimna – oznajmił. – Ale oprócz niej mają do wyboru tylko szampana, a nie sądzę, by było to rozsądne, skoro kręci się pani w głowie.

– Nie. Nie, oczywiście. – Wypiła łyk, świadoma, że Richard przygląda się jej badawczo. – Tu jest bardzo ciepło – powiedziała, czując potrzebę, by się wytłumaczyć, aczkolwiek niezbyt zgodnie z prawdą. – Nie wydaje się panu?

– Może trochę, tak.

Sączyła lemoniadę, zadowolona, że trzyma w rękach coś, na czym może się skoncentrować.

– Nie musi pan tutaj zostawać i czuwać nade mną.

– Wiem.

Iris starała się na niego nie patrzeć, lecz miła prostota tego słowa przykuła jej uwagę.

Richard uśmiechnął się leciutko, szelmowsko.

– Na obrzeżach sali balowej jest całkiem przyjemnie. Tyle osób do obserwowania.

Powróciła szybko do swojej lemoniady. Był to komplement w żartobliwym stylu, ale jednak komplement. Zrozumiały tylko dla nich dwojga, a przez to jeszcze cudowniejszy.

– Obawiam się, że nie posiedzę tu długo – odparła.

Jego oczy zdawały się błyszczeć.

– Takie oświadczenie musi wymagać wyjaśnień.

– Teraz, kiedy pan już ze mną zatańczył, inni poczują potrzebę, by pójść w pana

ślady.

Richard parsknął stłumionym śmiechem.

– Doprawdy, panno Smythe-Smith, uważa pani, że nam, mężczyznom, tak bardzo brak oryginalności?

Iris wzruszyła ramionami, nadal trzymając wzrok utkwiony przed siebie.

– Jak już mówiłam, sir Richardzie, bardzo lubię obserwować. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego mężczyźni robią to, co robią, ale na pewno mogę panu powiedzieć, co robią.

– Ciągną jeden za drugim jak owce?

W odpowiedzi uśmiechnęła się odrobinę wyraźniej.

– Sądzę, że kryje się w tym ziarnko prawdy – przyznał. – Będę musiał sobie pogratulować, bo zauważyłem panią bez niczyjej pomocy.

Spojrzała na niego.

– Jestem człowiekiem o wytrawnym guście.

Spróbowała nie prychnąć. Teraz naprawdę już za bardzo przesadził. Jednak cieszyła się z tego. Łatwiej mogła zachować obojętność, kiedy w jego komplementach czuć było premedytację.

– Nie mam powodu wątpić w pani spostrzeżenia. – Richard, wygodnie rozparty na krześle, wlepiał wzrok w kłębiący się dookoła tłum. – Ale jako że jestem mężczyzną, a co za tym idzie jednym z nieświadomych obiektów pani badań…

– Och, proszę.

– Nie, nie, musimy mówić bez owijania w bawełnę. – Nachylił ku niej głowę. – Wszystko w imię nauki, panno Smythe-Smith.

Iris przewróciła oczami.

– Jak już wspomniałem – ciągnął tonem, który bezczelnie prowokował ją do reakcji – pochlebiam sobie, iż mógłbym rzucić nieco światła na pani obserwacje.

– Mam pewną hipotezę.

– Pst, pst. Sama pani twierdziła, że nie potrafi powiedzieć, dlaczego mężczyźni zachowują się tak, a nie inaczej.

– Nie ponad wszelką wątpliwość, ale musiałabym być całkowicie pozbawiona ciekawości, gdybym się nad tym nie zastanawiała.

– Doskonale. A więc proszę mi wyjaśnić: niby dlaczego mężczyźni są tak mało oryginalni?

– No, teraz zapędził mnie pan w kozi róg. Jak mogę na to odpowiedzieć, by nie wyszło obraźliwie?

– Faktycznie, nie może pani – przyznał sir Kenworthy. – Tyle tylko, że moje uczucia nie zostaną zranione. Obiecuję.

Iris wypuściła powietrze. Z trudem była w stanie uwierzyć, że prowadzi tak niestosowną rozmowę.

– Pan, sir Richardzie, nie jest głupcem.

Zamrugał. A potem powiedział:

– Słowo się rzekło, moje uczucia nie zostały zranione.

– I dlatego – mówiła dalej z uśmiechem (bo kto w takiej sytuacji mógłby się nie uśmiechnąć?) – kiedy podejmuje pan jakieś działania, inni mężczyźni nie myślą od razu, że to idiotyzm. Jak sądzę, w tej sali znalazłoby się nawet kilku młodych dżentelmenów, którzy pana podziwiają.

– Doprawdy, jest pani zbyt uprzejma – wtrącił przeciągle.

– A więc – nie pozwoliła sobie przerwać – gdy prosi pan młodą damę do tańca (zwłaszcza młodą damę, która nie słynie z tego, by często ją proszono), pozostali będą chcieli wiedzieć, z jakiejże to przyczyny. Będą się zastanawiać, czy dostrzegł pan w niej coś, co oni przegapili. I nawet jeśli, przyjrzawszy się uważniej, nadal nie znajdą nic interesującego, też będą prosili ją do tańca, bo nie zechcą wyjść na takich, co się nie znają.

Richard nie odezwał się od razu, toteż dodała:

– Przypuszczam, że uważa mnie pan za osobę cyniczną.

– Och, bez wątpienia. Ale to niekoniecznie coś złego.

Odwróciła się, zdumiona.

– Słucham?

– Myślę, że powinniśmy przeprowadzić naukowy eksperyment – oznajmił.

– Eksperyment? – powtórzyła. Do czego, na litość boską, ten człowiek zmierzał?

– Skoro obserwowała pani moich współbraci, mężczyzn, jakbyśmy byli okazami w dość wytwornym laboratorium, proponuję przeprowadzić to doświadczenie bardziej oficjalnie.

Oczekując odpowiedzi, spojrzał na swoją towarzyszkę, ale Iris odjęło mowę. Kompletnie odjęło jej mowę.

– Ostatecznie – ciągnął – nauka wymaga gromadzenia i spisywania danych, nieprawdaż?

– Przypuszczam, że tak – odparła podejrzliwie.

– Odprowadzę panią z powrotem w pobliże tańczących. Do tych krzeseł dla przyzwoitek nikt nie podejdzie. Będą sądzili, że się pani zraniła. Albo zasłabła.

– Naprawdę? – Aż się cofnęła ze zdumienia. Może częściowo to było przyczyną, że rzadko proszono ją do tańca?

– W każdym razie ja zawsze tak myślałem. Bo inaczej czemu młoda dama miałaby tutaj siedzieć? – Zerknął w jej stronę, a Iris zaczęła się zastanawiać, czy

jego pytanie było wyłącznie retoryczne. Jednak w chwili, gdy już otwierała usta, znowu się odezwał: – Więc jak mówiłem, odprowadzę panią, panno Smythe-Smith, a potem już zostawię w spokoju. Zobaczymy, ilu mężczyzn poprosi panią do tańca.

– Niech pan nie będzie niemądry.

– A pani – mówił dalej, jakby nie powiedziała słowa – będzie musiała grać uczciwie i szczerze mi wyznać, czy miała więcej wpisów w karneciku niż zwykle.

– Obiecuję, że dowie się pan prawdy – odrzekła Iris, hamując śmiech. Sir Richard umiał w taki sposób mówić różne głupstwa, jakby to były rzeczy niezwykle ważne. Niemal mu wierzyła, że to wszystko dla dobra nauki.

Wstał i wyciągnął do niej rękę.

– Pozwoli pani?

Odstawiła pustą szklankę po lemoniadzie i też się podniosła.

– Mam nadzieję, że zawroty głowy już minęły – szepnął, prowadząc Iris na drugi koniec sali.

– Chyba przez resztę wieczoru jakoś sobie poradzę.

– To świetnie. – Ukłonił się. – Zatem do jutra.

– Do jutra?

– Przecież wybierzemy się na przechadzkę? Pozwoliła mi pani składać sobie wizyty. Pomyślałem, że jeśli pogoda będzie nam sprzyjać, moglibyśmy przejść się po mieście.

– A jeśli nie będzie? – zapytała, czując, iż brzmi to nieco zuchwale.

– Wówczas podyskutujemy o książkach. Może – jeszcze bardziej pochylił ku niej głowę – o czymś, czego pani siostra nie czytała?

Iris roześmiała się, głośno i szczerze.

– Niemalże mam nadzieję na deszcz, sir Richardzie, a…

Urwała, bo zbliżał się do nich mężczyzna o rudawych włosach. Pan Reginald Balfour. Co prawda znała go od jakiegoś czasu, a jego siostra przyjaźniła się z jedną z jej sióstr, ale nigdy dotąd nie zdarzyło mu się wyjść poza uprzejme powitanie.

– Panno Smythe-Smith – przemówił, odpowiadając ukłonem na jej dygnięcie. – Dzisiejszego wieczoru wygląda pani prześlicznie.

Iris ciągle jeszcze wspierała się na ramieniu Richarda, toteż natychmiast wyczuła napinające się mięśnie, jakby jej towarzysz z całych sił hamował śmiech.

– Czy następny taniec ma pani zajęty? – ciągnął pan Balfour.

– Nie – odparła.

– Zatem mogę prosić?

Zerknęła na sir Kenworthy’ego. Dyskretnie puścił do niej oko.

Półtorej godziny później Richard stał pod ścianą, przyglądając się, jak Iris tańczy z kolejnymi nieznanymi mu mężczyznami. Jeśli chodzi o to, co mu powiedziała – że nigdy nie bywa proszona do wszystkich tańców – wydawało się, iż właśnie jest na najlepszej drodze, by zmienić ten stan rzeczy. Przy czym robiła wrażenie szczerze zdumionej rozmiarami zainteresowania, które wzbudzała. Jednak czy dobrze się bawiła? Nie miał pewności. Zakładał, że nawet jeśli nie, to potraktuje ów wieczór jako ciekawy eksperyment, godny jej szczególnego rodzaju spostrzeżeń.

Nie po raz pierwszy przyszło mu do głowy, iż panna Iris Smythe-Smith jest bardzo inteligentna. Między innymi dlatego ją wybrał. To osoba rozsądna. Na pewno zrozumie.

Wyglądało na to, że nikt nie zauważył go w półmroku, więc wykorzystywał tę chwilę, by w myślach odhaczać kolejne punkty swojej listy. Sporządził taki zestaw, kiedy przed kilkoma dniami uznał, że musi jak najszybciej udać się do Londynu. Chociaż właściwie nie, nie sporządził. Nie był na tyle niemądry, by coś podobnego zapisać. Jednak w trakcie podróży miał dostatecznie dużo czasu na zastanowienie, czego oczekuje od kandydatki na żonę.

Nie mogła być zepsuta. Ani z rodzaju tych kobiet, które lubią zwracać na siebie uwagę.

Nie mogła być głupia. Miał ważny powód, żeby szybko się ożenić, ale kogo by nie wybrał, musiał spędzić z tą osobą resztę życia.

Byłoby miło, gdyby odznaczała się przyjemnym wyglądem, niemniej jednak nie uważał tego za absolutnie konieczne.

Nie powinna pochodzić z Yorkshire. Ogólnie rzecz biorąc, znacznie ułatwiłoby sprawę, gdyby nie znano jej w sąsiedztwie.

Raczej nie mogła mieć wielkiego posagu. Szukał kobiety, dla której uchodziłby za korzystną partię. Jego żona nigdy nie będzie potrzebowała go tak bardzo, jak on potrzebował jej, ale byłoby łatwiej – przynajmniej na początku – gdyby nie zdawała sobie z tego sprawy.

I najważniejsze: musiała cenić rodzinę. Tylko w ten sposób mogło się to powieść. Musiała rozumieć, dlaczego Richard tak postąpił.

Iris Smythe-Smith spełniała jego wymagania pod każdym względem. Zaintrygowała go od pierwszej chwili, gdy ujrzał, jak się chowa za swoją wiolonczelą, rozpaczliwie pragnąc, by goście przestali się gapić. Debiutowała już parę lat temu, jednak jeśli otrzymała jakieś propozycje matrymonialne, to on o nich nie słyszał. A Richard może i nie należał do najbogatszych kawalerów, lecz cieszył się szacunkiem i nie istniały powody, dla których jej bliscy byliby mu przeciwni.

Zwłaszcza wobec braku innych konkurentów.

A poza tym polubił Iris. Czy pragnął przerzucić ją sobie przez ramię, porwać ukradkiem i posiąść? Nie. Ale też nie sądził, że kiedy już nadejdzie pora, będzie to nieprzyjemne.

Lubił ją. I wystarczająco dużo wiedział o małżeństwie, by rozumieć, iż to więcej, niż miało wielu mężczyzn, kiedy szli do ołtarza.

Żałował tylko, że brak mu czasu. Ona wydawała się zbyt rozsądna na przyjęcie oświadczyn niemal tuż po pierwszym spotkaniu. A on, szczerze mówiąc, wcale nie marzył o poślubieniu jednej z tych kobiet, które podejmują pochopne decyzje. Jednak musiał jakoś przeforsować swoją wolę, co było szczególnie niefortunne.

Ale, powiedział sobie, tego wieczoru nie mógł już zrobić nic więcej. Jego jedyne zadanie polegało na byciu uprzejmym i czarującym, aby – kiedy nadejdzie pora – nikt nie robił zbyt wielkiego zamieszania.

Richard miał już dosyć zamieszania do końca życia.

# 5

***Następnego dnia***

*T*ylko nie Daisy – błagała Iris. – Każdy, byle nie ona.

– Nie możesz spacerować z sir Richardem po Londynie bez przyzwoitki – odparła Maria Smythe-Smith. Siedziała przy toaletce i poprawiając szpilki we włosach, badawczo przyglądała się swemu odbiciu w lustrze. – Przecież wiesz.

Na wieść, iż Daisy poproszono, by towarzyszyła im podczas przechadzki, Iris jak burza wpadła do sypialni matki. Przecież mama na pewno zrozumie, że to niemądry plan. A jednak nie. Pani Smythe-Smith wyglądała na całkowicie zadowoloną z tego pomysłu i zachowywała się, jakby sprawa została już rozstrzygnięta.

Iris wyminęła matkę i zajęła miejsce tak blisko lustra, że nie sposób było ją zignorować.

– Więc wezmę moją pokojówkę. Ale nie Daisy. Ona nie będzie trzymać się na uboczu. Wiesz, że nie.

Pani Smythe-Smith zaczęła to rozważać.

– Będzie się wtrącać do każdej rozmowy – naciskała Iris.

Jednak matka nadal nie wyglądała na przekonaną i Iris uświadomiła sobie, że musi ująć sprawę z innego punktu widzenia. Z punktu widzenia staropanieństwa: twojej córce grozi, że zostanie starą panną i to może być jej ostatnia szansa.

– Mamo – powiedziała – proszę, przemyśl to jeszcze raz. Jeśli sir Richard chce poznać mnie lepiej, z pewnością nie zdoła tego dokonać, jeśli przez całe popołudnie będzie z nami Daisy.

Pani Smythe-Smith wyrwało się lekkie westchnienie.

– Wiesz, że to prawda – powiedziała cicho Iris.

– Tak, masz rację. – Matka ściągnęła brwi. – Chociaż nie chcę, żeby Daisy czuła się pomijana.

– Ona jest młodsza ode mnie o cztery lata – zaprotestowała Iris. – Bez wątpienia ma jeszcze dość czasu, by znaleźć sobie kawalera. – A potem bardzo cichutko

dodała: – To moja kolej.

Lubiła sir Richarda, nawet jeśli nie do końca mu ufała. W uwadze, którą jej poświęcał, było coś dziwnego, nieoczekiwanego. Podczas wieczoru u Pleinsworthów całkiem wyraźnie starał się zawrzeć z nią znajomość. Iris nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio zdarzyło jej się coś podobnego. A potem ta wizyta złożona nazajutrz i czas wspólnie spędzony na balu… To było niespotykane.

Nie wierzyła, by jego intencje uchybiały honorowi; a lubiła myśleć o sobie, że jest dobrym sędzią ludzkich charakterów. Cokolwiek sir Richard miał na celu, nie był to jej upadek. Jednak nie potrafiła również uwierzyć w nagłą miłość. Gdyby należała do typu kobiet, dla których mężczyźni tracą głowy od pierwszego wejrzenia, do tej pory na pewno już komuś by się to przytrafiło.

Jednak ponowne spotkanie w niczym nie mogło zaszkodzić. Sir Richard poprosił jej matkę o zgodę na składanie wizyt i traktował Iris z całą uprzejmością. Wszystko to było bardzo stosowne i bardzo pochlebne, a jeśli nawet ostatniej nocy zasypiała z jego obrazem pod powiekami, nie widziała w tym absolutnie nic niezwykłego. W końcu sir Richard Kenworthy był przystojnym mężczyzną.

– Jesteś pewna, że on nie planuje przyprowadzić ze sobą pana Bevelstoke’a? – zapytała pani Smythe-Smith.

– Całkowicie. I jeśli mam być szczera, nie sądzę, żeby pan Bevelstoke interesował się Daisy.

– Nie, przypuszczam, że nie. Ona jest dla niego o wiele za młoda. No, dobrze, możesz zabrać Nettie. Przy kilku okazjach służyła za przyzwoitkę twoim siostrom, więc wie, co robić.

– Och, mamo, dziękuję! Tak bardzo ci dziękuję!

Zdumiewając nawet samą siebie, Iris zarzuciła matce ramiona na szyję i serdecznie ją uściskała. Trwało to zaledwie sekundę, po czym obie zesztywniały i odsunęły się; w swoich relacjach nigdy nie były wylewne.

– Myślę, że nic z tego nie wyjdzie – powiedziała Iris, bo nie wypadało rozbudzać nadziei gdziekolwiek, poza własną głową. – Ale w towarzystwie Daisy z całą pewnością tak by się skończyło.

– Żałuję, że nie wiemy o nim odrobinę więcej. Przez kilka lat nie przyjeżdżał do Londynu.

– Poznałaś go, kiedy Marigold zaczęła bywać? Albo Rose, albo Lavender?

– Jak mi się wydaje, bawił w Londynie za czasów debiutu Rose – odparła pani Smythe-Smith, wymieniając imię najstarszej córki – ale nie obracaliśmy się w tych samych kręgach.

Iris nie bardzo wiedziała, co o tym sądzić.

– Był młody – dodała matka, kwitując sprawę lekceważącym ruchem dłoni. – Nie miał głowy do małżeństwa.

Innymi słowy, pomyślała cierpko Iris, pędził nieco hulaszczy tryb życia.

– Rozmawiałam o nim z twoją ciotką – ciągnęła Maria Smythe-Smith, nie siląc się na wyjaśnienie, którą z nich ma na myśli. Jednak w gruncie rzeczy było to nieistotne: wszystkie ciotki stanowiły równie dobre źródło plotek. – Jej zdaniem on kilka lat temu odziedziczył tytuł barona.

Iris skinęła głową. O tym wiedziała.

Usta matki zacisnęły się z dezaprobatą.

– Jego ojciec żył ponad stan.

Co przypuszczalnie czyniło z Kenworthy'ego łowcę posagów.

– Ale nie wydaje się, by było tak w przypadku sir Richarda.

Zatem łowca posagów z zasadami. Nie powiększał swoich długów, miał tylko nieszczęście je odziedziczyć.

– Widać wyraźnie, że szuka żony. Nie ma innego powodu, by dżentelmen w jego wieku wracał do miasta po kilku latach nieobecności.

– Sir Richard sprawuje opiekę nad dwiema młodszymi siostrami – powiedziała Iris. – Niewykluczone, że jest mu trudno bez kobiecej ręki w domu.

Ale mówiąc to, nie mogła opędzić się od myśli, iż przyszła lady Kenworthy zostanie wepchnięta w sytuację pełną wyzwań. Bo czyż jedna z sióstr sir Richarda nie ma już osiemnastu lat? W tym wieku zapewne nie przyjmuje się z wdzięcznością porad od nowej bratowej.

– Rozsądny mężczyzna – snuła swoje rozważania pani Smythe-Smith. – Dobrze o nim świadczy, skoro potrafi rozpoznać, kiedy potrzebuje pomocy. Można się tylko zastanawiać, dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej.

Iris skinęła głową.

– A co do stanu jego posiadłości, pozostają nam tylko domysły, skoro ojciec, jak chodzą słuchy, był takim rozrzutnikiem. Mam nadzieję, że sir Richard nie liczy na twój wielki posag.

– Och, proszę – westchnęła Iris. Nie chciała o tym rozmawiać. A przynajmniej nie teraz.

– Cóż, nie on pierwszy popełniłby ten błąd – ciągnęła beztrosko jej matka. – Przy naszych arystokratycznych koneksjach, jakby nie było bliskim pokrewieństwie, ludzie zdają się myśleć, że posiadamy więcej niż w rzeczywistości.

Iris rozsądnie powściągnęła język. Kiedy matka rozprawiała na temat ich pozycji

społecznej i towarzyskiej, lepiej było nie przerywać.

– Wiesz, mieliśmy ten problem z Rose. Jakimś cudem rozeszły się plotki, że dostanie piętnaście tysięcy. Możesz sobie wyobrazić?

Iris nie mogła.

– Gdybyśmy mieli tylko jedną córkę. Ale przy pięciu! – Pani Smythe-Smith zaśmiała się krótko i był to tego rodzaju śmiech, w którym niedowierzanie przeplata się z pobożnymi życzeniami. – Dopisze nam szczęście, jeśli do czasu, kiedy wszystkie wyjdziecie za mąż, dla waszego brata zostanie w ogóle cokolwiek.

– Jestem pewna, że Johna czeka dostatnie życie – wtrąciła Iris. Jej jedyny brat, o trzy lata młodszy od Daisy, przebywał jeszcze w szkole.

– Jeżeli mu się powiedzie, to znajdzie sobie pannę z piętnastoma tysiącami. – Matka zjadliwie zachichotała, po czym raptownie się podniosła. – No cóż, możemy tak siedzieć przez cały ranek, rozważając motywy sir Richarda albo korzystać z dnia. – Zerknęła w stronę zegara na toaletce. – Przypuszczam, że nie wspominał, o której się zjawi?

Iris pokręciła głową.

– Więc powinnaś się upewnić, czy jesteś gotowa. Nie wypada, żeby czekał. Niektóre kobiety uważają, że najkorzystniej jest udawać brak zainteresowania, ale jak wiesz, moim zdaniem to po prostu niegrzeczne.

Nim Iris zdążyła wyjść, rozległo się stukanie. Obie z matką podniosły oczy i ujrzały w drzwiach pokojówkę.

– Bardzo przepraszam, jaśnie pani – powiedziała – ale w salonie czeka lady Prentice.

– A to miła niespodzianka – ucieszyła się pani Smythe-Smith. – Jestem pewna, że Sarah przyszła zobaczyć się z tobą, Iris. Zmykaj.

Iris pośpieszyła na dół powitać gościa. Matka Sarah i ojciec Iris byli rodzeństwem w dosyć zbliżonym wieku i to samo dotyczyło ich dzieci.

Kuzynki dzieliło zaledwie pół roku. Zawsze się lubiły, ale szczególnie zbliżyły się, gdy przed rokiem Sarah poślubiła lorda Hugh Prentice'a. Miały jeszcze jedną kuzynkę w swoim wieku, tyle że Honoria spędzała większość czasu u boku męża w Cambridgeshire, a one mieszkały w Londynie.

Kiedy Iris dotarła do salonu, lady Prentice siedziała na zielonej sofie, kartkując *Dumę i uprzedzenie*, którą pani Smythe-Smith najwyraźniej zostawiła tam poprzedniego dnia.

– Czytałaś to? – zapytała bez żadnych wstępów.

– Parokrotnie. Też się cieszę, że cię widzę – odparła Iris.

Kuzynka skrzywiła się.

– Wszyscy musimy mieć kogoś, z kim nie trzeba robić ceremonii.

– Przecież żartuję.

Sarah zerknęła w stronę drzwi.

– Jest Daisy?

– Z pewnością się ulotniła. Dotąd nie wybaczyła ci tych pogróżek przed koncertem, że przeszyjesz ją na wylot jej smyczkiem.

– Och, jakie tam pogróżki. To była rzetelna próba. Niech się dziewczyna cieszy, że ma dobry refleks.

Iris się roześmiała.

– Czemu zawdzięczam tę wizytę? Czy może po prostu zatęskniłaś za moim błyskotliwym towarzystwem?

Sarah pochyliła się do przodu, jej ciemne oczy lśniły.

– Nie wątpię, że się domyślasz, dlaczego tu jestem?

Iris dokładnie wiedziała, co kuzynka chce przez to powiedzieć, niemniej jednak, spojrzawszy jej prosto w oczy, odparła:

– Oświeć mnie.

– Sir Richard Kenworthy?

– Co z nim?

– Widziałam, jak podczas wieczoru muzycznego uganiał się za tobą.

– Wcale się nie uganiał.

– Och, ależ owszem. Moja matka o niczym innym później nie mówiła.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

Sarah wzruszyła ramionami.

– Obawiam się, droga kuzynko, że jesteś w opałach. Ponieważ ja mam męża, a żadna z moich sióstr nie dorosła jeszcze do debiutu, mama postanowiła skupić całą energię na tobie.

– Wielkie nieba – mruknęła Iris bez cienia sarkazmu. Ciotka Charlotte bardzo poważnie traktowała obowiązki swatki.

– Nie wspominając już o tym… – ciągnęła lady Prentice, zaprawiwszy swoje słowa dramatyczną nutą – co się działo na wczorajszym balu? Nie było mnie tam, a najwyraźniej należało przyjść.

– Nic się nie działo. – Twarz Iris przybrała najwymowniejszą minę z rodzaju co-za-nonsens! – Jeśli pijesz do sir Richarda, to po prostu z nim tańczyłam.

– Według Marigold…

– A kiedy ty rozmawiałaś z Marigold?

Sarah nonszalancko machnęła dłonią.

– To bez znaczenia.

– Ale Marigold też tam wczoraj nie było!

– Słyszała od Susan.

Iris oparła się wygodnie.

– Dobry Boże, mamy stanowczo za dużo kuzynek.

– Wiem. Rzeczywiście. Ale wracając do tematu: Marigold powiedziała, że Susan powiedziała, że praktycznie zostałaś królową balu.

– Bezprzykładna przesada.

Sarah dźgnęła wskazującym palcem w kierunku Iris z prędkością wprawnego odpytywacza.

– Zaprzeczasz, że tańczyłaś wszystkie tańce?

– Zaprzeczam. – Zanim pojawił się sir Richard, niemało ich przesiedziała.

Sarah umilkła, zatrzepotała powiekami, a potem zmarszczyła brwi.

– To niepodobne do Marigold, żeby źle odczytać plotki.

– Tańczyłam więcej niż zwykle – przyznała Iris – ale z pewnością nie każdy taniec.

– Uhm.

Iris zmierzyła kuzynkę podejrzliwym spojrzeniem. Nigdy dobrze nie wróżyło, kiedy Sarah wyglądała na głęboko zamyśloną.

– Chyba już rozumiem, co się stało – odezwała się w końcu.

– Więc, proszę, oświeć mnie.

– Tańczyłaś z sir Richardem, a potem spędziłaś z nim godzinkę na prywatnej rozmowie.

– To nie była godzinka i w ogóle skąd o tym wiesz?

– O, ja wiele wiem – odparła Sarah nonszalancko. – I lepiej nie pytać skąd. Ani dlaczego.

– Jak Hugh z tobą wytrzymuje? – rzuciła Iris w przestrzeń.

– Doskonale, dziękuję. – lady Prentice uśmiechnęła się szeroko. – Ale wracając do wczorajszego wieczoru: obojętnie ile czasu spędziłaś w towarzystwie nadzwyczaj przystojnego sir Richarda – nie, nie przerywaj, widziałam go na naszych występach; całkiem przyjemny dla oka – później czułaś się…

Przerwała i zrobiła tę dziwną minę, co zawsze, kiedy się nad czymś zamyśliła. Jej dolna szczęka przesuwała się wówczas trochę w bok, tak że zęby traciły równą linię, a wargi wykrzywiał zabawny, mały grymas. Za każdym razem wytrącało to Iris z równowagi.

Sarah zmarszczyła brwi.

– Potem czułaś się…

– Jak?

– Usiłuję znaleźć odpowiednie słowo.

Iris wstała.

– Zadzwonię po herbatę.

– Jakby ci dech zaparło! – wykrzyknęła wreszcie jej kuzynka. – Czułaś się, jakby ci dech zaparło. I jakbyś cała promieniała.

Iris przewróciła oczami i mocno szarpnęła za sznur dzwonka.

– Powinnaś znaleźć sobie jakąś pasję.

– A kiedy kobieta czuje, że cała promienieje, to widać, że promienieje – ciągnęła niezrażona Sarah.

– Brzmi to dość krępująco.

– A kiedy widać…

– Zaczerwieniona skóra, spocone czoło – wpadła jej w słowo Iris. – Kojarzy się odrobinę z wysypką od słońca.

– Musisz zawsze psuć zabawę? – naburmuszyła się Sarah. – Słowo daję, jesteś najmniej romantyczną osobą, jaką znam.

Iris, która zamierzała właśnie znów usiąść, zastygła z dłońmi na oparciu sofy. Czy to prawda? Wiedziała, że nie jest kobietą sentymentalną, ale przecież nie była kompletnie pozbawiona uczuć. Przeczytała *Dumę i uprzedzenie* sześć razy. To musiało o czymś świadczyć.

Jednak Sarah nie zważała na jej strapioną minę.

– A zatem – zaczęła znowu – kiedy kobieta czuje się piękna, ma w sobie coś.

Iris już zamierzała odpowiedzieć: „Na ten temat nic mi nie wiadomo”, ale ugryzła się w język.

Nie chciała być sarkastyczna. Nie w tej sprawie.

– I gdy tak się dzieje, mężczyźni ciągną do niej tłumnie. W kobiecie pewnej siebie jest coś takiego. Coś… nie wiem… *je ne sais quoi*, jak mawiają Francuzi.

– Myślę, żeby przerzucić się na niemiecki – usłyszała swój głos Iris.

Sarah przez chwilę wpatrywała się w nią zdumiona, po czym jak gdyby nigdy nic powróciła do swoich rozważań.

– I właśnie dlatego, moja droga – podsumowała z aktorskim zacięciem – wczorajszego wieczoru każdy mężczyzna w Londynie pragnął z tobą zatańczyć.

Iris obeszła sofę, usiadła i złożywszy ręce na podołku, myślała o słowach kuzynki. Nie była pewna, czy w nie wierzyć, ale też nie mogła bez zastanowienia ich odrzucać.

– Bardzo jesteś małomówna – zauważyła Sarah. – Dałabym głowę, że będziesz się o to sprzeczać.

– Nie wiem, co powiedzieć – przyznała Iris.

Sarah przyjrzała się jej z otwartą ciekawością.

– Dobrze się czujesz?

– Doskonale. Dlaczego pytasz?

– Wydajesz się jakaś inna.

Iris lekko wzruszyła ramionami.

– Może promienieję, jak mówiłaś.

– Nie – odparła bez ogródek Sarah – to nie to.

– No cóż, więc mój blask był krótkotrwały.

– Teraz znów jesteś sobą.

Iris tylko uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– A jak ty się miewasz? – zapytała, niezbyt subtelnie próbując zmienić temat.

– Bardzo dobrze – odparła lady Prentice z szerokim uśmiechem.

I właśnie wtedy Iris zauważyła… coś.

– Też wydajesz się jakaś inna – powiedziała, mierząc przyjaciółkę uważnym spojrzeniem.

Sarah zaczerwieniła się, a jej kuzynka wydała stłumiony okrzyk:

– Spodziewasz się dziecka?

Zamiast odpowiedzi młoda kobieta skinęła głową.

– Skąd wiedziałaś?

– Kiedy mówisz mężatce, że wygląda jakoś inaczej, a ona się czerwieni… To nie może być nic innego.

– Naprawdę zawsze wszystko zauważysz.

– Prawie wszystko – przyznała Iris. – Ale jeszcze nie dałaś mi pogratulować. Co za cudowna nowina. Przekaż, proszę, lordowi Hugh, że życzę mu powodzenia. Jak się czujesz? Masz jakieś dolegliwości?

– Żadnych.

– To całe szczęście. Rose przez trzy miesiące wymiotowała każdego ranka.

Lady Prentice skrzywiła się współczująco.

– Czuję się znakomicie. Może tylko trochę zmęczona, ale nie za bardzo.

Iris uśmiechnęła się do kuzynki. Wydawało się takie dziwne, że Sarah wkrótce zostanie matką. Razem bawiły się w dzieciństwie, razem narzekały na wieczory muzyczne. A teraz przyjaciółka weszła w nową fazę życia.

Tymczasem Iris była…

Nadal tam, gdzie poprzednio.

– Bardzo go kochasz, prawda? – spytała cicho.

Sarah nie odpowiedziała od razu, tylko z zaciekawieniem przyjrzała się kuzynce.

– Tak – odrzekła w końcu poważnie. – Całą sobą.

Iris pokiwała głową.

– Wiem. – Sądziła, że Sarah jeszcze coś doda, może zacznie dociekać, skąd takie głupie pytanie, ale kuzynka milczała, a ona nie potrafiła już dłużej się powstrzymać. – Skąd wiedziałaś?

– Wiedziałam o czym?

– Że go kochasz.

– No cóż… – Sarah zastanawiała się przez chwilę. – Nie jestem pewna. Naprawdę nie potrafię przypomnieć sobie tego momentu. Zabawne, zawsze myślałam, że jeśli się zakocham, stanie się to w jakimś wielkim przebłysku świadomości. Wiesz, błyskawice, anielskie chóry w niebiosach… tego rodzaju rzeczy.

Iris uśmiechnęła się szeroko. Cała Sarah! Zawsze miała upodobanie do dramatu.

– Ale wcale tak nie było – ciągnęła z zadumą lady Prentice. – Pamiętam, że czułam się bardzo dziwnie i zastanawiałam się nad tym. Próbowałam ustalić, czy to miłość.

– Więc można nie wiedzieć, że to się właśnie dzieje?

– Nie przypuszczam.

Iris przygryzła dolną wargę, a potem szepnęła:

– Czy to było wtedy, kiedy cię po raz pierwszy pocałował?

– Iris! – Sarah uśmiechnęła się, zszokowana i zachwycona zarazem. – Co za pytanie!

– Wcale nie jest takie niestosowne – odparła Iris, wlepiając wzrok w jakiś punkt, położony zdecydowanie na lewo od twarzy kuzynki.

– Ależ owszem, jest. – Podbródek Sarah cofnął się w wyrazie zdumienia. – Jednak bardzo się cieszę, że je zadałaś.

Nie to Iris spodziewała się usłyszeć.

– Dlaczego?

– Bo zawsze wydajesz się taka… – Lady Prentice machnęła ręką, jak gdyby tym ruchem mogła wydobyć z powietrza właściwe słowo – …taka obojętna na te rzeczy.

– Na jakie rzeczy? – zapytała podejrzliwie Iris.

– No, wiesz. Emocje. Zauroczenia. Jesteś zawsze taka opanowana. Nawet kiedy ogarnia cię wściekłość.

Iris się najeżyła.

– A czy to coś złego?

– Oczywiście, że nie. Po prostu taką masz naturę. I mówiąc całkiem szczerze, zapewne jedynie tym można tłumaczyć, że Daisy dożyła siedemnastego roku i nie

padła dotąd trupem z twojej ręki. Chociaż raczej nigdy ci za to nie podziękuje.

Iris nie potrafiła powstrzymać cierpkiego uśmiechu. Miło było usłyszeć, że ktokolwiek docenia jej wyrozumiałość dla młodszej siostry.

Tymczasem Sarah zmrużyła oczy i pochyliła się do przodu.

– Chodzi o sir Richarda, prawda?

I jej kuzynka już wiedziała, że nie ma sensu zaprzeczać.

– Po prostu myślę… – Zacisnęła wargi, niemal przestraszona, że jeśli tego nie zrobi, buchnie z nich cały potok nonsensów. – Widzisz, lubię sir Richarda – przyznała w końcu. – Nie mam pojęcia dlaczego, ale go lubię.

– Nie musisz wiedzieć dlaczego. – Sarah uścisnęła jej dłoń. – Wygląda na to, że on też cię lubi.

– Sądzę, że tak. Poświęcił mi sporo uwagi.

– Ale…?

Oczy Iris napotkały spojrzenie Sarah. Jak można było nie przewidzieć, że dosłyszy to bezgłośne „ale” na końcu zdania?

– Ale… sama nie wiem. Coś jest nie do końca w porządku.

– Czy aby nie doszukujesz się problemów tam, gdzie ich nie ma?

Iris głęboko wciągnęła powietrze, a potem je wypuściła.

– Może. Przecież nie mam porównania.

– To nieprawda. Zdarzali ci się już konkurenci.

– Niewielu. I żadnego nie polubiłam na tyle, żeby mnie obchodziło, czy będzie kontynuował swoje uprzejmości.

Lady Prentice westchnęła, lecz już nie dyskutowała.

– No dobrze. Więc powiedz mi, o co chodzi z tym „nie do końca w porządku”, jak to ujęłaś.

Iris odchyliła głowę i przez chwilę patrzyła w górę, zauroczona słonecznymi błyskami, które tańczyły na kryształkach żyrandola.

– Wydaje mi się, że to wygląda za dobrze – odparła w końcu.

– I to ma być nie do końca w porządku? – Sarah parsknęła śmiechem. – Masz pojęcie, ile…

– Przestań – przerwała jej Iris. – Wysłuchaj mnie. To mój trzeci sezon w Londynie. Przyznaję, że nie należałam do najbardziej ochoczych debiutantek, ale też nigdy nie byłam przedmiotem tak ciepłej uwagi.

Jej kuzynka już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale Iris powstrzymała ją, unosząc dłoń.

– Rzecz nawet nie w tym, że jest taka ciepła… – Poczuła, jak oblewa ją rumieniec. Co za głupi dobór słów. – Chodzi mi o jej nagłość.

– Nagłość?

– Tak. W czasie koncertu pewnie nawet go nie zauważyłaś, bo odwracałaś się od większości widowni.

– Chcesz powiedzieć, że próbowałam wskoczyć do fortepianu i zatrzasnąć za sobą wieko – zażartowała Sarah.

– Otóż to – parsknęła śmiechem Iris. Ze wszystkich kuzynek właśnie Sarah w największym stopniu podzielała jej nienawiść do wieczorów muzycznych.

– Wybacz, nie mogłam się oprzeć. Mów, proszę, dalej.

Przypominając sobie tę scenę, Iris zacisnęła usta.

– On przez cały czas mnie obserwował – powiedziała wreszcie.

– Może uznał, że jesteś piękna.

– Moja droga – odparła szczerze – nikt nie uznaje mnie za piękną. A przynajmniej nie od pierwszego wejrzenia.

– To nieprawda!

– Ależ tak. Wszystko w porządku, nie przejmuj się.

Jednak Sarah nie wyglądała na przekonaną.

– Wiem, że nie jestem brzydka – zapewniła ją Iris. – Tylko, jak mówi Daisy…

– O, nie! Nie cytuj mi Daisy – wtrąciła energicznie Sarah.

– To nic takiego. – Iris próbowała zachować się sprawiedliwie. – Od czasu do czasu zdarza się jej powiedzieć coś z sensem. Po prostu jestem bezbarwna.

Przez długą chwilę lady Prentice wpatrywała się w oczy kuzynki, po czym oświadczyła:

– To największa bzdura, jaką kiedykolwiek słyszałam.

Iris uniosła brwi. Te swoje jaśniutkie, pozbawione koloru brwi.

– Spotkałaś kiedyś kogoś tak bardzo bladego?

– Nie, ale to o niczym nie świadczy.

Starając się dobrać odpowiednie słowa, Iris westchnęła, poirytowana.

– Próbuję ci powiedzieć, że przywykłam do tego, że ludzie mnie nie doceniają. Nie dostrzegają.

Sarah wytrzeszczyła na nią oczy.

– O czym ty mówisz?

Panna Smythe-Smith wydała ciche, pełne frustracji westchnienie. Wiedziała, że kuzynka nie zrozumie.

– Ludzie rzadko mnie zauważają. A ja wcale – przysięgam! – wcale nad tym nie boleję. Nie chcę być w centrum uwagi.

– Przecież nie jesteś nieśmiała.

– Nie, ale lubię móc obserwować innych… – Iris wzruszyła ramionami – i

prawdę mówiąc, pokpiwać sobie z nich w duchu.

Słysząc to, Sarah parsknęła śmiechem.

– Kiedy ktoś mnie już pozna, jest inaczej – ciągnęła Iris – ale w tłumie nie rzucam się w oczy. I właśnie dlatego nie rozumiem sir Richarda.

Sarah milczała przez pełną minutę. Parę razy otworzyła usta, jakby miała zamiar coś powiedzieć, jednak jej wargi tylko przybierały kształt litery „O", a potem znów się zaciskały. Wreszcie zapytała:

– Ale on ci się podoba?

– W ogóle mnie słuchałaś? – Iris dosłownie eksplodowała.

– Każdego słowa! – odparła z naciskiem lady Prentice. – Tylko naprawdę nie rozumiem, co to wszystko ma do rzeczy. O ile wiem, sir Richard zakochał się w tobie beznadziejnie od pierwszego wejrzenia. Jego zachowanie z pewnością się z tym wiąże.

– On nie jest we mnie zakochany – upierała się Iris.

– Może jeszcze nie jest. – Sarah pozwoliła tym słowom na chwilę zawisnąć w powietrzu, zanim rzuciła: – A gdyby dzisiejszego popołudnia poprosił cię o rękę, co byś odpowiedziała?

– To absurd.

– Oczywiście, ale i tak chcę wiedzieć. Co byś odpowiedziała?

– Nic bym nie odpowiedziała, bo on by nie zapytał.

Sarah skrzywiła się gniewnie.

– Możesz choć przez chwilę nie być taka uparta i zaspokoić moją ciekawość?

– Nie! – Iris z irytacji miała ochotę wznieść ręce do nieba. – Nie widzę sensu w rozmowie o mojej odpowiedzi na pytanie, które w ogóle nie padnie.

– Odpowiedziałabyś „tak".

– Nie, wcale nie.

– A więc odpowiedziałabyś „nie"?

– Tego też nie twierdzę.

Sarah oparła się wygodnie i powoli pokiwała głową, a po jej twarzy rozlał się wyraz zadowolenia.

– Co znowu?

– Nawet nie chcesz o tym pytaniu pomyśleć, bo boisz się badać własne uczucia.

Iris milczała.

– Mam rację – oznajmiła z triumfem jej kuzynka, po czym dodała: – Uwielbiam mieć rację.

Iris wzięła głęboki oddech, chociaż nie była pewna, czy ma to pomóc jej powściągnąć irytację, czy raczej zebrać się na odwagę.

– Gdyby sir Richard poprosił mnie o rękę – zaczęła, dokładnie wymawiając każde słowo – powiedziałabym, że potrzebuję czasu na zastanowienie.

Sarah skinęła twierdząco.

– Ale on nie zamierza mi się oświadczyć.

Tę odpowiedź Sarah skwitowała głośną salwą śmiechu.

– Zawsze twoje musi być na wierzchu, prawda?

– On nie zamierza mi się oświadczyć.

Sarah tylko radośnie wyszczerzyła zęby.

– Och, popatrz, jest herbata. Jestem głodna jak wilk.

– On nie zamierza mi się oświadczyć. – Głos Iris przybrał śpiewny ton.

– Odjadę zaraz po herbacie – oświadczyła z nadmierną gorliwością lady Prentice. – Marzę o tym, żeby go poznać, ale nie chciałabym tu być, kiedy się zjawi. Mogłabym wejść mu w paradę.

– On nie zamierza mi się oświadczyć.

– Och, poczęstuj się ciasteczkiem.

– On nie zamierza mi się oświadczyć – powtórzyła po raz Bóg wie który Iris. Po czym, ponieważ musiała to zrobić, dodała: – Nie zamierza.

# 6

***Pięć dni później, Pleinsworth House***

***B***yła już pora.

Minął ledwie tydzień od chwili, gdy Richard po raz pierwszy ujrzał Iris Smythe-Smith, dokładnie tutaj, właśnie w tym domu. A teraz zamierzał przejść do oświadczyn.

Swego rodzaju oświadczyn.

Codziennie składał jej wizyty. Przechadzali się po parku, zamawiali lody w herbaciarni Gunthera, dzielili lożę w operze i odwiedzali Covent Garden. Jednym słowem, robili wszystko to, co powinna robić w Londynie para w okresie konkurów. I Richard nie wątpił, że krewni Iris oczekują, iż poprosi o jej rękę.

Ale jeszcze nie teraz.

Czuł, że panna Smythe-Smith darzy go sympatią. Mogła nawet rozważać, czy się nie zakochała. Jednak miał niemal całkowitą pewność, że gdyby tego wieczoru się oświadczył, nie potrafiłaby dać natychmiastowej odpowiedzi.

Westchnął. Nie tak wyobrażał sobie swój ożenek.

Tym razem zjawił się w Pleinsworth House sam. Winston Bevelstoke stanowczo odmówił udziału w jakimkolwiek artystycznym przedsięwzięciu rodziny Smythe-Smith, chociaż przyjaciel wcześniej przyjął w jego imieniu zaproszenie. Teraz Winston siedział w domu z udawanym katarem, a sir Kenworthy tkwił w kącie, zastanawiając się nerwowo, dlaczego w salonie stoi fortepian.

I czemu wygląda, jakby przystrojono go gałązkami?

Szybki rzut oka dookoła pozwalał stwierdzić, że lady Pleinsworth przygotowała dla gości programy. Jednak, choć od jego przyjścia upłynęło już prawie pięć minut, Richard dotychczas nie otrzymał swojego egzemplarza.

– Tutaj pan jest.

Na dźwięk cichego głosu odwrócił się i ujrzał Iris w skromnej sukni z bladobłękitnego muślinu. Często nosi ten kolor, uświadomił sobie, i bardzo jej w nim do twarzy.

– Przepraszam, że się panem nie zajęłam – powiedziała – ale musiałam pomóc za kulisami.

– Za kulisami? – powtórzył. – Przecież to miało być czytanie poezji.

– Ach, tamto. – Jej policzki z zakłopotania przybrały różowy odcień. – Nastąpiła zmiana planów.

Richard pytająco przechylił głowę.

– Może powinnam przynieść panu program.

– Tak, poproszę. Nie dostałem go, kiedy przyszedłem.

Panna Smythe-Smith odchrząknęła z sześć razy.

– Jak sądzę, zapadła decyzja, żeby nie wręczać ich panom, chyba że któryś wyrazi takie życzenie.

Przez chwilę rozważał jej słowa.

– A czy wolno zapytać dlaczego?

– Zapewne dlatego – odparła, zerkając w sufit – że istnieją obawy, iż nie wszyscy chcieliby pozostać.

Richard ze zgrozą popatrzył na fortepian.

– Och, nie – zapewniła szybko Iris. – Dzisiaj nie będzie muzyki. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. To nie jest koncert.

Jednak w oczach jej towarzysza malowała się panika.

Gdzież był Winston ze swoimi kłębuszkami waty, kiedy on tak bardzo go potrzebował?

– Pani mnie przeraża, panno Smythe-Smith.

– Czy to znaczy, że nie życzy pan sobie programu? – zapytała, pełna nadziei.

Pochylił się ku niej odrobinę. Nie na tyle, by naruszyć zasady dobrego wychowania, ale jednak. I wiedział, że ona to zauważyła.

– Myślę, że lepiej być przygotowanym, nie uważa pani?

Iris przełknęła ślinę.

– Momencik.

Czekał, podczas gdy ona przeszła przez salon i zbliżyła się do lady Pleinsworth. Chwilę później wróciła z kartką papieru.

– Proszę – powiedziała, zakłopotana, podając mu ją.

Richard wziął program i popatrzył. Potem znów podniósł oczy.

– *Pastereczka, jednorożec i Henryk VIII?*

– To sztuka. Napisała ją moja kuzynka Harriet.

– I my mamy tę sztukę oglądać? – upewnił się ostrożnie.

Iris pokiwała głową.

– Czy orientuje się pani, uhm – odchrząknął – ile czasu będzie trwać to

przedstawienie?

– Nie tak długo, jak wieczór muzyczny – pocieszyła go. – W każdym razie tak mi się wydaje. Widziałam tylko kilka ostatnich minut próby generalnej.

– Fortepian jest częścią dekoracji, jak rozumiem?

Znowu skinęła twierdząco.

– To jeszcze nic w porównaniu z kostiumami, obawiam się.

Z trudem zdobył się na uprzejmość, by zapytać o szczegóły.

– Moim zadaniem było przymocować róg jednorożcowi.

Richard starał się nie roześmiać, naprawdę się starał. I prawie mu się udało.

– Nie jestem pewna, jak Frances go odczepi – ciągnęła Iris ze zdenerwowaną miną. – Jest przyklejony do czoła.

– Przykleiła pani swojej kuzynce na głowie róg? – powtórzył.

Iris się skrzywiła.

– Tak.

– Pani lubi tę kuzynkę?

– Och, bardzo. Ma jedenaście lat i jest naprawdę urocza. Bez wahania wymieniłabym Daisy na Frances.

Richard miał wrażenie, że starsza siostra wymieniłaby Daisy nawet na borsuka, jeśli tylko nadarzyłaby się taka możliwość.

– Róg – przypomniał. – Cóż, przypuszczalnie nie można być jednorożcem, kiedy się nie ma rogu.

– Otóż to – odparła Iris z nowym przypływem entuzjazmu. – Frances bardzo się spodobał. Ona uwielbia jednorożce. Jest niemal całkowicie przekonana, że istnieją naprawdę, i myślę, że gdyby mogła, zostałaby jednym z nich.

– Więc najwyraźniej uczyniła pierwszy krok na drodze do realizacji tego szlachetnego celu – zażartował Richard. – Z pani życzliwą pomocą.

– Ach, tak. Oby tylko nikt nie powiedział ciotce Charlotte, że to ja użyłam kleju.

Jednak Richard przeczuwał, iż w tej sprawie panna Smythe-Smith była na straconej pozycji.

– Czy jest jakakolwiek szansa, aby utrzymać to w sekrecie?

– Absolutnie żadnej. Ale zamierzam czepiać się fałszywej nadziei. Przy odrobinie szczęścia dziś wieczorem dojdzie do strasznego skandalu i nikt nie zauważy, że Frances poszła spać z rogiem przyczepionym na głowie.

W tym momencie sir Kenworthy zaniósł się kaszlem. I kasłał dalej. Na Boga, czy to był jakiś pyłek w gardle, czy głaz poczucia winy?

– Wszystko w porządku? – zapytała Iris z twarzą ściągniętą niepokojem.

Pokiwał głową, bo nie był w stanie wydobyć głosu. Boże drogi, skandal.

Gdybyż ona tylko wiedziała.

– Może przyniosę panu coś do picia?

Znowu skinął twierdząco. Niemal w równej mierze potrzebował zwilżyć gardło jakimś płynem, jak przez chwilę na nią nie patrzeć.

Koniec końców będzie szczęśliwa, powiedział sobie. A on będzie dla niej dobrym mężem. Niczego jej nie zabraknie.

Oprócz możliwości wyboru, czy chce za niego wyjść.

Richard jęknął. Nie oczekiwał, że dopadną go takie przeklęte wyrzuty sumienia.

– Proszę bardzo. – Iris podała mu kryształowy kieliszek. – Trochę słodkiego wina.

Wyraził wdzięczność ruchem głowy i pociągnął krzepiący łyk.

– Dziękuję – powiedział po chwili ochryple. – Nie wiem, co mnie napadło.

Iris ze współczującym mruknięciem wskazała zadrzewiony fortepian.

– Pewnie w powietrzu unosi się pył z tych wszystkich gałązek, które przyniosła Harriet. Wczoraj godzinami zbierała je w Hyde Parku.

Sir Kenworthy opróżnił kieliszek i odstawił na pobliski stolik.

– Czy zechce pani przy mnie usiąść? – poprosił, uświadamiając sobie, że choć przypuszczał, iż ona to zrobi, winien jej był uprzejme zaproszenie.

– Z przyjemnością – odparła. – Tak czy inaczej, zapewne będzie pan potrzebował tłumacza.

W popłochu wytrzeszczył oczy.

– Tłumacza?

Iris parsknęła śmiechem.

– Nie, nie, proszę się nie obawiać, sztuka jest w języku angielskim. Tylko że… – Zachichotała, uśmiechając się szeroko. – Harriet ma własny, szczególny styl.

– Pani bardzo lubi swoją rodzinę – zauważył.

Już miała odpowiedzieć, ale coś za jego plecami przyciągnęło jej uwagę. I właśnie kiedy się odwracał, żeby sprawdzić, na cóż ona tak patrzy, odezwała się:

– Ciotka daje nam znaki. Myślę, że mamy zająć miejsca.

Lekko zaniepokojony, sir Richard Kenworthy zasiadł w pierwszym rzędzie i wlepił oczy w fortepian, który, jak można się było domyślać, wskazywał miejsce, gdzie znajdowała się scena. Głosy publiczności przeszły w stłumione szepty, a potem całkiem ucichły, kiedy z mroku wynurzyła się lady Harriet Pleinsworth, przebrana za ubogą pastereczkę (kij pastuszy i tak dalej).

– Piękny to dzień i pełen blasku! – obwieściła, przerywając na chwilę, by odgarnąć jedną ze wstążek przy szerokim rondzie swojej budki. – Ach, jakże jestem szczęśliwa z moim cnym stadem.

Nic się nie działo.

– Z moim cnym stadem! – powtórzyła nieco głośniej.

Za kulisami rozległy się jakieś hałasy, ktoś stęknął i syknął: „Przestań!”, a potem na scenę wtoczyła się piątka maluchów udających owce.

– Moi kuzynowie – szepnęła Iris. – Następne pokolenie.

– Słońce świeci – ciągnęła Harriet, rozkładając szeroko ramiona w błagalnym geście.

Ale Richard był zbyt zafascynowany owcami, by tego słuchać. Największy okaz ze stada meczał tak głośno, że pastereczka w końcu musiała dyskretnie go kopnąć. A jeden z najmłodszych artystów – dobry Boże, dzieciak nie mógł mieć więcej niż dwa lata – podpełzł do fortepianu i zaczął oblizywać jego nogę.

Iris przycisnęła dłoń do ust, starając się nie roześmiać.

Przedstawienie toczyło się w tym stylu przez kilka następnych minut. Piękna pasterka opiewała cuda natury, aż wreszcie ktoś gdzieś walnął talerzami i Harriet wydała okrzyk zaskoczenia (podobnie jak połowa widowni).

– Mówiłam – wycedziła przez zęby – że mamy szczęście, bo przypuszczalnie nie będzie padało przez następny tydzień.

Talerze huknęły znowu, a potem jakiś głos wrzasnął:

– Grzmi!

Iris gwałtownie wciągnęła powietrze. Jej druga dłoń poderwała się do góry i nakryła tę pierwszą, która nadal spoczywała na ustach. Ale koniec końców Richard dosłyszał imię „Elizabeth”, wypowiedziane przerażonym szeptem.

– Co się dzieje?

– Myślę, że siostra Harriet właśnie zmieniła scenariusz. Przepadnie cały akt.

Szczęśliwie od konieczności zduszenia uśmiechu wybawiło Richarda przybycie pięciu krów, w których po bliższym przyjrzeniu się rozpoznał owce z przypiętymi do runa kawałkami brązowego materiału.

– A kiedy zobaczymy jednorożca? – zapytał cicho swoją towarzyszkę.

Bezradnie wzruszyła ramionami. Nie wiedziała.

Parę minut później na scenę wtoczył się Henryk VIII. Jego tudorowski kaftan wypchany był taką ilością poduszek, że dziecko w środku ledwie mogło się poruszać.

– To Elizabeth – szepnęła Iris.

Współczująco pokiwał głową. Gdyby to on został zmuszony do występów w tym kostiumie, też starałby się przeskoczyć pierwszy akt.

Jednak nic nie mogło się równać z chwilą, gdy oczom widowni ukazał się jednorożec. Jego rżenie było straszliwe, a róg olbrzymi.

Richardowi dosłownie opadła szczęka.

– Przykleiła jej go pani do czoła?

– To był jedyny sposób, żeby się utrzymał – odparła szeptem Iris.

– Ale ona nie może podnieść głowy.

Obydwoje, zdjęci grozą, wpatrywali się w scenę. Mała panna Pleinsworth zataczała się pod ciężarem rogu jak pijana, nie mogąc utrzymać ciała w pozycji wyprostowanej.

– Z czego on jest zrobiony? – zapytał Richard.

Iris poddała się.

– Nie mam pojęcia. Nie sądziłam, że to takie ciężkie. Może ona tylko gra.

Richard w osłupieniu obserwował Frances, niemal spodziewając się, że będzie musiał doskoczyć do dziewczynki, by powstrzymać ją przed przypadkowym dźgnięciem kogoś w pierwszym rzędzie.

Całą wieczność później dotarli do punktu, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mógł oznaczać finał. Król Henryk, wymachując w powietrzu udkiem indyka, głośno obwieścił:

– Od tej chwili ta ziemia jest moja, po wsze czasy!

I istotnie wyglądało na to, że dla biednej, słodkiej pastereczki i jej dziwnie zmiennego stada wszystko było już stracone. Ale właśnie wtedy rozległ się potężny ryk…

– Czyżby lew? – zdumiał się Richard.

…i na scenę wyskoczył jednorożec!

– Umieraj! – wrzasnął. – Umieraj! Umieraj! Umieraj!

Zbity z tropu Richard zerknął na Iris. Do tej pory jednorożec nie demonstrował znajomości ludzkiej mowy.

Królewski krzyk grozy na tyle mroził krew, że siedząca za nimi dama wymamrotała:

– Zdumiewająco dobrze zagrane.

Sir Kenworthy ukradkiem zerknął na swoją towarzyszkę. Z otwartymi ustami wpatrywała się w króla Henryka, który przeskoczywszy przez krowę, popędził ukryć się za fortepianem, gdzie potknął się o najmniejszą owieczkę, nadal oblizującą nogę instrumentu.

Henryk walczył, by utrzymać równowagę, ale jednorożec (niewykluczone, że w ataku wścieklizny) był zbyt szybki. Pędził ku niemu na (opuszczony) łeb na szyję i po chwili zagłębił swój róg w wielkim poduszkowym brzuchu przerażonego monarchy.

Ktoś krzyknął, król Henryk runął na podłogę, wokół poleciało pierze.

– Nie sądzę, żeby to było w scenariuszu – szepnęła wstrząśnięta Iris.

Richard nie mógł oderwać oczu od makabrycznego widowiska. Henryk VIII leżał na plecach, a róg tkwił w jego (szczęśliwie sztucznym) brzuchu. Byłoby to już wystarczająco okropne i bez faktu, że ów róg nadal mocno trzymał się czoła jednorożca. Co oznaczało, że za każdym razem, kiedy król zaczynał się miotać, szarpał jednorożca za głowę.

– Odczep się! – krzyknął Henryk.

– Próbuję – odwarknął jednorożec.

– Chyba uwiązł – powiedział Richard do Iris, a ona zawołała:

– O Boże! – I natychmiast zasłoniła ręką usta. – To ten klej!

Na pomoc przybiegła jakaś owieczka, ale pośliznęła się w pierzu i zaplątała pod nogi jednorożcowi.

Pasterka, która obserwowała ten widok tak samo wstrząśnięta jak publiczność, nagle zdała sobie sprawę, że musi ratować przedstawienie, więc skoczyła naprzód, zanosząc się śpiewem.

– O błogosławiony słoneczny blasku – zawodziła. – Jakże twe ciepło lśni!

I wówczas do akcji wkroczyła Daisy.

Richard gwałtownie odwrócił się w stronę Iris. Jej usta były otwarte ze zdumienia.

– Nie, nie, nie – wykrztusiła wreszcie, ale Daisy rozpoczęła już swoją skrzypcową solówkę, przypuszczalnie muzyczny obraz słonecznego blasku.

Albo śmierci.

Jednak występ Daisy został szczęśliwie skrócony przez lady Pleinsworth, która widząc sczepioną beznadziejnie dwójkę swych najmłodszych dzieci, wdarła się pośpiesznie na scenę.

– A teraz zapraszam wszystkich państwa do sąsiedniego pokoju na herbatę! – oznajmiła śpiewnym tonem. – Skosztujmy ciasta!

Goście wstali i bijąc brawo – w końcu, niezależnie od zaskakującego finału, było to przedstawienie teatralne – zaczęli, jeden po drugim, opuszczać salon.

– Może powinnam pomóc – powiedziała Iris, rzucając czujne spojrzenie na swoje kuzynki.

Podeszła nieco bliżej do miejsca utarczki, a Richard z niemałym rozbawieniem obserwował przebieg wydarzeń.

– Po prostu zdejmij z siebie tę poduszkę! – zarządziła lady Pleinsworth.

– To nie będzie łatwe – syknęła Elizabeth. – Róg przebił mi się przez koszulę. Chyba że mama chce, żebym się rozebrała…

– Wystarczy, Elizabeth – powiedziała szybko jej matka i zwróciła się do Harriet:

– Dlaczego on ma taki ostry czubek?

– Jestem jednorożcem! – przypomniała Frances.

Lady Pleinsworth przez chwilę przyswajała tę prawdę, po czym się wzdrygnęła.

– W trzecim akcie ona nie powinna na mnie jeździć – dodał jednorożec z rozdrażnieniem.

– I dlatego ją dźgnęłaś?

– Nie, to było w scenariuszu – poinformowała uczynnie Harriet. – Róg miał odpaść. Ze względów bezpieczeństwa. Ale oczywiście tak, żeby widownia tego nie widziała.

– Iris przykleiła mi go do czoła – wyjaśniła Frances i przekrzywiwszy głowę, spróbowała popatrzeć w górę.

Iris, która stała na skraju niewielkiej grupy publiczności, natychmiast cofnęła się o krok.

– Może się czegoś napijemy – zaproponowała.

– Za moment. – Sir Kenworthy za dobrze się bawił, żeby teraz wychodzić.

Tymczasem lady Pleinsworth złapała za róg obiema rękami i pociągnęła.

Rozległ się przeraźliwy wrzask.

– Czego ona użyła? Cementu?

Ręka Iris zacisnęła się na ramieniu Richarda jak imadło.

– Naprawdę muszę iść, natychmiast.

Wystarczyło jedno spojrzenie na twarz pani domu i Richard pośpiesznie wyprowadził swoją towarzyszkę z salonu.

W holu Iris bezsilnie oparła się o ścianę.

– Czekają mnie straszne kłopoty.

Wiedział, że powinien rozproszyć jej obawy, ale za bardzo się śmiał, by był z niego jakikolwiek pożytek.

– Biedna Frances – jęczała Iris. – Musi dzisiaj spać z tym rogiem na głowie!

– Nic jej nie będzie – wykrztusił Richard, a śmiech nadal przezierał przez jego słowa. – Zapewniam panią, że nie pójdzie tak do ołtarza.

Panna Smythe-Smith z nagłym niepokojem podniosła na niego wzrok i Richard mógł sobie tylko wyobrażać, jakie sceny przemknęły jej przed oczyma. A potem wybuchnęła śmiechem. I śmiała się tam, w tym korytarzu, tak serdecznie, że aż się skręcała.

– O mój Boże – gwałtownie łapała oddech. – Rogaty ślub. To by się mogło przytrafić tylko w naszej rodzinie.

Richard znowu zaczął chichotać; rozbawiony obserwował, jak twarz Iris czerwienieje z wysiłku.

– Nie powinnam się śmiać. Naprawdę nie powinnam. Ale ślub… Wielkie nieba, rogaty ślub.

Ślub, przypomniał sobie i ta myśl znowu całkowicie zaprzątnęła mu umysł. Przecież po to przyszedł tego wieczoru. Po to był tutaj z Iris.

Ona nie miała nacieszyć się własnym ślubem. Jak na to, Richard zbyt szybko musiał wracać do Yorkshire.

Poczucie winy sprawiło, że po plecach przeszły mu ciarki. Czyż każda kobieta nie marzy o ślubie? Dawniej Fleur i Marie-Claire zwykły spędzać całe dnie na snuciu takich wyobrażeń. I o ile wiedział, nadal im się to zdarzało.

Odetchnął głęboko. Panny Iris Smythe-Smith nie czekały wymarzone uroczystości i gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, nie miała nawet przeżyć odpowiednich oświadczyn.

Zasługiwała na coś lepszego.

Sir Kenworthy z trudem przełknął, nerwowo poklepując się po udzie. A ona ciągle jeszcze się zaśmiewała, nieświadoma jego nagle poważnej miny.

– Iris – przemówił znienacka.

Spojrzała na niego ze zdumieniem w oczach. Może sprawił to ton jego głosu, a może fakt, że po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu.

Opierając dłoń na jej krzyżu, powiódł swoją towarzyszkę nieco dalej od uchylonych drzwi salonu.

– Czy może mi pani poświęcić chwilę?

Brwi Iris ściągnęły się, a potem uniosły.

– Oczywiście – odparła trochę niepewnie.

Richard zaczerpnął tchu. W końcu mógł to zrobić. Nie takie miał plany, ale ten sposób był lepszy. Tę jedną, jedyną rzecz mógł zrobić dla niej.

Przyklęknął.

Iris gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Panno Smythe-Smith – powiedział, ujmując jej dłoń – czy uczyni mnie pani najszczęśliwszym z ludzi i zgodzi się zostać moją żoną?

# 7

*I*ris oniemiała. Otworzyła usta, ale najwyraźniej nie było jej pisane cokolwiek powiedzieć. Poczuła ucisk w gardle i tylko wpatrywała się w niego z góry, myśląc…

To nie może się dziać.

– Wyobrażam sobie, że jest pani zaskoczona – powiedział Richard ciepło, opuszkami palców gładząc wierzch jej dłoni. Nadal klęczał przed nią i unosił ku niej wzrok, jakby była jedyną kobietą na świecie.

– Och… – Nie mogła wykrztusić słowa. Po prostu nie mogła wykrztusić ani słowa.

– A może wcale nie?

Jestem. Naprawdę jestem.

– Znamy się zaledwie tydzień, ale przecież musi pani zdawać sobie sprawę z mojego oddania.

Iris poczuła, że kiwa głową, tyle że sama nie wiedziała, czy oznacza to „tak”, czy „nie”. A swoją drogą nie była pewna, na które pytanie odpowiada.

To nie miało stać się tak szybko.

– Nie mogłem już dłużej czekać – wyszeptał, podnosząc się z kolan.

– Ja… ja nie… – Zwilżyła wargi. Udało się jej odzyskać głos, jednak nadal nie była w stanie złożyć zdania.

Richard uniósł rękę dziewczyny do ust, lecz zamiast ucałować dłoń, odwrócił ją delikatnie i złożył lekki jak piórko pocałunek na wewnętrznej stronie nadgarstka.

– Iris, bądź moja – powiedział głosem chrapliwym, jak sądziła, być może z pożądania. Znowu pozwolił wargom muskać jej delikatną skórę. – Bądź moja – szepnął – a ja będę twój.

Nie potrafiła zebrać myśli. Bo czyż mogła to zrobić, kiedy on wpatrywał się w nią, jakby byli jedynymi ludźmi na ziemi? Spojrzenie jego ciemnych oczu było ciepłe… nie, gorące i sprawiło, że zapragnęła się w nim roztopić, porzucić wszystko, co znała, cały zdrowy rozsądek. Ciało Iris drżało, oddech przyśpieszył. Nie mogła oderwać wzroku od ust Richarda, kiedy całował ją znowu, tym razem

sunąc wargami ku wnętrzu jej dłoni.

Coś się w niej, w środku, ścisnęło. Coś, co – była pewna – nie jest stosownie czuć. Nie tutaj, w korytarzu u ciotki. Nie przy tym mężczyźnie, którego dopiero poznała.

– Wyjdziesz za mnie? – zapytał.

Nie. Wszystko było nie tak. Za szybko. To nie miało sensu, nie mógł zakochać się w niej tak błyskawicznie.

Ale on jej nie kochał. Wcale nie powiedział, że ją kocha. A jednak sposób, w jaki na nią patrzył…

Dlaczego chciał ją poślubić? Dlaczego ona nie potrafiła mu zaufać?

– Iris? – szepnął. – Moja droga?

I Iris wreszcie odzyskała głos.

– Potrzebuję czasu.

A niech to szlag trafi!

Stało się dokładnie tak, jak przewidywał. Ona nie zamierzała zgodzić się na ślub po zaledwie tygodniowych konkurach. Miała na to o wiele za dużo rozumu.

Ta ironia losu po prostu Richarda dobijała. Gdyby panna Smythe-Smith nie była osobą inteligentną i rozsądną, z pewnością by jej nie wybrał.

A więc musiał trzymać się pierwotnego planu. Tego wieczoru przyszedł do Pleinsworthów z konkretnym zamiarem, by ją skompromitować. Nic szokującego; byłaby to obłuda najgorszego rodzaju, gdyby skradł Iris coś więcej niż całusa.

Całus całkowicie mu wystarczał. Jeden całus przy świadkach i niemal już ją miał.

Ale nie, kiedy z jej ust padło słowo ślub, Richard poczuł się winny. I wiedział, że diabelnie słusznie się tak czuje. Romantyczne oświadczyny były jego sposobem, by to Iris wynagrodzić, chociaż ona nie zdawała sobie sprawy, że jest coś, co on musi odpokutować.

– Oczywiście – przyznał gładko. – Podjąłem ten temat zbyt wcześnie. Proszę mi wybaczyć.

– Ależ tu nie ma nic do wybaczania – odparła, zacinając się kilkakrotnie. – Zaskoczył mnie pan. Nie rozważałam tego. Widział się pan z moim ojcem tylko raz i to przelotnie.

– Ma się rozumieć, poproszę o jego zgodę – oznajmił Richard. I nie do końca było to kłamstwo. Gdyby w ciągu kilku następnych minut zdołał przekonać Iris, by powiedziała „tak”, chętnie ubiegałby się o prywatną rozmowę z panem Smythe-Smithem i załatwił wszystko we właściwy sposób.

– Może mi pan dać kilka dni do namysłu? – zapytała z niepewną miną. – Tylu rzeczy jeszcze o panu nie wiem. I przynajmniej równie wielu pan nie wie o mnie.

Zatopił palące spojrzenie w jej oczach.

– Wiem dostatecznie dużo, by mieć pewność, że nigdy nie znajdę bardziej godnej podziwu panny młodej.

Iris rozchyliła wargi i Richard zrozumiał, że celnie dobrał słowa. Gdyby miał więcej czasu, mógłby się do niej zalecać w taki sposób, w jaki należy zalecać się do przyszłej żony.

Ujął obie jej dłonie i delikatnie uścisnął.

– Jest mi pani bardzo droga.

Wyglądało na to, że Iris nie wie, co odpowiedzieć.

Próbując zyskać na czasie, dotknął jej policzka, a jednocześnie usiłował obmyślić najlepsze rozwiązanie. Musiał się z nią ożenić i nie mógł sobie pozwolić na zwłokę.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Drzwi salonu były nadal otwarte. Ze swego miejsca widział tylko skrawek wnętrza, ale miał przeczucie, że lady Pleinsworth lada moment wyjdzie i…

– Muszę panią pocałować! – krzyknął, gwałtownie chwytając Iris w ramiona.

Usłyszał, jak wstrząśnięta wciąga powietrze. Ten dźwięk przeszył go boleśnie, ale nie było innego wyjścia. Należało powrócić do pierwotnego planu. Całował jej usta, podbródek, śliczną obnażoną szyję i wtedy…

– Iris Smythe-Smith!

Richard odskoczył do tyłu. Dziwne, ale nie musiał udawać zdumienia.

Pośpiesznym krokiem zbliżała się ku nim lady Pleinsworth.

– Na miłość boską, co się tutaj dzieje?

– Ciocia Charlotte!

Iris zatoczyła się do tyłu, drżąc niczym spłoszona sarna. Richard widział, jak spojrzenie dziewczyny biegnie od ciotki do kogoś za jej plecami, po czym z rosnącym przerażeniem uświadomił sobie, że w korytarzu pojawiły się również Harriet, Elizabeth i Frances – i wszystkie trzy gapią się na nich w osłupieniu.

Boże drogi, teraz był jeszcze odpowiedzialny za deprawację dzieci.

– Proszę natychmiast puścić moją bratanicę! – zagrzmiała lady Pleinsworth.

Pomyślał, że bezpieczniej będzie nie komentować, iż już to zrobił.

– Harriet! – Lady Pleinsworth ani na moment nie spuszczała Richarda z oka. – Przyprowadź ciocię Marię.

Harriet nerwowo skinęła głową i pośpieszyła wykonać polecenie.

– Elizabeth, przywołaj lokaja. Frances, idź do swego pokoju.

– Ja też mogę w czymś pomóc – zaprotestowała dziewczynka.

– Do pokoju, Frances. W tej chwili!

Biedna odtwórczyni roli jednorożca nadal miała na czole przyklejony róg, więc biegnąc, musiała podtrzymywać go obiema rękami.

Kiedy lady Pleinsworth znowu się odezwała, jej głos brzmiał nieubłaganie.

– A ty, Iris, i sir Kenworthy do salonu. Natychmiast.

Richard odsunął się i przepuścił Iris. Nie sądził, by mogła być jeszcze bledsza niż zwykle, ale teraz wyglądała, jakby była całkowicie pozbawiona krwi.

Trzęsły jej się ręce. Tak mu było przykro, że trzęsły jej się ręce.

Gdy tylko weszli do salonu, zjawił się lokaj. Lady Pleinsworth odciągnęła go na bok i powiedziała coś cicho. Richard przypuszczał, że wysyłała służącego z wiadomością dla ojca Iris.

– Proszę usiąść – rozkazała winowajcom.

Iris osunęła się na krzesło.

Lady Pleinsworth zwróciła władcze spojrzenie na jej towarzysza. Richard splótł ręce za plecami.

– Nie mogę, kiedy pani stoi, milady.

– Daję panu pozwolenie – odgryzła się.

Zajął miejsce. Siedzieć potulnie i milczeć było sprzeczne z jego naturą, ale wiedział, że działo się to, co musiało się stać. Pragnął tylko, by Iris nie miała takiej pustki w oczach, by nie wydawała się taka przygnębiona i zawstydzona.

– Charlotte? – dobiegło ich wołanie pani Smythe-Smith.

Matka Iris weszła do salonu, a za nią Harriet, nadal ze swoją pasterską laską.

– Charlotte, o co chodzi? Harriet powiedziała mi… – Pani Smythe-Smith przerwała w pół słowa, ogarniając wzrokiem zastaną scenę. – Co się stało? – zapytała cicho.

– Posłałam po Edwarda – powiedziała lady Pleinsworth.

– Po ojca? – wykrztusiła Iris drżącym głosem.

Ciotka odwróciła się, by spojrzeć jej w twarz.

– Chyba nie myślałaś, że możesz tak postępować bez żadnych reperkusji?

Richard poderwał się z krzesła.

– Ona niczemu nie jest winna.

– Co. Się. Stało? – powtórzyła pani Smythe-Smith, wyraźnie wymawiając każde słowo.

– Sir Kenworthy ją skompromitował – wyjaśniła lady Pleinsworth.

Pani Smythe-Smith gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Iris, jak mogłaś?

– To nie jej wina – wtrącił się Richard.

– Nie z panem rozmawiam – warknęła matka Iris. – Przynajmniej nie w tej chwili. – Po czym zwróciła się do bratowej: – Kto o tym wie?

– Moje trzy najmłodsze.

Pani Smythe-Smith przymknęła oczy.

– One nie pisną słowa! – wykrzyknęła nagle Iris. – Jestem ich kuzynką.

– To jeszcze dzieci! – zagrzmiała lady Pleinsworth.

Richard miał już tego dość.

– Muszę prosić, żeby nie zwracała się pani do panny Smythe-Smith tym tonem.

– Nie sądzę, by znajdował się pan w sytuacji, która umożliwia wysuwanie jakichkolwiek żądań.

– Niemniej jednak – odparł cicho – będzie pani zwracać się do niej z szacunkiem.

Na tę zuchwałość lady Pleinsworth uniosła brwi, ale nic nie odrzekła.

– Nie mogę uwierzyć, że zachowałaś się tak głupio – powiedziała matka Iris.

Iris milczała.

Wówczas pani Smythe-Smith odwróciła się do Richarda; jej usta były jak wyżłobiona w twarzy twarda, gniewna kreska.

– Będzie pan musiał się z nią ożenić.

– Niczego bardziej sobie nie życzę.

– Wątpię w pana szczerość, sir.

– To niesprawiedliwe! – zawołała Iris, podrywając się na równe nogi.

– Bronisz go? – rzuciła oskarżycielskim tonem jej matka.

– Miał uczciwe zamiary.

Uczciwe, pomyślał Richard. Sam już nie był pewien, co to oznacza.

– Och, doprawdy? – Pani Smythe-Smith niemal wypluła te słowa. – Skoro jego zamiary były uczci…

– Właśnie wtedy prosił mnie o rękę!

Maria Smythe-Smith wodziła spojrzeniem od córki do Richarda i z powrotem, wyraźnie nie wiedząc, jak się zachować wobec takiego rozwoju wydarzeń.

– Nie powiem już nic na ten temat, dopóki nie przybędzie pan Smythe-Smith – oznajmiła wreszcie. – To zapewne nie potrwa długo. Noc jest bezchmurna, więc jeśli twoja ciotka – tu skinęła głową w stronę lady Pleinsworth – wyraźnie zaznaczyła wagę tego wezwania, przypuszczalnie będzie chciał przyjść piechotą.

Richard sądził podobnie. Oba domy dzieliła bardzo mała odległość. Znaczniej mniej czasu zająłby ojcu Iris spacer niż oczekiwanie, aż zaprzęgną powóz.

Przez kilka sekund w pokoju zalegała pełna napięcia cisza, po czym matka Iris

raptownie zwróciła się do szwagierki:

– Musisz wracać do gości, Charlotte. Nieobecność nas obu może wzbudzić podejrzenia.

Lady Pleinsworth przytaknęła ponuro.

– I zabierz Harriet – ciągnęła pani Smythe-Smith. – Przedstaw ją jakimś panom. Jest już w takim wieku, że niedługo zacznie bywać. To się wyda najnaturalniejsze w świecie.

– Ale ja jestem jeszcze w kostiumie – zaprotestowała nieszczęsna pasterka.

– Teraz nie pora na pruderię – oświadczyła lady Pleinsworth, łapiąc ją za ramię. – Idziemy.

Harriet podążyła niepewnym krokiem za matką, ale nim wyszła, rzuciła jeszcze kuzynce ostatnie życzliwe spojrzenie.

Pani Smythe-Smith zamknęła drzwi salonu i odetchnęła.

– Nawarzyliście sobie piwa – powiedziała bez cienia współczucia.

– Natychmiast wystąpię o specjalne zezwolenie – odparł Richard. Nie widział powodu, by się przyznać, że już je uzyskał.

Skrzyżowawszy ręce na piersiach, zaczęła przemierzać pokój.

– Mamo? – zaryzykowała Iris.

Maria Smythe-Smith wyciągnęła w górę drżący palec.

– Nie teraz.

– Ale…

– Zaczekamy na ojca! – warknęła. Dosłownie trzęsła się z gniewu.

Po minie Iris Richard poznał, że nigdy nie widziała matki w takim stanie.

Dziewczyna odsunęła się, przyciskając ręce do ciała. Chciał ją pocieszyć, ale wiedział, że pani Smythe-Smith wpadłaby w furię, gdyby zrobił choć jeden krok w stronę jej dziecka.

– Spośród wszystkich moich córek – powiedziała rozwścieczonym szeptem – jesteś ostatnią, którą bym posądzała o coś podobnego.

Iris odwróciła wzrok.

– Tak mi za ciebie wstyd.

– Za mnie? – spytała cichutko.

Richard groźnie przesunął się do przodu.

– Powiedziałem, że pani córka niczemu nie jest winna.

– Oczywiście, że jest – odparła ostro pani Smythe-Smith. – Została z panem sama? Już ona dobrze wie.

– Byłem w trakcie oświadczyn.

– Jak przypuszczam, jeszcze nie prosił pan o spotkanie z panem Smythe-

Smithem, by uzyskać jego zgodę?

– Uznałem, że okażę uszanowanie państwa córce, najpierw ją pytając, czy się zgodzi.

Wargi pani Smythe-Smith zacisnęły się w gniewną linię, ale nic mu nie odpowiedziała. Zerknęła tylko odruchowo na Iris i mruknęła sfrustrowana:

– Och, gdzie jest twój ojciec?

– Jestem pewna, że wkrótce nadejdzie, mamo.

Richard już się szykował, by znów stanąć w obronie swojej wybranki, jednak tym razem jej matka powściągnęła język. Wreszcie po kilku następnych minutach drzwi salonu otwarły się i wkroczył ojciec Iris.

Edward Smythe-Smith nie odznaczał się jakimś nadzwyczajnym wzrostem, lecz trzymał się prosto. Richard przypuszczał, że w młodości musiał być całkiem nieźle wysportowany. I z pewnością nadal miał dość siły, by rozkwasić komuś twarz, gdyby uznał, że zaszła taka potrzeba.

– Mario? – odezwał się od progu, spoglądając na żonę. – Co tu się dzieje? Dostałem pilne wezwanie od Charlotte.

Pani Smythe-Smith bez słowa wskazała dwójkę winowajców.

– Sir. – Richard się skłonił, a Iris tylko wlepiała wzrok w swoje ręce.

Zapadła cisza.

Richard odchrząknął.

– Bardzo chciałbym poślubić pańską córkę.

– Jeśli prawidłowo rozumiem sytuację – z miażdżącym spokojem odparł ojciec Iris – to nie ma pan w tej sprawie wielkiego wyboru.

– Co nie zmienia faktu, że właśnie tego pragnę.

Edward Smythe-Smith skinął głową w stronę córki, ale na nią nie spojrzał.

– Iris?

– On poprosił mnie o rękę, ojcze. Jeszcze zanim…

– Zanim co?

– Zanim ciocia Charlotte… zobaczyła…

Sir Kenworthy zaczerpnął tchu, próbując się pohamować. Iris była taka przygnębiona. Nie mogła nawet dokończyć zdania. Czy jej ojciec tego nie widział? Ona nie zasłużyła na takie przesłuchanie, a jednak Richard czuł instynktownie, iż wszelka interwencja z jego strony tylko pogorszyłaby sytuację.

Lecz przecież nie mógł w ogóle nie reagować.

– Iris – powiedział łagodnie, mając nadzieję, że ona dosłyszy w jego głosie wsparcie. Gdyby potrzebowała pomocy, zastąpiłby ją.

– Sir Richard poprosił mnie o rękę – oznajmiła Iris z determinacją, ale nie

patrzyła na niego. Nawet nie rzuciła okiem w jego stronę.

– I jak – spytał ojciec – brzmiała twoja odpowiedź?

– Ja… jeszcze nie odpowiedziałam.

– A jak miała brzmieć?

Przełknęła ślinę, wyraźnie speszona wlepionymi w nią spojrzeniami.

– Powiedziałabym „tak”.

Richard pokręcił głową. Dlaczego Iris kłamała? Przecież mówiła mu, że potrzebuje więcej czasu.

– Więc postanowione – stwierdził pan Smythe-Smith. – Wolałbym, żeby doszło do tego w inny sposób, ale ona jest pełnoletnia, chce pana poślubić i w rzeczy samej, nawet musi. – Spojrzał na żonę. – Przypuszczam, że konieczny będzie rychły ślub.

Pani Smythe-Smith odetchnęła z ulgą.

– Może to nie takie pilne. Ufam, że Charlotte kontroluje plotki.

– Plotek nie da się kontrolować.

Richard w pełni się z tym zgadzał.

– Jednak – obstawała przy swoim matka Iris – nie jest to aż tak pilne, jak mogłoby być. Nadal możemy urządzić jej odpowiednią uroczystość. Będzie lepiej wyglądało, jeśli unikniemy zbytniego pośpiechu.

– Zgoda. – Pan Smythe-Smith zwrócił się do Richarda: – Może ją pan poślubić za dwa miesiące.

Dwa miesiące? O nie. To niewykonalne.

– Nie mogę czekać dwóch miesięcy, sir – odparł szybko Richard.

Brwi ojca Iris powoli podjechały w górę.

– Jestem potrzebny w naszej posiadłości.

– Mógł pan o tym pomyśleć, zanim pan zaczął kompromitować moją córkę.

Richard łamał sobie głowę nad najlepszą wymówką, taką, która najpewniej skłoniłaby Edwarda Smythe-Smitha, by ustąpił.

– Jestem jedynym opiekunem dwóch młodszych sióstr, sir. Zaniedbałbym swoje obowiązki, gdybym wkrótce nie wrócił.

– Mam wrażenie, że przed kilku laty spędził pan w mieście parę sezonów – odparł pan Smythe-Smith. – Kto wówczas sprawował nadzór nad pana siostrami?

– Mieszkały z naszą ciotką. Nie byłem wystarczająco dojrzały, by wypełniać swoje obowiązki.

– Proszę wybaczyć, jeśli powątpiewam w pańską obecną dojrzałość.

Richard zmusił się do milczenia. Gdyby miał córkę, byłby równie wściekły. Pomyślał o własnym ojcu. Zastanawiał się, co on by powiedział o wydarzeniach

tego wieczoru. Bernard Kenworthy kochał rodzinę – Richard nigdy nie podawał tego w wątpliwość – ale podejście starszego pana do ojcostwa można było najlepiej określić jako życzliwy brak zainteresowania. Gdyby żył, co by zrobił? Nic?

Jednak Richard nie był swoim ojcem. Nie potrafił znieść bezczynności.

– Dwa miesiące to termin absolutnie do przyjęcia – wróciła do tematu pani Smythe-Smith. – Nie ma powodu, żeby nie mógł pan pojechać do siebie, a potem wrócić na ślub. Szczerze mówiąc, nawet tak bym wolała.

– A ja nie – odezwała się nagle Iris.

Rodzice popatrzyli na nią, wstrząśnięci.

– Ja nie. – Z trudem przełknęła, a Richardowi ścisnęło się serce na widok napięcia, które dostrzegł w jej drobnym ciele. – Skoro decyzja została już podjęta, chciałabym raczej podążać dalej.

Pani Smythe-Smith zrobiła krok w jej stronę.

– Ale twoja reputacja…

– …równie dobrze mogła już lec w gruzach. Jeśli o to chodzi, znacznie bardziej wolałabym znaleźć się w Yorkshire, gdzie nikogo nie znam.

– Nonsens – zbyła te argumenty matka. – Poczekamy i zobaczymy, co się będzie działo.

Jej oczy napotkały nieugięte spojrzenie Iris.

– Czy ja w tej sprawie nie mam nic do powiedzenia?

Wargi pani Smythe-Smith zadrżały. Zwróciła wzrok na męża.

– Niech będzie, jak ona sobie życzy – odparł po chwili namysłu. – Nie widzę powodu, żeby zmuszać ją do czekania. Bóg jeden wie, że przez cały czas będą sobie z Daisy skakały do gardeł. – Następnie poinformował Richarda: – Iris jest nie do wytrzymania, kiedy wpadnie w zły nastrój.

– Ojcze!

Zignorował ją.

– A Daisy, kiedy wpadnie w dobry. Planowanie ślubu tę – energicznym ruchem głowy wskazał Iris – przygnębi, a tamtą wprawi w entuzjazm. Będę musiał wyjechać do Francji.

Richard nawet się nie uśmiechnął. Edward Smythe-Smith miał poczucie humoru z gatunku tych szczególnie zjadliwych, które nie potrzebują śmiechu.

– Mario. Iris – zakomenderował starszy pan.

Obie kobiety ruszyły za nim do wyjścia.

– Z panem widzę się za dwa dni – zwrócił się do Richarda. – Oczekuję, że będzie pan miał zgodę na ślub i ustalenia majątkowe.

– Będę miał, sir.

Wychodząc z pokoju, Iris spojrzała przez ramię i ich oczy spotkały się.

Dlaczego? – zdawała się go pytać. Dlaczego?

W tym momencie uświadomił sobie, że ona wiedziała. Wiedziała, że nie działał pod wpływem namiętności, a to małżeństwo z przymusu było – aczkolwiek kiepsko – przez niego zaplanowane.

Sir Richard Kenworthy nigdy nie czuł się tak zawstydzony.

# 8

*Tydzień później*

Kiedy obudziła się rano, w dniu swego ślubu, grzmiało, a zanim pokojówka przyniosła jej śniadanie, Londyn zalały strugi deszczu.

Iris podeszła do okna i opierając czoło o chłodną szybę, wyjrzała na dwór. Za trzy godziny miała wyjść za mąż. Do tej pory mogło się przejaśnić. W odległej części nieba prześwitywał dziwny, mały skrawek błękitu. Wydawał się samotny. Nie na miejscu.

Ale obiecujący.

Jak przypuszczała, było to w gruncie rzeczy nieistotne. Przecież nie mogła zmoknąć. Na mocy specjalnego zezwolenia uroczystości ślubne miały odbyć się w salonie jej rodzinnego domu. Tak więc podróż do ołtarza oznaczała dwa korytarze i jedną kondygnację schodów.

Iris żywiła tylko nadzieję, że ulewy nie podmyły dróg. Ona i sir Richard jeszcze tego samego popołudnia musieli wyruszyć do Yorkshire. I chociaż czuła zrozumiały lęk, opuszczając bliskich i wszystko, co znajome, wystarczająco dużo słyszała o nocach poślubnych, by wiedzieć, że swojej nie życzy sobie spędzać pod dachem rodziców.

Dowiedziała się, że sir Richard nie utrzymywał w Londynie domu, a jego wynajęte apartamenty nie były odpowiednie dla świeżo poślubionej małżonki. Dlatego chciał jak najszybciej zabrać ją do ich posiadłości, Maycliffe Park, gdzie miała spotkać się z jego siostrami.

Nerwowy śmiech buzował jej w gardle. Siostry. Pomyśleć, że sir Richard miał siostry. Jeżeli czegoś w jej życiu nigdy nie brakowało, to właśnie sióstr.

Od tych myśli oderwało ją stukanie do drzwi i kiedy Iris powiedziała: „Proszę”, do sypialni weszła matka.

– Dobrze spałaś? – zapytała pani Smythe-Smith.

– Nie bardzo.

– Dziwiłabym się, gdyby było inaczej. Nie ma znaczenia, jak dobrze panna

młoda zna pana młodego. Zawsze jest pełna obaw.

Iris sądziła, że raczej ma to znaczenie. Z pewnością mniej by się denerwowała – albo przynajmniej denerwowałaby się w inny sposób – gdyby znała swego wybranka dłużej niż dwa tygodnie.

Nie zwierzyła się z tego matce, bo nigdy nie rozmawiały na takie tematy. Gawędziły o drobiazgach i wydarzeniach dnia, o muzyce, czasami o książkach, a przede wszystkim o siostrach, kuzynkach i wszystkich ich dzieciach. Lecz nie o uczuciach. To nie było w stylu żadnej z nich.

Jednak Iris wiedziała, że jest kochana. Pani Smythe-Smith może i nie należała do osób, które mówią takie rzeczy albo zachodzą do pokoju córki z uśmiechem i filiżanką herbaty, ale kochała swoje dzieci całą mocą matczynego serca. Iris nigdy w to nie wątpiła, nawet przez chwilę.

Matka usiadła w nogach łóżka i przywołała ją skinieniem.

– Naprawdę życzyłabym sobie, żebyś w podróży miała pokojówkę – powiedziała. – Tak absolutnie nie powinno być.

Iris zdołała pohamować śmiech. Co za niedorzeczność! Po wszystkich wydarzeniach poprzedniego tygodnia tym, co nie jest takie, jak powinno, okazał się brak osobistej panny służącej?

– Nigdy nie radziłaś sobie z włosami – ciągnęła matka. – Samej je układać…

– Wszystko będzie dobrze, mamo – odparła Iris.

Miały z Daisy wspólną pokojówkę, która, otrzymawszy możliwość wyboru, wolała pozostać w Londynie. W tej sytuacji Iris uznała za roztropne wstrzymać się i nająć kogoś, w Yorkshire. To pomoże jej sprawić wrażenie, że w swoim nowym domu nie jest osobą postronną. Oby tylko pomogło jej również tak się poczuć.

Wróciła do łóżka i oparła się o poduszki. Siedząc w ten sposób, wydawała się sobie samej bardzo młoda. Już nie pamiętała, kiedy ostatnim razem matka odwiedziła ją w sypialni i przycupnęła na jej pościeli.

– Nauczyłam cię wszystkiego, czego potrzebujesz, żeby odpowiednio zarządzać domem – powiedziała pani Smythe-Smith.

Iris pokiwała głową.

– Masz mieszkać na wsi, więc to pewna odmiana, ale zasady pozostają te same. Nie zapominaj, że sprawą najwyższej wagi są stosunki z gospodynią. Jeśli ona nie będzie cię szanować, to nikt nie będzie. Ona nie musi się ciebie bać…

Próbując ukryć nieco spłoszone rozbawienie, Iris zerknęła w dół, na swoje kolana. Myśl, że ktokolwiek mógłby się jej bać, była absurdalna.

– …ale musi uznawać twoje zwierzchnictwo – zakończyła matka. – Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Iris podniosła wzrok.

– Oczywiście. Przepraszam. – Zdobyła się na lekki uśmiech. – Nie sądzę, aby Maycliffe Park był szalenie duży. Sir Richard opisywał mi wszystko. Jestem pewna, że muszę się wiele nauczyć, ale wierzę, że sprostam zadaniu.

Matka poklepała ją po ręce.

– Nie wątpię, że sprostasz.

Na chwilę zapadła dziwnie niezręczna cisza, po czym pani Smythe-Smith zapytała:

– A jaki jest ten dom w Maycliffe? Elżbietański? Średniowieczny? Czy grunty wokół są rozległe?

– Późnośredniowieczny, wzniesiony w piętnastym wieku. Ale z tego co wiem, parokrotnie go przebudowywano.

– A ogrody?

– Nie bardzo się orientuję – odparła powoli Iris tonem pełnym ostrożności. Była pewna, że matka nie przyszła do jej pokoju omawiać architektury i krajobrazów Maycliffe Park.

– Oczywiście.

Oczywiście? – zdumiała się Iris.

– Mam nadzieję, że dom okaże się wygodny – stwierdziła rzeczowo jej matka.

– Na pewno będę miała wszystko, co potrzeba.

– Przypuszczam, że jest zimny. – Wstrząsnęła się. – Zimy na północy… Nie mogłabym ich znieść. Będziesz musiała pilnować służących, żeby mieć pewność, że wszędzie jest napalone…

– Mamo – wpadła jej w słowo Iris i matka przerwała swoje wywody.

– Wiem, że nie przyszłaś gawędzić o Maycliffe.

– Nie. – Pani Smyth-Smith zaczerpnęła tchu. – Nie, nie po to przyszłam.

Jej córka czekała cierpliwie, podczas gdy ona wierciła się w zupełnie nietypowy dla siebie sposób, skubiąc jasnoniebieską kapę i uderzając w nią opuszkami palców. Wreszcie podniosła wzrok i popatrzyła Iris w oczy:

– Jesteś świadoma, że ciało mężczyzny nie jest… takie samo jak u kobiety?

Usta Iris rozchyliły się ze zdumienia. Spodziewała się tej rozmowy, ale to było całkiem bez owijania w bawełnę.

– Iris?

– Oczywiście – odparła szybko. – Oczywiście, mam tego świadomość.

– To właśnie te różnice umożliwiają rozmnażanie się.

Iris już chciała powiedzieć: „Rozumiem”, jednak była niemal całkiem pewna, że wcale nie rozumie. A przynajmniej nie w takim stopniu, w jakim miało jej to być

potrzebne.

– Twój mąż będzie… – Pani Smythe-Smith westchnęła, sfrustrowana.

Iris nie przypominała sobie, by kiedykolwiek widziała matkę równie wytrąconą z równowagi.

– To, co zrobi…

Czekała.

– On… – Pani Smythe-Smith umilkła na chwilę i rozpostarła przed sobą obie dłonie niczym rozgwiazdy, niemal jakby szukała oparcia w ulotnym powietrzu. – On umieści tę swoją część, która jest inna, w tobie, w środku.

– We… – Wydawało się, że Iris nie jest w stanie wydusić słowa. – We mnie?

Policzki jej matki przybrały niewiarygodny odcień różu.

– Ta jego część, która jest inna, wchodzi do twojej części, która jest inna. W ten sposób jego nasienie dostaje się do twojego ciała.

Iris próbowała to sobie wyobrazić. Wiedziała, jak wygląda mężczyzna. Widywane rzeźby nie zawsze miały listek figowy. Ale to, co opisywała matka, wydawało się bardzo niewygodne. Z pewnością Bóg w swojej nieskończonej mądrości zaprojektowałby praktyczniejsze metody prokreacji.

Z drugiej jednak strony nie miała powodu, by słowa matki podawać w wątpliwość. Więc tylko zmarszczyła brwi i zapytała:

– Czy to boli?

Twarz pani Smythe-Smith przybrała poważny wyraz.

– Nie będę cię okłamywać. Nie jest to szczególnie wygodne i za pierwszym razem dość boli. Ale potem już będzie łatwiej, obiecuję. Zauważyłam, że pomaga, kiedy umysł jest czymś zajęty. Ja zwykle robię domowe rachunki.

Iris nie miała pojęcia, co ma o tym sądzić. Jej kuzynki, napomykając o swoich obowiązkach małżeńskich, nie wypowiadały się tak otwarcie, ale też nigdy nie odniosła wrażenia, że spędzają czas na rachowaniu w pamięci.

– Czy będę musiała często to robić? – zapytała.

Matka westchnęła.

– Możliwe. To zależy. Naprawdę.

– Od czego?

Pani Smythe-Smith wydała kolejne westchnienie, ale teraz już przez zaciśnięte zęby. Nie życzyła sobie dalszych pytań, co było widać gołym okiem.

– Większość kobiet nie zachodzi w ciążę od pierwszego razu. A nawet gdyby ci się udało, nie będziesz tego wiedziała natychmiast.

– Nie?

Tym razem pani Smythe-Smith dosłownie jęknęła.

– Będziesz wiedziała, że spodziewasz się dziecka, kiedy ustaną miesiączki.

Jej miesiączki mogły ustać? Cóż, to byłby czysty zysk.

– A ponadto – ciągnęła matka – mężczyźni znajdują w tym akcie przyjemność, której kobiety nie odczuwają. – Odchrząknęła zakłopotana. – Zależnie od apetytów twego męża…

– Apetytów? – Chodziło o jedzenie?

– Proszę, przestań mi przerywać. – Zabrzmiało to wręcz błagalnie.

Iris natychmiast zamknęła usta. Jej matka nigdy nie błagała.

– Próbuję powiedzieć – ciągnęła pani Smythe-Smith z napięciem w głosie – że twój mąż zapewne będzie chciał obcować z tobą wiele razy. Przynajmniej na początku waszego małżeństwa.

Przyszła lady Kenworthy przełknęła ślinę.

– Rozumiem.

– No, dobrze – oświadczyła dziarsko pani Smythe-Smith, dosłownie podrywając się na nogi. – Mamy dziś wiele do zrobienia.

Rozmowa najwyraźniej dobiegła końca.

– Jestem pewna, że twoje siostry będą chciały pomóc ci przy ubieraniu.

Na ustach Iris pojawił się niepewny uśmiech. Byłoby miło znów mieć je wszystkie w jednym miejscu. Rose mieszkała daleko, w zachodniej części Gloucestershire, ale nawet przy zaproszeniu z zaledwie kilkudniowym wyprzedzeniem miała masę czasu, by zdążyć do Londynu na ślub.

Yorkshire leżało o tyle dalej niż Gloucestershire.

Matka poszła, jednak nie minęło pięć minut, a znów ktoś zastukał do drzwi.

– Proszę! – zawołała Iris ze znużeniem.

To była lady Sarah Prentice – z tajemniczą miną i w swojej najlepszej porannej sukni.

– Och, dzięki Bogu jesteś sama.

Iris natychmiast się ożywiła.

– A o co chodzi?

Sarah zerknęła przez ramię na korytarz, a potem zamknęła za sobą drzwi.

– Mama już u ciebie była?

Iris jęknęła.

– A więc była.

– Wolałabym o tym nie mówić.

– Nie, właśnie dlatego przyszłam. To znaczy, nie żeby rozmawiać o radach twojej matki. Z pewnością nie chcę wiedzieć, co usłyszałaś. Jeśli było to podobne do tego, co mówiła mi moja… – Sarah przeszedł dreszcz, ale zaraz wzięła się w

garść. – Posłuchaj. Cokolwiek twoja matka powiedziała ci o relacjach małżeńskich, puść to mimo uszu.

– Wszystko? – spytała z powątpiewaniem Iris. – Ona chyba nie może całkowicie się mylić.

Kuzynka roześmiała się i podeszła, by usiąść koło niej na łóżku.

– Nie, oczywiście, że nie. W końcu urodziła kilkoro dzieci. Miałam na myśli tylko… No dobrze, czy powiedziała ci, że to jest okropne?

– Nie dosłownie tak, ale brzmiało dość nieprzyjemnie.

– I na pewno takie może być, jeśli nie kochasz swego męża.

– Ja nie kocham mego męża – odparła Iris szczerze.

Sarah westchnęła. W jej głosie nie było już tyle pewności.

– Ale przynajmniej go lubisz?

– Tak, oczywiście. – Iris pomyślała o mężczyźnie, którego za parę krótkich godzin zamierzała poślubić. Nie mogła powiedzieć, że go kocha, ale uczciwie rzecz biorąc, nie znajdowała w nim niczego naprawdę złego. Miał czarujący uśmiech i jak dotąd odnosił się do niej z najwyższym szacunkiem. Jednak prawie go nie znała. – Może go pokocham – dodała, żałując, że nie mówi tego z większym przekonaniem. – Mam nadzieję, że tak się stanie.

– Cóż, to już dobry początek. – Sarah w zamyśleniu zacisnęła usta. – Wydaje mi się, że on też cię lubi.

– Jestem tego niemal pewna – przytaknęła Iris. Po czym już całkiem innym tonem dorzuciła: – Chyba że jest wybornym kłamcą.

– Co masz na myśli?

– Nic szczególnego – odparła szybko.

Szkoda, że jej się to wyrwało. Sarah wiedziała, dlaczego ślub odbywa się w takim pośpiechu – cała rodzina wiedziała – ale nikt nie znał prawdziwego powodu oświadczyn sir Richarda.

Nawet ona sama.

Iris westchnęła. Lepiej, aby wszyscy sądzili, że to było romantyczne wyznanie miłości. Albo przynajmniej, że on przemyślał całą sprawę i uznał, iż dobrze do siebie pasują. Ale nie takie… takie…

Nie miała pojęcia, jak to wytłumaczyć, nawet samej sobie. I żałowała, że nie potrafi pozbyć się dręczących podejrzeń.

– Iris?

– Przepraszam. – Iris lekko pokręciła głową. – Ostatnio jestem trochę rozkojarzona.

– Spodziewam się – przyznała Sarah, najwyraźniej akceptując to wyjaśnienie. –

Rozmawiałam z sir Richardem tylko parę razy, ale wydaje mi się przyzwoitym człowiekiem i myślę, że będzie cię dobrze traktował.

– Jeśli twoim zamiarem było rozproszenie moich obaw, to muszę powiedzieć, że sromotnie zawiodłaś.

Sarah wydała komiczny jęk przygnębienia i złapała się za głowę.

– Posłuchaj. I zaufaj mi. Ufasz mi?

– Niespecjalnie.

Mina lady Prentice nie była już zabawna.

– Żartuję – powiedziała z uśmiechem Iris. – Daj spokój, chyba wolno mi trochę pożartować w dniu własnego ślubu. Zwłaszcza po tej rozmowie z matką.

– Po prostu pamiętaj – odparła Sarah, sięgając po dłoń kuzynki. – To, co dzieje się między mężem a żoną, może być wspaniałe.

Na twarzy Iris musiało odmalować się powątpiewanie, bo Sarah dodała:

– To coś bardzo wyjątkowego. Naprawdę.

– Czy ktoś mówił ci o tym przed ślubem? Po twojej rozmowie z matką? Dlatego pomyślałaś, żeby tu przyjść i mi powiedzieć?

Ku wielkiemu zdziwieniu Iris jej przyjaciółka oblała się ciemnym rumieńcem.

– Hugh i ja… ach… my…

– Sarah!

– Skandal, wiem. Ale to było cudowne, naprawdę, i nie mogłam się powstrzymać.

Iris osłupiała. Chociaż zawsze uważała kuzynkę za bardziej wolnomyślną niż ona sama, nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że oddała się Hugh przed ślubem.

– Posłuchaj – powiedziała Sarah, ściskając rękę Iris. – Nie ma znaczenia, że Hugh i ja wyprzedziliśmy ślubną przysięgę. Teraz jesteśmy małżeństwem i kocham mojego męża, a on kocha mnie.

– Nie osądzam cię – odparła Iris, chociaż czuła, że jednak tak, może troszeczkę.

Sarah przyglądała się jej ze szczerym uśmiechem.

– Czy sir Richard cię pocałował?

Iris przytaknęła.

– Podobało ci się? Nie, nie odpowiadaj. Widzę po twojej twarzy.

Nie po raz pierwszy przeklinała swoją jasną cerę. Chyba nie było w Anglii drugiej osoby, która rumieniłaby się równie gwałtownie.

Przyjaciółka poklepała ją po dłoni.

– To dobry znak. Skoro jego pocałunki są przyjemne, reszta przypuszczalnie też taka będzie.

– Dzisiaj jest najdziwniejszy poranek w moim życiu – mruknęła słabym głosem

Iris.

– Niedługo zrobi się jeszcze dziwniej – Sarah wstała i z żartobliwą przesadą skłoniła przed nią głowę – lady Kenworthy.

Iris cisnęła w nią poduszką.

– Muszę uciekać. – Lady Prentice ruszyła do drzwi. – Lada chwila nadciągną twoje siostry, żeby pomóc ci w przygotowaniach.

Z ręką na klamce zerknęła jeszcze przez ramię i się uśmiechnęła.

– Zaczekaj! – zawołała za nią Iris.

Sarah pytająco przechyliła głowę.

Patrząc na kuzynkę, Iris po raz pierwszy w życiu uświadomiła sobie, jak bardzo ją kocha.

– Dziękuję.

Parę godzin później była już naprawdę panią Kenworthy. Stanęła przed kapłanem i wypowiedziała słowa, które na całe życie związały ją z sir Richardem.

On nadal ją intrygował. W krótkim okresie pomiędzy narażeniem na szwank jej czci a ślubem nie zrezygnował z zalotów i Iris musiała przyznać, że był czarujący. Jednak wciąż nie potrafiła ufać mu bez zastrzeżeń.

Lubiła go. Bardzo go lubiła. Jego sarkastyczne poczucie humoru idealnie odpowiadało jej dowcipowi. I na upartego mogłaby powiedzieć, że uważa sir Richarda za człowieka o odpowiednich zasadach moralnych.

Jednak było to nie tyle przeświadczenie, co domysł lub, w gruncie rzeczy, po prostu nadzieja. Instynkt mówił jej, że wszystko dobrze się ułoży, ale Iris niechętnie zawierzała instynktowi. Była na to o wiele za rozsądna. Wolała konkrety; życzyła sobie dowodów.

Te zabiegi o jej rękę nie miały sensu. Po prostu nie potrafiła przejść nad tym do porządku.

– Czas się żegnać – powiedział do niej mąż, jej mąż!, wkrótce po zakończeniu weselnego śniadania.

Wesele, podobnie jak ceremonia ślubna, było skromne, co nie oznaczało, że małe. Liczebność rodziny panny młodej całkowicie to uniemożliwiała.

Iris przeżywała wydarzenia tego dnia, kompletnie oszołomiona, kiwając głową i uśmiechając się w – jak miała nadzieję – odpowiednich momentach. Kolejni kuzyni i kuzynki podchodzili, by jej pogratulować, ale przy każdym pocałunku w policzek i poklepaniu po ręce potrafiła myśleć tylko o tym, że znów przybliżył się moment, kiedy będzie musiała zająć miejsce w powozie sir Richarda i odjechać.

Wreszcie nadeszła ta pora.

Mąż pomógł Iris wsiąść. Usadowiła się twarzą do kierunku jazdy. Powóz okazał się ładnym pojazdem, porządnie urządzonym, wygodnym. Iris miała nadzieję, że zaopatrzono go w dobre resory, bo według tego, co mówił jej mąż, od Maycliffe Park dzieliły ich cztery dni drogi.

Chwilę później dołączył do niej sir Richard. Uśmiechnął się i usiadł naprzeciwko.

Iris zerknęła przez okno na tłum krewnych, którzy zgromadzili się przed jej domem. Nie, nie jej domem. Już nie jej. W oczach poczuła zawstydzające szczypanie, więc pośpiesznie sięgnęła do wyszywanego paciorkami woreczka. Jednak ledwie zdążyła go otworzyć, kiedy sir Richard pochylił się ku niej i wręczył jej swoją chustkę.

Nie było sensu wypierać się łez, uświadomiła sobie. On wystarczająco dobrze ją widział.

– Przepraszam – powiedziała, ocierając oczy. Panny młode nie zachowują się tak w dniu ślubu. Płacz z pewnością dobrze nie wróży.

– Nie ma za co przepraszać – odparł życzliwie. – Wiem, że to niemała zmiana.

Posłała mu najlepszy uśmiech, na jaki potrafiła się zdobyć, ale doprawdy nie wypadł on imponująco.

– Właśnie pomyślałam… – Skinęła ręką w stronę okienka powozu. Jeszcze nie ruszyli, więc gdyby wystarczająco przechyliła głowę, mogłaby dojrzeć okno swojej dawnej sypialni. – Pomyślałam, że to już nie jest mój dom.

– Mam nadzieję, że polubisz Maycliffe.

– Jestem pewna, że tak. Z opisów wygląda czarująco.

Wcześniej opowiedział jej o wielkiej klatce schodowej i sekretnych przejściach. I o pokoju, w którym spał król Jakub I. W pobliżu kuchni znajdował się ogród ziołowy, a z tyłu oranżeria. Nie przylegała do domu, jednak Richard od dawna myślał o jej przyłączeniu.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby cię uszczęśliwić – odezwał się znowu.

Iris doceniła, że obiecywał to teraz, kiedy nikt nie mógł ich usłyszeć.

– I ja również – odparła.

Powóz ruszył i potoczył się powoli przez zatłoczone ulice Londynu.

– Jak długo będziemy dzisiaj podróżować? – zapytała.

– W sumie około sześciu godzin, o ile poranny deszcz nie naruszył za bardzo dróg.

– To nie tak strasznie długo.

Richard uśmiechnął się, dając do zrozumienia, że też tak uważa.

– Póki nie oddalimy się od miasta, jest wiele możliwości odpoczynku, gdybyś

potrzebowała.

– Dziękuję.

Była to zdecydowanie najuprzejmiejsza, najstosowniejsza i najnudniejsza rozmowa ze wszystkich, które dotychczas prowadzili. Jak na ironię.

– Czy nie będzie niegrzecznie, jeśli trochę poczytam? – zapytała Iris, sięgając do swego woreczka po książkę.

– Ależ skąd. Prawdę mówiąc, to ci zazdroszczę. Absolutnie nie jestem w stanie czytać w powozie.

– Nawet podróżując przodem do kierunku jazdy? – Zagryzła wargi. Wielkie nieba, co ona plotła? Sir Richard mógł przez to zrozumieć, że chciała, by się do niej przesiadł.

A przecież wcale nie o tym mówiła.

Chociaż nie miała nic przeciwko temu.

Co nie oznacza, że tego pragnęła.

Było jej wszystko jedno. Naprawdę. Tak czy inaczej, nie dbała o to, gdzie on zdecyduje się usiąść.

– Nie ma znaczenia, czy przodem, czy tyłem – odpowiedział, przypominając Iris, że przed chwilą o coś go pytała. – Jak zauważyłem, często pomaga wpatrywanie się w jakiś odległy punkt.

– Moja matka mówi tak samo – przyznała Iris. – Też ma trudność z czytaniem w podróży.

– Zwykle po prostu jadę obok wierzchem – wyznał jej mąż, wzruszając ramionami. – To łatwiejsze rozwiązanie.

– A dzisiaj nie?

Do licha! Teraz on pomyśli, że żona próbuje się go pozbyć. Czego również wcale nie mówiła.

– Może później – odparł. – W mieście przemieszczamy się na tyle wolno, że mi to nie doskwiera.

Odchrząknęła.

– Dobrze. To teraz chwilę poczytam, jeśli można.

– Proszę bardzo.

Otworzyła książkę i zaczęła czytać. Siedziała w zamkniętym powozie. Sama ze świeżo poślubionym przystojnym mężem. I czytała.

Odnosiła wrażenie, że nie jest to najbardziej romantyczny sposób na rozpoczęcie małżeńskiego życia.

Ale z drugiej strony, co ona tam mogła wiedzieć?

# 9

Była już prawie ósma wieczór, kiedy wreszcie zatrzymali się na nocleg. Przez dłuższy czas Iris siedziała w powozie sama. Zrobili jeden krótki przystanek, żeby każde z nich mogło zadbać o swoje potrzeby, i gdy ruszali w dalszą drogę, sir Richard zdecydował się jechać konno. Iris mówiła sobie, że nie czuje się urażona. Jej mąż cierpiał na chorobę lokomocyjną; nie chciała, by się źle poczuł w dniu ich ślubu.

Jednak oznaczało to samotną podróż. Wieczór ciągnął się, robiło się coraz ciemniej. Nie mogła już szukać ucieczki w książce. Teraz, kiedy pozostawili Londyn za sobą, jazda nabrała tempa i konie wpadły w jednostajny, kojący rytm. Iris musiała zasnąć, bo najpierw była gdzieś w Buckinghamshire, a już w następnej chwili ktoś delikatnie potrząsał ją za ramię i wołał po imieniu.

– Iris?! Iris?!

– Mhm. – Budzenie się nigdy nie przychodziło jej łatwo.

– Iris, jesteśmy na miejscu.

Zamrugała kilka razy, zanim w wieczornym półmroku jego twarz nabrała ostrości.

– Sir Richard?

Mąż uśmiechał się do niej wyrozumiale.

– Myślę, że mogłabyś zrezygnować z tego „sir”.

– Mhm. Tak. – Ziewnęła, potrząsając ręką, która jej całkiem zesztywniała. Stopa też, uświadomiła sobie. – Dobrze.

Mąż obserwował ją z wyraźnym rozbawieniem.

– Zawsze tak wolno przytomniejesz?

– Nie. – Podciągnęła się do pozycji siedzącej. W którymś momencie podróży musiała całkiem osunąć się na bok. – Czasem jeszcze wolniej.

Parsknął śmiechem.

– Wezmę to pod rozwagę. Przed południem żadnych ważnych spotkań z lady Kenworthy.

Lady Kenworthy. Zastanawiała się, ile czasu minie, zanim zdoła do tego

przywyknąć.

– Zwykle można liczyć, że pozbieram się do jedenastej – odparła. – Chociaż przyznaję, że w życiu mężatki najlepsze wydają mi się śniadania w łóżku.

– Najlepsze?

Zaczerwieniła się. Niezamierzone znaczenie własnych słów wreszcie ją rozbudziło.

– Przepraszam – odparła szybko. – To było bezmyślne…

– Nie ma za co – uciął, więc odetchnęła z ulgą. Jak widać, jej mąż nie należał do osób, które łatwo się obrażają. Całe szczęście, bo Iris nie zawsze najpierw się zastanowiła, zanim coś powiedziała.

– Idziemy? – zapytał.

– Tak, oczywiście.

Zeskoczył na ziemię i podał żonie rękę.

– Lady Kenworthy.

Już po raz drugi na przestrzeni kilku minut zwrócił się do niej, używając nowego nazwiska i tytułu. Wiedziała, że wielu mężczyzn postępuje tak w początkach małżeństwa, by okazać czułość, jednak ją to krępowało. Richard chciał dobrze, tego była pewna, ale w rezultacie tylko jej przypomniał, jak wielkim zmianom uległo w ciągu tygodnia jej życie.

Niemniej jednak musiała spróbować zrobić najlepszy użytek ze swojej sytuacji. I należało zacząć od nawiązania przyjemnej rozmowy.

– Zatrzymywałeś się tu już przedtem? – zapytała, przyjmując pomocną dłoń męża.

– Tak, ja… hej, powoli!

Iris nie była całkiem pewna, jak do tego doszło – być może nie zdołała jeszcze otrząsnąć zdrętwiałej stopy ze wszystkich igiełek i szpileczek – ale poślizgnęła się na stopniu powozu i krzyknęła ze strachu, podczas gdy żołądek podjechał jej aż pod serce, a ono odwdzięczyło się, wpadając w dziki galop.

I wtedy, zanim zdążyła złapać równowagę, została pochwycona przez Richarda, który przytrzymał ją mocno i bezpiecznie postawił na ziemi.

– Boże – jęknęła, zadowolona, że czuje twardy grunt pod nogami i przycisnąwszy dłoń do serca, próbowała się uspokoić.

– Wszystko w porządku? – Richard jakby nie zauważył, że jego ręce nadal obejmują jej talię.

– Tak – odparła szeptem. Dlaczego ona szeptała? – Dziękuję.

– To dobrze. – Wpatrywał się w nią z góry. – Nie chciałbym…

Głos mu zamarł i przez pełną napięcia chwilę nie mogli oderwać od siebie oczu.

Było to najdziwniejsze, najcieplejsze doznanie i kiedy on odsunął się nagle, Iris poczuła się niepewna i zirytowana.

– Nie chciałbym, żebyś zrobiła sobie krzywdę. – Odchrząknął. – To właśnie zamierzałem powiedzieć.

– Dziękuję. – Zerknęła w stronę oberży, gdzie tętniło życie. Co za kontrast z nimi obojgiem, stojącymi nieruchomo jak posągi. – Coś zacząłeś mówić. O tym zajeździe.

Richard popatrzył na nią, zbity z tropu.

– Zapytałam, czy już kiedyś tu się zatrzymywałeś – przypomniała mu.

– A, tak. Wiele razy – odpowiedział, ale nadal sprawiał wrażenie, jakby był kompletnie rozkojarzony. Iris odczekała chwilę, udając, że poprawia rękawiczki, aż wreszcie odchrząknął i dodał: – Stąd jest trzy dni drogi do Maycliffe, nie da się uniknąć noclegu. Jadąc na północ, zawsze zatrzymuję się w tych samych dwóch zajazdach.

– A jadąc na południe?

Zamrugał i zmarszczył czoło – ze zmieszania lub lekceważąco. Właściwie nie była pewna.

– To tylko żart – zaczęła, bo przecież musiał podróżować tą samą trasą do Londynu i z powrotem. Ale zaraz dała temu spokój i powiedziała po prostu: – Nieważne.

Przez przenikliwie długą chwilę Richard nie odrywał od niej oczu. A potem podał jej ramię, mówiąc:

– Chodź.

Iris podniosła wzrok na wesoły malowany szyld wiszący nad drzwiami. „Pod Zakurzoną Gęsią”. Naprawdę? Miała spędzić swoją poślubną noc w oberży z zakurzoną gęsią w nazwie?

– Mam nadzieję, że cię ten zajazd zadowala? – spytał uprzejmie mąż, wprowadzając ją do środka.

– Oczywiście – odparła, bo też nie mogła nic innego powiedzieć. Ani nie chciała.

Rozejrzała się dookoła. Było to naprawdę czarujące miejsce, z tudorowskimi oknami o wielu małych szybkach w kształcie rombów i ze świeżymi kwiatami na kontuarze.

– Ach, to sir Richard Kenworthy! – wykrzyknął oberżysta, przybiegając, by powitać gości. – Naprawdę szybko państwo dotarli.

– Drogi dobrze zniosły poranną ulewę – odparł przyjaznym tonem Richard. – Bardzo przyjemnie się jechało.

– Jak sądzę, to raczej zasługa towarzystwa niż dróg – odparł właściciel zajazdu ze znaczącym uśmiechem. – Życzę wiele radości.

Richard podziękował skinieniem głowy, po czym oznajmił:

– Mam honor przedstawić moją świeżo poślubioną małżonkę, lady Kenworthy. Lady Kenworthy, to jest pan Fogg, szacowny właściciel Zakurzonej Gęsi.

– Czuję się zaszczycony, madame. Pani mąż jest naszym ulubionym gościem.

Richard uśmiechnął się do niego półgębkiem.

– W każdym razie częstym.

– Ten zajazd jest uroczy. Jednak nigdzie nie widzę kurzu – zażartowała Iris.

Pan Fogg radośnie wyszczerzył zęby.

– Staramy się, jak możemy, trzymać gęsi na dworze.

Rozbawił ją i z całego serca była mu za to wdzięczna. Dźwięk własnego śmiechu wydał się jej niemal obcy.

– Czy pozwolą państwo, że teraz zaprowadzę ich do pokoi? Pani Fogg przygotowała na kolację swoją najlepszą pieczeń z serem, kartoflami i puddingami z Yorkshire. Mogę podać w prywatnej jadalni, kiedy tylko państwo sobie zażyczą.

Iris uśmiechnęła się w podziękowaniu i ruszyła za oberżystą po schodach.

– Jesteśmy na miejscu, milady – oznajmił po chwili, otwierając drzwi na samym końcu korytarza. – To nasz najpiękniejszy pokój.

Rzeczywiście, jak na zajazd jest bardzo elegancki, pomyślała Iris, podziwiając wielkie łoże z baldachimem i okno wychodzące na południe.

– Mamy tylko dwie sypialnie z prywatnymi pokojami toaletowymi – ciągnął pan Fogg – ale oczywiście, tę zatrzymaliśmy dla pani. – Otworzył kolejne drzwi, ukazując małą, pozbawioną okien izdebkę z naczyniem nocnym i miedzianą wanną. – Gdyby pani sobie życzyła, służąca przygotuje gorącą kąpiel.

– Dam znać, dziękuję – odparła Iris.

Nie była pewna, dlaczego tak bardzo chce wywrzeć dobre wrażenie akurat na właścicielu zajazdu, pomijając fakt, że jak się wydawało, jej mąż czuł do tego człowieka sympatię. A ponadto nie miała oczywiście powodu, by traktować niegrzecznie kogoś, kto w tak wyraźny sposób starał się ją zadowolić.

Pan Fogg się ukłonił.

– Dobrze. Zatem zostawiam panią, madame. Z pewnością pragnie pani odpocząć po podróży. Sir Richardzie?

Iris zamrugała, zmieszana, kiedy poprowadził jej męża do drzwi.

– Pański pokój jest po drugiej stronie korytarza.

– Doskonale – skwitował Richard.

– To znaczy… – Na szczęście ugryzła się w język, nim palnęła coś żenującego.

Jej mąż na noc poślubną zarezerwował oddzielne pokoje?

– Madame? – Pan Fogg obrócił się i spojrzał na nią pytająco.

– Nieważne – powiedziała szybko. W żadnym razie nie zamierzała okazać, że zdumiały ją te sypialniane ustalenia.

Zdumiały i… Sprawiły ulgę. I może troszkę też uraziły.

– Jeśli łaska, proszę po prostu otworzyć mój pokój – polecił oberżyście jej mąż. – Potem sam się tam udam. A tymczasem chciałbym na osobności zamienić kilka słów z żoną.

Pan Fogg ukłonił się i wyszedł.

– Iris – odezwał się Richard.

Nie odwróciła się do niego, to prawda, ale zerkała w jego stronę. I próbowała się uśmiechać.

– Nigdy bym cię nie obraził żądaniem nocy poślubnej w przydrożnym zajeździe – powiedział sztywno.

– Rozumiem.

Odniosła wrażenie, że oczekiwał jakiejś dłuższej odpowiedzi, więc dodała:

– To bardzo taktownie z twojej strony.

Przez chwilę milczał, prawą ręką z zakłopotaniem poklepując się po udzie.

– Zostałaś do tego ponaglona.

– Nonsens – odparła zwięźle, na siłę dodając głosowi odrobinę beztroski. – Znałam cię całe dwa tygodnie. Mogę wymienić pół tuzina małżeństw, które zostały zawarte po krótszej znajomości.

Uniósł brew. W bardzo ironicznym grymasie. I Iris nie po raz pierwszy pożałowała, że jest taka diabelnie blada. Nawet gdyby potrafiła unosić jedną brew, nikt by nie był w stanie tego zauważyć.

– Pójdę już. – Richard złożył jej ukłon.

Odwróciła się, udając, że gwałtownie szuka czegoś w swoim woreczku.

– Dobrze.

Znowu zapadło niezręczne milczenie.

– Zobaczymy się na kolacji? – zapytał.

– Oczywiście. – Przecież musiała jadać, prawda?

– Czy kwadrans ci wystarczy? – Ton Richarda był nieskazitelnie uprzejmy.

Iris skinęła twierdząco. Chociaż nie stała twarzą do męża, była pewna, że dostrzegł ten ruch. A nie mogła już zaufać swojemu głosowi.

– Przed zejściem na dół zastukam do ciebie – powiedział, a potem usłyszała, jak drzwi zamykają się za nim.

Tkwiła nieruchomo, nawet nie oddychając. Sama nie wiedziała dlaczego. Być

może w jakimś stopniu potrzebowała, by znalazł się od niej daleko, dalej niż o skrzypnięcie zawiasów. Potrzebowała, by przeciął korytarz, wszedł do swego pokoju, zamknął tamte, drugie, drzwi.

Potrzebowała, by to wszystko oddzieliło ich od siebie.

I wtedy mogła już się rozpłakać.

Richard zamknął drzwi Iris, przeciął powoli korytarz, otworzył swoje drzwi, zatrzasnął je za sobą, przekręcił klucz, a potem pozwolił popłynąć potokowi inwektyw tak potoczystych, tak imponująco twórczych, że dziw bierze, iż całej Zakurzonej Gęsi nie raził na miejscu grom z jasnego nieba.

I co on teraz, do diaska, miał zrobić?

Wszystko poszło zgodnie z planem. Wszystko. Poznał Iris, skłonił ją do małżeństwa i właśnie jechali do Yorkshire. Nie powiedział jej jeszcze pewnych rzeczy – cóż, w istocie nie powiedział jej jeszcze prawie niczego – ale też wcale nie planował, że zrobi to, nim dotrą do Maycliffe i Iris pozna jego siostry.

To, że żona, którą zdołał znaleźć, była tak inteligentna i miła, sprawiało mu wielką ulgę. To, że była ładna, stanowiło przyjemną premię. Jednak nie przewidział, że jej zapragnie.

Nie aż tak.

Pocałował ją u Pleinsworthów i całkiem mu się ten pocałunek podobał – w każdym razie na tyle, by wiedzieć, że pożycie z nią nie będzie męką. Ale choć doświadczenie należało do przyjemnych, bez trudu przestał, kiedy nadeszła pora. Wprawdzie puls mu przyśpieszył i pojawiły się zaczątki pożądania, lecz nie było to nic takiego, czego nie można łatwo opanować.

A potem Iris potknęła się, wysiadając z powozu. Złapał ją, co oczywiste. Wszak jest dżentelmenem; to był odruch. Postąpiłby tak wobec każdej kobiety.

Jednak kiedy jej dotknął, kiedy jego dłonie spoczęły na łuku jej smukłej talii, kiedy jej ciało ześlizgnęło się po nim, gdy stawiał ją na ziemi…

Wtedy właśnie coś w nim zapłonęło.

Nie pojmował tej przemiany. Czy to był jakiś pierwotny instynkt, głęboko ukryta w sercu świadomość, że teraz Iris należy do niego?

Stał tam ogłuszony i skamieniały, niezdolny oderwać rąk od jej bioder i czuł się jak skończony idiota. Krew łomotała mu w żyłach, a serce biło tak głośno, że nie mógł uwierzyć, iż ona tego nie słyszy. I jedyne, na co potrafił się zdobyć, to myśl:

Pragnę jej.

Przy czym nie chodziło o jakąś zwykłą zachciankę z rodzaju tych, że od-paru-miesięcy-nie-zaznałem-kobiety. Było to pełne napięcia, nagłe, przeszywające

pożądanie, tak silne, że zaparło mu dech w piersiach.

Chciał odchylić ku sobie jej twarz i całować ją, aż zacznie jęczeć z pragnienia.

Chciał ująć w dłonie jej pośladki i ściskać, i unosić, aż nie będzie miała wyboru, jak tylko opleść go nogami.

A potem chciał przycisnąć ją plecami do pnia drzewa i posiąść.

Dobry Boże, jakże on pragnął swojej żony. I nie mógł jej mieć.

Jeszcze nie teraz.

Richard zaklął po raz kolejny, ściągnął surdut i rzucił się na łóżko. Psiakrew! Nie potrzebował takich komplikacji. Kiedy zamieszkają w Maycliffe, będzie musiał powiedzieć żonie, żeby zamykała na klucz swoje cholerne drzwi.

Znowu zaklął. Nie wiedział nawet, czy w drzwiach łączących sypialnie pana i pani domu jest zamek.

Będzie musiał go zainstalować.

Nie, to wywołałoby plotki. Kto, do diabła, wstawia zamek do drzwi pomiędzy sypialniami.

Nie wspominając już o uczuciach żony. Widział w jej oczach zdumienie, że nie wybiera się do niej w noc poślubną. Jednak był niemal przekonany, iż do pewnego stopnia Iris ulżyło – nie pochlebiał sobie, by w tak krótkim czasie mogła po uszy się zakochać. A nawet gdyby, z pewnością nie należała do panien, które o małżeńskim łożu myślą całkiem bez obaw.

Ale jednak poczuła się zraniona. To również dostrzegł, mimo jej wysiłków. Bo jak miała się tak nie poczuć? Z tego, co mogła wywnioskować, mąż nie uznał jej za dość ponętną, by dzielić z nią łoże w noc poślubną.

Richard zaśmiał się ponuro. Nic nie było dalsze od prawdy. Diabli wiedzą, ile czasu zejdzie, nim zdoła uspokoić zdradzieckie ciało na tyle, by towarzyszyć Iris w drodze do jadalni.

Och, tak, to byłoby niezwykle eleganckie. Służę ramieniem, ale, proszę, nie zwracaj uwagi na moją silną erekcję.

Ktoś naprawdę powinien wynaleźć jakiś lepszy model spodni.

Leżał na plecach, snując mało romantyczne rozważania. Byle tylko skierować myśli na coś innego niż delikatny łuk biodra żony. Albo stonowany róż jej warg. U każdej innej kobiety kolor ten wydawałby się zwyczajny, ale na tle jasnej skóry Iris…

Zaklął. Znowu. Nie tym się miał zajmować. Złe myśli, nieprzyjemne… Zaraz, zaraz, kiedyś w Eton doznał zatrucia pokarmowego. Zepsuta ryba, tak było. Łosoś? Nie, szczupak. Wymiotował po nim przez kilka dni. O, albo staw w Maycliffe. O tej porze roku woda musi być zimna. Bardzo zimna. Aż jądra drętwieją.

Obserwowanie ptaków, łacińskie koniugacje, cioteczna babka Gladys (niech spoczywa w pokoju). Pająki, skwaśniałe mleko, dżuma.

Dżuma dymienicza.

Dymienice[7] dżumy przy jego zimnych, zdrętwia…

A, to tu krył się podstęp.

Richard sięgnął po swój kieszonkowy zegarek. Minęło dziesięć minut. Może jedenaście. Z pewnością miał dość czasu, by zwlec swoją żałosną osobę z łóżka i nadać jej porządny wygląd.

Z jękiem znów naciągnął surdut. Zwykle do kolacji należało się przebrać, ale w czasie podróży ta reguła mogła być traktowana luźniej. A poza tym powiedział już swemu służącemu, że będzie potrzebował jego usług dopiero w porze udawania się na spoczynek. Miał nadzieję, że Iris nie czuła się w obowiązku zmienić suknię na wieczorową. Wcześniej nie przyszło mu do głowy, by omówić z żoną kwestię stroju.

Dokładnie o wyznaczonym czasie zapukał do jej drzwi. Otwarła mu natychmiast.

– Nie przebrałaś się – wypalił bez zastanowienia. Kompletny idiota.

Oczy Iris rozwarły się szerzej, jakby się zlękła, że popełniła błąd.

– A powinnam była?

– Nie, nie. Zamierzałem ci powiedzieć, żebyś nie zawracała sobie tym głowy. – Odchrząknął. – Ale zapomniałem.

– Aha. – Uśmiechnęła się. Z zakłopotaniem. – Cóż, nie zawracałam sobie głowy. To znaczy, zmianą stroju.

– Widzę.

Richard zanotował w pamięci, żeby pogratulować sobie błyskotliwej riposty.

Iris nadal tam stała.

On też.

– Wzięłam szal – odezwała się znowu.

– Dobry pomysł.

– Sądziłam, że może zrobić się zimno.

– Bo może.

– Tak, właśnie tak sądziłam.

On nadal tam stał.

Ona też.

– Powinniśmy coś zjeść – powiedział nagle, podając jej ramię.

Niebezpiecznie było Iris dotykać, nawet w tak niewinnych okolicznościach, ale musiał do tego przywyknąć. Na pewno przez następnych kilka miesięcy nie mógł

odmawiać jej swego towarzystwa.

Doprawdy, musiał się dowiedzieć, ile to jeszcze miesięcy. Dokładnie ile.

– Pan Fogg bynajmniej nie przesadził z zaletami tej pieczeni – oznajmił, usiłując znaleźć jakiś zupełnie nieszkodliwy temat. – Jego żona jest znakomitą kucharką.

Może tylko to sobie wyobraził, ale Iris wyglądała, jakby odczuła ulgę, że rozpoczął taką zwyczajną rozmowę.

– To wspaniale – odparła. – Bo jestem dosyć głodna.

– Nic nie jadłaś podczas jazdy?

Pokręciła głową.

– Zamierzałam coś zjeść, ale zasnęłam.

– Przepraszam, że cię w drodze nie zabawiałem. – Ugryzł się w język. Wiedział dokładnie, jak chciałby ją zabawiać, nawet jeśli ona dotąd była nieświadoma takich rzeczy.

– Nie bądź niemądry. Źle znosisz jazdę powozem.

To prawda. Ale z drugiej strony, nigdy nie odbywał długiej podróży w jej towarzystwie.

– Przypuszczam, że jutro też będziesz chciał jechać konno? – zapytała.

– Myślę, że tak będzie najlepiej. – Z wielu powodów.

Skinęła głową.

– Chyba muszę znaleźć sobie jeszcze jedną książkę. Obawiam się, że tę skończę szybciej, niż się spodziewałam.

Dotarli już pod drzwi prywatnej jadalni, więc Richard postąpił krok naprzód, żeby je przed żoną otworzyć.

– A teraz co czytasz?

– Kolejną powieść panny Austin. *Mansfield Park*.

Podał jej krzesło.

– Tego nie znam. Fleur chyba jej nie czytała.

– Nie jest tak romantyczna jak pozostałe rzeczy tej autorki.

– Ach, to wszystko tłumaczy. Mojej siostrze nie przypadłaby do gustu.

– Twoja siostra jest taką wielką romantyczką?

Już zaczął otwierać usta, ale się zawahał. Jak opisać Fleur? Nie mógł powiedzieć, żeby ostatnimi czasy była jego ulubienicą.

– Chyba jest, tak – odparł w końcu.

Iris najwyraźniej to rozbawiło.

– Chyba?

Richard poczuł, że się uśmiecha, zmieszany.

– To nie ten rodzaj spraw, które ona omawia z bratem. Mam na myśli

romantyczność.

– Nie, raczej nie. – Iris wzruszyła ramionami i wbiła widelec w kartofel. – Ja z moim na pewno bym o tym nie rozmawiała.

– To ty masz brata?

Obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem.

– Oczywiście.

A niech to! Powinien był wiedzieć. Jaki mężczyzna nie wiedziałby, że jego żona ma brata?!

– John – dodała – jest z nas najmłodszy.

Ta informacja zaskoczyła go jeszcze bardziej.

– Masz brata o imieniu John?

Iris roześmiała się.

– Szokujące, wiem. Powinien nazywać się Florian. Albo Basil. To naprawdę niesprawiedliwe.

– A co powiesz na Williama? – zaproponował. – Jak „słodki william”[8]?

– To jeszcze okrutniejsze. Nosić imię kwiatu, a przy tym być tak przeraźliwie zwyczajnym.

– Och, nie przesadzaj. Imię Iris to nie Mary czy Jane, ale nie jest znowu aż takie niezwykłe.

– Nie w tym rzecz – odparła. – Chodzi o to, że jest nas pięć. Co pospolite i zwyczajne, w masie staje się okropne. – Opuściła wzrok na swój talerz. W jej oczach skrzyło się rozbawienie.

– O czym pomyślałaś? – zapytał. Musiał wiedzieć, co wywołało ten ich zachwycający wyraz.

Iris pokręciła głową i mocno zacisnęła wargi, wyraźnie hamując wesołość.

– Powiedz. Nalegam.

Pochyliła się w stronę męża, jakby miała wyjawić mu jakiś wielki sekret.

– Gdyby John urodził się dziewczynką, nazwaliby go Hydrangea[9].

– Dobry Boże.

– Wiem. Mój brat to kawał szczęściarza.

Richard parsknął stłumionym śmiechem i nagle uświadomił sobie, że już od kilku minut rozmawiają całkiem swobodnie. Więcej niż swobodnie – jego nowa żona naprawdę była dobrym kompanem. Może wszystko się powiedzie. Musiał tylko pokonać tę początkową przeszkodę…

– Dlaczego twego brata nie było na ślubie? – zapytał.

Nie siląc się nawet na podniesienie oczu znad jedzenia, odparła:

– John jest w Eton. Rodzice uznali, że nie będą ściągać go ze szkoły na taką

małą uroczystość.

– Ale wszystkie twoje kuzynki się zjawiły.

– Ty ze swojej strony nie miałeś w ogóle nikogo – odcięła się.

Były po temu powody, ale Richard nie czuł się gotów teraz o nich mówić.

– Tak czy inaczej – ciągnęła Iris – to nie były wszystkie moje kuzynki.

– Wielki Boże, więc ile ich jest?

Jej wargi się ściągnęły. Robiła, co mogła, żeby się nie uśmiechnąć.

– Mam trzydzieścioro czworo kuzynów i kuzynek pierwszego stopnia.

Richard wytrzeszczył na nią oczy. Liczba była wręcz niewiarygodna.

– Plus pięcioro rodzeństwa.

– Niezwykłe…

Iris wzruszyła ramionami. Richard przypuszczał, że jej nie wydawało się to takie nadzwyczajne, skoro ich wszystkich znała.

– Mój ojciec jest jednym z ośmiorga – wyjaśniła.

– Mimo to. – Dźgnął kawałek słynnej pieczeni pani Fogg. – Ja nie mam ani jednego kuzyna pierwszego stopnia.

– Naprawdę? – Jego żona wyglądała na wstrząśniętą.

– Starsza siostra mojej matki bardzo młodo owdowiała. Nie miała dzieci ani ochoty, żeby ponownie wyjść za mąż.

– A twój ojciec?

– Miał dwoje rodzeństwa, ale zmarli bezpotomnie.

– Bardzo mi przykro.

Zastygł z widelcem w pół drogi do ust.

– Dlaczego?

– No, bo… – Iris zagryzła dolną wargę, zastanawiając się nad wyjaśnieniem. – Nie wiem – powiedziała w końcu. – Nie wyobrażam sobie, że mogłabym być taka samotna.

Z jakiegoś powodu Richarda to rozśmieszyło.

– Przecież mam dwie siostry.

– Oczywiście, ale… – Znowu przerwała.

– Ale co? – Uśmiechnął się, by jej pokazać, że nie czuje się obrażony.

– Po prostu… jest was tak mało.

– Zapewniam cię, że kiedy dorastałem, nie odczuwałem tego w ten sposób.

– Nie, na pewno nie.

Richard poczęstował się jeszcze dwoma puddingami.

– Wyobrażam sobie, że w waszym domu musiało być jak w ulu.

– Bardziej jak w domu wariatów.

Parsknął śmiechem.

– Wcale nie żartuję – dodała. Ale uśmiechnęła się szeroko.

– Mam nadzieję, że uznasz moje siostry za wystarczające zastępstwo.

Zalotnie przechyliła głowę.

– Z imieniem takim jak Fleur to chyba z góry przesądzone, nie sądzisz?

– Aha, kwieciste panienki.

– Tak nas teraz nazywają?

– Teraz?

Wymownie przewróciła oczami.

– Bukiet Smythe-Smithów, ogrodowe panienki, cieplarniane kwiatki…

– Cieplarniane kwiatki?

– Mojej matki to nie śmieszyło.

– Wyobrażam sobie, że nie.

– I nie zawsze była mowa o kwiatkach. – Iris skrzywiła się lekko. – Słyszałam, że niektórzy dżentelmeni lubią bawić się w aliteracje.

– Dżentelmeni? – powtórzył z powątpiewaniem. Potrafił przytoczyć różne rzeczowniki na „C”, a większość z nich nie kojarzyła się pochlebnie.

– W wolnym tego słowa znaczeniu – dodała, nadziewając na widelec mały kartofelek.

Richard przez chwilę wpatrywał się w swoją świeżo poślubioną żonę. Na pierwszy rzut oka wyglądała wiotko, niemal mizernie. Była niewysoka – sięgała mu ledwie do ramienia – i bardzo szczupła (chociaż, jak ostatnio odkrył, niepozbawiona pewnych krągłości). A jeszcze, rzecz jasna, dochodziła ta jej niezwykła kolorystyka. Jednak oczy, które początkowo wydawały mu się blade, wręcz bezbarwne, podczas rozmowy nabierały wyrazu i jaśniały inteligencją. A gdy się poruszała, od razu stawało się jasne, że jej smukłe ciało kryje w sobie nie słabość i chorobę, ale raczej siłę i zdecydowanie.

Iris Smythe-Smith nie snuła się po pokojach posuwistym krokiem, jak uczono liczne panny z jej sfery; kiedy szła, miała kierunek i cel.

Jej nazwisko już nie brzmiało Smythe-Smith, przypomniał sobie. To była Iris Kenworthy i do Richarda zaczynało docierać, że wiedział o niej tyle co nic.

# 10

***Trzy dni później***

Zbliżali się.

Minęło już dziesięć minut, odkąd przejechali przez Flixton, wieś, która leżała najbliżej Maycliffe Park. Obserwując przesuwający się za oknem krajobraz, Iris próbowała nie wyglądać na zbyt przejętą – albo zdenerwowaną. Powtarzała sobie, że to tylko dom, a w dodatku, jeśli opisy jej męża były ścisłe, nawet nie jakiś specjalnie okazały.

Ale to był jego dom, co oznaczało, iż teraz również jej, i Iris usilnie pragnęła od pierwszej chwili zrobić dobre wrażenie.

Richard mówił, że w samym domu mają trzynaścioro służby, nic zbyt onieśmielającego. Jednak później wspomniał o kamerdynerze, który był tam od jego dzieciństwa, i o gospodyni, która była nawet jeszcze dłużej, i Iris nie potrafiła opędzić się od myśli, że chociaż teraz nazywa się Kenworthy, to ona w tym zestawie jest intruzem.

Znienawidzą ją. Służba ją znienawidzi i jego siostry ją znienawidzą i jeśli miał psa (doprawdy, chyba powinna była wiedzieć, czy on ma psa?), to ten pies też zapewne ją znienawidzi.

Już sobie wyobrażała, jak obskakuje Richarda z niemądrym psim uśmiechem na pysku, a potem odwraca się do niej, szczerzy kły i warczy.

Takie to będzie przyjemne powitanie.

Jej mąż posłał przodem wiadomość o przybliżonym czasie ich przyjazdu. Iris na tyle dobrze znała życie w wiejskich posiadłościach, że wiedziała, iż kilka mil od domu będzie wypatrywał powozu konny wysłannik. I zanim oni dotrą do Maycliffe, wszyscy domownicy zostaną ustawieni w szeregu, by powitać państwa.

O wyższej służbie Richard mówił z wielką serdecznością. Znając jego urok i przyjazną naturę, Iris bez trudu mogła sobie wyobrazić, że to uczucie odwzajemnione. Ci ludzie tylko raz na nią spojrzą i przestanie mieć znaczenie, czy ona będzie się starała odnosić do nich sprawiedliwie i uprzejmie. Przestanie mieć

znaczenie, czy będzie się uśmiechała do Richarda i czy będzie wydawała się szczęśliwa i zadowolona ze swego nowego domu. Będą obserwować ją uważnie i zobaczą to w jej oczach. Zobaczą, że nie jest zakochana w swoim mężu.

I co może jeszcze ważniejsze, że on nie jest zakochany w niej.

Zaczną się plotki. Zawsze plotkowano, kiedy właściciel majątku się żenił, ale jej nikt w Yorkshire nie znał, więc biorąc pod uwagę pośpieszny charakter ślubu, ludzie tym bardziej będą szeptać. Czy pomyślą, że złapała go w małżeńską pułapkę? Nic nie mogło być dalsze od prawdy, a jednak…

– Nie niepokój się.

Na dźwięk głosu Richarda Iris podniosła oczy, wdzięczna, że przerwał błędny krąg jej myśli.

– Ja się nie niepokoję – skłamała.

Raptownie uniósł brew.

– Pozwól, że powiem to inaczej. Nie masz powodu do niepokoju.

Iris skromnie złożyła splecione dłonie na kolanach.

– Wcale nie sądziłam, że mam.

Kolejne kłamstwo. Zaczynała być w tym dobra. Albo i nie. Wnioskując z miny męża, nie uwierzył w ani jedno słowo.

– W porządku – przyznała. – Trochę się denerwuję.

– Cóż, pewnie jest jakaś przyczyna.

– Sir Richardzie!

Uśmiechnął się szeroko.

– Przepraszam. Nie mogłem oprzeć się pokusie. I jeśli sobie przypominasz, wolałbym, żebyś nie mówiła do mnie „sir”. Przynajmniej, kiedy jesteśmy sami.

Iris przechyliła głowę, uznawszy, że mąż zasłużył na tak niejednoznaczną odpowiedź.

– Iris. – Głos Richarda brzmiał łagodnie. – Byłbym skończonym łajdakiem, gdybym nie doceniał, że w naszym związku to ty musiałaś ze wszystkim się przystosować.

Nie ze wszystkim, pomyślała cierpko. I z pewnością nie najbardziej. Właściwie można było powiedzieć, że pod dość ważnym względem wcale nie musiała się przystosować. Druga noc wspólnej podróży upłynęła im podobnie jak pierwsza. W osobnych sypialniach. Richard powtórzył to, co mówił przedtem: Iris nie zasługuje na noc poślubną w zakurzonym zajeździe.

I nieważne, że Królewski Dąb był równie nieskazitelnie czysty jak Zakurzona Gęś. To samo dotyczyło Królewskiego Herbu, gdzie spali ostatniej nocy. Zapewne powinna czuć się tym ujęta. Jej mąż tak ją poważał, że przedkładał jej wygodę i

dobre samopoczucie nad swoje potrzeby. Jednak nie mogła przestać się dziwić, co stało się z mężczyzną, który zaledwie tydzień wcześniej całował ją namiętnie. Wtedy u Pleinsworthów wydawał się tak owładnięty jej bliskością, tak całkowicie niezdolny się pohamować.

A teraz… Teraz, kiedy byli małżeństwem i nie musiał powściągać żądzy…

To nie miało sensu.

Ale z drugiej strony, również nie miało sensu żenienie się z nią, a to dla odmiany Richard uczynił ochoczo.

Przygryzła wargę.

– Poprosiłem cię o bardzo wiele – ciągnął tymczasem jej mąż.

– Nie tak bardzo – mruknęła.

– Słucham? Co powiedziałaś?

Lekko pokręciła głową.

– Nic takiego.

Richard wypuścił powietrze i był to jedyny sygnał, że rozmowa w jakimkolwiek stopniu sprawia mu trudność.

– Przeniosłaś się w drugi koniec kraju. Zabrałem cię daleko od wszystkiego, co jest ci drogie.

Iris zdobyła się na blady uśmiech. W ten sposób rozpraszał jej obawy?

– Ale naprawdę wierzę, że będziemy dobraną parą. I mam nadzieję, że wkrótce zaczniesz widzieć w Maycliffe swój dom.

– Dziękuję – odparła grzecznie.

Doceniała jego wysiłki, by dobrze czuła się w Maycliffe, ale niespecjalnie koiło to jej nerwy.

– Moje siostry z pewnością nie mogą się doczekać, żeby cię poznać.

Iris miała nadzieję, że to prawda.

– Pisałem do nich o tobie.

Popatrzyła na niego zdumiona.

– Kiedy?

Musiałby to uczynić natychmiast po zaręczynach, jeśli wieści miały dotrzeć do Maycliffe Park wcześniej niż ona sama.

– Posłałem list przez kuriera.

Znowu wlepiając spojrzenie w okno, Iris pokiwała głową. Tak, to by się dało zrobić. Kurierzy konni byli drodzy, ale warci swojej ceny, gdy komuś zależało, by list dotarł szybko. Zastanawiała się, co też Richard o niej napisał. Co mógł opowiedzieć o swojej wybrance zaledwie po tygodniu znajomości? I to, ni mniej, ni więcej, tylko własnym siostrom.

Odwróciła się i usiłowała dyskretnie obserwować twarz męża. Był zdecydowanie inteligentny, tyle wiedziała, nim upłynął tydzień. Umiał też postępować z ludźmi – bez wątpienia dużo lepiej niż ona. Przypuszczała, że to, co napisał, w gruncie rzeczy zależało od jego sióstr. Bo domyślał się, co chciałyby na jej temat wiedzieć.

– Prawie nic mi o nich nie opowiedziałeś – odezwała się nagle.

Richard zamrugał.

– O twoich siostrach.

– Aha. Prawie nic?

– Tak.

Dziwne, że dopiero teraz to sobie uświadomiła. Wcześniej nie przyszło jej to do głowy chyba dlatego, że znała najważniejsze fakty: imiona, wiek, w ogólnym zarysie wygląd. Ale nie wiedziała absolutnie nic więcej, z wyjątkiem tego, że Fleur żywi słabość do *Dumy i uprzedzenia*.

– Aha – powtórzył. Zerknął w okno, potem znowu na nią i znów w okno; nietypowe dlań ruchy staccato. – No, dobrze. Fleur ma osiemnaście lat. Marie-Claire jest o trzy lata młodsza.

– Tyle to akurat mówiłeś.

Sarkazm tej uwagi był tak delikatny, że minęło kilka sekund, zanim – co Iris poznała po minie męża – Richard zdał sobie z niego sprawę.

– Fleur lubi czytać.

– *Dumę i uprzedzenie* – uzupełniła.

– Owszem. A widzisz? – Uśmiechnął się do niej czarująco. – Jednak parę rzeczy ci opowiedziałem.

– Przypuszczam, że z formalnego punktu widzenia masz rację – odparła Iris i nieznacznie skinęła głową. – Rzeczy to liczba mnoga, a para to dwa. Istotnie, powiedziałeś mi o Fleur dwie rzeczy…

Zmrużył oczy, przede wszystkim z rozbawienia.

– Doskonale, więc co chciałabyś wiedzieć?

Nienawidziła tego typu pytań.

– Cokolwiek.

– Ty o swoim rodzeństwie nic mi nie mówiłaś – wytknął jej.

– Moje rodzeństwo miałeś okazję poznać.

– Brata nie.

– Nie będziesz mieszkał z moim bratem pod jednym dachem – odparła.

– Słusznie – przyznał. – Chociaż wszelkie dalsze wyjaśnienia można by uznać za zbędne, bo nie dalej niż za trzy minuty osobiście spotkasz się z moimi siostrami.

– Co? – krzyknęła niemal Iris, rzucając się do okna.

Rzeczywiście zboczyli już z głównego traktu i wjechali na drogę dojazdową. Drzewa rosły tu rzadziej, pola łagodnie ciągnęły się aż po horyzont. Był to miły dla oka krajobraz, spokojny i pogodny.

– To już za tym pagórkiem.

W głosie męża Iris mogła dosłyszeć uśmiech zadowolenia z siebie.

– Jeszcze tylko chwila.

A potem wreszcie zobaczyła. Maycliffe Park.

Dom okazał się większy, niż go sobie wyobrażała, chociaż z pewnością nie tak duży jak w Fensmore albo Whipple Hill. Jednak tamte były posiadłościami hrabiów. Jej kuzynów, ale mimo wszystko hrabiów. A przecież Maycliffe miał swój urok. Z oddali rzucała się w oczy czerwona cegła i dość niezwykłe holenderskie szczyty, upiększające fasadę. Była w tej budowli jakaś niejednolitość, lecz niepozbawiona sensu, zważywszy na to, co Iris wiedziała o dziejach tego miejsca. Richard opowiadał, że na przestrzeni wieków dom przerabiano i rozbudowywano kilka razy.

– Okna prywatnej części wychodzą na południe – odezwał się znowu. – W zimie będziesz z tego zadowolona.

– Nie mam pojęcia, w którą stronę patrzę – przyznała Iris.

Uśmiechnął się do niej.

– Nadjeżdżamy z zachodu. Więc twoje pokoje znajdują się za – wskazał ręką w prawo – tym rogiem.

Nie odwracając się do męża, Iris pokiwała głową. Teraz całą uwagę chciała skupić na swoim nowym domu. Znalazłszy się bliżej, dostrzegła, że każdy ze szczytów zdobi małe, koliste okienko.

– Czyje są te pokoju na górze? Te z okrągłymi oknami?

– To różnie. W niektórych mieszka służba. Od południa jest pokój dziecinny. A z jednego moja matka zrobiła pokój do czytania.

O rodzicach też powiedział jej niewiele, uświadomiła sobie Iris. Tylko tyle, że oboje zmarli – matka, kiedy Richard jeszcze uczył się w Eton, ojciec kilka lat później.

Jednak nie była to pora na wymuszanie dalszych informacji. Powóz się zatrzymał. I rzeczywiście, na podjeździe czekali, by ich powitać, ustawieni w szeregu wszyscy domownicy. Wyglądało na to, że jest tu znacznie więcej osób niż tych trzynaścioro, o których wspominał Richard; może miał na myśli tylko domowych służących. Wśród zgromadzonych Iris dostrzegła ogrodników i nawet stajennych. Nigdy dotychczas nie witało jej tak liczne grono służby. Przypuszczała,

że to dlatego, iż nie przyjechała w gości. Była panią tego domu. Czemu nikt jej nie uprzedził? Wystarczająco denerwowała się i bez poczucia, że musi zrobić dobre wrażenie na człowieku, który dogląda róż.

Richard pierwszy zeskoczył na ziemię, po czym podał żonie rękę. Iris głęboko zaczerpnęła tchu i wysiadła, przyglądając się całemu zgromadzeniu z – jak miała nadzieję – przyjaznym, a mimo to pewnym siebie uśmiechem.

– Panie Cresswell – powiedział Richard, kierując się do mężczyzny, który ani chybi był kamerdynerem. – Oto lady Kenworthy, nowa pani Maycliffe Park.

Cresswell złożył stosownie sztywny ukłon.

– Jesteśmy zachwyceni, że Maycliffe znów ma panią.

– Chętnie dowiem się jak najwięcej o moim nowym domu. – Iris użyła słów, które przećwiczyła poprzedniego wieczoru. – Jestem pewna, że w ciągu pierwszych miesięcy wiele razy będę musiała uciekać się do pomocy pana i pani Hopkins.

– Będziemy zaszczyceni, mogąc pani pomóc, milady.

Iris poczuła, jak ten straszny węzeł w jej brzuchu zaczyna się rozluźniać. Powitanie Cresswella brzmiało szczerze. Była nadzieja, że reszta służby pójdzie w jego ślady.

– Wiem, że jest pan w Maycliffe od wielu lat. Sir Richard ma wielkie szczęście…

Zerknęła w stronę męża i gwałtownie umilkła. Na jego zazwyczaj łagodnej twarzy malowała się nieomal furia.

– Richardzie? – dobiegł Iris własny lękliwy szept. Co się stało, że jej mąż do tego stopnia się rozgniewał?

– Gdzie… – Richard zwrócił się do kamerdynera głosem tak cichym i zdławionym, jakiego nigdy u niego nie słyszała – gdzie są moje siostry?

Przeszukiwał wzrokiem mały tłum zebrany na podjeździe, ale doprawdy, jaki to miało sens? Gdyby Fleur i Marie-Claire tu były, stałyby z przodu – burza kolorów na tle czarnych sukienek pokojówek.

Psiakrew, powinny być tutaj, żeby powitać jego żonę. To afront najgorszego rodzaju. Nie obchodziło go, że przywykły do zarządzania dworem. Teraz panią Maycliffe była Iris i wszyscy – nawet osoby noszące od urodzenia nazwisko Kenworthy – mieli przyjąć to do wiadomości.

Co więcej, obie siostry wiedziały cholernie dobrze, jak wiele nowa bratowa poświęcała dla ich rodziny. Nawet sama Iris nie znała pełnych rozmiarów tego poświęcenia.

Ani niepełnych, prawdę mówiąc.

Coś paliło go w trzewiach i naprawdę nie chciał dociekać, czy była to wściekłość, czy poczucie winy.

Miał nadzieję, że wściekłość. Bo poczucia winy było w nim już dostatecznie dużo i przypuszczał, że wkrótce zamieni się ono w kwas.

– Richardzie – powiedziała Iris, kładąc dłoń na ramieniu męża. – Na pewno jest jakiś istotny powód ich nieobecności. – Ale jej uśmiech wyglądał na wymuszony.

Richard obrócił się do Cresswella i rzucił ostro:

– Dlaczego nie zeszły na dół?

Na to nie było usprawiedliwienia. Reszta domowników jakoś zdążyła wyjść i zgromadzić się przed domem. Fleur i Marie-Claire miały łącznie cztery zdrowe nogi. Bez trudu mogły pofatygować się ze schodów, żeby przywitać nową siostrę.

– Panny Kenworthy i panienki Marie-Claire nie ma w Maycliffe, sir. Obie są u pani Milton.

U ciotki?

– Co? Dlaczego?

– Pani Milton wczoraj przyjechała, żeby je zabrać.

– Zabrać? – powtórzył Richard.

Oblicze kamerdynera pozostało niewzruszone.

– Pani Milton była zdania, że nowożeńcy zasługują na miesiąc miodowy.

– Gdybym miał spędzać miesiąc miodowy, to na pewno nie tutaj – mruknął Richard.

Co, może mieli zająć pokoje od wschodu i udawać, że wyjechali nad morze? Dzięki hulającym w tamtym skrzydle wiatrom byłoby prawie jak w Kornwalii. Albo w Arktyce.

Cresswell odchrząknął.

– Sądzę, że mają wrócić za dwa tygodnie, sir.

– Za dwa tygodnie? – To nie wchodziło w rachubę.

Palce Iris delikatnie uścisnęły jego ramię.

– Kim jest pani Milton?

– Moją ciotką – odparł nieprzytomnie.

– Zostawiła dla pana list – powiedział Cresswell.

Spojrzenie Richarda znów przeskoczyło na twarz kamerdynera.

– Kto? Ciotka czy Fleur?

– Pańska ciotka. Położyłem go w pana gabinecie na pozostałych listach.

– A od Fleur ani słowa?

– Obawiam się, że nie, sir.

Miał cholerną ochotę ją udusić.

– Nawet nic nie prosiła powtórzyć? – naciskał na kamerdynera. – Żadnej wiadomości?

– O ile wiem, nie.

Richard nabrał tchu, usiłując odzyskać równowagę. Nie takiego powrotu do domu się spodziewał. Myślał… No cóż, prawdę mówiąc, niewiele na ten temat myślał, z wyjątkiem tego, że siostry czekają na nich w Maycliffe i on zdoła przejść do następnej fazy planu.

Choćby i była szokująca.

– Sir Richardzie – usłyszał głos żony.

Odwrócił się, mrugając. Znów powiedziała do niego „sir”, czego powoli zaczynał nienawidzić. Ten zwrot był wyrazem szacunku, lecz jeśli Richard czymkolwiek zasłużył sobie na jej szacunek, wkrótce i tak miał go stracić.

Zakłopotana Iris ruchem głowy wskazała służących, którzy nadal stali sztywno na baczność.

– Czy nie powinniśmy kontynuować prezentacji?

– Tak, oczywiście. – Richard zdołał przywołać na twarz napięty, fałszywy uśmiech i dopiero wtedy zwrócił się do gospodyni: – Pani Hopkins, czy przedstawi pani lady Kenworthy pokojówki?

Podczas gdy Iris witała się ze wszystkimi po kolei, Richard, splótłszy mocno dłonie za plecami, szedł w pewnym oddaleniu od obu kobiet. Nie wtrącał się; te chwile należały do jego żony. Jeżeli miała zająć w Maycliffe należne miejsce, nie mógł na oczach służących podważać jej autorytetu.

Iris odbywała prezentację z dużym opanowaniem. Przy zażywnej pani Hopkins wydawała się krucha i blada, ale trzymała się prosto i pewnie, i z wytwornym wdziękiem pozdrawiała każdą służącą.

Richard był z żony dumny. Ale też nie spodziewał się niczego innego.

Wreszcie pani Hopkins skończyła przedstawiać kobiecy personel Maycliffe, a wówczas prowadzenie przejął Cresswell i prezentował kolejno każdego lokaja i stajennego. Kiedy i to dobiegło końca, kamerdyner odwrócił się do Richarda.

– Pana pokoje są gotowe, sir – oznajmił. – Lekkie drugie śniadanie może zostać podane, gdy tylko pan rozkaże.

Richard podał Iris ramię, ale nadal rozmawiał z Cresswellem.

– Mam nadzieję, że pokoje lady Kenworthy zostały przygotowane?

– Zgodnie z pana zaleceniami, sir.

– Doskonale. – Spojrzał z góry na żonę. – Wysprzątano je i przewietrzono, ale nie zmienialiśmy wystroju. Przypuszczałem, że będziesz wolała sama wybrać

kolory i tkaniny.

Iris podziękowała mu uśmiechem, a Richard pomodlił się w duchu, by jej gusta nie sięgały sprowadzanych z Francji brokatów. Posiadłość znów zaczynała przynosić dochody, jednak pieniądze wcale nie napływały obficie. Pierwotny plan Richarda nie bez kozery obejmował poślubienie panny z sowitym posagiem. Iris wnosiła w wianie tylko dwa tysiące funtów – kwotę nie do pogardzenia, ale też zbyt małą, by przywrócić Maycliffe dawną świetność.

Jednak jego żona mogła zmienić wystrój swoich pokoi. Przynajmniej tyle był w stanie dla niej zrobić.

Iris podniosła oczy na dom. Gdy przesuwała wzrokiem po ceglanych murach, które jej mąż tak bardzo kochał, Richard zastanawiał się, co widziała. Pełne uroku holenderskie szczyty czy godny ubolewania stan szyb w okrągłych okienkach? Czy doceni historię wiekowej budowli, czy też uzna galimatias architektonicznych stylów za rażący i mało elegancki?

To było jego rodzinne gniazdo, ale czy ona zacznie kiedyś postrzegać ten dom jako własny?

– Wejdziemy do środka? – zagadnął.

Uśmiechnęła się.

– Z przyjemnością.

– Może cię oprowadzę? – zaproponował.

Wiedział, że powinien zapytać, czy nie chciałaby odpocząć, ale nie czuł się jeszcze gotów, by zabrać ją do jej pokoi. Jej sypialnia przylegała do jego sypialni i obie posiadały wielkie, wygodne łoża, z których żadnego Richard nie mógł użyć w taki sposób, w jaki by chciał.

Ostatnie trzy doby były dla niego piekłem.

A ściślej mówiąc, ostatnie trzy noce.

Najgorszy okazał się Królewski Herb. Wprawdzie dostali tam osobne pokoje – tak jak z wyprzedzeniem zażądał – ale oberżysta, by zadowolić nowożeńców, zaprowadził ich do swego najlepszego apartamentu.

– Z połączeniem pomiędzy sypialniami! – oznajmił, uśmiechając się i mrugając znacząco.

Richard nie miał pojęcia, że drzwi mogą być aż tak cienkie. Słyszał każdy ruch Iris, każde kaszlnięcie i westchnienie. Słyszał, jak złorzeczyła, uderzywszy się w palec u nogi, i wiedział, w którym dokładnie momencie położyła się do łóżka. Materac zaskrzypiał nawet pod jej szczupłym ciałem. Richardowi nie trzeba było wiele, by przeniósł się w wyobraźni do pokoju żony.

Miała rozpuszczone włosy. Nigdy nie widział ich takich. Zdał sobie sprawę, że

przez cały dzień zastanawiał się, jakiej są długości. Zawsze nosiła je ściągnięte w luźny węzeł na karku. Do tej pory Richard nie poświęcał wiele uwagi damskim fryzurom, z wyjątkiem fryzury Iris. Na tle jej miękkich, jasnych włosów mógł dostrzec każdą szpilkę. Tamtego ranka, by upiąć kok, potrzebowała ich aż czternastu. Wydawało mu się, że to dużo. Jednak, czy ta liczba świadczyła o długości włosów?

Chciał ich dotknąć, przeczesać palcami. Chciał je ujrzeć w świetle księżyca, lśniące srebrzyście jak gwiazdy. Chciał poczuć je, przesuwające się ze szmerem po jego skórze, kiedy wargi Iris…

– Richardzie?

Zamrugał. Musiała minąć chwila, zanim przypomniał sobie, że stoją na dziedzińcu Maycliffe.

– Czy coś jest nie w porządku?

– Twoje włosy – odparł bez zastanowienia.

Teraz ona zamrugała.

– Moje włosy?

– Są piękne.

– Och. – Iris zaczerwieniła się, z zażenowaniem dotykając kosmyków na karku. – Dziękuję. – Rzuciła szybkie spojrzenie w bok, a potem przez zasłonę jasnych rzęs znowu zerknęła w górę. – Musiałam radzić sobie sama.

Popatrzył na nią zdumiony.

– Muszę zatrudnić osobistą pokojówkę – wyjaśniła.

– Och tak, oczywiście.

– Ćwiczyłam na siostrach, ale jeśli chodzi o samą siebie, nie jestem zbyt biegła.

Richard nie miał pojęcia, o czym ona mówi.

– Potrzeba mi dwunastu szpilek, a mojej dawnej pokojówce wystarczało pięć.

Czternastu.

– Słucham?

Dobry Boże, o mało nie powiedział tego na głos.

– Jak najszybciej znajdziemy dla ciebie pokojówkę – oznajmił stanowczo. – Pani Hopkins ci pomoże. Jeśli chcesz, jeszcze dziś zacznij przegląd kandydatek.

– Gdybyś nie miał nic przeciwko temu – poprosiła Iris, kiedy mąż wreszcie przeprowadził ją przez frontowe drzwi – przed zwiedzaniem domu wolałabym chwilę odpocząć.

– Ależ oczywiście. – Przecież spędziła w powozie sześć godzin. To zrozumiałe, że chciała się położyć.

W swojej sypialni.

Na łóżku.

Jęknął.

– Na pewno dobrze się czujesz? – zapytała. – Wydajesz się bardzo dziwny.

To było właściwe słowo.

Iris dotknęła ramienia męża.

– Richardzie?

– Nigdy nie czułem się lepiej – odparł chrapliwym głosem, po czym zwrócił się do swego osobistego służącego, który wszedł za nimi do domu: – Chyba też powinienem się odświeżyć. Może kąpiel?

A kiedy lokaj skinął głową, Richard pochylił się ku niemu i dodał ciszej:

– Tylko niezbyt ciepłą, Thompson.

– Orzeźwiającą, sir? – mruknął w odpowiedzi Thompson.

Richard zacisnął zęby. Lokaj był u niego już od ośmiu lat, wystarczająco długo, by pozwolić sobie na taką bezczelność.

– Wskażesz mi drogę? – zapytała Iris.

Czy on wskaże jej drogę?

– Do mojego pokoju – wyjaśniła.

Wpatrywał się w nią. Tępo.

– Czy mógłbyś zaprowadzić mnie do mego pokoju? – powtórzyła, spoglądając na męża z zakłopotaną miną.

Stało się. Jego umysł przestał działać.

– Richardzie?

– Moja korespondencja – odparł niespodzianie, chwytając się pierwszej wymówki, która przyszła mu do głowy. Rozpaczliwie potrzebował uniknąć sam na sam z żoną w jej sypialni. – Naprawdę muszę najpierw przejrzeć pocztę.

– Ależ, sir – odezwał się Cresswell, niewątpliwie po to, by przypomnieć swemu panu, że przecież zatrudnia doskonałego sekretarza.

– Nie, nie, lepiej mieć to z głowy. Musi być zrobione i tyle. I jeszcze ten list od ciotki. Nie mogę go zignorować. – Po czym z przyklejonym do twarzy wesołym uśmiechem Richard oznajmił żonie: – Tak czy inaczej, to pani Hopkins powinna ci pokazać twoje pokoje.

Pani Hopkins nie sprawiała wrażenia, jakby się z nim zgadzała.

– Właśnie ona zarządzała ich odnawianiem.

Iris zmarszczyła brwi.

– Mówiłeś, jak mi się wydawało, że wystrój nie był zmieniany.

– Wietrzeniem i tak dalej – poprawił się, podkreślając swoje słowa bezsensownym ruchem ręki. – W każdym razie zna te pokoje lepiej niż ja.

Słysząc to, pani Hopkins zacisnęła usta z dezaprobatą i Richard poczuł się jak mały chłopczyk, który zaraz zostanie skarcony. Gospodyni była dla niego jak własna matka i mimo iż nigdy przy ludziach nie zakwestionowałaby jego poleceń, wiedział, że później powie mu, co myśli.

Impulsywnie ujął dłoń Iris i uniósłszy do ust, szybko ucałował. Nikt nie mógł mu zarzucić, że publicznie ignoruje swoją żonę.

– Musisz odpocząć, moja miła.

Jej usta rozchyliły się w zdumieniu. Czyżby jeszcze nigdy tak się do niej nie zwracał? Do diaska, powinien był to zrobić.

– Godzina ci wystarczy? – zapytał Iris, a raczej jej wargi, które nadal były zachwycająco różowe i rozchylone. Dobry Boże, chciał je całować. Chciał wsunąć pomiędzy nie język i posmakować samej jej istoty, i…

– Dwie! – wypalił. – Potrzebujesz dwóch.

– Dwóch?

– Godzin – wyjaśnił stanowczym tonem. – Nie chciałbym nadwyrężać twoich sił. – Spojrzał na panią Hopkins. – Kobiety są bardzo delikatne.

Jego żona uroczo zmarszczyła brwi i Richard zmełł w ustach przekleństwo. Jak ona mogła wyglądać tak uroczo, kiedy się krzywiła? To z pewnością anatomiczna niemożliwość.

– Czy mam odprowadzić panią do jej sypialni, lady Kenworthy? – zapytała pani Hopkins.

– Byłabym wdzięczna. Dziękuję – odparła Iris, nadal podejrzliwie wpatrując się w męża.

Richard uśmiechnął się do niej blado.

I kiedy oddaliła się wraz z gospodynią, zanim jeszcze zniknęły za zakrętem korytarza, usłyszał, jak powiedziała:

– Czy pani uważa się za bardzo delikatną, pani Hopkins?

– Bynajmniej, milady.

– To dobrze – odparła Iris rześkim głosem. – Bo ja też nie.

# 11

Wieczorem Richard musiał zdobyć się na nowy plan, bądź raczej na modyfikację poprzedniego – taką, którą winien był brać pod uwagę od samego początku.

Iris zaczynała się na niego gniewać. I to demonstracyjnie, nie da się temu zaprzeczyć.

Może jednak zdołałby jakoś złagodzić ten cios?

Cresswell powiedział, że Fleur i Marie-Claire wyjechały na dwa tygodnie. To się na nic nie zda, tydzień by mu wystarczył. Mógł sprowadzić siostry do domu już po siedmiu dniach, nie byłoby to zbyt trudne. Jego ciotka mieszkała tylko dwadzieścia mil dalej.

A tymczasem…

Jednym z wielu zmartwień Richarda było to, że miał zbyt mało czasu, by jego zaloty do przyszłej żony nie wyglądały na zaskakująco krótkie. Iris wciąż jeszcze nie wiedziała, dlaczego ich małżeństwo zawarto z takim pośpiechem, ale nie była przecież głupia i mogła wyczuć, że coś tu jest nie całkiem w porządku. Gdyby miał w Londynie choć trochę więcej czasu, zalecałby się do niej, jak należy. Mógłby okazywać, że zachwyca go jej towarzystwo, że go ono bawi, no i że on sam też może ją bawić. Mógł jej skraść kilka całusów więcej i wzbudzić w niej pożądanie, które – czego był pewien – gdzieś w niej głęboko drzemało.

Gdyby dopiero po tym wszystkim ukląkł przed nią i poprosił ją o rękę, Iris by się nie wahała. Spojrzałaby mu w oczy, dostrzegła w nich upragnioną miłość – i powiedziałaby „tak”.

Może nawet padłaby mu prosto w ramiona, połykając łzy szczęścia.

Byłyby to oświadczyny jej marzeń, a nie ten byle jaki, wyrachowany pocałunek, który na niej wymusił w korytarzu u ciotki.

Nie miał jednak wyboru. Choć z pewnością zrozumiałaby to, gdyby jej wszystko wyjaśnił. Wiedziała, czym jest miłość rodzinna i chęć chronienia bliskich za wszelką cenę. Przecież to właśnie czyniła co roku, biorąc udział w wieczorach muzycznych! Nie chciała na nich grywać; robiła to jedynie dla matki i ciotek, a nawet dla nieznośnej Daisy.

Zrozumiałaby, musiałaby zrozumieć.

Zyskał tydzień zwłoki. Całe siedem dni, nim będzie zmuszony wszystko powiedzieć i patrzeć, jak jej twarz staje się jeszcze bledsza z powodu jego podłego postępku. Może był tchórzem; może powinien raczej wykorzystać ten czas, by wszystko wyjaśnić, by przygotować ją na nieuniknione.

Ale potrzeba mu było tego, czego nie miał przed ślubem. Czasu.

Wiele mogło się zdarzyć przez siedem dni.

Tylko tydzień! – mówił sobie, idąc na ich pierwszą wspólną kolację w Maycliffe Park.

Tylko tydzień, by ją w sobie rozkochać.

Iris przez całe popołudnie odpoczywała w swojej nowej sypialni. Nie pojmowała, dlaczego właściwie siedzenie w powozie jest takie męczące, skoro siedzenie w salonie na fotelu nie wymaga żadnego wysiłku, ale trzydniowa podróż do Maycliffe wyczerpała ją niesłychanie. Może dlatego, że powóz tak bardzo trząsł, albo dlatego, że drogi na północy Anglii są wyjątkowo wyboiste. A może miało to coś wspólnego z jej mężem?

Nie rozumiała go.

Niekiedy był czarujący, a niekiedy unikał jej tak zawzięcie, jakby była nosicielką jakiejś zarazy. Nie mogła uwierzyć, że musiał polecić gospodyni, by wskazała jej drogę do sypialni. Z pewnością należało to do obowiązków nowożeńca… Richard unikał spania razem z nią we wszystkich trzech oberżach, gdzie się zatrzymywali. Dlaczego więc sądziła, że tym razem mógł się zachować inaczej?

Westchnęła. Musi się nauczyć, by go traktować obojętnie. Nie okrutnie albo nieuprzejmie, tylko po prostu… bez cienia uczucia. Gdy się bowiem do niej uśmiechał – a robił to, niegodziwiec! – czuła się wprost wniebowzięta. Było to cudowne, ale czyniło tylko jego rezerwę jeszcze bardziej zagadkową.

No i bolesną.

Już doprawdy wolałaby, żeby nie był dla niej bez przerwy taki miły. Gdyby mogła go znienawidzić…

No nie, cóż ona sobie wymyśliła? Wcale nie byłoby lepiej, gdyby zachowywał się okrutnie lub całkowicie ją ignorował. Z pewnością małżeństwo niełatwe jest mimo wszystko lepsze od małżeństwa przykrego. Trzeba skończyć z dramatyzowaniem, to do niej niepodobne. Musi jedynie odzyskać równowagę – i ją utrzymać.

– Dobry wieczór, lady Kenworthy.

Iris drgnęła zaskoczona. Richard zajrzał do niej przez uchylone drzwi od holu.

– Przecież zapukałem – powiedział z rozbawieniem.

– Z pewnością – potwierdziła pośpiesznie – tylko że myślałam o czym innym.

Uśmiechnął się z jeszcze większym rozbawieniem.

– Czy wolno mi spytać o czym?

– O moim domu – skłamała, a dopiero potem dotarło do niej, co powiedziała. – Miałam na myśli Londyn. Teraz mój dom jest tutaj.

– Owszem – potwierdził i wszedł do pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi. Przechylił lekko głowę na bok i przyglądał się jej na tyle długo, by poczuła niepokój. – Co zrobiłaś z włosami?

No i od razu wszelkie jej postanowienia, by okazywać mu obojętność, zniknęły bez śladu.

Nerwowo dotknęła głowy tuż za prawym uchem, co zauważył, a nie sądziła, że tak właśnie zrobi.

– Jedna ze służących pomogła mi je ułożyć – wyjaśniła. – Strasznie lubi…

Dlaczego on się w nią tak wpatruje?

– Co strasznie lubi?

– Wstążeczki! – odparła pośpiesznie. Idiotyczne, że tak się śpieszy. Zabrzmiało to niemądrze.

– Wyglądasz ślicznie.

– Dziękuję.

Spojrzał na nią z czułością.

– Masz po prostu wspaniałe włosy, w niezwykłym kolorze. Nigdy nie widziałem podobnych.

Rozchyliła wargi. Powinna coś teraz powiedzieć. Powinna mu podziękować. Czuła się jednak onieśmielona – nie oziębła, tylko właśnie onieśmielona – a potem uznała, że to śmieszne, by tak się przejąć lada komplementem.

Na szczęście Richard nie miał pojęcia o jej rozterkach.

– Przykro mi, że musiałaś podróżować bez służącej – ciągnął. – Przyznaję, że nie pomyślałem o tym. Jak typowy mężczyzna.

– To… to nie był żaden kłopot.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, a Iris uznała, że on być może celowo chce ją wytrącić z równowagi.

– Mimo to przepraszam – powiedział.

Iris nie wiedziała, co na to odrzec.

– Czy pani Hopkins pokazała ci twój pokój? – spytał.

– Tak – odparła, usiłując skinąć głową. – Była niezwykle życzliwa.

– Spodobał ci się?

– Oczywiście – powiedziała najzupełniej szczerze, bo pokój był uroczy, jasny i wesoły dzięki temu, że wychodził na południe. Ale najbardziej ją ucieszyło, że…

Spojrzała na Richarda z zachwytem w oczach.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że mam własną łazienkę!

– Naprawdę? – Roześmiał się. – To ci się najbardziej podoba?

– Po przymusowym dzieleniu jej z Daisy przez ostatnie siedem lat? Absolutnie! – Przechyliła głowę na bok w sposób, który według niej miał być zuchwały. – A widok z okna też jest całkiem ładny.

Znów się uśmiechnął i podszedł do okna, skinąwszy na nią, by stanęła obok.

– Co widzisz? – zapytał.

– Nie wiem, co masz na myśli. – Iris podeszła do niego, zważając, by się nie stykali ze sobą.

Richard nie miał jednak takiego zamiaru. Objął ją i łagodnie przyciągnął do siebie.

– Spędziłem w Maycliffe całe życie. Kiedy patrzę przez okno, widzę drzewo, na które po raz pierwszy wdrapałem się jako siedmiolatek. A także miejsce, gdzie moja matka zawsze pragnęła urządzić ogrodowy labirynt.

Miał minę tak zasmuconą, że Iris musiała odwrócić wzrok, by nie wydać się natrętną. Usłyszała, jak mówił:

– Nie potrafię patrzeć na Maycliffe oczami nowego przybysza. Może ty zechcesz mi to umożliwić?

Mówił łagodnym, aksamitnym głosem, który wnikał w nią niby ciepła czekolada. Patrzyła prosto przed siebie, ale wiedziała, że on zwrócił teraz spojrzenie na nią. Poczuła jego ciepły oddech tuż przy policzku.

– Co widzisz, Iris?

– Widzę… trawę – odparła, choć dławiło ją nieco w gardle. – I drzewa.

Richard prychnął lekko, jakby chciał ukryć zaskoczenie.

– No i jeszcze część wzgórza – dodała.

– Nie masz poetyckiego usposobienia, prawda?

– Ani trochę – przyznała. – A ty? – Odwróciła się ku niemu. Zaskoczyło ją, że stał tak blisko.

– Ja tak.

– Kiedy ci się tak podoba? – spytała.

Uśmiechnął się po chwili.

– Kiedy mi się tak podoba.

Iris zaśmiała się nerwowo i odwróciła od okna. Czuła w sobie tak nieznośne

napięcie, jakby ktoś rozniecił ogień pod podeszwami jej pantofelków.

– Chętnie bym teraz usłyszała, co ty widzisz. Powinnam dowiedzieć się czegoś o Maycliffe. Chcę być dobrą panią tej posiadłości.

Oczy mu błysnęły, lecz wyraz twarzy pozostał nieprzenikniony.

– Proszę cię – zaczęła.

Przez chwilę wyglądał na pogrążonego w myślach, ale potem znów wpatrzył się w widok za oknem.

– Dokładnie tam – powiedział, wskazując ruchem podbródka, o które miejsce mu chodzi – na tym polu pomiędzy drzewami urządzaliśmy co roku święto plonów.

– My? – powtórzyła za nim. – Och, jak miło. Chętnie bym brała udział w przygotowaniach.

– Z pewnością tak zrobisz.

– Czy robiliście to jesienią?

– Tak. Zazwyczaj w listopadzie. Ja zawsze… – Zawiesił głos, a potem kiwnął nieznacznie głową, jakby przepędzał z niej jakąś myśl. – Tamta ścieżka – zaczął, wyraźnie chcąc zmienić temat – prowadzi do Mill Farm.

Iris chętnie by usłyszała coś więcej o jesiennym festynie, ale jasne było, że Richard nie zamierza dłużej o nim mówić, więc tylko uprzejmie zapytała:

– Mill Farm? A co to jest?

– Jedna z moich wydzierżawionych farm – wyjaśnił. – Największa z nich, nawiasem mówiąc. Syn odziedziczył ją niedawno po ojcu. Mam nadzieję, że będzie należycie prowadził gospodarstwo. Jego ojciec nigdy tego dobrze nie robił.

– Och. – Iris nie wiedziała, co dodać.

– Widzisz… – Richard niespodziewanie odwrócił się w jej stronę – mógłbym powiedzieć, że twoje obserwacje miałyby więcej wartości od moich. Potrafisz spostrzec jakieś uchybienia, których ja nie zauważam.

– Nie widzę tu żadnych uchybień, daję ci słowo.

– Nic? – wymruczał głosem tak czułym, że odebrała to jak pieszczotę.

– Ale, rzecz jasna, niewiele wiem o zarządzaniu posiadłością – dodała pośpiesznie.

– Dziwne musi być mieszkanie przez całe życie w Londynie – mruknął.

– Nie takie znów dziwne, skoro innego się nie zna.

– Ale ty przecież znasz coś innego?

Iris zmarszczyła czoło i odwróciła się ku niemu. Zrobiła błąd. Znajdował się bliżej niej, niż sądziła, i przez chwilę nie pamiętała, co zamierzała mu powiedzieć. Uniósł brew pytająco.

– Ja…

Po cóż patrzy na jego usta? Spojrzała wyżej, w oczy, w których błysnęło rozbawienie.

– Czy chciałaś może coś dodać? – mruknął.

– Tylko tyle, że ja… och… – Co właściwie miała mu rzec? Odwróciła się od okna. – Och! – powtórzyła, zwracając się ku niemu. Zrobiła kolejny błąd, ale tym razem nie zapomniała przynajmniej, co chce powiedzieć.

– O czym myślałeś, mówiąc, że to nie wszystko, co znam?

Wzruszył lekko ramionami.

– Z pewnością bywałaś na wsi u kuzynek.

– No tak, ale to jednak nie to samo.

– Być może, lecz wystarczy, by sobie wyrobić opinię o różnicy między życiem na wsi i w mieście.

– Zapewne – zgodziła się. – Ale szczerze mówiąc, nie przywiązywałam do tego wagi.

Spojrzał na nią uważnie.

– Jak sądzisz, czy będzie ci się podobało życie na wsi?

Iris z trudem przełknęła ślinę, usiłując zignorować poważny ton, jakim zadał pytanie.

– Nie wiem – odparła. – Mam nadzieję, że tak.

Poczuła, że ujął ją za rękę. Nim zdała sobie sprawę, obróciła się twarzą do niego, a on uniósł jej dłoń do ust.

– Ja też mam taką nadzieję – odparł.

Spojrzał jej w oczy znad ich obydwu dłoni, a Iris w jednej chwili zrozumiała, że… on ją uwodzi.

Uwodził ją. Ale dlaczego? Czemu to robił? Nigdy nie dała mu przecież do zrozumienia, że odrzuca jego względy.

– Czy nie zgłodniałaś czasem? – spytał, wciąż trzymając jej dłoń.

– Czy nie zgłodniałam? – powtórzyła bezmyślnie.

– Pytam z powodu obiadu. – Uśmiechnął się, rozbawiony. – Kucharka przygotowała prawdziwą ucztę.

– Och, tak. Oczywiście. – Odchrząknęła. – Owszem, chyba zgłodniałam.

– Chyba? – zapytał żartobliwie.

Nabrała gwałtownie tchu, pragnąc, by serce biło jej choć trochę wolniej.

– Na pewno – oświadczyła.

– Świetnie. – Skinął głową ku drzwiom. – No, to chodźmy.

Iris wróciła do siebie całkowicie wytrącona z równowagi. Richard podczas całego obiadu był czarujący. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni tak często się śmiała. Rozmowa przy stole okazała się przeurocza, jedzenie wspaniałe, a sposób, w jaki na nią patrzył…

Całkiem jakby była jedyną kobietą na świecie.

Przypuszczała zresztą, że właśnie kimś takim jest, a już na pewno jedyną kobietą w tym domu. Nie było tu nikogo poza nimi dwojgiem, nie licząc służby; ona zaś, która zadowalała się zawsze rolą obserwatorki, tym razem znalazła się w centrum uwagi.

Zbijało ją to z tropu i zarazem było cudowne. Ale teraz czuła się okropnie.

Siedziała znów w swoim pokoju, w każdej chwili spodziewając się pukania do drzwi łączących ich sypialnie. On stanie w nich w szlafroku, boso, bez halsztuka na szyi…

No i zobaczy jego skórę. Więcej, niż kiedykolwiek widziała jej u mężczyzny.

Nadal nie miała pokojówki, a do łóżka pomogła się jej położyć ta sama dziewczyna, która wcześniej ją czesała. Iris poczuła okropne zażenowanie, gdy służąca wyjęła jedną z koszul nocnych należących do jej wyprawy. Była śmiesznie wprost cieniutka i ukazywała niepokojąco wiele ciała, tak że Iris musiała stanąć przy kominku, by pozbyć się gęsiej skórki na ramionach.

Richard przyjdzie do niej w nocy. Z pewnością przyjdzie. A ona wreszcie poczuje się żoną.

Po drugiej stronie drzwi Richard wyprostował się energicznie. Mógłby to zrobić. Mógłby.

A może by nie mógł?

Kto tu kogo nabierał? Gdyby wszedł do jej pokoju, ująłby ją za rękę. A gdyby za nią ujął, podniósłby ją do ust. Ucałowałby każdy ze smukłych paluszków, nimby je delikatnie ścisnął, a ona wtedy przylgnęłaby do niego całym swym ciepłym, niewinnym ciałem. Objąłby ją; nie mógłby się temu oprzeć, a potem by ją pocałował, tak jak kobietę powinno się całować, długo i głęboko, póki nie wyszeptałaby miękko, błagalnie jego imienia, prosząc go, żeby…

Zaklął paskudnie, usiłując pohamować wyobraźnię, zanim zacząłby myśleć o tym, co zrobi w łóżku. Choć już i tak niemało spowodowała. Po prostu skręcał się z pożądania własnej żony.

Wciąż.

Bez przerwy.

Cały wieczór był torturą. Nie potrafił sobie przypomnieć niczego, co mówił przy

stole, i mógł jedynie mieć nadzieję, że prowadził wtedy inteligentną rozmowę. Wyobraźnia kazała jego myślom zapuszczać się w najbardziej niestosowne miejsca, a za każdym razem, gdy Iris oblizywała wargi lub uśmiechała się do niego… do diabła, gdy choćby nabierała tchu… całe jego ciało sztywniało tak, że niemal eksplodował.

Może Iris dziwiło, dlaczego tyle czasu siedzieli przy stole po posiłku, nic jednak nie powiedziała. Dzięki Bogu. Richard nie mógł jej przecież wyznać, że potrzebował aż pół godziny, by pohamować swoją erekcję.

Dobry Boże. Miał teraz za swoje. Zasługiwał na każdy moment owej udręki z powodu tego, jak miał się z nią teraz obejść, i wcale mu ta świadomość nie pomagała. Nie był sybarytą, ale też nie odmawiał sobie przyjemności. A tu każdy nerw jego ciała o nią błagał. Pragnął własnej żony w sposób wręcz szaleńczy. Jedynej kobiety, którą wolno mu było wziąć do łóżka bez żadnych wyrzutów sumienia.

Wszystko, co sobie zamierzył, wydawało mu się wcześniej bardzo proste. Chciał czarować ją przez cały wieczór, ucałować namiętnie, życzyć dobrej nocy i wypowiedzieć jakiś romantyczny nonsens, że powinni się oboje lepiej poznać, nim zaczną współżyć. A potem, po jeszcze jednym całusie, pozbawić ją tchu, dotknąwszy jej policzka ze słowami: „Do jutra”, i pójść sobie.

W teorii było to idealne.

W rzeczywistości było do kitu.

Westchnął donośnie, wyczerpany, i przejechał dłonią po już i tak rozczochranych włosach. Drzwi między ich sypialniami były mniej szczelne, niż sądził. Mógł słyszeć, jak Iris chodzi po pokoju, jak siada przy toaletce, być może szczotkując włosy. Spodziewała się, że do niej przyjdzie. Niby dlaczego nie miałaby się tego spodziewać? Przecież byli małżeństwem.

Musi do niej wejść. Gdyby tego nie zrobił, poczułaby się zaniepokojona. Może nawet obrażona. Nie chciał przyczynić jej bólu. A przynajmniej nie takiego, jaki zamierza jej sprawić potem.

Nabrał tchu i zapukał.

Ruchy w drugim pokoju ustały i po nieskończenie długiej chwili usłyszał:

– Proszę.

– Iris. – Usiłował mówić swobodnie. A potem spojrzał przed siebie.

I zamarł bez tchu, pewien, że serce przestało mu bić.

Miała na sobie cienką, jedwabną koszulę w najjaśniejszym z odcieni błękitu; ręce były odsłonięte, ramiona również. Tylko wąziutkie ramiączka utrzymywały na niej ten strój.

Był on przeznaczony wyłącznie do tego, by kusić mężczyznę, i to kusić go w iście diabelski sposób. Choć dekolt ukazywał niewiele więcej niż suknia balowa, w jakiś niepojęty sposób wydawało się, że właśnie dużo więcej. Przez tkaninę, tak cienką, że prawie przezroczystą, mógł dojrzeć słaby zarys sutków uwypuklających się pod powierzchnią.

– Dobry wieczór – powiedziała; i dopiero wtedy zrozumiał, że nie wypowiedział ani słowa.

– Iris… – wychrypiał słabo.

Uśmiechnęła się lękliwie i ujrzał, że jej ręce bezradnie błądzą po bokach, jakby nie wiedziała, co z nimi zrobić.

– Wyglądasz prześlicznie – powiedział.

– Dziękuję.

Rozpuszczone włosy spływały jej na plecy w miękkich falach, sięgając niemal do samych łokci. Zapomniał, że przedtem pragnął wiedzieć, jakiej są długości.

– To moja pierwsza noc w Maycliffe – powiedziała nieśmiało.

– Tak – zgodził się.

Przełknęła ślinę, najwyraźniej czekając, żeby przejął prowadzenie.

– Musisz być zmęczona – wyjąkał szybko, czepiając się kurczowo jedynej wymówki, na jaką mógł się teraz zdobyć.

– No, trochę.

– Nie chciałbym ci się naprzykrzać.

Aż zamrugała ze zdumienia.

– Co takiego?

Podszedł bliżej, usiłując za wszelką cenę zrobić to, co powinien. Co musiał zrobić, choć tego nie chciał.

Pocałował ją, ale tylko w czoło. Wiedział, czego mu nie wolno.

– Nie chcę być brutalem – wyjaśnił, usiłując wypowiedzieć te słowa łagodnie, pocieszająco.

– Ależ… – Spojrzała na niego zdumiona i oszołomiona.

– Dobranoc, Iris – dodał pośpiesznie.

– Ależ ja…

– Do jutra, kochanie.

A potem uciekł.

Jak tchórz, którym niewątpliwie był.

# 12

*I*ris, jako zamężnej damie, przysługiwał przywilej jedzenia śniadania w łóżku, lecz po obudzeniu się nazajutrz rankiem zacisnęła z determinacją zęby i ubrała się sama. Bez niczyjej pomocy.

Richard ją odrzucił.

On ją odrzucił.

Nie była to już żadna przydrożna oberża, zbytnio zakurzona na noc poślubną, tylko ich dom, na litość boską! Flirtował z nią przez cały wieczór. Ucałował jej dłoń i bawił błyskotliwą rozmową, a potem, gdy już włożyła przejrzystą koszulę i tak wyszczotkowała włosy, że aż lśniły, powiedział jej, że wygląda na zmęczoną!

Wpatrywała się w drzwi między ich pokojami przez niesłychane kilka minut po jego odejściu. Nawet nie miała świadomości, że płacze, póki nagle nie pojęła, że hamuje gwałtowne łkanie, i nie poczuła, że jej nocna koszula – przysięgła sobie nigdy więcej jej nie włożyć – jest mokra od łez.

Mogła wtedy myśleć tylko o tym, że on ją pewnie słyszy przez drzwi. A to jeszcze wszystko pogorszyło.

Zawsze wiedziała, że nie jest pięknością budzącą w mężczyznach namiętność i skłonność do poezji. Może gdzieś w jakimś innym kraju kobiety są podziwiane za bezbarwną, bladą skórę i lekko rudawe włosy, ale nie w Anglii.

A tymczasem po raz pierwszy w życiu zaczęła się czuć piękna. I sprawił to właśnie Richard, swymi ukradkowymi spojrzeniami oraz ciepłymi uśmiechami. Co pewien czas spostrzegała nagle, że na nią patrzył, i czuła się wtedy kimś wyjątkowym. Głęboko cenionym.

A wszystko to było kłamstwem. Albo też ona okazała się osobą głupią, widząc coś, czego wcale nie było.

Może była po prostu głupia. Koniec, kropka!

No, cóż. Nie miała zamiaru przyjąć tego z pokorą. Z całą pewnością nie miała też zamiaru dać mu poznać po sobie, jak głęboko czuła się dotknięta. Zejdzie teraz na śniadanie, jakby nigdy nic. Zje grzankę z dżemem i przeczyta gazetę, a kiedy już coś powie, zrobi to z błyskotliwością, z której zawsze chciała być znana.

Doprawdy nie dlatego, by pragnęła – choć wcale nie była tego pewna – owych wszystkich rzeczy, które poślubieni sobie małżonkowie robią w łóżku; nieważne, że kuzynka Sarah mówiła o nich z takim uniesieniem. Byłoby jednak czymś miłym, gdyby to on ich pragnął.

Chciałaby tego przynajmniej spróbować.

Służąca, która obsługiwała ją zeszłej nocy, musiała widocznie mieć jakieś inne obowiązki, Iris ubrała się więc samodzielnie. Zwinęła włosy w kok, najstaranniej jak mogła, wsunęła stopy w pantofle i wyśliznęła się z pokoju.

Zatrzymała się na chwilę, mijając drzwi Richarda. Czy wciąż jeszcze leżał w łóżku? Przysunęła się ku drzwiom. Kusiło ją, żeby przyłożyć do nich ucho.

Nie!

Zachowałaby się głupio. Podsłuchiwać pod drzwiami, też coś! Nie miała na to czasu. Była głodna, chciała zjeść śniadanie i miała dziś mnóstwo innych rzeczy do roboty, żadna z nich nie dotyczyła jej męża.

Przede wszystkim musiała sobie znaleźć pokojówkę. A także poznać rozkład domu. Pójść do wsi. Spotkać się z dzierżawcami.

No i wypić herbatę.

No nie? – spytała samą siebie. Herbata była czymś ważnym. A potem niech jej nawet kapusta na głowie wyrośnie.

– Tracę rozum! – powiedziała na głos.

– Przepraszam, czego pani sobie życzy, milady?

Iris drgnęła gwałtownie. Na drugim końcu holu przestępowała z nogi na nogę służąca, ściskając oburącz miotełkę do kurzu.

– Nic, nic – odparła Iris, usiłując nie wyglądać na zaskoczoną. – Tylko sobie kaszlnęłam.

Służąca skinęła głową. Dopiero teraz Iris spostrzegła, że nie była to ta sama, która układała jej przedtem włosy.

– Pani Hopkins chciałaby wiedzieć, o której godzinie milady pragnie jeść śniadanie – powiedziała dziewczyna. Dygnęła pośpiesznie, nie patrząc Iris w oczy. – Nie miałyśmy sposobności, żeby zapytać o to wieczorem, a sir Richard…

– Zjem śniadanie na dole – przerwała jej Iris. Nie chciała słyszeć o niczym, co się łączyło z sir Richardem.

Dziewczyna dygnęła ponownie.

– Jak pani sobie życzy.

Iris uśmiechnęła się niepewnie. Trudno jej było poczuć się panią domu, którego pan najwyraźniej zajmował się czymś innym.

Zeszła na dół, usiłując zachowywać się tak, jakby nie zauważała, że cała służba

na nią patrzy – choć udaje, że robi co innego. Całkiem, jakby razem z nią brała udział w jakimś dziwnym tańcu.

Nie wiedziała, jak długo potrwa, nim przestanie w końcu być nową panią Maycliffe. Miesiąc? Rok? No i czy małżonek przez cały ten czas będzie unikał jej sypialni?

Westchnęła, stanęła na chwilę bez ruchu, a potem powiedziała sobie, że jest niemądra. Przecież nie spodziewała się małżeństwa z miłości, po cóż więc zachowuje się tak, jakby za nim tęskniła? Została lady Kenworthy, niezależnie od tego, że wydawało się jej to dziwne. Musiała więc dbać o swoją reputację.

Wyprostowała się, wzięła głęboki oddech i weszła do jadalni.

Tylko po to, żeby się przekonać, że nikogo tam nie ma.

Do diabła!

– Och! Lady Kenworthy! – Pani Hopkins pośpiesznie wbiegła do środka. – Annie dopiero co powiedziała mi, że dziś rano chce pani jeść śniadanie na dole.

– Uhm… tak. Mam nadzieję, że nie będzie z tym kłopotu?

– Ależ skąd, milady. Wciąż jeszcze na kredensie stoją ciepłe potrawy, odkąd sir Richard jadł śniadanie.

– To on już tu był? – Iris, nie wiadomo dlaczego, poczuła rozczarowanie. Nie wiedziała też, czy tego rozczarowania pragnie.

– Ledwie jakiś kwadrans temu – zapewniła ją gospodyni. – Pewnie myślał, że zje pani śniadanie w łóżku.

Iris nic nie odpowiedziała.

Pani Hopkins uśmiechnęła się do niej tajemniczo.

– Prosił, żeby położyć pani kwiat na tacy.

– Naprawdę? – spytała Iris, wściekła na siebie za to, że ledwie potrafi wydusić jakieś słowo.

– Niestety, nie mamy tu irysów. Za wcześnie kwitną.

– Tak daleko na północy? – zdziwiła się Iris.

Pani Hopkins skinęła głową.

– Każdego roku po zachodniej stronie trawnika. Ja lubię te fioletowe.

Iris już była gotowa odpowiedzieć, że się z nią zgadza, gdy usłyszała szybkie, energiczne kroki w holu.

Mógł to być tylko Richard. Żaden sługa nie poruszałby się po domu, nie dbając o czyniony przez siebie hałas.

– Pani Hopkins – odezwał się. – Och. – Zamrugał z zaskoczenia na widok Iris. – Już wstałaś?

– Jak widzisz.

– Mówiłaś, że budzisz się późno.

– Najwyraźniej dziś jest inaczej.

Założył ręce za plecy, a potem odchrząknął.

– Jadłaś już?

– Nie, jeszcze nie.

– Nie chciałaś, żeby ci zaniesiono śniadanie do pokoju?

– Nie – odparła, zastanawiając się, czy choć raz w życiu prowadziła równie sztywną rozmowę.

Co się stało z tym mężczyzną, tak czarującym poprzedniego wieczoru? Z kimś, kto – jak wówczas miała nadzieję – znajdzie się w jej łóżku?

Richard szarpnął za halsztuk.

– Zamierzałem dziś odwiedzić dzierżawców.

– Czy mogłabym wybrać się z tobą?

Spojrzeli sobie w oczy. Iris sama nie wiedziała, które z nich dwojga było bardziej zaskoczone. Nie zdawała sobie sprawy, co mówi, póki nie usłyszała własnych słów.

– Oczywiście – odparł. Cóż innego mógł powiedzieć w obecności pani Hopkins?

– Tylko włożę spencerek – powiedziała Iris, kierując się ku drzwiom. Tutaj, na północy, wiosną wciąż jeszcze trzymał chłód.

– Nie zapomniałaś czasem o czymś?

Odwróciła się.

Richard wskazał na kredens.

– Śniadanie.

– Och! – Poczuła, że się czerwieni. – Oczywiście. Jakaż jestem niemądra. – Nałożyła sobie jedzenie na talerz i niemal podskoczyła, czując oddech Richarda tuż przy swoim uchu.

– Chyba nie moja obecność odebrała ci apetyt?

Zesztywniała. Czyżby teraz z nią flirtował?

– Przepraszam, ale może się odsuniesz? – poprosiła. Zasłaniał jej kiełbaski.

Odstąpił na bok.

– Czy jeździsz konno?

– Nie za dobrze – przyznała. Potem zaś, tylko dlatego, że czuła się poirytowana, dodała: – A ty?

Cofnął się, zaskoczony i rozdrażniony. Bardziej zresztą rozdrażniony niż zaskoczony.

– Oczywiście.

Uśmiechnęła się w duchu, siadając do stołu. Nic nie sprawia dżentelmenowi

takiej przykrości, jak powątpiewanie w jego sprawność jeździecką.

– Nie musisz na mnie czekać – powiedziała, krajając kiełbaskę z iście chirurgiczną precyzją. Za wszelką cenę usiłowała wydawać się normalna, choć przecież nie znał jej na tyle dobrze, by wiedzieć, co jest w jej przypadku normą. To wciąż była kwestia dumy.

Usiadł koło niej.

– Jestem do twojej dyspozycji.

– Naprawdę? – mruknęła w nadziei, że po tym słowie puls nie zacznie jej bić zbyt gwałtownie.

– Ależ tak. Już miałem wychodzić, kiedy cię zobaczyłem. Teraz mogę tylko czekać.

Iris spojrzała na niego spod oka, rozsmarowując dżem na grzance. Richard siedział na krześle w całkiem swobodnej pozie, z pewnością siebie dobrze zbudowanego mężczyzny.

– Powinnam przywieźć ze sobą prezenty – powiedziała, choć wpadła na ten pomysł raczej niespodziewanie.

– Przepraszam, co?

– Prezenty. Dla dzierżawców. Sama nie wiem jakie. No, może koszyczki z żywnością lub czymś takim, nie uważasz?

Namyślał się przez chwilę, a potem rzekł:

– Masz rację. Wcale mi to nie przyszło na myśl.

– No cóż, nie myślałeś o tym, żebym ci dzisiaj towarzyszyła.

Przytaknął jej i uśmiechnął się do niej, gdy unosiła grzankę do ust.

Zesztywniała.

– Czy coś jest nie w porządku?

– Dlaczego coś miałoby być nie w porządku?

– No, bo uśmiechasz się do mnie.

– A nie wolno mi?

– Nie, ale ja… Och, na litość boską – mruknęła – nieważne.

Machnął ręką.

– Nie przejmuj się.

Ale wciąż się do niej uśmiechał.

Poczuła się bardzo nieswojo.

– Czy dobrze spałaś? – spytał.

Doprawdy, jak śmiał ją o to pytać?

– Iris?

– Tak dobrze, jak można się było spodziewać – odparła, gdy była wreszcie w

stanie wydobyć z siebie głos.

– Nie brzmi to zbyt obiecująco.

Wzruszyła ramionami.

– To dziwny pokój.

– W takim razie trudno byłoby ci spać przez całą podróż.

– Ale spałam – stwierdziła.

Spojrzał na nią zatroskany.

– Powinnaś mi powiedzieć, co w nim jest takiego dziwnego.

Miała szczerą chęć wygarnąć mu: „Gdybyś był w moim pokoju, przekonałbyś się sam", ale rzekła tylko:

– Nie chciałam cię martwić.

Richard nachylił się ku niej i ujął ją za rękę, co nie było zbyt zręcznym posunięciem, bo akurat sięgała po herbatę.

– Mam nadzieję, że zawsze będziesz się do mnie chętnie zwracać ze swoimi kłopotami.

Iris próbowała zachować obojętną minę, ale czuła, że spojrzała na niego tak, jakby był okazem z zoo. Ładnie co prawda postępował, troszcząc się o nią, lecz ostatecznie mówili jedynie o kilku źle przespanych nocach.

– O, niewątpliwie – odparła z niepewnym uśmiechem.

– W porządku.

Rozejrzała się ostrożnie po jadalni. Richard wciąż trzymał ją za rękę.

– Moja herbata – powiedziała w końcu, wskazując ruchem głowy filiżankę.

– Ach, oczywiście. Bardzo przepraszam – odparł, lecz kiedy puścił jej dłoń, jego palce prześliznęły się po niej jakby z pieszczotą.

Poczuła, że niepokojący dreszczyk przebiegł jej po skórze. Richard nadal się miło spokojnie uśmiechał, a ten uśmiech jakby rozgrzewał ją od środka. Znów próbował ją uwodzić! Była tego pewna.

Dlaczego? Dlaczego traktował ją tak serdecznie tylko po to, żeby ją odrzucić? Przecież nie był okrutnikiem. Nie mógł nim być.

Pośpiesznie upiła łyk herbaty, mając nadzieję, że on przestanie się w nią wpatrywać.

– Jaka była twoja matka? – spytała nagle.

Zaskoczyło go to najwyraźniej.

– Moja matka?

– Nigdy mi o niej nie mówiłeś.

Zresztą właściwie nie był to temat zachęcający do romansowania. Potrzeba jej było miłej, niezobowiązującej rozmowy, jeśli chciała mieć nadzieję na

dokończenie śniadania.

– Moja matka była…

Najwyraźniej nie wiedział, co ma powiedzieć.

Iris znów odgryzła kęs grzanki, patrząc na męża niewinnym wzrokiem. Richard zmarszczył nos i kilka razy zamrugał. Może Iris była egoistyczną, złośliwą istotą, ale ucieszyło ją to. On ją wyprowadzał z równowagi przez cały czas. Z pewnością coś się teraz należało także i jej.

– Lubiła przebywać na świeżym powietrzu – powiedział w końcu. – Hodowała róże. Inne kwiaty też, ale róże były jedynymi kwiatami, których nazwy zdołałem zapamiętać.

– Jak wyglądała?

– Chyba trochę jak Fleur. – Zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć. – Choć oczy miała zielone. Oczy Fleur są raczej orzechowe, jakby wzięła ich barwę po obojgu rodzicach.

– Twój ojciec miał oczy brązowe?

Richard skinął głową i zabębnił palcami po oparciu krzesła.

– Ciekawe, jakiego koloru oczy będą miały moje dzieci?

Richard odsunął krzesło tak gwałtownie, że rozlał herbatę.

– Przepraszam – wyjąkał. – Straciłem równowagę.

Iris spojrzała na swój talerz, umoczyła grzankę w herbacie i uznała, że skończyła śniadanie. Co za dziwna reakcja. Przecież Richard pragnął chyba mieć dzieci? Każdy mężczyzna tego chce. A przynajmniej każdy, który ma majątek ziemski.

– Czy Maycliffe jest majoratem? – zaciekawiła się.

– Dlaczego pytasz?

– Czy jest to coś, o czym nie powinnam wiedzieć?

– Nie. To znaczy nie jest majoratem. No i rzeczywiście powinnaś o tym wiedzieć – przyznał.

Iris wzięła nową filiżankę i znów nalała sobie herbaty. Nie chciało jej się zbytnio pić, ale czuła dziwną niechęć do przerwania tej rozmowy.

– Twoi rodzice musieli poczuć wielką ulgę, gdy ich pierwsze dziecko okazało się chłopcem – zauważyła. – Z pewnością nie chcieli, żeby posiadłość i tytuł przestały się łączyć.

– Przyznam, że nigdy o tym z nimi nie mówiłem.

– Nie dziwię ci się wcale. – Dolała do herbaty trochę mleka i pociągnęła łyk. – A na kogo przeszedłby tytuł, gdybyś zmarł bezpotomnie?

Uniósł jedną z brwi.

– Czyżbyś chciała sprawić, żebym zszedł z tego świata?

Spojrzała na niego z ukosa.

– Tożsamość dziedzica twojego tytułu to chyba kolejna rzecz, o której powinnam wiedzieć, nie uważasz?

Machnął lekceważąco ręką.

– Daleki kuzyn. Zdaje się, że żyje gdzieś w hrabstwie Somerset.

– Doprawdy?

Jakże mógł o tym nie wiedzieć?

– Nigdy go nie spotkałem. – Richard wzruszył ramionami. – Trzeba by się cofnąć aż do naszych prapradziadków, żeby ustalić wspólnego przodka.

Iris przypuszczała, że to właściwe podejście. Sama mogła dużo wiedzieć o mnóstwie swoich kuzynek, ale były to wszakże bliskie kuzynki. Nie miała pewności, czy zdołałaby zlokalizować miejsce zamieszkania tych dalszych.

– Nie musisz się o nic martwić – powiedział. – Gdyby coś złego mi się stało, byłabyś dobrze zabezpieczona. Zapewniłem ci to w intercyzie.

– Wiem – odparła. – Czytałam ją.

– Czytałaś?

– A nie powinnam?

– Wiele kobiet tego nie robi.

– Skąd możesz to wiedzieć?

Nagle uśmiechnął się szeroko.

– Czyżbyśmy się kłócili?

Niespodziewanie jego uśmiech całkiem ją rozbroił.

– Ależ nie!

Roześmiał się.

– Co za ulga! Za nic nie chciałbym pomyśleć, że się kłócimy, a ja o tym nie wiem!

– Och, nie przypuszczam, żeby to było możliwe.

Nachylił się w jej stronę, przekrzywiając głowę na bok.

– Rzadko podnoszę głos… – mruknęła Iris.

– Ale gdy już tak zrobisz, należy mieć się na baczności?

Potwierdziła jego słowa uśmiechem.

– Mam dziwne wrażenie, że najczęściej doświadcza tego Daisy, czyż nie?

Uniosła palec wskazujący, jakby chciała rzec: „Pomyłka!”

– Nie masz racji.

– No, to powiedz kto.

– Daisy jest… – Iris westchnęła. – Daisy to Daisy. Nie wiem, jak mogłabym ją inaczej określić. Długo sądziłam, że chyba którąś z nas musiano zamienić w

kołysce.

– Bądź ostrożniejsza w opiniach – ostrzegł ją Richard z uśmiechem. – Z twoich sióstr Daisy jest najbardziej podobna do matki.

Iris poczuła, że uśmiecha się również.

– Prawda? Wolę rodzinę ojca. Mówiono mi, że przypominam z karnacji moją prababkę. Zabawne, ile pokoleń zdołało przeminąć, nim urodził się ktoś podobny do niej!

Richard przytaknął jej ruchem głowy, a potem powiedział:

– Wciąż jednak chciałbym wiedzieć, kto wzbudza twój gniew, jeśli nie Daisy.

– Och, nie powiedziałabym, że tak nie jest. Wzbudza go ciągle! Rzadko jednak chodzi o coś, o co naprawdę warto się gniewać. Kłócę się z Daisy w zasadzie o głupstwa.

– W takim razie kto cię złości? – spytał miękko. – Kto może sprawić, że wprost wyskakujesz ze skóry?

O mało nie powiedziała, że on.

Tylko że dotąd on tego naprawdę nie sprawił. Denerwował ją, ranił jej uczucia, ale nigdy nie wzbudził w niej takiej furii, jaką opisywał.

Choć w jakiś niewytłumaczalny sposób wiedziała, że mógłby to sprawić.

I że chciałby tego.

– Sarah – powiedziała stanowczym tonem, porzucając niebezpieczne myśli.

– Twoja kuzynka?

Kiwnęła głową.

– Raz się z nią strasznie pokłóciłam…

Oczy mu rozbłysły. Położył łokcie na stole, a brodę wsparł na dłoniach.

– Muszę znać każdy szczegół.

Iris się roześmiała.

– Nie poznasz ich.

– Och, jestem całkiem pewien, że poznam.

– Trudno mi uwierzyć, że to kobiety uważa się za największe plotkary.

– To nie żadne plotki! – zaprotestował. – Chcę tylko lepiej poznać moją żonę.

– Och, jeśli tak… – Znów się zaśmiała. – No, dobrze, poszło nam o wieczór muzyczny. Prawdę mówiąc, nie sądzę, żebyś to zrozumiał. Nie przypuszczam, żeby to było zrozumiałe dla kogoś spoza mojej rodziny.

– Spróbuj.

Iris westchnęła, nie mając pewności, jak mu wszystko wytłumaczyć. Richard zawsze był taki pewny siebie! Nie mógł chyba wiedzieć, co znaczy pojawiać się na estradzie i robić z siebie kompletną idiotkę, mając przez cały czas świadomość, że

nijak nie można temu zapobiec.

– No, powiedz mi, Iris – zażądał. – Naprawdę chcę o tym wiedzieć.

– W porządku. To było w zeszłym roku.

– Kiedy zachorowała – przerwał jej.

Spojrzała na niego z zaskoczeniem.

– Wspominałaś mi o tym – przypomniał jej.

– Aha. Cóż, ona wcale nie zachorowała.

– Przeczuwałem to.

– Udawała tylko chorobę. Powiedziała, że zrobiła tak, by odwołano cały występ, ale naprawdę myślała tylko o sobie.

– Powiedziałaś jej, co czułaś?

– O, tak. Poszłam do jej domu nazajutrz. Próbowała zaprzeczać, ale było jasne, że wcale nie zachorowała. Mimo to sześć miesięcy później chciała koniecznie być na ślubie Honorii.

– Jakiej Honorii?

Och, prawda, on nie znał Honorii.

– To inna kuzynka – wyjaśniła. – Wyszła za hrabiego Chatteris.

– Czy też na czymś grała?

Uśmiech Iris był raczej rodzajem grymasu.

– Zależy, co rozumiesz przez to słowo.

– Czy Honoria, przepraszam, lady Chatteris, też miała wystąpić na tym koncercie?

– Tak, ale jest bardzo zacną osobą i wszystko łatwo wybacza. Jestem pewna, że do dziś wierzy w chorobę Sarah. Ona zawsze myśli o wszystkich jak najlepiej.

– A ty nie?

Obydwoje spojrzeli na siebie.

– Jestem bardziej podejrzliwa z natury.

– Powinienem to sobie zapamiętać – mruknął.

Iris uznała, że lepiej skończyć z tym tematem, więc odparła:

– W każdym razie Sarah się w końcu przyznała. W noc przed ślubem Honorii. Nie wiem czemu, ale stwierdziła, że trzeba być pozbawioną egoizmu, a ja już po prostu nie mogłam się powstrzymać, żeby jej nie wygarnąć prawdy w oczy.

– A co jej wygarnęłaś?

Iris się skrzywiła. Powiedziała prawdę, choć nie zrobiła tego uprzejmie.

– Wolałabym nie mówić.

Nie dopytywał o szczegóły.

– To było wtedy, jak chciała mi wmówić, że próbowała doprowadzić do

odwołania występu.

– Nie uwierzyłaś jej?

– Sądziłam, że brała to pod uwagę w swoich planach. Ale nie wydaje mi się, żeby to był jej główny motyw.

– Czy ma to jakieś znaczenie?

– Oczywiście – odparła z gwałtownością, która zaskoczyła nawet ją samą. – Nasze motywy mają znaczenie. Muszą mieć.

– Nawet gdy rezultat jest korzystny?

Odrzuciła jego sugestię.

– Najwyraźniej rozpatrujesz to w oderwaniu od konkretu. A ja wciąż mówię o mojej kuzynce i wieczorze muzycznym. Nie, rezultat wcale nie był korzystny. Przynajmniej dla nikogo poza nią.

– Ale można by rzec, że w twojej sytuacji nic się wówczas nie zmieniło.

Iris obrzuciła go nieufnym spojrzeniem.

– Popatrz na to w taki właśnie sposób – wyjaśnił. – Gdyby Sarah nie udawała chorej, musiałabyś wystąpić na tym wieczorze.

Spojrzał na nią, by się przekonać, czy mu przytaknie. Przytaknęła.

– Ona jednak upozorowała chorobę – ciągnął. – Ale w konsekwencji i tak musiałaś wtedy grać.

– Nie wiem, do czego zmierzasz.

– W rezultacie nic się dla ciebie nie zmieniło. Jej postępek, choć nieuczciwy, nie dotknął cię w najmniejszym stopniu.

– Ależ dotknął.

– W jaki sposób?

– Jeśli ja musiałam grać, to i ona także.

Richard się roześmiał.

– Nie uważasz, że to wygląda trochę dziecinnie?

Iris zacisnęła zęby, przepełniona frustracją. Jak on mógł się śmiać?

– Myślę, że nigdy nie musiałeś pokazywać się na estradzie i robić z siebie durnia wobec wszystkich znanych ci osób. A co gorsza, również wobec wielu innych, których wcale nie znałeś.

– Ale ja byłem właśnie jedną z tych nieznanych ci osób – mruknął – no i popatrz, co się stało.

Milczała.

– Gdyby nie ten wieczór muzyczny – powiedział pogodnym tonem – nie bylibyśmy teraz małżeństwem.

Iris nie miała pojęcia, co o tym myśleć.

– Czy wiesz, co widziałem podczas tego wieczoru? – spytał łagodnie.

– Dlaczego nie powiedziałeś: „co słyszałem”?

– Och, wszyscy wiemy, co słyszałem.

Uśmiechnęła się, choć nie bardzo miała na to ochotę.

– Widziałem młodą kobietę kryjącą się za wiolonczelą – ciągnął. – Młodą kobietę, która naprawdę wiedziała, jak się gra na wiolonczeli.

Spojrzała mu w oczy.

– Nie zdradzę twojego sekretu – rzekł z wyrozumiałym uśmiechem.

– To nie żaden sekret.

Wzruszył ramionami.

– A czy wiesz, co nim jest naprawdę? – spytała, gotowa nagle podzielić się z nim tym sekretem. Chciała, żeby go poznał. Chciała też, żeby poznał i ją.

– No, co?

– Nienawidzę grania na wiolonczeli! – wybuchnęła. – I nie tylko na koncertach, choć tego także, ale w ogóle! Nienawidzę w sposób, którego nie potrafię nawet wyrazić słowami.

– Przecież robisz to bardzo dobrze.

Uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

– Tylko że nie cierpię grać na wiolonczeli. Naprawdę. Gdyby mnie nawet posadzono wśród orkiestry złożonej z najlepszych wirtuozów – choć oni by nigdy nie pozwolili zagrać ze sobą kobiecie – i tak bym tego nienawidziła.

– Czemu więc grasz?

– Nie mogę inaczej. Choć teraz już nie muszę grać, skoro wyszłam za mąż. Nigdy więcej nie wezmę do ręki smyczka.

– Dobrze, że się do czegoś przydałem – zażartował. – Ale właściwie dlaczego to robiłaś? Nie mów, że musiałaś. To nie ma nic wspólnego z Sarah.

– Nigdy nie chciałabym być tak nieuczciwa.

Czekała, żeby coś powiedział, ale on zmarszczył tylko czoło i patrzył gdzieś w dal, jakby zatonął w myślach.

– Grałam na wiolonczeli – podjęła – bo tego ode mnie oczekiwano. I dlatego że cieszyło to moją rodzinę. Mimo tego, co mówiłam o bliskich, bardzo ich kocham.

– Na pewno – mruknął.

Odparła ze szczerością:

– Nawet po tym wszystkim uważam Sarah za jedną z mych najlepszych przyjaciółek.

Przyglądał się jej z dziwną powagą.

– Najwyraźniej masz wielką zdolność wybaczania.

Iris się zastanowiła.
– Nigdy tak nie myślałam.
– Mam nadzieję, że umiesz wybaczać – powiedział cicho.
– Co miałeś na myśli? – Chyba nie usłyszała dokładnie.
Ale Richard już wstał i wyciągnął ku niej dłoń.
– Chodź, mamy dziś wiele do zrobienia.

# 13

*J*ak dużo koszyków panu potrzeba?

Richard udawał, że nie zauważa zdumionej miny pani Hopkins.

– Całe osiemnaście – odparł jowialnie.

– Osiemnaście? – spytała. – Czy wie pan, ile czasu to zajmie?

– Byłoby to trudne zadanie dla każdego prócz pani – odparł z galanterią.

Gospodyni zmrużyła oczy, ale był pewien, że spodobał się jej komplement.

– Nie sądzi pani, że zawiezienie koszyków dzierżawcom to znakomity pomysł? – powiedział, uprzedzając w ten sposób kolejny protest. Wysunął Iris przed siebie: – Wpadła na niego lady Kenworthy.

– Sądziłam, że będzie to miły gest – powiedziała Iris.

– Lady Kenworthy jest niezwykle hojna – odparła pani Hopkins – ale…

– Pomożemy pani – uspokoił ją Richard.

Otworzyła usta ze zdumienia.

– Więcej rąk to mniej roboty, czyż nie tak zawsze pani mówiła?

– Nie do pana – odcięła się gospodyni.

Iris stłumiła śmiech. Cóż z niej była za urocza zdrajczyni! Ale Richard o wiele lepiej potrafił przyjmować uszczypliwości.

– Tak to bywa ze sługami znającymi człowieka od najmłodszych lat – szepnął jej do ucha.

– Od najmłodszych lat! – parsknęła pani Hopkins. – Toż znam pana, odkąd tylko…

– Dokładnie wiem, jak długo – uciął Richard. Nie miał ochoty, żeby pani Hopkins w obecności Iris wspomniała o pieluszkach.

– Ja bym po prostu chciała w czymś pomóc – powiedziała Iris. – Chętnie spotkam się z dzierżawcami i sądzę, że prezenty zrobią większe wrażenie, jeśli przyłożę ręki do ich zapakowania.

– Nie wiem nawet, czy mamy osiemnaście koszyków – utyskiwała pani Hopkins.

– Właściwie to nie muszą być same koszyki – odparła Iris. – I pudełka też się

przydadzą. Jestem przy tym pewna, że pani doskonale wie, czym je wypełnić.

Richard był wręcz wniebowzięty, widząc, jak jego żona świetnie dogaduje się z gospodynią. Każdego dnia, każdej godziny – dowiadywał się o niej czegoś nowego. A każda z tych rewelacji mówiła mu, że dokonał bardzo szczęśliwego wyboru. Dziwiło go, że wcześniej zapewne nie zatrzymałby na niej nawet wzroku, gdyby nie był zmuszony do szybkiego znalezienia żony. Z trudem sobie przypominał, czego się spodziewał po małżonce. Oczywiście solidnego posagu. Z tego musiał zrezygnować, ale teraz, gdy patrzył na Iris świetnie radzącą sobie w kuchni Maycliffe, już nie wydawało mu się to takie ważne. Reperacje, których wymagał dom, mogły rok czy dwa poczekać. Nie miał powodu narzekać na to, że wybrał Iris.

Usiłował przypomnieć sobie kobiety, które brał pod uwagę, zanim ją poznał. Utkwiło mu w pamięci tylko to, że zawsze tańczyły, flirtowały z nim i uderzały go po ramieniu wachlarzami. Były kobietami, które wymagały dla siebie względów.

A tymczasem Iris na względy zasługiwała.

Ze swoją żywą inteligencją oraz spokojnym i pełnym uroku usposobieniem potrafiła wślizgiwać się w jego myśli. Zaskakiwała go za każdym razem.

Kto by pomyślał, że ją tak polubi?

Któż lubi swoją żonę? W jego świecie żony tolerowano, traktowano z wyrozumiałością, a jeśli już ktoś miał szczęście trafić na taką, która mu się podobała – pożądano. Ale żeby je lubić?

Gdyby się z Iris nie ożenił, chciałby się z nią zaprzyjaźnić.

Owszem, chciałby tego, wyjąwszy kłopotliwy fakt: tak bardzo pragnął wziąć ją do łóżka, że ledwie był w stanie przytomnie myśleć. Poprzedniej nocy, kiedy przyszedł powiedzieć jej „dobranoc”, omal nie stracił nad sobą kontroli. Pragnął stać się naprawdę jej mężem. Pragnął też, żeby wiedziała, że on jej pragnie. Widział, jak wyglądała, gdy ją pocałował w czoło. Była zmieszana. Zraniona. Sądziła, że jej nie pożąda.

Jak mógłby jej nie pożądać?

Było to dalekie od prawdy, jak również niemal śmiechu warte. Co by sobie pomyślała, wiedząc, że leżał bezsennie w nocy, skręcając się z pożądania, i wyobrażał sobie wszelkie sposoby, na które pragnąłby dać jej rozkosz. Co by powiedziała, gdyby jej wyznał, jak bardzo pragnął wniknąć w nią, wręcz wryć się w nią, dać jej poznać, że stała się jego, że tego pragnął i że chętnie stałby się jej…

– Richardzie?

Odwrócił się na dźwięk jej głosu. Lub raczej zaczął się odwracać. Jego występne myśli zostawiły mu ślad na ciele i poczuł ulgę, że może to ukryć pod blatem stołu.

– Czy coś mówiłeś?

Czy rzeczywiście coś powiedział?

– Zdawało mi się, że coś słyszę – stwierdziła, wzruszając ramionami.

No, mógł sobie to wyobrazić. Dobry Boże, jak on wytrzyma następne kilka miesięcy?

– Richardzie? – spytała ponownie.

Wyglądała na rozbawioną, może nawet zadowoloną, że zaskoczyła go na zagubieniu się w myślach. Kiedy nie odpowiedział od razu, pokiwała głową z uśmiechem i powróciła do swojej roboty.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem zanurzył dłonie w pobliskim naczyniu z wodą i ukradkiem przetarł nimi twarz. Kiedy poczuł już, że się należycie ochłodził, podszedł do Iris i pani Hopkins, które sortowały prezenty.

Iris ledwie na niego spojrzała. Najwyraźniej świetnie się bawiła swoim zajęciem.

– Pani Hopkins mówi, że Millerom potrzeba chyba nowych ścierek.

– Ścierek do naczyń? – zapytał. Wydało mu się to dość nieciekawym prezentem.

– Skoro ich potrzebują… – odparła, ale potem uśmiechnęła się do niego. – Dodamy też kilka biskwitów, jak tylko się je wyjmie z pieca. Zawsze jest przecież miło dostać też coś, czego się pragnęło.

Richard przypatrywał się jej przez dłuższą chwilę.

Odruchowo strzepnęła suknię i uniosła dłoń do policzka.

– Czy mam może coś na twarzy? Spróbowałam dżemu…

Nie miała niczego na twarzy, ale on nachylił się ku niej i ucałował ją lekko w sam kącik warg.

– O, właśnie tu – mruknął.

Dotknęła miejsca, które pocałował, i spojrzała na niego ze zdumieniem, jakby nie była pewna, co się właściwie zdarzyło.

On także.

– Teraz już lepiej – powiedział.

– Dziękuję. Ja… – Zarumieniła się lekko. – Dziękuję ci.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

No i rzeczywiście tak było.

Przez następne dwie godziny udawał, że pomaga przy pakowaniu koszyków. Iris i pani Hopkins doskonale jednak sobie z tym radziły, a kiedy próbował im podsuwać jakiś pomysł, zbywały go machnięciem ręki lub po namyśle uznawały za nieodpowiedni.

Nie przejmował się tym, zadowolony, że może próbować biskwitów (które co do jednego świetnie się udały, co z satysfakcją przekazał kucharce) i przyglądać się

Iris wchodzącej w rolę pani Maycliffe.

Wreszcie zapełniono wszystkie osiemnaście koszyków, pudełek i dzbanków, starannie je zapakowano oraz oznaczono karteczkami z nazwiskami rodzin dzierżawców. Nigdzie nie było dwóch takich samych prezentów. Dunlopowie, którzy mieli czterech synków w wieku od dwunastu do szesnastu lat, otrzymali solidną porcję żywności, a jedna ze starych lalek Marie-Claire znalazła się w koszyku Smithów, których trzyletnia córeczka dopiero co zdołała wyzdrowieć z krupu. Millerowie dostali ścierki do naczyń i biskwity, a Burnhamowie solidną porcję szynki oraz dwie książki – traktat o uprawie roli dla najstarszego z synów – tego, co niedawno przejął farmę – i romantyczną powieść dla jego sióstr.

Może zresztą i syn też ją przeczyta, jak uznał z rozbawieniem Richard. Każdy przecież od czasu do czasu może oddawać się takiej lekturze.

Wszystko załadowano na wózek, a wkrótce potem Richard i Iris wyjechali nim poza Maycliffe Park.

– Nie jest to zbyt wspaniały pojazd – powiedział z przepraszającym uśmiechem, gdy zaczęli trząść się na wybojach.

Iris położyła dłoń na głowie, bo ostry wiatr zagrażał jej kapeluszowi.

– Nieważne. Czy wyobrażasz sobie, że mógłbyś im to wszystko zawieźć w czterokołowym powozie?

Nie miał takiego powozu, ale nie była to najodpowiedniejsza chwila, by o tym mówić, więc odparł tylko:

– Powinnaś mocno zawiązać wstążki kapelusza, żebyś go nie musiała wciąż przytrzymywać ręką.

– Wiem, lecz zawsze uważałam, że to niewygodne. Nie lubię, jak mi się wpijają pod brodą. – Spojrzała na niego bystro. – Nie powinieneś mi dawać dobrych rad, skoro twój własny kapelusz ledwie ci się trzyma na czubku głowy.

Jakby chcąc mu dać nauczkę, wózek podskoczył na wybojach akurat w chwili mocniejszego podmuchu wiatru – i Richard poczuł, że jego cylinder unosi się niebezpiecznie do góry.

– Och! – jęknęła Iris, łapiąc go odruchowo i wciskając mężowi na głowę. Siedzieli tuż przy sobie, a ten ruch zbliżył ich ciała jeszcze bardziej. Kiedy Richard pohamował konia i pozwolił sobie spojrzeć na Iris, jej urocza twarzyczka znalazła się tuż przy nim.

– Myślałem, że… – mruknął, ale gdy popatrzył jej w oczy, bardziej świetliste teraz, pod jasnobłękitnym niebem, słowa zamarły mu na ustach.

– Co myślałeś? – szepnęła, wciąż jeszcze z dłonią na jego głowie. Drugą zaś przytrzymywała własny kapelusz, co byłoby bardzo śmieszną pozycją, gdyby nie

było przy tym tak cudowną.

Konie zatrzymały się, najwyraźniej zaskoczone tym, że przestał nimi kierować.

– Myślałem, że mógłbym mieć ochotę cię pocałować – odparł. Dotknął jej policzka, gładząc łagodnie kciukiem mlecznobiałą skórę. Jakaż była piękna. Jak to możliwe, że aż do tej chwili tego nie zauważył?

Nie było już żadnej wolnej przestrzeni między nimi i jego wargi zetknęły się z wargami Iris, miękkimi, chętnymi, oniemiałymi z zachwytu. Pocałował ją powoli, bez pośpiechu, dając sobie dość czasu, by odkryć ich kształt, smak i gładkość powierzchni. Nie całował jej wcale po raz pierwszy, ale czuł się tak, jakby nie robił tego nigdy przedtem.

Było coś wspaniale wręcz niewinnego w tej chwili. Nie przycisnął jej mocno do siebie; nie miał nawet na to ochoty. To nie był pocałunek zaborczy ani pożądliwy, tylko coś całkiem innego, coś zrodzonego z ciekawości i urzeczenia.

Pocałował ją teraz nieco głębiej, pozwalając językowi wśliznąć się pod jedwabistą dolną wargę. Westchnęła mu prosto w twarz, a jej ciało miękko przyjęło pieszczotę.

Była idealna. I słodka. A on doznał zdumiewającego wrażenia, że mógłby tak trwać przez cały dzień z ręką na jej policzku, z jej dłonią na swojej głowie, dotykając Iris tylko wargami.

Było to coś niemal czystego i duchowego.

Ale właśnie w tej chwili jakiś ptak odezwał się donośnie z oddali, a jego ostry skwir zniweczył cały urok tej chwili. Coś pierzchło. Iris wydała słaby odgłos lub może po prostu odetchnęła ponownie, a on nabrał tchu drżącą piersią i zdołał się trochę odsunąć. Zamrugał raz i drugi, usiłując odzyskać ostrość widzenia. Cały jego świat zawęził się do niej. Nie widział już nic poza jej twarzą.

Pełen zdumienia pomyślał, że ma przecież do niej prawo. Lekko rozchyliła usta, ukazując sam koniuszek różowego języka. Choć to dziwne, nie czuł gwałtownej chęci pocałowania jej. Chciał tylko na nią patrzeć. Chciał widzieć uczucia, jakie kolejno malowały się na jej twarzy. Chciał patrzeć jej w oczy, w źrenice zwężone od jasnego światła. Chciał na zawsze zapamiętać kształt jej warg i trzepot rzęs, gdy mrużyła powieki.

– To było… – wyjąkał w końcu.

– To było… – powtórzyła za nim jak echo.

Uśmiechnął się. Nie mógł nic na to poradzić.

– Stanowczo, to było… to.

Odpowiedziała mu uśmiechem. Radość, jaką przeżył w tej chwili, była czymś niemal nie do powstrzymania.

– Wciąż trzymasz rękę na mojej głowie – powiedział, czując, że jego uśmiech staje się ironiczny i krzywy.

Spojrzała wyżej, jakby chciała się przekonać, czy to prawda.

– Czy sądzisz, że teraz już ci kapelusz nie spadnie? – spytała.

– Możemy zaryzykować.

Cofnęła dłoń, a ten ruch sprawił, że zmieniła całą pozycję, powiększając dystans między nimi. Richard niemal się tym zmartwił, co było dość nonsensowne. Siedziała teraz ledwie dziesięć cali dalej, a on czuł się tak, jakby utracił coś niewiarygodnie cennego.

– Może jednak powinnaś mocniej zawiązać wstążki kapelusza? – zaproponował.

Wymruczała coś, co miało zapewne oznaczać zgodę, i zrobiła tak.

Richard odchrząknął.

– Powinniśmy już jechać.

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się, początkowo z wahaniem, a potem stanowczo. – Oczywiście – powtórzyła. – Kogo odwiedzimy najpierw?

Był jej wdzięczny za to pytanie i za to, że musiał sformułować odpowiedź. Potrzebował bodźca, który pchnąłby jego umysł do działania.

– Hm… myślę, że Burnhamów – zadecydował. – Do nich należy największa i najbliżej położona farma.

– Świetnie. – Iris odwróciła się, spoglądając na stos prezentów.

– Dla nich przeznaczona jest ta drewniana skrzynka. Kucharka zapakowała tam również i dżem. Powiedziała, że młodszy Burnham bardzo lubi słodycze.

– Nie wiem, czy można go jeszcze nazywać młodszym – odparł, popędzając konie. – John Burnham musi mieć teraz jakieś dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata.

– Mniej niż ty.

Uśmiechnął się kwaśno.

– Prawda, lecz podobnie jak ja jest głową rodziny i zarządza farmą. Młodość szybko mija przy takiej odpowiedzialności.

– Czy to trudne? – spytała cicho.

– Najtrudniejsze na świecie. – Richard wrócił pamięcią do dni tuż po śmierci ojca. Był wtedy taki zagubiony, tak bardzo zgnębiony. A do tego on, który przypuszczał, że wie, jak zarządzać Maycliffe i opiekować się siostrami, był pełen smutku. Kochał ojca. Może nie zawsze się zgadzali, lecz istniała między nimi więź. Ojciec nauczył go jeździć konno. Nauczył go też czytać – nie tylko rozróżniać litery, ale też kochać lekturę, oceniać wartość książek i wiedzy. Nie nauczył go jedynie – bo nikt sobie w ogóle nie wyobrażał, by to było niezbędne – zarządzania

majątkiem. Bernard Kenworthy nie był stary, kiedy zachorował. Wszystko zdawało się wskazywać, że Richard ma przed sobą całe lata, a nawet dziesięciolecia, nim będzie musiał przejąć ster po ojcu.

Prawdę mówiąc, nie nauczyłby się wiele od niego. Bernard Kenworthy nigdy się bowiem nie troszczył o to, by samemu coś umieć. Nie był dobrym zarządcą posiadłości! Nigdy go to nie interesowało, a jego decyzje – jeśli już jakieś podejmował – były poronione. Nie pragnął zresztą władzy, po prostu robił tylko tyle, ile musiał – czyli to, co zajmowało najmniej czasu i wymagało najmniejszego wysiłku. A Maycliffe mocno na tym ucierpiało.

– Byłeś wtedy ledwie chłopcem – powiedziała Iris.

Richard zaśmiał się cierpko.

– Właśnie to jest najzabawniejsze, bo ja wówczas sądziłem, że jestem mężczyzną. Uczyłem się w Oksfordzie, a także… – Urwał gwałtownie, nimby mu się wyrwało, że sypiał już z kobietami. Iris była jego żoną. Nie musiała wiedzieć, w jaki sposób głupi młodzieńcy wyznaczają sobie standardy męskości.

– Myślałem, że jestem mężczyzną – powtórzył, krzywiąc usta w zgryźliwym uśmiechu. – Ale potem… kiedy musiałem wrócić do domu i naprawdę się nim stać…

Położyła mu dłoń na ramieniu.

– Jakże mi przykro.

Wzruszył ramieniem, ale nie tym, na którym spoczęła jej ręka. Nie chciał, żeby ją cofnęła.

– Zrobiłeś naprawdę niemało. – Rozejrzała się wokoło, całkiem jakby zieloność drzew świadczyła o jego dobrym zarządzaniu. – Z tego, co ludzie mówią, można by sądzić, że Maycliffe prosperuje.

– Z tego, co ludzie mówią? – spytał z ironicznym uśmieszkiem. – A ile ich opinii już słyszałaś, odkąd tu jesteś?

Prychnęła z rozbawieniem i trąciła go łokciem.

– Ludzie mówią – odparła żartobliwie. – A ja, jak wiesz, słucham.

– Rzeczywiście.

Patrzył, jak się uśmiecha. Sprawiał mu wielką przyjemność widok jej wyginających się w uśmiechu warg.

– Może mi powiesz coś więcej o Burnhamach? – spytała. – No i o innych dzierżawcach, ale od Burnhamów przecież zaczynamy.

– Nie wiem dokładnie, co chciałabyś wiedzieć, ale jest ich sześcioro. Oczywiście pani Burnham i jej syn John, teraz głowa rodziny, a potem czworo młodszych dzieci, dwóch chłopców i dwie dziewczynki. – Zastanawiał się przez chwilę. – Nie

pamiętam, w jakim oni są wieku, lecz najmłodszy, Tommy, może mieć najwyżej jedenaście lat.

– Jak dawno zmarł ich ojciec?

– Dwa, może trzy lata temu. Nie była to niespodziewana śmierć.

– Dlaczego?

– On pił. Na umór. – Richard zmarszczył brwi. Nie chciał źle mówić o zmarłych, ale tak wyglądała prawda. Stary Burnham zanadto lubił mocne piwo i to mu zrujnowało zdrowie. Najpierw się roztył, potem cały zżółkł, a wreszcie umarł.

– Czy jego syn jest taki sam?

Niegłupie pytanie. Synowie często dziedziczą złe narowy po ojcach, Richard dobrze o tym wiedział. Kiedy otrzymał w spadku Maycliffe, on także zrobił tylko to, co musiał; wysłał swoje siostry do ciotki, sam zaś nadal żył w Londynie, całkiem jakby to nie na nim spoczęła właśnie odpowiedzialność za dom. Dopiero po dobrych kilku latach zrozumiał, że w środku cały się wypalił. Nawet jeszcze teraz płacił cenę za swą nierozwagę.

– Nie znam dobrze Johna Burnhama – powiedział do Iris – ale nie sądzę, żeby pił. W każdym razie nie więcej niż każdy mężczyzna.

Iris nic nie odrzekła, więc ciągnął dalej:

– Będzie z niego porządny człowiek, lepszy niż jego ojciec.

– Co masz na myśli?

Richard zastanawiał się przez chwilę. Nigdy dotąd nie myślał wiele o Johnie Burnhamie, prócz tego, że był on teraz zarządcą największej z dzierżawionych farm. Podobało mu się to, co o nim wiedział, choć nieczęsto mieli ze sobą do czynienia; nikt się zresztą tego po nich nie spodziewał.

– To ktoś poważny – odparł w końcu. – Dobrze zaplanował swoje życie. Skończył nawet szkoły dzięki mojemu ojcu.

– Dzięki twojemu ojcu? – powtórzyła z pewnym zaskoczeniem.

– Płacił za jego naukę, bo go polubił. Mówił, że jest bardzo inteligentny. Mój ojciec zawsze to niezwykle cenił.

– Inteligencję należy cenić.

– Istotnie. – W końcu właśnie i z tego powodu on cenił Iris. Nie była to jednak odpowiednia chwila, by o tym mówić, dodał więc tylko: – John zapewne mógłby studiować prawo lub coś w tym rodzaju, gdyby nie musiał wrócić do Mill Farm.

– To z farmera można zrobić adwokata? – spytała Iris. – Naprawdę?

Richard wzruszył ramionami.

– Dlaczego nie? Gdyby tylko ktoś tego chciał…

Iris milczała przez chwilę, a potem zapytała:

– Czy John Burnham jest żonaty?

Spojrzał na nią pytająco, nim znów skupił uwagę na powożeniu.

– Czemu cię to interesuje?

– Powinnam w końcu wiedzieć o takich rzeczach – przypomniała mu. Poruszyła się na siedzeniu. – A prócz tego byłam ciekawa. Zawsze jestem ciekawa ludzi. Pewnie musiał wrócić do domu, żeby utrzymać rodzinę? Może właśnie dlatego nie mógł studiować prawa?

– Nie wiem, czy chciał studiować prawo. Mówiłem tylko, że to ktoś na tyle inteligentny, by móc to robić. Nie, nie jest żonaty, ale musi utrzymywać rodzinę. Nie mógł przecież zostawić matki i rodzeństwa bez opieki.

Iris znów położyła mu rękę na ramieniu.

– W takim razie bardzo przypomina ciebie.

Richard poczuł, że coś go nieprzyjemnie dławi w gardle.

– Tak usilnie troszczysz się o siostry – ciągnęła.

– Przecież jeszcze ich nawet nie poznałaś – przypomniał jej.

Wzruszyła lekko ramionami.

– Widzę, że jesteś oddanym bratem. I spolegliwym opiekunem.

Richard na moment przełożył lejce do drugiej ręki, czując ulgę, że może zmienić temat.

– To już za zakrętem drogi.

– Mill Farm?

Spojrzał na nią uważniej. Dosłyszał w jej głosie napięcie.

– Denerwujesz się?

– Trochę – przyznała.

– Niepotrzebnie. Jesteś panią Maycliffe.

Prychnęła cicho.

– Właśnie dlatego się denerwuję.

Richard już miał coś powiedzieć, ale w końcu pokiwał tylko głową. Czyż nie zdawała sobie sprawy, że to właśnie Burnhamowie powinni się denerwować na myśl, że spotykają Iris Kenworthy?

– Och! – zawołała. – Jest o wiele większa, niż myślałam.

– Powiedziałbym, że to największe gospodarstwo rolne w Maycliffe – mruknął, zatrzymując bryczkę.

Burnhamowie gospodarzyli tu od ładnych kilku pokoleń i zdołali wznieść całkiem przyjemny dom z czterema sypialniami, bawialnią oraz kantorkiem. Przedtem zatrudniali służącą, ale musieli ją zwolnić, kiedy przyszły na nich ciężkie czasy tuż przed śmiercią starego Burnhama.

– Nigdy nie jeździłam z wizytą do moich kuzynek – powiedziała Iris z zakłopotaniem.

Richard zeskoczył z kozła i pomógł jej wysiąść.

– Czemu nagle stałaś się taka niepewna?

– Chyba dlatego, że zrozumiałam, jak niewiele wiem – odparła, idąc w stronę domu. – Przypuszczałam, że wszyscy dzierżawcy żyją w małych domkach.

– Większość z nich istotnie tak mieszka. Niektórzy bywają jednak całkiem majętni. Nie trzeba być posiadaczem ziemskim, żeby dobrze żyć.

– Ale trzeba mieć ziemię na własność, żeby być uważanym za dżentelmena. Albo przynajmniej urodzić się w rodzinie ziemiańskiej.

– To prawda – przyznał. Nawet farmer będący gospodarzem średniorolnym nie mógł być uważany za kogoś z ziemiaństwa. Do tego trzeba było mieć dużo więcej ziemi.

– Sir Richard! – krzyknął ktoś.

Richard uśmiechnął się szeroko na widok biegnącego ku nim chłopca.

– Tommy! – zawołał i zwichrzył mu czuprynę, gdy malec znalazł się tuż przy nim. – Czymże cię żywi twoja mama? Urosłeś chyba ze dwanaście cali od czasu, jak cię ostatnio widziałem!

Tommy Burnham był cały rozpromieniony.

– John posyła mnie do pracy w polu, a mama mówi, że to od słońca tak szybko rosnę. Jakbym był jakimś chwastem.

Richard zaśmiał się, a potem przedstawił go Iris, która na zawsze zaskarbiła sobie względy Tommy'ego, bo potraktowała go jak dorosłego, podając mu rękę.

– Czy John jest w domu? – spytał Richard, wyjąwszy z wózka odpowiedni pakunek.

– Razem z mamą – odparł Tommy, wskazując głową na budynek. – Właśnie zjedliśmy obiad.

– Czy to ten? – Richard spytał szeptem Iris. Potwierdziła, wyjął więc pakunek i skinął na nią, żeby podeszła do domu. – Ale przecież macie innych ludzi do pracy w polu? – spytał Tommy'ego.

– O, tak. – Tommy spojrzał na niego jak na kogoś, kto nie ma pojęcia, że nie może być inaczej. – Nie zdołalibyśmy zrobić wszystkiego sami. Nawet by się obeszło bez mojej pomocy, ale John mówi, że ja też powinienem przyłożyć do tego rękę.

– Twój brat jest mądrym człowiekiem – powiedział Richard.

Tommy przewrócił oczami.

– On mówi to samo.

Iris parsknęła śmiechem.

– Spójrz tylko na nią. – Richard wskazał na Iris. – Podobnie jak ty, ma o wiele za dużo rodzeństwa, nauczyła się więc, jak być bystra.

– Nie bystra – poprawiła go Iris – tylko sprytna.

– To jeszcze gorsze.

– On jest najstarszy – zwróciła się porozumiewawczo do Tommy'ego. – A to, co osiąga siłą, my musimy uzyskać dzięki naszym głowom.

– Ale pana zażyła z mańki, sir Richardzie! – Tommy zachichotał.

– Zawsze to robi.

– Naprawdę? – Iris uniosła brwi.

Richard tylko się dyskretnie uśmiechnął.

Niech sobie Iris myśli, co chce!

Weszli do domu. Tommy wbiegł tam przed nimi, wołając, że przyjechał sir Richard z nową lady Kenworthy. Pani Burnham natychmiast wyszła im na spotkanie, wycierając zabrudzone mąką ręce w fartuch.

– Sir Richard! – zawołała, dygając przed nim. – To doprawdy zaszczyt dla nas.

– Przyjechałem, żeby przedstawić moją żonę.

Iris uśmiechnęła się miło.

– Przywieźliśmy wam podarki.

– Och, to my powinniśmy dać je państwu – zaprotestowała pani Burnham. – Z okazji ślubu.

– Nonsens – stwierdziła Iris. – To wy przyjmujecie mnie u siebie, na waszej ziemi.

– Bo to już teraz także twoja ziemia – przypomniał jej Richard, kładąc pakunek na stole.

– Owszem, ale rodzina Burnhamów żyje tu o całe stulecie dłużej ode mnie, a ja dopiero muszę zasłużyć na własne miejsce – powiedziała Iris.

W ten sposób zapewniła sobie raz na zawsze lojalność pani Burnham, a przy okazji i wszystkich pozostałych dzierżawców. Społeczność Maycliffe tworzyła bowiem jakąś jedność niezależnie od sfery. Pani Burnham była matroną największej z miejscowych farm, a tym samym przewodziła całemu Maycliffe. Słowa Iris miały więc szansę dotrzeć do uszu każdego z jego mieszkańców jeszcze przed zapadnięciem nocy.

– Dlatego się właśnie z nią ożeniłem – powiedział Richard do pani Burnham. Powiedział to z uśmiechem, ale i z poczuciem winy. Wcale nie dlatego się z nią ożenił.

Choć bardzo by chciał, żeby tak było.

– John – odezwała się pani Burnham – przywitaj się z nową lady Kenworthy.

Richard nie spostrzegł, kiedy John Burnham wszedł do przedsionka. Był mężczyzną spokojnym – i to zawsze – a teraz stał koło drzwi kuchennych, czekając, aż inni go zauważą.

– Milady. – Złożył jej krótki ukłon. – To zaszczyt dla mnie, że mogę panią poznać.

– Mnie również miło poznać pana – odrzekła Iris.

– Jak wam się wiedzie na farmie? – spytał Richard.

– Bardzo dobrze – odparł John i obydwaj przez kilka minut rozprawiali o polach, żniwach i melioracji. Iris w tym czasie gawędziła uprzejmie z panią Burnham.

– Musimy jechać dalej – powiedział w końcu Richard. – Zatrzymamy się jeszcze w wielu innych domach, nim wrócimy do dworu.

– Musi tam być bardzo cicho, skoro pańskie siostry wyjechały – zauważyła pani Burnham.

John odwrócił się gwałtownie.

– To pana siostry wyjechały?

– Tylko w odwiedziny do ciotki. Widocznie uznała, że powinniśmy na jakiś czas zostać sami we dwoje. – Uśmiechnął się porozumiewawczo do Johna. – Siostry nie przydają się zbytnio podczas miodowego miesiąca.

– Nie – przyznał John. – Przypuszczam, że nie.

Pożegnali się, a Richard przy wyjściu ujął Iris za rękę.

– Myślę, że poszło nam dobrze – powiedziała, gdy pomagał jej wsiąść na wózek.

– Byłaś wspaniała – zapewnił ją.

– Naprawdę? Chyba tak nie myślisz?

– Właśnie, że tak myślę, bo to prawda. Pani Burnham już cię po prostu wielbi.

Iris rozchyliła usta, przysiągłby, że po to, by powiedzieć „naprawdę?” albo „czy istotnie tak myślisz?”, ale ona tylko uśmiechnęła się i zarumieniła z dumy.

– Dziękuję ci – odparła cicho.

W odpowiedzi ucałował jej dłoń, a potem chwycił za lejce.

– Jaki to miły dzień – powiedziała, gdy odjeżdżali z Mill Farm. – Zwłaszcza dla mnie.

On sądził tak samo. Był to najmilszy dzień, jaki mógł sobie przypomnieć.

# 14

***Trzy dni później***

Zakochała się w swoim mężu. Iris nie wiedziała, czy coś mogło być bardziej oczywiste.

Czyż można się mylić co do miłości? Czyż nie powinna teraz leżeć w łóżku, uginając się pod ciężarem myśli: Czy to prawda? Czy to jest miłość? W Londynie pytała przecież o to kuzynkę Sarah – Sarah, która w tak oczywisty i pozbawiony wahań sposób kochała męża – i nawet ona odparła, że z początku nie była tego pewna.

Ale Iris zawsze pozwalała, żeby wszystko szło własnym torem, i dlatego obudziła się po prostu pewnego ranka, myśląc sobie: Ja go chyba kocham.

Jeśli zaś jeszcze go nie kochała, pokocha go wkrótce. To było tylko kwestią czasu. Wstrzymywała dech, gdy tylko Richard wchodził do pokoju. Myślała o nim nieustannie. A on potrafił ją rozśmieszać – och, i jak jeszcze!

Ona też go potrafiła rozśmieszać. A gdy to robiła, serce jej biło z radości.

Dzień, w którym odwiedzili dzierżawców, był wręcz magiczny; wiedziała, że on również odczuwał to w ten sam sposób. Całował ją wtedy, jakby była bezcennym skarbem – nie, nie tak. To byłoby zimne i beznamiętne.

Richard całował ją, jakby była światłością, ciepłem i tęczą jednocześnie. Jakby słońce wysłało jeden jedyny promień dokładnie na nich i tylko na nich.

To było idealne.

Po prostu magiczne.

A potem nie zrobił już tego ani razu.

Spędzali całe dnie razem, chodząc po Maycliffe. Patrzył jej serdecznie w oczy. Trzymał ją za rękę, całował nawet wrażliwą skórę nadgarstka. Ale już więcej nie zbliżył ust do jej warg.

Czyżby myślał, że nie przyjmie chętnie jego względów? Czyżby myślał, że wciąż jest za wcześnie? Jakże mogło być za wcześnie? Przecież byli małżeństwem, na litość boską. Była jego żoną.

No i dlaczego nie zdawał sobie sprawy, że byłaby zbyt zażenowana, by go o to pytać?

Udawała więc, że uważa to wszystko za normalne. Wiele par małżeńskich ma osobne sypialnie. Gdyby jej rodzice kiedykolwiek spali w tym samym łóżku, wręcz by o tym nie wiedziała.

Ani też, pomyślała, wzdrygając się, nie chciałaby wiedzieć.

Jeśli nawet Richard był mężczyzną, który uważa, że mąż i żona powinni sypiać osobno, to z pewnością chciałby jednak dopełnić ich małżeństwa. Matka mówiła, że mężczyźni… lubią to robić. A Sarah powiedziała, że kobiety też mogą to lubić.

Mogła tę sytuację wyjaśnić tylko w jeden sposób: Richard jej nie pragnął. Chyba że… jak myślała… było właśnie na odwrót.

Dwukrotnie spostrzegła, jak na nią patrzył z taką intensywnością, że aż puls jej przyśpieszył. A tego ranka o mało jej nie pocałował. Była tego pewna. Szli właśnie krętą ścieżką wiodącą do oranżerii, kiedy się potknęła. Richard złapał ją, cały się przy tym wyginając, a ona padła na niego z biustem płasko przyciśniętym do jego piersi.

Nigdy jeszcze nie znalazła się tak blisko niego. Spojrzała mu wtedy w oczy. Cały świat wokół nich jakby gdzieś zniknął, a ona widziała przed sobą tylko jego ukochaną twarz. Nachylił ku niej głowę i jego spojrzenie padło na jej wargi, a ona westchnęła…

A potem się cofnął.

– Wybacz mi – wymamrotał, po czym znów zaczęli iść po ścieżce.

Ale ranek stracił cały swój urok. Rozmowa, którą wiedli tak swobodnie, stała się sztywna, a Richard nawet jej nie dotknął, choćby przypadkowo. Ani nie objął jej pleców, ani nie wsparł się o jej ramię.

Inna kobieta – taka, która miałaby więcej doświadczenia z płcią przeciwną, lub taka, która umiałaby czytać w cudzych myślach – mogłaby zrozumieć, dlaczego Richard tak się zachowuje, lecz dla Iris było to zagadką.

I źródłem frustracji.

I smutku.

Iris jęknęła i wróciła do czytanej książki. Było późne popołudnie, a ona znalazła w bibliotece Maycliffe starą powieść Sarah Gorely – zapewne kupioną przez jedną z sióstr Richarda. Nie wyobrażała sobie, żeby on mógł coś takiego kupić. Powieść nie była zbyt dobra, ale dramatyczna, a co najważniejsze, stanowiła rozrywkę. A błękitna sofa w salonie była niesłychanie wygodna. Obicie miała na tyle zużyte, by wygodnie się na niej siedziało, choć nie tak bardzo, by robiła przykre wrażenie.

Iris lubiła czytać w salonie. Popołudniowe światło było tu znakomite i właśnie

tutaj, w centrum domostwa, niemalże przekonała siebie samą, że to jej dom.

Zdołała przeczytać mniej więcej jeden rozdział, gdy usłyszała w holu kroki, które mogły być jedynie krokami Richarda.

– Jak się miewasz? – spytał od drzwi, witając się z nią uprzejmym skinieniem głowy.

Uśmiechnęła się do niego.

– Bardzo dobrze, dziękuję.

– Co takiego czytasz?

Iris uniosła książkę do góry, choć było niemożliwe, by zdołał odczytać tytuł z takiej odległości.

– *Panna Truesdale i milczący dżentelmen*. To dawna powieść Sarah Gorely. Obawiam się, że nie z tych najlepszych.

Wszedł do pokoju.

– Nigdy nie czytałem żadnej jej książki. Ale chyba jest znaną pisarką, prawda?

– Nie sądzę, żeby ta powieść ci się spodobała – powiedziała.

Uśmiechnął się – tym serdecznym, rozmarzonym uśmiechem, który zdawał się zmieniać całą jego twarz.

– Chciałbym poznać kawałek.

Iris, zdziwiona, spojrzała na trzymaną książkę, zanim mu ją podała.

Roześmiał się, rozbawiony.

– Nie będę ci jej odbierał.

Spojrzała na niego z zaskoczeniem.

– Czy chcesz, żebym ci poczytała?

– Czemuż by nie?

Uniosła brwi.

– Nie mów tylko, że cię nie ostrzegałam – mruknęła i zmieniła nieco pozycję na sofie, usiłując ukryć rozczarowanie. Richard siadł w fotelu naprzeciwko.

– Czy znalazłaś ją w bibliotece? – zapytał. – Pewnie kupiła ją Fleur.

Iris kiwnęła głową i zaznaczyła miejsce, do którego doszła, nim cofnęła się do pierwszych stron.

– Macie tu wszystko, co Gorely napisała.

– Naprawdę? Nie wiedziałem, że moja siostra tak ją uwielbia.

– Mówiłeś mi, że lubi czytać – zauważyła Iris. – A Gorely jest bardzo znaną autorką.

– Coś o tym słyszałem – mruknął.

Iris spojrzała na niego, a on z iście królewską łaskawością pochylił głowę, dając jej znak, by zaczynała.

– „Rozdział pierwszy” – przeczytała. – „Panna Ivory Truesdale została sierotą…” – Spojrzała na niego ponownie. – Czy na pewno chcesz, żebym ci to czytała? Nie wyobrażam sobie, byś był zachwycony taką lekturą.

Popatrzył na nią ze szczerym rozbawieniem.

– Chyba rozumiesz, że teraz już musisz mi choć trochę przeczytać mimo wszystkich twych protestów.

Iris pokiwała głową i odchrząknęła.

– Doskonale. „Panna Ivory Truesdale została sierotą w środę po południu, gdy jej ojca trafiła w samo serce strzała z zatrutym grotem, wystrzelona przez doświadczonego węgierskiego łucznika, sprowadzonego do Anglii tylko po to, by spowodował jego straszliwą i przedwczesną śmierć”.

Uniosła wzrok znad książki.

– Jakie to ponure – powiedział.

Iris przytaknęła.

– Dalej jest jeszcze gorzej.

– Czy to w ogóle możliwe?

– Węgierski łucznik po kilku rozdziałach sam umiera straszliwą śmiercią.

– Spróbuję zgadnąć jaką. Wypadek podczas jazdy powozem?

– Och, to stanowczo zbyt prozaiczne! – skarciła go. – W końcu owa autorka w innej książce każe bohaterowi umrzeć wskutek zadziobania przez gołębie!

Richard najpierw otworzył usta, a potem je zamknął.

– Przez gołębie! – powiedział w końcu i kilkakrotnie zamrugał. – Nadzwyczajne.

– Czy mam czytać dalej? – spytała, unosząc książkę.

– Tak – odparł, choć z miną kogoś, kto nie jest pewien, czy podjął słuszną decyzję.

Iris znowu odchrząknęła.

– „Przez następne sześć lat Ivory żadnego środowego popołudnia nie potrafiła zapomnieć tamtego przeszywającego świstu strzały, która niemal otarła się w locie o jej twarz, nim ugodziła w ojcowskie serce”.

Richard wymamrotał coś pod nosem. Iris nie usłyszała wszystkich słów, ale z pewnością było tam i wyrażenie „tego już za wiele”.

– „Każda kolejna środa była torturą. Nawet by wstać z łóżka, panna Truesdale musiała wykrzesać z siebie energię, której często jej brakowało. Nie mogła jeść, a sen, jeśli w ogóle zdołała zasnąć, był dla niej jedynym wybawieniem”.

Richard prychnął z niechęcią.

Iris uniosła wzrok znad tekstu.

– O co ci chodzi?

– O nic.

Powróciła do lektury.

– Czy naprawdę – spytał jakby z zaskoczeniem – chodzi o środy?

Znów uniosła wzrok.

– Ta kobieta lęka się śród?

– Najwyraźniej.

– A co się dzieje w czwartki?

– Zaraz się dowiesz.

Richard przewrócił oczami, zgorszony tą impertynencją, i gestem nakazał jej czytać dalej.

Iris spojrzała na niego ostentacyjnie udręczonym wzrokiem, dając mu do zrozumienia, że jest gotowa na dalsze przerwy. Odwzajemnił się równie ironicznym spojrzeniem, a ona znów zaczęła czytać:

– „Czwartki przynosiły nadzieję i odnowę, choć nie można by rzec, że Ivory miała powody do nadziei lub podniesienia na duchu. Jej życie w prowadzonym przez pannę Winchell domu sierot było w najlepszym razie nudne, a w najgorszym żałosne”.

– „Nudne” to pierwsze właściwe słowo w tej książce – zadrwił Richard.

Iris uniosła brwi.

– Czy mam przestać?

– Owszem. Nie sądzę, żebym mógł znieść dalszy ciąg.

Iris stłumiła uśmiech, bo byłoby nieładnie cieszyć się z jego udręki.

– Wciąż jednak chciałbym wiedzieć, jak zginął ten węgierski łucznik – dodał Richard.

– Zepsuje ci to całą historię – odparowała, sznurując usta.

– Jakoś w to wątpię.

Iris zachichotała. Nie chciała wprawdzie tego robić, ale Richard miał zwyczaj mówić pewne rzeczy w taki sposób, że zawsze ją to bawiło.

– No, dobrze. Dostał strzał prosto w głowę.

– To niezbyt interesujące. – Gdy na niego spojrzała ze zdumieniem, dodał: – Oczywiście w literackim sensie.

– Został zastrzelony przez psa. Z pistoletu.

Richard oniemiał.

– No i mamy kolejnego milczącego dżentelmena – powiedziała z uśmiechem pełnym wyższości.

– Nie, doprawdy – stęknął Richard – muszę zaprotestować.

– Przeciwko czemu?

Najwyraźniej poczuł się zakłopotany.

– Nie wiem – stwierdził w końcu. – Ale mimo to muszę zaprotestować.

– Nie sądzę, żeby pies świadomie zamierzał go zastrzelić – sprzeciwiła się Iris.

– Czy chcesz powiedzieć, że autorka nie wyposażyła psa w jasną motywację?

Iris odparła z niewinną miną:

– Nawet do tego brak jej talentu.

Richard prychnął z lekceważeniem.

– Mówiłam ci, że to nie jest jedna z jej najlepszych książek – przypomniała mu.

Richard wyraźnie nie był w stanie zdobyć się na odpowiedź.

– Mogę przeczytać coś z innej jej książki – powiedziała Iris, nie próbując nawet ukrywać rozbawienia.

– Błagam, daj temu spokój.

Iris wybuchnęła śmiechem.

– Jak to możliwe – spytał Richard – żeby była jedną z najpopularniejszych pisarek naszych czasów?

– Ja się tam przy jej książkach całkiem dobrze bawię – przyznała się Iris. Nie kłamała. Nie były wprawdzie zbyt dobrze napisane, ale miały w sobie coś, co nie pozwalało odłożyć ich na bok.

– Lecz to zabawa niezdrowa dla umysłu – zakpił Richard. – Ileż powieści napisała panna Gorely? A może pani Gorely?

– Nie mam pojęcia – przyznała Iris. Spojrzała na pierwszą i ostatnią stronę. – Nie ma tu żadnych informacji o niej. Ani jednego zdania.

Wzruszył ramionami z lekceważeniem.

– Można się było tego spodziewać. Gdybyś ty napisała powieść, nie zgodziłbym, żebyś wydała ją pod własnym nazwiskiem.

Iris popatrzyła na niego z niepokojem.

– Wstydziłbyś się mnie?

– Oczywiście, że nie – odparł stanowczym tonem. – Ale nie chciałbym, aby uzyskany przez ciebie rozgłos zaważył na naszym prywatnym życiu.

– Uważasz, że mogłabym zyskać sławę? – palnęła.

– Tak, z pewnością. – Spojrzał na nią ze stoickim spokojem, jakby to było coś zupełnie oczywistego i niewartego uwagi.

Iris przetrawiała to w duchu, usiłując nie okazywać, jak bardzo się ucieszyła. Wiedziała jednak, że to daremne, bo czuła już, że robi się cała czerwona. Przygryzła dolną wargę. Jakże to dziwne, że wręcz szaleje z radości, bo Richard uważa, że ona jest… no… inteligentna.

A najniezwyklejsze było, że przecież sama o swojej inteligencji wiedziała. Nie musiała wcale słyszeć o niej od męża. Spojrzała na niego z nieśmiałym uśmiechem.

– Naprawdę nie miałbyś nic przeciwko temu, żebym napisała powieść?

– A czy tego chcesz?

– Niekoniecznie – odparła po namyśle.

Roześmiał się.

– O czym my właściwie mówimy?

– Sama nie wiem. – Iris uśmiechnęła się najpierw do niego, a potem do siebie, nadal trzymając na kolanach *Pannę Truesdale i milczącego dżentelmena*.

Po czym spytała:

– Czy chcesz, żebym czytała dalej?

– Nie! – odparł stanowczo i wstał, wyciągając ku niej dłoń. – Chodź, pójdźmy zamiast tego na spacer.

Iris ujęła go za dłoń, usiłując zignorować przyjemny dreszcz, który przebiegł jej po skórze.

– W jaki sposób pies uruchomił spust? – spytał Richard. – Nie, lepiej nie mów. Wcale nie chcę tego wiedzieć.

– Jesteś pewien? To akurat bardzo sprytny pomysł.

– Czy zamierzasz nauczyć tego nasze psy?

– A czy mamy jakieś psy?

– Oczywiście.

Iris zastanawiała się, czego też jeszcze nie wie o swoim nowym domu. Zapewne całego mnóstwa rzeczy. Pociągnęła Richarda za rękaw, zmuszając go w ten sposób, by się zatrzymał na środku holu, i uroczyście zadeklarowała:

– Przyrzekam nie uczyć żadnego z naszych psów posługiwania się bronią palną!

Richard wybuchnął tak głośnym śmiechem, że aż kilka służących zajrzało do holu.

– Jesteś prawdziwym skarbem, Iris Kenworthy – rzekł, prowadząc ją ku drzwiom frontowym.

Skarbem? – pomyślała niemal z lękiem. Czyżby?

– Czy lubisz swoje nowe nazwisko? – zapytał ni stąd, ni zowąd.

– Trochę łatwiej je wypowiedzieć niż Smythe-Smith – przyznała.

– I myślę, że pasuje do ciebie – stwierdził.

– Och, mam nadzieję! – mruknęła. Trudno było sobie wyobrazić bardziej niezręcznie brzmiące nazwisko niż to, które nosiła przedtem.

Richard otworzył ciężkie drzwi wejściowe Maycliffe; wdarł się przez nie do

środka chłodny wiatr. Iris od razu skuliła się z zimna, obejmując rękami. Było później, niż sądziła, a powietrze ostrzejsze.

– Pozwól, żebym pobiegła do pokoju po szal – powiedziała. – Jakie to było niemądre z mojej strony, że włożyłam suknię z krótkimi rękawami.

– Niemądre? A może po prostu optymistyczne?

Zaśmiała się.

– Rzadko bywam optymistyczna.

– Naprawdę?

Iris była już w połowie schodów, gdy zdała sobie sprawę, że za nią idzie.

– Och, nigdy jeszcze nie słyszałem, by ktoś mówił o sobie jako o pesymiście, śmiejąc się tak wesoło.

– Pesymistką też nie jestem! – odparła. A przynajmniej nie sądziła, żeby nią była. Nie zakładała z góry tragedii ani rozczarowań.

– Ani optymistka, ani pesymistka – stwierdził Richard, kiedy już weszli na schody. – Ciekaw jestem, za kogo się w takim razie uważasz?

– Nie za żonę – wyjąkała.

Znieruchomiał.

– Coś ty powiedziała?

Zaparło jej dech, gdy zdała sobie sprawę z tego, co się jej odruchowo wymknęło.

– Przepraszam! – krzyknęła. – Nie miałam na myśli tego, że… – Spojrzała na niego, a potem zaraz pożałowała, że to zrobiła. Patrzył na nią tak dziwnie, że poczuła się okropnie. Była zażenowana, zła, czuła się winna, skrzywdzona… i pewnie mogłaby jeszcze długo ciągnąć tę listę, tylko że wcale nie miała na to ochoty.

– Przepraszam – wydusiła z siebie i ruszyła do swego pokoju.

– Poczekaj! – zawołał za nią.

Ale ona nie poczekała.

– Iris, zaczekaj!

Nadal jednak szła jak najszybciej, niemal biegła. Lecz potem się potknęła – nie wiedząc zresztą, na czym – i prawie straciła równowagę.

Richard natychmiast znalazł się tuż przy niej i podtrzymał ją, chwytając za rękę.

– Nic sobie nie zrobiłaś?

– Nic – odparła pośpiesznie. Usiłowała wyrwać mu rękę, ale on trzymał ją mocno. O mało się nie roześmiała. A może o mało nie zapłakała? Teraz chce jej dotykać? Teraz nie chce jej puścić?

– Potrzebny mi szal – wyjąkała, choć wcale nie chciała już iść na spacer. Pragnęła jedynie paść na łóżko i naciągnąć kołdrę na głowę.

Richard patrzył na nią przez kilka sekund, nim rozluźnił chwyt.

– No dobrze – powiedział.

Usiłowała się uśmiechnąć, ale nie mogła. Ręce jej drżały i nagle poczuła się bardzo źle.

– Iris – rzekł z wyraźną troską w oczach – czy na pewno nic ci nie jest?

Skinęła głową, a potem zmieniła zamiar – i pokręciła nią przecząco.

– Może lepiej będzie, jeśli się położę.

– Oczywiście – odpowiedział, dżentelmeński jak zawsze. – Możemy przecież pójść na spacer kiedy indziej.

Znowu spróbowała się uśmiechnąć i znowu się jej nie udało. Zamiast tego dygnęła tylko pośpiesznie.

Nim jednak zdołała odejść, ujął ją ponownie za ramię i poprowadził do pokoju.

– Nie potrzebuję pomocy – powiedziała. – Naprawdę nic mi nie jest.

– Ale dzięki temu ja poczuję się lepiej.

Iris zacisnęła zęby. Dlaczego musiał być taki miły?

– Poślę po doktora – rzekł, gdy wchodzili do pokoju.

– Nie, proszę cię, nie. – Dobry Boże, cóż by tu powiedział lekarz? Że ma złamane serce? Że traci rozum, bo nie wie, czy mężowi w ogóle na niej zależy?

Puścił jej ramię, ale przyglądając się jej, westchnął:

– Iris, coś ci na pewno dolega.

– Jestem jedynie zmęczona.

Nic nie odpowiedział, tylko patrzył na nią bez przerwy, a ona dobrze wiedziała, co sobie myślał. Że w salonie ani trochę nie wyglądała na zmęczoną.

– Nic mi nie będzie – zapewniła go, czując z ulgą, że jej głos znów zaczął brzmieć tak trzeźwo, jak zwykle. – Obiecuję.

Zacisnął wargi, a ona wyraźnie widziała, że nie jest pewien, czy ma jej uwierzyć. Wreszcie rzekł:

– No, dobrze.

A potem położył jej łagodnie ręce na ramionach i nachylił się…

Chce ją pocałować! Iris wstrzymała dech i przez jedną, pełną błogiego złudzenia chwilę przymknęła oczy, unosząc ku niemu twarz. Tęskniła do tego. Do jego warg na swoich ustach, do ciepłego muśnięcia językiem miękkiej skóry w kąciku warg.

– Richardzie – wyszeptała.

Dotknął wargami jej czoła. Nie był to pocałunek zakochanego.

Upokorzona, wyrwała mu się i odwróciła – do ściany, do okna, wszędzie, byle tylko nie w jego stronę.

– Iris…

– Proszę cię, idź sobie – wyjąkała.

Nic nie powiedział, ale nie wyszedł z pokoju. Słyszałaby wtedy jego kroki. Odczułaby jego utratę.

Stuliła ramiona, błagając go tym milczącym gestem, aby jej usłuchał.

A wtedy to zrobił. Usłyszała, że się odwraca, rozpoznała odgłos, jaki wydawały jego buty, gdy stąpał po dywanie. Stało się, jak sobie życzyła, jak tego żądała, ale wszystko było jakieś nie takie. Chciała zrozumieć. Chciała wiedzieć.

Raptem się obejrzała.

Zatrzymał się już z ręką na klamce.

– Dlaczego? – spytała załamującym się głosem. – Dlaczego?

Nie odwrócił się.

– Nie udawaj, że mnie nie słyszałeś.

– Nie udaję – odpowiedział cicho.

– No, to nie udawaj, że nie zrozumiałeś pytania.

Wpatrywała się w jego plecy, obserwując, jak jego poza robi się coraz sztywniejsza, a dłonie coraz mocniej zaciśnięte. Gdyby miała choć trochę rozumu, dałaby sobie teraz spokój i nie prowokowała go. Ale miała już po uszy bycia rozsądną, powiedziała zatem:

– Przecież wybrałeś mnie. Ze wszystkich panien w Londynie.

Przez kilka sekund stał jak wryty. Potem starannie odmierzonymi ruchami zamknął drzwi i odwrócił się twarzą do niej.

– Mogłaś dać mi kosza.

– Obydwoje wiemy, że to nieprawda.

– Czy naprawdę jesteś aż tak nieszczęśliwa?

– Nie – odparła. I rzeczywiście nie była nieszczęśliwa. – Ale to nie przeczy fundamentalnej prawdzie o naszym małżeństwie.

– Fundamentalnej prawdzie – powtórzył głosem tak głuchym, jakiego nigdy jeszcze u niego nie słyszała.

Znów się od niego odwróciła. Trudno jej było zdobyć się na odwagę, gdy widziała jego twarz.

– Dlaczego się ze mną ożeniłeś? – wykrztusiła.

– Bo cię skompromitowałem.

– Przecież oświadczyłeś mi się chwilę wcześniej! – parsknęła, zaskoczona własnym zniecierpliwieniem.

Odezwał się całkiem spokojnie:

– Wiele kobiet uznałoby oświadczyny za dobrą rzecz.

– Czy chcesz mi powiedzieć, że powinnam się uważać za szczęściarę?

– Niczego takiego nie mówiłem.

– To czemu się ze mną ożeniłeś?

– Bo chciałem – odrzekł, poruszając ramionami. – A ty powiedziałaś „tak”.

– Nie miałam wyboru! – wybuchnęła. – Zrobiłeś wszystko, żebym go nie miała!

Richard znienacka chwycił ją mocno za nadgarstek. Nie sprawił jej bólu, na to był o wiele za delikatny, ale nie mogła mu się wyrwać w żaden sposób.

– Gdybyś go miała – zaczął – gdyby twoja ciotka akurat nie weszła, gdyby nikt nie widział, że cię całuję… – Urwał, a cisza, która wtedy zapadła, była tak głucha i pełna napięcia, że Iris musiała unieść wzrok i spojrzeć na niego.

– Powiedz mi, Iris – spytał miękko – czy możesz przyznać, że wówczas twoja odpowiedź byłaby inna?

Nie mogła.

Poprosiłaby zapewne o czas do namysłu. Musiałaby tak zrobić. Lecz w końcu przyjęłaby oświadczyny. Oboje o tym wiedzieli.

Uścisk dłoni na jej nadgarstku zelżał i teraz przypominał niemal pieszczotę.

– Iris?

Nie zamierzał się godzić, by zignorowała jego pytanie. Nie mogła jednak wydobyć z siebie głosu. Wpatrywała się w niego z buntowniczą miną, z zaciśniętymi zębami. Nie chciała się wycofać. Nie wiedziała, dlaczego jest dla niej takie ważne, by nie odpowiadać na jego pytanie, ale czuła się tak, jakby jej życie od tego zależało.

Jej życie.

Całe jej życie.

Dobry Boże, zachowuje się całkiem jak panna Truesdale z powieści. Czy miłość sprawia, że czyjś mózg zamienia się w melodramatyczne bagnisko?

Zaniosła się nagle zduszonym, urywanym śmiechem. Zabrzmiał okropnie, gorzko i gardłowo.

– Czy ty się śmiejesz? – spytał zdumiony.

– Jak widzisz – odparła, choć sama ledwie mogła w to uwierzyć.

– Dlaczego, na miły Bóg?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, co innego mogłabym teraz zrobić?

Nie spuszczał z niej wzroku.

– Spędziliśmy niezwykle miłe popołudnie – powiedział wreszcie.

– Niezwykle miłe – zgodziła się.

– No, to czemu się gniewasz?

– Nie jestem pewna, czy się gniewam.

Znów zaczął wpatrywać się w nią z niedowierzaniem.

– Spójrz na mnie – powiedziała, coraz bardziej podnosząc głos. – Zostałam lady Kenworthy, a nie mam pojęcia, jak do tego doszło!

– Stanęłaś przed pastorem i…

– Przestań traktować mnie protekcjonalnie! – palnęła. – Dlaczego tak ci było pilno do żeniaczki? Skąd ten pośpiech?

– Czy to ma jakieś znaczenie? – spytał ostro.

Cofnęła się o krok.

– Tak – odparła ze spokojem. – Myślę, że to ma znaczenie.

– Jesteś moja żoną – warknął z płonącym wzrokiem. – Ślubowałem ci wierność i wsparcie. Dałem ci wszystko, co posiadam. Dałem ci nazwisko.

Iris jeszcze nigdy nie widziała go tak rozgniewanego. Nawet sobie nie wyobrażała podobnej furii. Korciło ją, by wymierzyć mu policzek, ale za nic nie chciała zrobić czegoś podobnego.

– Czy ma znaczenie, jak do tego doszło? – zapytał w końcu.

Iris miała już odpowiedź na końcu języka, lecz powstrzymało ją brzmienie jego głosu. Coś tu nie było w porządku. Zmusiła się, żeby spojrzeć mu prosto w twarz, bezwzględnie, z przejęciem.

Popatrzył jej w oczy, a potem… odwrócił wzrok.

# 15

Był najpodlejszym z łajdaków.

Richard wiedział o tym, ale nadal stał twarzą do drzwi. Mógł powiedzieć jej prawdę. Nie miał żadnego powodu, by tak nie zrobić, prócz tego, że był egoistą, tchórzem i do diabła! – potrzebował jeszcze tylko kilku dni, nim jej rozgoryczenie zamieni się w jawną nienawiść. Czy naprawdę żądał tak wiele?

– Idę sobie – powiedział sztywno. No i zrobiłby to. Gdyby nic się nie zdarzyło, gdyby Iris nie wyrzekła ani słowa, otworzyłby drzwi i poszedł stąd. Zamknąłby się z butelką brandy w pokoju o ścianach na tyle grubych, by nie mógł słyszeć jej płaczu.

Ale kiedy już kładł dłoń na klamce, usłyszał jej szept:

– Czy zrobiłam coś złego?

Dłoń mu znieruchomiała, choć ramię się trzęsło.

– Nie wiem, o co ci chodzi – powiedział. Chociaż oczywiście doskonale wiedział.

– Bo… ja…

Zmusił się do tego, żeby się nie odwrócić. Dobry Boże, jakże go bolał jej widok, tak wystraszonej i zgnębionej. Nie mogła dokończyć tego zdania… Jeśli on w ogóle ma prawo nazwać się mężczyzną, potrafi wymyślić jakiś sposób, by jej oszczędzić tego upokorzenia.

Konwulsyjnie przełknął ślinę, szukając odpowiednich słów. Choć wiedział, że słowa tu nie wystarczą.

– Masz w sobie wszystko, czego pragnąłbym u żony.

Popatrzyła na niego z pewnym jednak niedowierzaniem.

Nabrał głęboko tchu. Nie mógł jej tak zostawić. Przeszedł przez pokój i ujął ją za rękę. Może gdyby uniósł ją do ust, gdyby ją ucałował…

– Nie! – Wyszarpnęła mu dłoń, a jej głos był równie gniewny jak spojrzenie.

– Nie mogę jasno myśleć, kiedy to robisz.

W zwykłych okolicznościach zachwyciłoby go takie stwierdzenie.

Iris odwróciła od niego wzrok, przymknęła na chwilę oczy, by potem

gwałtownie unieść głowę.

– Nie rozumiem cię – powiedziała bardzo cicho.

– A czy koniecznie musisz?

Znów spojrzała na niego.

– Cóż to za pytanie?

Przymusił się do wzruszenia ramionami, starając się, by wypadło to naturalnie.

– Ja tam nie rozumiem nikogo.

A siebie najmniej ze wszystkich.

Wpatrywała się w niego na tyle długo, że siłą musiał się powstrzymywać, by nie przestępować z nogi na nogę.

– Czemu się ze mną ożeniłeś? – spytała w końcu.

– Czyżbyśmy już o tym nie mówili?

Zacisnęła wargi w nieprzejednaniu. Nic nie powiedziała. Milczała tak zawzięcie, że poczuł się zmuszony przerwać tę ciszę.

– Wiesz dlaczego – odparł, unikając jej wzroku.

– Nie – powiedziała. – Doprawdy nie wiem.

– Skompromitowałem cię.

Rzuciła mu miażdżące spojrzenie.

– Obydwoje wiemy, że wszystko się zaczęło dużo wcześniej.

Zaczął się zastanawiać, jak długo jeszcze zdoła udawać ignorancję.

– Och, na litość boską, nie uwłaczaj mojej inteligencji. Pocałowałeś mnie tamtego wieczoru, bo chciałeś, żeby cię wtedy zobaczyła moja ciotka. Poniżasz się, upierając się, że było inaczej.

– Pocałowałem cię – odparł porywczo – bo tego chciałem! – I była to prawda. Nie cała, lecz na Boga, przynajmniej jej część.

Iris prychnęła jednak z niedowierzaniem.

– Może i tak, ale rzecz w tym, dlaczego chciałeś.

Dobry Boże. Gwałtownie przejechał ręką po włosach.

– No, a dlaczego mężczyzna chce całować kobietę?

– Szczerze mówiąc, nie wiem! – fuknęła ze złością. – Bo mój mąż uważa mnie za odpychającą!

Cofnął się o krok, oniemiały ze zdumienia. W końcu – bo wiedział, że coś wreszcie musi odrzec – wykrztusił:

– Nie mów bzdur.

Popełnił błąd. Oczy się jej rozszerzyły ze zdumienia, odwróciła się na pięcie i chciała uciec od niego.

Richard był jednak szybszy i złapał ją za rękę.

– Wcale cię nie uważam za odpychającą.

Zbyła jego słowa błyskiem w oczach.

– Nie mam twojego doświadczenia, ale przecież wiem, co się powinno dziać między mężem a żoną. Wiem też, że my nie…

– Iris – przerwał jej, rozpaczliwie próbując położyć temu kres – niepotrzebnie się tak unosisz.

Z furią w oczach wyrwała mu rękę.

– Nie traktuj mnie z góry!

– Przecież tego nie robię.

– Właśnie, że robisz!

No i rzeczywiście tak było.

– Iris – zaczął.

– Czy może wolisz mężczyzn? Czy o to chodzi?

Otworzył ze zdumienia usta. Chciał zaczerpnąć tchu, ale czuł się tak, jakby otrzymał mocny cios prosto w żołądek.

– No, bo jeżeli…

– Nie! – wrzasnął niemalże. – Skąd ty w ogóle wiesz o podobnych rzeczach?

Spojrzała na niego wzrokiem bez wyrazu, a on doznał przykrego wrażenia, że nie jest pewna, czy ma mu uwierzyć.

– Wiedziałam o kimś takim – powiedziała w końcu.

– Znałaś go?

– No, słyszałam tylko o nim – wyjąkała. – O bracie mojego kuzyna.

– Nie jestem taki – odparł stanowczym tonem.

– Chyba wolałabym, żebyś był – wymamrotała, nie patrząc na niego. – Bo to by przynajmniej wyjaśniało…

– Dość tego! – wrzasnął. Dobry Boże, ile też może wytrzymać mężczyzna? Nie był z tych, co wolą mężczyzn, no i pragnął swojej żony. Gwałtownie pragnął, jeśli już o to chodziło. Jednak gdyby nawet był kimś innym, niż jest, z pewnością wolałby, żeby się o tym dowiedziała w taki czy inny sposób.

Podszedł do niej. Na tyle blisko, by poczuła się niepewnie.

– Sądzisz, że uważam cię za odpychającą?

– Ja… ja sama już nie wiem – wyszeptała.

– Pozwól mi więc udowodnić, że tak nie jest.

Ujął jej twarz w dłonie i zbliżył usta do jej warg, rozpłomieniony pożądaniem. Przez cały ostatni tydzień pragnął jej i wyobrażał sobie wszystkie te niesłychane rzeczy, jakie zrobi, kiedy wreszcie znajdzie się z nią w łóżku. Był to dlań tydzień samozaparcia i tortur, podczas którego najsurowiej umartwiał swoje ciało – i dłużej

nie potrafił już tego wytrzymać.

Nie mógł zrobić wszystkiego, co chciał, ale na Boga, ona powinna jednak poczuć różnicę między pożądaniem a wzgardą.

Wtargnął w jej usta, zagarniając je, smakując, pochłaniając. Jak gdyby całe jego życie skoncentrowało się w tym jednym pocałunku. Jakby wszystko miało się rozwiać, zniknąć, jeśli przerwałby go nawet na krótki moment, choćby po to, aby zaczerpnąć tchu.

Łóżko. Mógł myśleć tylko o nim, chociaż wiedział, że to błąd. Musiał zaciągnąć ją do łóżka, poczuć jej ciało pod sobą, odcisnąć na nim swoje piętno.

Należała do niego. Musiała się o tym dowiedzieć.

– Iris! – jęknął głucho tuż przy jej ustach. – Moja żono.

Cofał się razem z nią, krok po kroku, póki nie znalazła się przy samym łóżku. Była taka delikatna, taka wiotka, a jednak oddała mu pocałunek z ogniem, który niemal spopielił ich oboje.

Nikt inny nie wiedział, co się w niej kryje pod pozorami niewinności. I poprzysiągł sobie, że nikt inny się o tym nie dowie. Mogła się olśniewająco do tych innych uśmiechać, a nawet dać im poznać swój figlarny, subtelny umysł, ale to…

To należało tylko do niego.

Objął najpierw jej plecy, a potem i uroczo zaokrąglone pośladki.

– Jesteś idealna – powiedział z ustami tuż przy jej ciele. – Idealna w moich ramionach.

Odpowiedzią Iris był tylko gwałtowny jęk, a wtedy jednym zadziwiająco szybkim ruchem uniósł jej suknię i raptownie poderwał ją samą ku górze, tak że ich biodra znalazły się na tym samym poziomie.

– Otocz mnie nogami – zażądał.

Zrobiła tak. Co niemal go zgubiło.

– Czujesz to? – wychrypiał, przyciskając się do niej na tyle mocno, by odczuła jego erekcję.

– Tak – odparła z desperacją.

– Naprawdę?

Wyczuł pod sobą jej potakujący ruch, ale nie złagodził nacisku, póki nie szepnęła ponownie:

– Tak.

– Nigdy więcej mi nie zarzucaj, że cię nie pragnę.

Chciała się cofnąć, lecz nie mogła nawet ruszyć biodrami; trzymał ją o wiele za mocno. Odchyliła jednak głowę do tyłu tak, by zmuszony był jej spojrzeć w oczy.

Były błękitne. Bardzo jasne, ale całkiem wyraźnie błękitne. I pełne zażenowania.

– Możesz mnie oskarżać o wiele innych rzeczy – mruknął głucho – ale nie o to.

Rzucił się razem z nią na łóżko, uradowany cichym westchnieniem, które się jej wymknęło, kiedy nakrył ją swoim ciałem.

– Jesteś piękna – szepnął, czując w ustach słony smak jej skóry pod uchem.

– Jesteś taka wspaniała – mruczał, sunąc językiem po jej wygiętej szyi.

Poczuł pod zębami rąbek gorsu i szybko sobie z nim poradził, zdzierając go rękami, póki nie obnażył zdumiewająco bujnych piersi prześwitujących przez cienki jedwab koszuli. Ujął je w dłonie i aż zadrżał z pożądania.

– Jesteś moja – powiedział, nachylając się, by ująć wargami jeden z sutków.

Ucałował go przez jedwab, a po chwili, kiedy mu to nie wystarczyło, ucałował i samą pierś, a potem z niezwykłą satysfakcją dostrzegł, że jej czubek różowieje.

– Tutaj nie jesteś blada – rzekł, zatoczywszy zuchwale językiem krąg wokół niego.

Wyjąkała jego imię, dysząc ciężko, ale on się tylko cicho zaśmiał.

– No, bo masz taką jasną karnację – ciągnął schrypniętym głosem, przesuwając dłonią wzdłuż jej nogi. – To była bodaj pierwsza rzecz, jaką u ciebie zauważyłem. Twoje włosy…

Ujął jedno z ich gęstych pasm i musnął nim jej obojczyk.

– Twoje oczy…

Nachylił się i delikatnie dotknął wargami jej skroni.

– Twoja skóra…

Ostatnie słowo wypowiedział z jękiem, bo całą jej skórę miał pod sobą; skórę gładką i mlecznobiałą, ostro kontrastującą z różowym czubkiem piersi.

– A jakiego koloru jesteś tutaj? – mruknął z zaciekawieniem, przesuwając palcami wzdłuż jej uda. Cała zadrżała pod nim z jękiem satysfakcji, gdy końcem palca dotarł do zagłębienia, gdzie noga łączyła się z biodrem.

– Co ty ze mną robisz? – wyszeptała.

Uśmiechnął się szeroko.

– Kocham się z tobą.

A potem, jakby go diabeł podkusił, sięgnął ustami ku jej uchu.

– Sądziłem, że to coś oczywistego.

Zaśmiała się, zaskoczona, a on o mało nie parsknął śmiechem na widok jej miny.

– Nie mogę uwierzyć, że się zaśmiałam – powiedziała, zakrywając dłonią usta.

– Dlaczego nie miałabyś tego robić? – wycedził przez zęby. – Przecież to miało być zabawne!

Rozchyliła usta, ale nie wydała żadnego dźwięku.

– Bo ja się bawię – ciągnął.

Iris znów zachichotała zaskoczona.

– A ty? – wymruczał.

Skinęła głową.

Udawał, że się nad tym zastanawia.

– Nie jestem przekonany.

Uniosła brwi ze zdziwieniem.

– Nie jesteś?

Pokręcił z wolna głową.

– Masz na sobie zbyt wiele odzienia, żebyś mogła się bawić naprawdę dobrze.

Spuściła głowę, chcąc zerknąć na siebie. Suknię miała w najzupełniejszym nieładzie, w jednych miejscach ściągniętą z ciała, gdzie indziej znów podwiniętą do góry. Wyglądała wręcz po dekadencku.

Richard zdał sobie nagle sprawę, że taka mu się właśnie podoba. Nie miał wcale ochoty stawiać jej na piedestale, wolał ją widzieć niedbale odzianą, ze strojem, który prawie już jej nie okrywał, oddającą się bez zahamowań, przygwożdżoną jego ciałem i poczerwieniałą z błogości. Szepnął jej do ucha:

– Bez niego będzie lepiej.

A że nie miała już wiele wierzchniego ubrania na sobie, bez większego trudu pozbawił ją go całkowicie.

– Zdejmij to także – powiedział, chwytając za brzeg koszulki.

– Ale ty przecież jesteś…

– Całkowicie odziany, wiem – odparł i zaśmiał się pod nosem. – Będziemy musieli jakoś sobie z tym poradzić.

Uniósł się, wciąż jednak siedząc na niej okrakiem, i ściągnął z siebie surdut, a następnie halsztuk, nie spuszczając wzroku z jej twarzy. Zobaczył, że zwilżyła usta językiem, a potem przygryzła dolną wargę, jakby ją coś denerwowało lub jakby próbowała podjąć jakąś decyzję.

– Powiedz mi, czego pragniesz – zażądał.

Przeniosła spojrzenie z jego torsu na twarz i z powrotem, a on wciągnął dech, gdy drżącymi palcami dotknęła guzików kamizelki.

– Chcę cię zobaczyć – szepnęła.

Każdy nerw w jego ciele żądał, by zdarł z siebie wszystko, ale zmusił się do bezruchu i tylko pierś falowała mu przy oddechu. Patrzył jak zahipnotyzowany na jej drobne dłonie, które drżały, gdy usiłowała rozpiąć te guziki. Trwało to długo, bo z trudem przeciskały się przez dziurki.

– Przepraszam – szepnęła zakłopotana – ja…

Nakrył jej dłoń swoją.

– Nie przepraszaj.

– Ale…

– Nie…

Spojrzała na niego.

Usiłował się uśmiechnąć.

– …przepraszaj mnie.

Rozpięli je w końcu razem, a chwilę później Richard ściągał już koszulę przez głowę.

– Jesteś przepiękny – szepnęła. – Nigdy jeszcze nie widziałam mężczyzny. Nie w ten sposób.

– Mam nadzieję, że nie – próbował zażartować, lecz wtedy jej palce spoczęły na jego piersi, a on poczuł, że powietrze uciekło mu z płuc.

– Co ty ze mną wyrabiasz – stęknął i znów cały się na niej położył, nie chcąc, by zauważyła, że nie zdjął z siebie spodni.

Nie mógł tego zrobić. I tak przecież posunął się już o wiele za daleko. Gdzieś w głębi rozgorączkowanego umysłu wiedział, że kiedy usunie tę ostatnią barierę, to chyba tego nie przeżyje.

Pragnął ją wziąć. Uczynić ją naprawdę swoją.

A tego właśnie zrobić nie mógł.

Jeszcze nie teraz.

Ale nie mógł też jej tak zostawić. Była wcieleniem pokusy, gdy pod nim leżała, lecz nie dlatego poczuł się niezdolny do działania.

Nie mógł zrobić tego, czego tak rozpaczliwie pragnął, ale mógł dać to jej.

Zasługiwała na to.

A coś mu w duchu mówiło, że być może jej satysfakcja będzie wtedy prawie równie wielka, jak jego własna.

Obrócił się na bok razem z nią i raz jeszcze gorąco pocałował. Sięgnęła dłońmi ku jego włosom, potem ku plecom, a gdy zaczął całować ją w szyję, poczuł puls bijący pod jej skórą. Była chyba równie podniecona jak on. Może sobie być dziewicą, ale na Boga, on potrafi dać jej rozkosz.

Delikatnie rozsunął rękami jej nogi, zatrzymując się przy wzgórku pomiędzy nimi. Zesztywniała, lecz był cierpliwy – i po chwili łagodnego głaskania odprężyła się na tyle, by mógł tam wniknąć.

– Cicho, cicho – uspokajał ją, zbliżając twarz do jej twarzy. – Pozwól, żebym to dla ciebie zrobił.

Pośpiesznie skinęła głową, choć był całkowicie pewien, że nie miała pojęcia,

czym „to” się okaże. Żenująca była ta okazywana mu przez nią ufność – i silił się, by zapomnieć, że wcale na nią nie zasługiwał.

Całował ją delikatnie, gdy jego palce zagłębiały się w sam rdzeń jej ciała. Jakże cudownie się czuła, cała ciepła, zwilgotniała i kobieca. A on był bliski kresu wytrzymałości, ale zignorował to i pocałował ją mocno, nim zapytał:

– Czy jest ci dobrze?

Znów skinęła głową, z oczami niemal nieprzytomnymi od pożądania.

– Czy mi ufasz?

– Tak – wyszeptała, a on posuwał się wciąż wzdłuż jej ciała, zatrzymując się kolejno przy każdej z piersi, nim zszedł jeszcze niżej.

– Richardzie… – powiedziała z przestrachem, choć ledwo dosłyszalnym głosem.

– Zaufaj mi – wyszeptał tuż przy miękkiej skórze jej brzucha.

Schwyciła kurczowo za pościel, lecz on nie przerwał tego, co robił.

Wreszcie ucałował ją tam, w samo jej najskrytsze miejsce, ustami i językiem. Ujął ją mocno za biodra, tak że leżała nieruchomo, otwarta na jego erotyczną inwazję.

Gdy zaczęła się nerwowo szamotać, ucałował ją tam jeszcze mocniej i wsunął palec do wewnątrz.

Jęknął z pożądania, gdy poczuł, jak jej mięśnie zaciskają się wokół niego.

Musiał się zatrzymać na chwilę, by zaczerpnąć tchu. Gdy znów ją pocałował, wyprężyła się pod nim, z całej siły unosząc przy tym biodra.

– Nie pozwolę ci odejść – powiedział, choć nie miał pojęcia, czy ona go słyszy. Rozchylił jej nogi jak najszerzej i całował ją tam, i ssał, a ona wykrzyknęła jego imię i cała pod nim gwałtownie zadrżała.

Nadal robił to, co przedtem, trzymając ją mocno, póki nie opadła bezwładnie na plecy.

– Richardzie – jęknęła, bijąc zapamiętale pięściami w łóżko. – Richardzie…

Przybrał taką pozycję, by móc widzieć jej rozpaloną od namiętności twarz.

– Czemu to zrobiłeś? – spytała szeptem.

Uśmiechnął się po dłuższej chwili.

– Czy ci się to nie podobało?

– Tak, ale… – Zamrugała tylko, bo najwyraźniej brakło jej słów.

Położył się przy niej i pocałował ją w ucho.

– Czy nie było ci przyjemnie?

Piersi Iris kilkakrotnie uniosły się i opadły, nim w końcu mu odpowiedziała:

– Tak, ale ty…

– Mnie również – uciął. I tak rzeczywiście było, mimo całej jego niesłychanej

frustracji.

– Ale ty… ty… – Dotknęła paska jego spodni. Nie wiedział, czy przeżyte uniesienie pozbawiło ją słów, czy po prostu jest zbyt zażenowana, żeby na ten temat rozmawiać.

– Cicho, cicho. – Położył jej palec na wargach. On też nie miał ochoty o tym mówić.

Nie chciał nawet o tym myśleć.

Trzymał ją w objęciach, póki nie usnęła. A potem ześliznął się z łóżka i powlókł do swego pokoju.

Nie potrafiłby usnąć w jej łóżku. Po prostu nie dowierzał sobie, gdyby przyszło mu się obudzić w jej ramionach.

# 16

*I*ris obudziła się krótko przed kolacją; jak zwykle powoli i z trudem otwierała oczy. Czuła się cudownie znużona, wypoczęta i jakby… jakby postrzegała świat bardziej zmysłowo. Zdziwiło ją, że przesuwa stopami po prześcieradle, zastanawiając się, czy zawsze było tak jedwabiście miękkie. Powietrze tchnęło wprost świeżością, niczym kwiaty, i było w nim jeszcze coś innego, intensywnie błogiego. Odetchnęła głęboko, przewracając się na drugi bok i kryjąc twarz w poduszce. Nie pamiętała, by kiedykolwiek spało się jej równie dobrze. Czuła, że…

Otworzyła gwałtownie oczy.

Richard.

Rozejrzała się po pokoju. Gdzież on był?

Usiadła, naciągając prześcieradło na gołe ciało, i spojrzała na łóżko. Która była godzina? Kiedy odszedł?

Wpatrywała się w poduszkę. Co właściwie chciała tam zobaczyć? Odcisk jego głowy?

Co oni robili? On…

Ona…

Ale on przecież nie…

Zamknęła oczy, przerażona. Nie wiedziała, co się tak naprawdę stało. Nie rozumiała tego.

Przecież nie dopełnił małżeństwa. Nie zdjął nawet spodni! Mogła być ignorantką w sprawach małżeńskiego łoża, lecz o pewnych rzeczach wiedziała na pewno.

Żołądek przypomniał jej wyraźnie, że ostatni raz jadła bardzo dawno temu. O Boże, była głodna! Która godzina? Czyżby przegapiła kolację?

Spojrzała w okno, usiłując odgadnąć, jak bardzo jest późno. Ktoś zaciągnął ciężkie, welwetowe zasłony. Zapewne Richard, bo jeden róg sterczał krzywo. Pokojówka nigdy by tego nie zrobiła tak niedbale.

Na zewnątrz się ściemniało, ale zupełny mrok jeszcze nie zapadł, no i – och, niech to licho! Może przecież wstać, a wtedy sama się przekona.

Odchrząknęła i pociągnęła za prześcieradło, chcąc się nim cała okryć. Nie miała

pojęcia, dlaczego koniecznie pragnie wiedzieć, która jest godzina, lecz w końcu nie przekona się o tym, wpatrując się jedynie w trójkątny fragmencik okna widoczny zza przekrzywionej zasłony.

Potykając się o brzeg prześcieradła, pokuśtykała do okna i wyjrzała na dwór. Księżyc nie był jeszcze w pełni, ale świecił na tyle jasno, by nadać wszystkiemu perłową poświatę. Było już dobrze po zmierzchu. Jak długo spała?

– Nawet nie jestem zmęczona – wymamrotała do siebie.

Owinęła się mocniej prześcieradłem i skrzywiła z niechęcią, zdawszy sobie sprawę, jak trudno się jej będzie w nim poruszać. Nie zdjęła go jednak z siebie – byłoby to o wiele za rozsądne. Zamiast tego dotarła, choć z trudnością, do zegara na gzymsie kominka. Odwróciła go nieco, tak by padło nań z okna księżycowe światło. Było prawie wpół do dziewiątej. To znaczy, że spała… jak długo? Trzy godziny? Może cztery?

Żeby dokładnie się o tym przekonać, musiałaby najpierw wiedzieć, ile czasu spędziła z Richardem, robiąc…

To.

Wzdrygnęła się. Nie było jej wcale zimno, a jednak przeszedł ją dreszcz.

Musi się ubrać. Musi się koniecznie ubrać, zjeść coś i…

Drzwi się otwarły.

Iris krzyknęła głośno.

To samo zrobiła służąca w drzwiach.

Ale tylko jedna z nich, ta zakutana w prześcieradło niczym mumia, padła jak długa na ziemię.

– Och, milady! – zawołała służąca. – Przepraszam, strasznie przepraszam! – Rzuciła się ku niej, najpierw wyciągając rękę, a potem ją cofając, gdyż najwyraźniej nie miała pojęcia, jak się należy zachować wobec półnagiej żony baroneta rozciągniętej jak długa na podłodze.

Iris już miała poprosić ją o pomoc, po chwili jednak zrezygnowała. Z największą pewnością siebie, na jaką tylko mogła się zdobyć, spojrzała na dziewczynę, usiłując przybrać możliwie chłodną i wyniosłą minę.

Pomyślała, że chyba przypomina w tej chwili swoją matkę.

– O co chodzi? – spytała.

– Uhm… – Służąca, w najwyższym stopniu zakłopotana, bo nie można by chyba tego nazwać inaczej, lękliwie przed nią dygnęła.

– Sir Richard pyta, czy życzy pani sobie zjeść kolację w swoim pokoju.

Iris skinęła głową z iście królewską godnością.

– Z przyjemnością, dziękuję.

– Co w takim razie mam podać? – spytała dziewczyna. – Kucharka przygotowała rybę, ale jeśli pani to nie odpowiada, może być coś innego. Prosiła mnie, bym to pani przekazała.

– Zjem to samo, co wybrał sir Richard – odparła Iris. Musiał jeść kolację dobrą godzinę wcześniej, a ona wolała, żeby służba nie musiała się dodatkowo fatygować spełnianiem jej zachcianek.

– Doskonale, milady. – Dziewczyna dygnęła ponownie i niemal pędem wybiegła z pokoju.

Iris najpierw westchnęła, a potem wybuchnęła śmiechem, no bo co innego mogła zrobić? Z pewnością najdalej po pięciu minutach każdy w tym domu dowie się o żenującym koziołku, jakiego wywinęła, w dodatku równie żenująco odziana. Choć zapewne nikt nie ośmieli się pisnąć ani słowa Richardowi.

Niewielka była to pociecha, Iris jednak uznała, że jej wystarczy.

Dziesięć minut później miała już na sobie jedną ze swych nowych jedwabnych koszul nocnych, a na niej szlafrok, który odsłaniał dużo mniej. Rozpuściła włosy, jak robiła przed udaniem się do łóżka, bo zamierzała się właśnie położyć po jedzeniu. Nie przypuszczała, by zdołała od razu zasnąć, skoro tak długo spała po południu. Mogła wszakże czytać. Nie pierwszy raz spędziłaby przy świecy pół nocy z książką.

Podeszła do nocnego stolika i zaczęła przerzucać książki zabrane wcześniej z biblioteki. *Pannę Truesdale i milczącego dżentelmena* zostawiła na dole w salonie, a zresztą całkiem już straciła zainteresowanie węgierskimi łucznikami.

A także pożałowania godnymi heroinami, które cały czas dygoczą, płaczą i zastanawiają się, kto by też mógł ruszyć im na ratunek.

Przeczytała w końcu wystarczająco dużo, by wiedzieć, co następuje potem.

Nie, za nic nie chciała się już zajmować nieszczęsną panną Truesdale.

Przeglądając książki jedną po drugiej, rozważała, co jej pozostaje. Kolejna powieść Sarah Gorely, trochę Szekspira i historia Yorkshire.

Wybrała tę ostatnią. Miała nadzieję, że okaże się nudna.

Nie zdążyła jednak nawet położyć się do łóżka, gdy znów ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę wejść! – zawołała, spodziewając się kolacji.

Otworzyły się wszakże nie drzwi wiodące na korytarz, tylko te prowadzące do sypialni męża. A osobą, która przez nie weszła, był właśnie on.

– Richard! – zawołała, zeskakując z łóżka.

– Dobry wieczór – powiedział głosem aksamitnym niczym najlepsza brandy. Sama jej wprawdzie ani razu nie piła, ale wszyscy mówili, że spływa do gardła jak aksamit.

Dobry Boże, ależ była zdenerwowana.

– O, przebrałeś się do kolacji – stwierdziła raptem. Strój był wręcz wspaniały – surdut z najlepszej wełny w kolorze butelkowej zieleni i bladożółta, haftowana kamizelka. Dobrze już wiedziała, że jego surduty nie wymagały żadnych wyściółek. Mówił jej kiedyś, że często pomagał dzierżawcom przy robotach w polu. Wierzyła mu.

– A ty nie – odpowiedział.

Spojrzała na swój przewiązany paskiem szlafrok. Okrywał ją dokładniej niż większość sukien wieczorowych, tyle że większości tych sukien nie dałoby się rozluźnić jednym pociągnięciem za pasek.

– Zamierzałam zjeść kolację w swoim pokoju – odparła.

– Ja również.

Spojrzała na otwarte drzwi do jego sypialni.

– W twoim pokoju – wyjaśnił.

– W moim?

– Czy to jakiś kłopot?

– Przecież już jadłeś kolację.

Uniósł lekko kącik warg.

– Prawdę mówiąc, jeszcze nie.

– Ależ jest już wpół do dziewiątej – wyjąkała. – Dlaczego nie jadłeś?

– Czekałem na ciebie – odrzekł, jakby to była najoczywistsza rzecz na świecie.

– Och. – Zaczęło ją dławić w gardle. – Nie musiałeś przecież tego robić.

– Ale chciałem.

Stuliła ramiona, zupełnie jakby pragnęła się przed czymś ochronić, albo okryć, albo jeszcze co innego. Była całkiem wytrącona z równowagi. Ten mężczyzna widział ją nagą. Prawda, był jej mężem, ale to, co z nią robił… i jak ona reagowała…

Twarz jej spurpurowiała. Nie musiała wcale przeglądać się w lustrze, żeby wiedzieć, jak bardzo jest czerwona.

Uniósł brew.

– Myślisz może o mnie?

Tego było już dla niej za wiele.

– Myślę, że powinieneś stąd wyjść.

– Ale jestem głodny.

– No cóż, powinieneś pomyśleć o tym wcześniej.

Rozbawiło go to.

– Mam być ukarany, bo czekałem na moją żonę?

– Miałam na myśli co innego, dobrze o tym wiesz.

– A ja sądziłem, że zachowałem się po dżentelmeńsku, pozwalając ci się przespać.

– Byłam znużona – odparła. I zaraz znów się zaczerwieniła, bo obydwoje wiedzieli, co ją tak znużyło.

Kolejnego zakłopotania oszczędziło jej pukanie do drzwi – i nim zdołała cokolwiek powiedzieć, weszli dwaj lokaje z małym stolikiem i krzesłami, a za nimi dwie służące z tacami.

– O Boże – powiedziała, patrząc na tę krzątaninę. Zamierzała wziąć tacę do łóżka, lecz rzecz jasna nie mogła tego zrobić teraz, skoro Richard się upierał, by zjeść razem z nią.

Lokaje ustawili stolik błyskawicznie i z precyzją, a potem odstąpili na bok, żeby przepuścić służące z jedzeniem. Pachniało po prostu bosko, więc gdy słudzy wyszli, kiszki zaczęły jej grać marsza.

– Jeszcze chwileczkę – mruknął Richard, po czym podszedł do drzwi i wyjrzał do holu. – O, właśnie. Dziękuję. – Kiedy wszedł z powrotem do pokoju, trzymał w rękach wysoki, wąski wazon.

Z jednym jedynym irysem.

– To dla ciebie – powiedział cicho.

Wargi jej zadrżały.

– Gdzieś ty go… przecież nie pora już na nie…

Wzruszył ramionami i dosłownie przez ułamek sekundy wyglądał na zaniepokojonego. Choć to akurat nie mogło być prawdą; nigdy nie był nerwowy.

– Jeszcze ich trochę zostało – wyjaśnił. – Trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać.

– Ale… – Urwała i rozchyliła usta ze zdumienia. Spojrzała ku oknu, mimo że zasłony były teraz mocno zaciągnięte. Czy wyszedł po ciemku o tak późnej porze po to tylko, by zerwać dla niej kwiat?

– Dziękuję ci – powiedziała. Czasami lepiej nie kwestionować podarunku i cieszyć się nim, nie pytając o nic.

Richard umieścił wazon na środku stolika, a Iris wpatrywała się w kwiat jak zahipnotyzowana, podziwiając delikatne, jasnozłote prążki po wewnętrznej stronie miękkich, fioletowych płatków.

– Jest śliczny – uznała.

– Irysy zawsze są śliczne.

Nie mogła się powstrzymać i przeniosła spojrzenie z kwiatu na jego twarz.

Wyciągnął ku niej rękę.

– Chodź. Powinniśmy już jeść.

Były to przeprosiny. Widziała to teraz wyraźnie, patrząc na tę wyciągniętą dłoń. Chciałaby tylko wiedzieć, za co on ją przepraszał.

Dość, powiedziała sobie w myśli. Przestań wszystko kwestionować. Raz pozwoliła sobie wreszcie być szczęśliwa, nie wiedząc dlaczego. Zakochała się we własnym mężu – i było to rzeczą dobrą. Dał jej niesłychaną wręcz rozkosz w łóżku. I to też było czymś dobrym.

Wystarczy już tego. Musi jej wystarczyć.

Ujęła jego rękę. Była duża, mocna, ciepła – taka, jaka powinna być. A jaka zresztą powinna być? Parsknęła krótkim, absurdalnym śmiechem. Dobry Boże, ależ się staje melodramatyczna!

– Co cię tak bawi? – spytał.

Pokręciła głową. Jak miała mu się przyznać, że rozmyślała o doskonałości rąk, a jego ręce figurowały na czele owej listy…

– Powiedz mi – zażądał, zacisnąwszy palce na jej dłoni. – Nalegam.

– Nie – odparła, znów potrząsając głową. Jej myśli sprawiły, że głos zabrzmiał miło i pogodnie.

– No, powiedz! – mruknął, przyciągając ją bliżej ku sobie.

Zacisnęła mocno usta, walcząc rozpaczliwie z uśmiechem.

Rzekł do niej z wargami tuż przy uchu:

– Mam sposoby, żeby cię zmusić do mówienia.

Coś przewrotnego zaczęło w niej wzbierać, coś zachłannego i zmysłowego jednocześnie.

Chwycił ją zębami za płatek ucha i delikatnie przejechał nimi po skórze.

– Powiedz mi, Iris…

– Myślałam o twoich rękach – odrzekła, ledwie poznając swój głos.

– O moich rękach?

Uspokoił się, ale mogła wyczuć jego uśmiech.

– Mhm…

Objął nimi jej talię.

– O tych rękach?

– Tak.

– Podobają ci się?

Kiwnęła głową, a po chwili zaczerpnęła gwałtownie tchu, bo te ręce objęły nagle jej pośladek.

Musnął ustami jej podbródek, przesunął nimi wzdłuż szyi, a potem wrócił do kącika warg.

– Czego byś chciała jeszcze?

– Wszystkiego.

Słowo to wymknęło się jej niespodziewanie. Powinna zapewne poczuć się nim zażenowana, lecz jakoś nie mogła. Nie wobec niego.

Richard się zaśmiał. Głośno, mocno, z męską dumą. Jego ręce znów znalazły się z przodu jej ciała, a każdą z nich zaczął pociągać za pasek szlafroka.

Dotknął wargami jej ucha.

– Czy jesteś moim upominkiem?

Nim zdołała odpowiedzieć, szarpnął za pasek mocniej, wpatrując się w nią z pożądaniem, gdy tylko szlafrok się rozluźnił.

– Richardzie – szepnęła, ale on już przesuwał tymi swoimi przecudownymi dłońmi wzdłuż jej ciała, zatrzymując się przez jedną, pełną udręki chwilę na piersiach, nim dotarł do ramion; ściągnął z niej szlafrok, który opadł na podłogę niby obłoczek jasnobłękitnego jedwabiu.

Iris stała przed nim w kolejnej z iście wyzywających nocnych koszul ze swej ślubnej wyprawy. Nie był to wprawdzie strój praktyczny – nie mógł nawet udawać, że ochroni ją od nocnego chłodu – nigdy jeszcze nie czuła się jednak tak kobieca i pożądana. I tak ośmielona.

– Jakaś ty piękna – wyszeptał, gładząc wierzchem dłoni jej pierś. Dotknął delikatnie sutka, okrążając go powoli przez jedwab koszuli.

– Jestem… – Urwała.

Richard powoli sunął wzrokiem po ciele żony, dotykając jednym z palców jej podbródka, aż wreszcie ich oczy się spotkały. Uniósł brwi pytająco.

– Nic, nic – szepnęła. Prawie że zaprotestowała, prawie mu odpowiedziała, że nie jest piękna; bo wcale nią nie była. Kiedy kobieta ma już dwadzieścia jeden lat, dobrze wie, czy jest piękna, czy nie. Ale pomyślała, że…

Nie. Nie! Jeśli sądził, że jest piękna, po cóż ma zaprzeczać? Skoro tak myślał, to może właśnie była piękna. Przynajmniej tego wieczoru i w tym pokoju.

– Pocałuj mnie – wyszeptała.

Oczy mu gorączkowo rozbłysły. Nachylił ku niej twarz. Gdy ich wargi się zetknęły, Iris poczuła gwałtowny prąd pożądania w samym środku, w najskrytszym z kobiecych miejsc. Tam, gdzie całował ją ledwie kilka godzin temu. Jęknęła z cicha.

Już sama myśl o tym sprawiała, że w całym ciele uczuła błogą słabość.

Lecz tym razem pocałował ją w usta. Językiem musnął podniebienie, ośmielając ją, by zrobiła podobnie. Uczyniła tak, bo pożądanie przydało jej śmiałości, a gdy jęknął i przygarnął ją mocniej do siebie, cała zadrżała, jakby pod wpływem jakiejś nagłej siły. Zsunęła mu z ramion surdut, a on wyjął ręce z rękawów.

Ponownie zapragnęła bliskości jego ciała – w sposób wprost nieokiełznany. Ledwie kilka godzin temu czuła je na sobie, a teraz znowu chciała, by w łóżku przygwoździł ją całym ciężarem do materaca.

Ta niewiarygodna, nieziemska potrzeba nie mogła chyba być normalna?

– To ty jesteś moim upominkiem – powiedziała, chwytając za śnieżnobiały halsztuk pod szyją.

Na szczęście jego węzeł był całkiem prosty; nie przypuszczała, by jej drżące palce mogły sobie poradzić z niezwykle wymyślnymi wiązaniami, za którymi tak przepadali londyńscy dandysi.

Potem zaś skupiła się na trzech guzikach u góry kamizelki. Rozchyliła wargi na widok jego szyi wyłaniającej się spod niej, z pulsem bijącym mocno, przyśpieszonym rytmem.

Dotknęła jego skóry. Zachwycił ją sposób, w jaki mięśnie prężyły się pod jej palcami.

– Prawdziwa z ciebie czarownica – mruknął, ściągając koszulę przez głowę.

Uśmiechnęła się tylko, bo właśnie poczuła się taką czarownicą, kimś wyposażonym w niezwykłą moc.

Ostatni raz dotknęła jego piersi, czując, jak pod skórą napinają się twarde muskuły, lecz nie była w stanie zrobić nic więcej. On działał tak szybko… Gdy przedtem jego dłonie biegały po jej ciele to tu, to tam, straciła nad sobą kontrolę, a kiedy ustami odnalazł wtedy jej najintymniejsze miejsca, nie mogła już myśleć o niczym.

Ale nie tym razem.

Tym razem zapragnęła poznać go dokładniej.

Słuchała przyśpieszonego oddechu Richarda, gdy jej palce błądziły po jego zesztywniałym torsie. Cienka linia ciemnych, kędzierzawych włosów ciągnęła się od pępka aż do skraju spodni. Gdy ich dotknęła, wciągnął gwałtownie brzuch, tak że byłaby w stanie wsunąć za nie dłoń.

Tego jednak nie zrobiła. Nie była aż tak zuchwała. Przynajmniej nie w tej chwili.

Choć może właśnie trzeba być zuchwałą. Przyrzekła sobie, że nią będzie, nim ta noc dobiegnie kresu.

Zapomnieli nawet o jedzeniu, bo Richard porwał ją w ramiona, zaniósł i położył na łóżku – nie brutalnie, ale też i nie delikatnie – tak, że poczuła dreszcz kobiecej dumy, zdając sobie sprawę, jak bliski był utraty kontroli nad sobą.

Ośmielona tym pozwoliła, by jej dłoń powędrowała ku jego spodniom. Lecz skoro tylko wsunęła końce palców pod ich pasek, gwałtownie nakrył jej dłoń swoją.

– Nie – mruknął szorstko, powstrzymując ją. A potem, nim zdołała zadać jakiekolwiek pytanie, rzekł: – Nie mogę.

Uśmiechnęła się do niego, jakby niespodziewanie obudził się w niej jakiś wewnętrzny, skory do flirtu demon.

– Czemu? Proszę cię – wymruczała.

– Chcesz, dam ci rozkosz. – Wolną rękę zacisnął na jej udzie. – Sprawię ci prawdziwą rozkosz.

– Ale ja bym chciała sprawić ją tobie!

Przymknął oczy i przez chwilę sądziła, że coś go boli. Zacisnął zęby, a jego twarz zaczęła wyglądać niczym zesztywniała maska. Wyciągnęła rękę, żeby pogładzić go po czole i powiodła palcami wzdłuż jego policzka, a on wtulił twarz w jej dłoń.

Poczuła, że się zgodził i że jego ciało nie jest już takie spięte. Druga jej dłoń, ta, która spoczywała tak niebezpiecznie blisko jego brzucha, sięgnęła ku spodniom. Nie zapuściła się zbyt daleko, doszła jedynie do sprężystych włosów na jego płaskim brzuchu.

Zaskoczyło ją to, choć właściwie nie wiedziała dlaczego; przygryzła więc dolną wargę i spojrzała na niego.

– Nie przerywaj – jęknął głucho.

Nie chciała przerywać, lecz spodnie były tak obcisłe, że ledwie mogła sobie z nimi poradzić. Sięgnęła do guzików, powoli je rozpinając.

Zaparło jej dech.

Bo to wcale nie przypominało tego, co ukradkiem podpatrzyła kiedyś na posągu w muzeum…

Wiele z tego, co mówiła jej matka, teraz dopiero nabrało realnych kształtów.

Spojrzała na niego pytająco, a on pośpiesznie kiwnął głową. Wstrzymując oddech, wyciągnęła rękę i dotknęła go, z początku ostrożnie, cofając się, gdy to gwałtownie drgnęło pod jej palcami.

Przekręcił się na bok, a Iris osunęła się na niego, ledwo już zdając sobie sprawę, że on wciąż ma na nogach buty.

Nie dbała zresztą o to, a on najwyraźniej też.

Popychała go ostrożnie, póki nie legł na plecach, a potem skuliła się tuż przy nim, nieustannie się wpatrując. Jak to się mogło tak powiększyć?

Znów się zetknęła z czymś, czego nie pojmowała.

Dotknęła tego ponownie i tym razem pozwoliła palcom przesunąć się wzdłuż zaskakująco jedwabistej powierzchni. Richard wziął raptowny oddech, całe zaś jego ciało przeszył dreszcz; wiedziała jednak, że to z rozkoszy, a nie z bólu.

Choć gdyby nawet chodziło o ból, byłby on dobrego sortu.

– Jeszcze – wychrypiał, a tym razem objęła to lekko całą dłonią, spoglądając mu w twarz, by się upewnić, czy ma być właśnie tak.

Oczy miał przymknięte, oddychał szybko i głośno. Poruszyła nieznacznie dłonią, lecz nim zdołała osiągnąć coś więcej, jego palce zacisnęły się na jej palcach, powstrzymując je.

Przez chwilę sądziła, że sprawiła mu ból, ale potem jego uścisk jeszcze przybrał na sile – i zrozumiała, że pokazuje jej, co ma robić. Jednak po ledwie kilku ruchach dłoń mu się osunęła, a ona nie potrafiła się już pohamować w przypływie uwodzicielskiej władzy.

– Mój Boże, Iris – jęknął – co ty ze mną wyrabiasz…

Przygryzła wargę, czując w sobie narastającą dumę i rozradowanie. Marzyła, by go doprowadzić do takiego zapamiętania, jak on przedtem ją. Po tylu samotnie spędzonych nocach chciała w końcu dowodu, że jej pragnie, że jest na tyle pociągającą kobietą, by go zadowolić. Żeby już nie musiał się uciekać jedynie do niewinnych całusów w czoło.

– Czy mogę cię pocałować? – wyszeptała.

Otworzył oczy.

– Tak jak ty przedtem mnie? – dodała.

– Nie – powiedział szybko, gardłowym i zduszonym głosem. – Nie! – powtórzył; wyglądał przy tym na kogoś z lekka przerażonego.

– Czemu nie?

– Bo… bo… – Zaklął i uniósł się nieco, wprawdzie nie do pozycji siedzącej, na tyle jednak, aby mógł się wesprzeć na łokciu. – Bo nie chcę… Nie mogę…

– Czy to ci sprawia ból?

Jęknął i przymknął oczy. Wyglądał na kogoś w krańcowej rozterce. Iris znów go dotknęła, patrząc mu w twarz, podczas gdy jego ciało się wyginało. Szmer jego oddechu elektryzował ją. Richard wyglądał… wyglądał jak…

Wyglądał, czuła to wyraźnie, jak ktoś… pokonany.

Odchylił głowę ku tyłowi, a ona dokładnie wiedziała, w którym momencie się poddał. Całe jego ciało wciąż pełne było napięcia, ale coś jej mówiło, że zaprzestał walki ze sobą. Znowu zerknęła na jego twarz, żeby się upewnić, że wciąż ma oczy zamknięte – bo jakoś nie byłaby dostatecznie zuchwała, wiedząc, że na nią patrzy – potem zaś nachyliła się i, najlżej jak tylko potrafiła, ucałowała to w sam czubek.

Gwałtownie nabrał powietrza, wciągając mocno brzuch, lecz jej tym nie powstrzymał. Iris, coraz śmielsza, pocałowała go tam ponownie, pozwalając swym wargom zatrzymać się chwilę dłużej. Drgnął gwałtownie, a ona się cofnęła i znów

spojrzała na jego twarz. Nie otwarł wprawdzie oczu, ale musiał jakoś wyczuć jej wahanie, bo skinął nieznacznie głową, a po chwili jednym jedynym zwrotem sprawił, że poczuła się cała w skowronkach.

– Proszę, jeszcze.

Zdało się jej teraz dziwne, że ledwie kilka tygodni temu była panną Iris Smythe-Smith, kryjącą się za wiolonczelą podczas okropnych wieczorów muzycznych urządzanych przez jej rodzinę. Cały jej świat zmienił się tak niesłychanie, jakby Ziemia nagle zeszła z kursu, wrzucając ją – już jako lady Kenworthy – prosto do łóżka jakże wspaniałego mężczyzny, gdzie mogła całować nawet te części jego ciała, o których nie miała dotąd pojęcia. Przynajmniej w ich właśnie oglądanym kształcie…

– Jak to możliwe? – wymruczała sama do siebie.

– Co takiego?

– Och, przepraszam – wyjąkała zaczerwieniona. – Nieważne.

Odnalazł dłonią jej podbródek i obrócił ją twarzą ku sobie.

– Zdradź mi, co chciałaś powiedzieć.

– Ja… ja się tylko dziwiłam… – Przełknęła kurczowo ślinę, skrajnie zażenowana, choć było to cokolwiek niedorzeczne. Dopiero co myślała, by znów go tam pocałować, a czuje się zawstydzona ciekawością, jak to na niego działa?

– Iris – na dźwięk tego głosu poczuła, że cała się rozpływa i mięknie jak wosk.

Nie patrząc nań, znów sięgnęła tam, gdzie przedtem.

– To nie zawsze jest takie jak teraz? A po chwili namysłu dodała: – Mam rację?

Zaśmiał się gardłowo.

– Na Boga, nie. To by mnie zabiło.

Bardzo się zdziwiła.

– To pożądanie, Iris – ciągnął gardłowym głosem. – Pożądanie czyni mężczyzn takimi. Twardymi.

Dotknęła go ostrożnie. Rzeczywiście był twardy pod tą delikatną powierzchnią. Twardy jak kamień.

– Pożądanie ciebie – dodał, a po chwili wyznał: – Chodziłem tak przez okrągły tydzień.

Zrobiła wielkie oczy ze zdumienia. Nic nie powiedziała, lecz domyśliła się, że ujrzał w nich niewypowiedziane pytanie.

– Tak – przyznał i zaśmiał się autoironicznie. – To boli.

– Ależ…

– Och, nie tak jak rana – kontynuował, gładząc ją po policzku – bardziej jak daremne pragnienie, jak niezaspokojona potrzeba.

Ale przecież mogłeś mnie mieć. Te słowa, choć niewypowiedziane, wciąż chodziły jej po głowie. Widocznie uznał, że nie jest jeszcze gotowa. Może uważał, że powinien się z nią obchodzić ze szczególną subtelnością. Choć ona w żadnym razie nie chciała być traktowana jak mimoza, panienka z morskiej pianki. Ludzie skłonni byli uważać, że jest delikatna i słaba; może z powodu bladej karnacji czy filigranowej postury. A ona wcale nie była krucha. Przenigdy. Co więcej, miała w sobie mnóstwo wewnętrznej siły.

I gotowa była tego dowieść.

# 17

**R**ichard nie wiedział, czy znalazł się w niebie, czy w piekle.

Jego żona, z którą nigdy jeszcze nie współżył jak należy… całowała go w… Na Boga, całowała go właśnie tam… a brak wprawy z nawiązką nadrabiała entuzjazmem.

Cóż on, u diabła, wymyśla? Wcale nie brakowało jej wprawy. Zresztą czy wprawa się tu liczyła? Doświadczył czegoś, o czym każdy mężczyzna by marzył. I bynajmniej nie ze strony kurtyzany, lecz żony. Własnej żony!

Powinien ją powstrzymać, ale nie mógł. Na Boga, nie mógł. Tak długo jej pragnął, że teraz, gdy klęczała między jego nogami, całując go w najintymniejszy ze sposobów, jaki można sobie wyobrazić – poczuł się kimś całkowicie zniewolonym przez swe pożądanie. Po każdym niepewnym ruchu jej języka wyginał się w łuk na łóżku, niebezpiecznie bliski spełnienia.

– Podoba ci się to? – spytała szeptem.

Słowa jej brzmiały niemal bojaźliwie. Na miłość boską, niemal bojaźliwie – a jednak dalej robiła to, co robiła.

Czy mu się podobało? Niewinny charakter pytania sprawił, że wręcz zatkało go ze zdumienia. Nie miała pojęcia, co się z nim dzieje; nie zdawała sobie sprawy, że nie śmiał nawet zamarzyć o tak ostatecznym jej oddaniu.

– Richardzie… – szepnęła.

A on był podłą, parszywą bestią.

Przecież żona nie powinna czegoś takiego robić, przynajmniej póki się jej ostrożnie nie zaznajomi z sekretami małżeńskiego łoża.

Iris go jednak zaskoczyła. Zawsze go zresztą zaskakiwała. A gdy już wzięła to do ust, stracił resztki rozsądku.

Nigdy jeszcze nie czuł się tak cudownie.

Nigdy nie czuł się tak kochany.

Zdrętwiał na tę myśl. Kochany?

Nie, to było niemożliwe. Ona go nie kochała. Nie mogła go kochać. Nie zasługiwał na to.

Ale potem zdumiewający, cichutki wewnętrzny głosik – a nie mógł go uznać za nic innego, jak tylko za głos sumienia – przypomniał mu, że taki właśnie był jego plan. Że zamierzał wykorzystać ich krótki miesiąc miodowy w Maycliffe, aby zdobyć chociaż jej serce, jeśli nie ciało. Że miał się postarać, by się w nim zakochała.

Ach, nie powinien był tego robić. Nie powinien nawet brać tego pod uwagę.

A jednak gdyby… gdyby ona go pokochała…

To byłoby cudowne.

Przymknął oczy – pozwalając, by to, co odczuwał, całkowicie go pochłonęło. Niewinne usta jego żony niosły mu wprost niewyobrażalną rozkosz, która wnikała weń błyskawicznie, z iście elektryzującą intensywnością, a jednocześnie zalewała go ciepłą, pełną zadowolenia błogością. Czuł się…

Szczęśliwy.

Czegoś takiego nie doświadczył nigdy w porywach namiętności. Podniecenie, owszem, znał. Pożądanie, rzecz jasna, też. Ale szczęście?

A potem jak obuchem uderzyła go niespodziewana myśl. Że to nie tyle Iris się w nim zakochała, ile on zakochał się w niej.

– Dość! – wydarło mu się gwałtownie z gardła. Nie mógł na to pozwolić.

Cofnęła się i spojrzała na niego oszołomiona.

– Czy sprawiłam ci ból?

– Nie. – Odsunął się od niej pośpiesznie, by nie zmienić zamiaru i nie poddać się gwałtownemu pragnieniu, jakie go przepełniało. Nie sprawiła mu żadnego bólu, gdzież tam. To właśnie on miał jej sprawić ból; co było nie do uniknięcia od pierwszej chwili, odkąd tylko zobaczył ją na familijnym wieczorze muzycznym.

Wszystko się do tego sprowadzało.

Jakże więc mógł pozwolić na tak intymne zabiegi z jej strony, skoro dobrze wiedział, co wkrótce nastąpi?

Znienawidzi go wtedy. A potem znienawidzi i siebie za to, co się teraz działo; za to, że cała mu się usłużnie ofiarowała.

– Czy robię coś nie tak? – spytała i utkwiła w nim te swoje jasnobłękitne oczy.

Na Boga, ależ była prostolinijna. Być może właśnie tę cechę lubił w niej najbardziej, ale w tej chwili wręcz go dobiła.

– Nie – odparł. – Byłaś… jakby to ująć…

Nie mógł jej przecież powiedzieć, że okazała się tak perfekcyjna, że był bliski utraty zmysłów. Sprawiła, że odczuwał coś, czego sobie przedtem nawet nie wyobrażał. Dotyk jej warg, języka… cichy szmer jej oddechu… to przekraczało wszelkie granice. Musiał aż schwycić całą garścią za pościel, by nie ulec –

ostatecznie i bezapelacyjnie – promieniującemu z Iris ciepłu.

Zmusił się, żeby usiąść. Łatwiej mu było w tej pozycji myśleć, a może też dlatego, że teraz dzieliła ich nieco większa przestrzeń. Usiłował szukać jakichś słów, pocierając nos. Patrzyła na niego niczym mały, zagubiony ptaszek, w niemal nadnaturalnej ciszy.

Podciągnął wyżej prześcieradło, żeby ukryć swoje pobudzenie. Nie było żadnego powodu, by jej teraz nie powiedzieć wszystkiego – prócz jego tchórzostwa. A jednak nie chciał tego zrobić. Czyżby w środku był aż takim słabeuszem, że zależało mu, aby jeszcze przez parę dni zachowała o nim dobre zdanie?

– Nie spodziewałem się tego po tobie – wyjąkał wreszcie. Był to bodaj najgorszy z wykrętów, ale on nie miał pojęcia, co innego mógłby teraz powiedzieć.

Przyjrzała mu się wzrokiem bez wyrazu, a potem nieznacznie zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem.

No jasne, że nie rozumiała. Westchnął.

– Wiele żon nie robi… – machnął niepewnie ręką – takich rzeczy.

Z miejsca się zaczerwieniła.

– Och – stwierdziła z odcieniem żalu w głosie. – Musiałeś sobie pomyśleć, że ja… że jestem…

– Przestań, proszę – powiedział błagalnym tonem, chwytając ją za rękę. Chyba nie zniósłby jej przeprosin. – Daję ci słowo, że nie zrobiłaś niczego źle. Wręcz przeciwnie! – dodał, nim zdołał ugryźć się w język.

Pośpiesznie zsunęła się z łóżka, choć mógł dostrzec, że jest zakłopotana.

– Tylko że… jakby… jest na to trochę za wcześnie… w naszym małżeństwie… – Zawiesił głos po tych słowach. Nie mógł zrobić nic innego, bo nie miał pojęcia, jak zakończyć to zdanie. O Boże, co z niego za osioł! – Było tego zbyt wiele… – ciągnął jednak z nadzieją, że ona nie zauważy małej pauzy, nim dodał: – …dla ciebie.

Zerwał się na nogi, klnąc w duchu, gdy pośpiesznie doprowadzał spodnie do porządku. Co z niego za człowiek? Wykorzystał ją jak najohydniej, jak tylko mógł. I w dodatku, na miłość boską, nadal miał na nogach te cholerne buty!

Spojrzał na nią. Rozchyliła wargi, wciąż jeszcze nabrzmiałe od jego pocałunków. Ale z jej oczu znikło już zapamiętanie. Zastąpiło ją coś, czego nie potrafiłby nazwać.

Coś, czego nawet nie chciałby nazwać.

Przygładził ręką włosy.

– Chyba już sobie pójdę.

– Nic nie jadłeś – zauważyła. Jej głos brzmiał bezbarwnie, czego nie znosił.

– Nieważne.

Przytaknęła, ale był całkiem pewny, że żadne z nich nie wie dlaczego.

– Proszę cię – szepnął, pozwalając sobie ostatni raz dotknąć jej twarzy. Delikatnie pogładził ją po czole, a chwilę później po policzku. – Proszę cię, wiedz jedno: niczego nie zrobiłaś źle.

Nie odezwała się, tylko patrzyła na niego tymi swoimi szeroko otwartymi, błękitnymi oczami. I nawet nie wyglądała na zażenowaną, ale…

Na zrezygnowaną; co było jeszcze gorsze.

– To nie ty zrobiłaś coś źle – powiedział – tylko ja.

Miał wrażenie, że każde kolejne słowo jedynie pogarsza sytuację, nie potrafił się wszakże od nich powstrzymać. Przełknął ślinę, czekając, żeby się odezwała, lecz ona milczała.

– Dobranoc – powiedział cicho, pochylił głowę w ukłonie i wyszedł. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak okropnie, robiąc coś, co uważał za słuszne.

***Dwa dni później***

Richard siedział w swym gabinecie, obracając w palcach już drugi kieliszek brandy, gdy ujrzał powóz wjeżdżający na podjazd. Popołudniowe słońce odbijało się w szybkach jego okien.

Czyżby wracały jego siostry?

Wprawdzie wysłał ciotce list, w którym napisał, że nie pozwala Fleur i Marie-Claire zostać u niej przez całe dwa tygodnie, ale nie spodziewał się, że wrócą akurat tego dnia.

Odstawił kieliszek, podszedł do okna i przyjrzał się uważniej. Rzeczywiście, był to powóz jego ciotki. Przymknął na moment oczy. Nie był pewien, dlaczego wracają wcześniej, lecz nie mógł temu zaradzić.

Zresztą był już czas na ten powrót.

Nie mógł się zdecydować, czy ma je powitać samodzielnie, czy też razem z Iris, ale w sumie nie miało to większego znaczenia. Iris czytała właśnie książkę w salonie i zawołała, gdy przechodził:

– Czy ktoś przyjechał?!

– Moje siostry – potwierdził.

– Och.

I tylko tyle. „Och”. Miał wrażenie, że wkrótce powie coś więcej.

Stanął w drzwiach, patrząc, jak powoli odkłada książkę. Siedziała, zwinięta w kłębek i z nogami podwiniętymi pod siebie, na błękitnej sofie; minęła dobra

chwila, nim zdołała wsunąć stopy w pantofle, a potem wstać.

– Czy wyglądam, jak należy? – spytała, wygładzając na sobie strój.

– Oczywiście – odparł w roztargnieniu.

Zacisnęła wargi.

– Wyglądasz ślicznie – powiedział, spojrzawszy na suknię w zielone paski i bezpretensjonalną fryzurę. – Wybacz, myślałem o czymś innym.

Widocznie wystarczyło jej takie wyjaśnienie, bo przyjęła zaofiarowane przezeń ramię, choć nie spojrzała mu w oczy. W ogóle nie mówili ze sobą o zdarzeniach sprzed dwóch dni w jej pokoju – i wyglądało, że nieprędko wrócą do tematu.

Kiedy Iris zeszła na śniadanie następnego ranka, był pewien, że ich konwersacja utknęłaby w miejscu, gdyby tylko ją rozpoczęli. Ale, jak zawsze, żona go zadziwiła. Może zresztą on sam zadziwił siebie? W każdym razie rozmawiali o pogodzie, o książce, którą Iris czytała, i o tym, czy Burnhamowie poradzą sobie z wodą, która wylała na jednym z ich pól. No i wszystko poszło gładko.

Ale on czuł, że nie jest w porządku.

Gdy rozmawiali, robili to niemal… ostrożnie.

Póki ograniczali wymianę zdań do banałów, mogli udawać, że nic się nie zmieniło. Obydwoje najwyraźniej zdawali sobie sprawę, że kiedyś w końcu będą zmuszeni zrezygnować z obojętnych tematów – ważyli więc skąpe słowa ostrożnie, jakby to były bezcenne skarby.

Ale to się miało niedługo skończyć.

– Nie przypuszczałam, że przyjadą przed czwartkiem – powiedziała Iris, pozwalając mu wyprowadzić się z pokoju.

– Ani ja.

– Czemu mówisz takim przygnębionym tonem? – spytała po krótkiej przerwie.

Był nie tylko przygnębiony.

– Powinniśmy przywitać je na podjeździe – zaproponował.

Skinęła głową, ignorując brak odpowiedzi na swoje pytanie, i oboje podeszli do drzwi frontowych. Cresswell stał już w gotowości na podjeździe wraz z panią Hopkins i dwoma lokajami. Richard i Iris zajęli swoje miejsca dokładnie w chwili, gdy powóz ciągnięty przez doborowy zaprzęg jabłkowitych koni ciotki zatrzymał się przed domem.

Drzwiczki karety się otwarły, a Richard natychmiast do nich podszedł, by pomóc siostrom przy wysiadaniu. Marie-Claire wyskoczyła ze środka pierwsza i ścisnęła go za dłoń ostrzegawczo.

– Jest w okropnym nastroju – zaczęła bez żadnych wstępów.

– A to dobre – mruknął Richard.

– Ty jesteś chyba Marie-Claire? – spytała żywo Iris. Była jednak pełna niepokoju. Richard mógł to poznać po sposobie, w jaki zacisnęła mocno obie dłonie tuż przy piersiach. Zdążył już zauważyć, że robiła tak, chcąc się powstrzymać od kurczowego miętoszenia sukni w chwilach zdenerwowania.

Marie-Claire dygnęła przed nią lekko. Choć miała dopiero czternaście lat, była wyższa od Iris, ale twarz wciąż miała po dziecinnemu krągłą.

– Tak, to ja. Proszę nam wybaczyć wcześniejszy powrót. Fleur nie czuje się najlepiej.

– Doprawdy? – spytała czujnie Iris, popatrując ku uchylonym drzwiom powozu. Fleur wciąż jeszcze z niego nie wysiadała.

Marie-Claire spojrzała porozumiewawczo na Richarda, uważając, by zrobić to, kiedy Iris na nich nie patrzyła, i wykonała jednoznaczny ruch ręką.

Nie potrafił powstrzymać się od pytania.

– W powozie?

– I to dwukrotnie.

Skrzywił się, a potem podszedł i zajrzał do środka, lustrując zawartość naczynia umieszczonego tuż przy drzwiczkach.

– Fleur?

Siedziała wewnątrz skulona, w pożałowania godnym stanie, cała blada. Wyglądała w samej rzeczy na osobę, którą dwa razy zemdliło w drodze. Zapach też o tym świadczył.

– Nie będę z tobą gadać.

Do diabła.

– A więc to tak?

Odwróciła się od niego, a ciemne włosy zakryły jej twarz.

– Wolałabym, żeby któryś z lokajów pomógł mi wysiąść.

Richard mocno potarł nos, usiłując zażegnać gwałtowny ból głowy, który – o czym dobrze wiedział – wkrótce dotkliwie ściśnie mu czaszkę. Fleur i on darli ze sobą koty już ponad miesiąc, a mógł temu zaradzić tylko w jeden jedyny sposób. Wiedział o tym i szalał ze złości, bo odmawiała zgody na to, co musiało w końcu nastąpić.

Westchnął ciężko.

– Na miłość boską, Fleur, przestań się irytować choćby przez chwilę i pozwól, żebym ci pomógł wysiąść. Śmierdzi tu jak w szpitalu.

– Nie jestem zirytowana! – prychnęła.

– Ale irytujesz mnie.

Cofnęła się, słysząc jego słowa. To była obelga.

– Chcę, żeby mi pomógł lokaj!

– Weź mnie za rękę – warknął.

Przez chwilę sądził, że Fleur wyskoczy na zewnątrz drugimi drzwiczkami, żeby tylko mu zrobić na złość, ale widać stać ją było na zachowanie resztki rozsądku, bo spojrzała na niego i parsknęła:

– No, dobrze…

Z ostentacyjnym brakiem gracji chwyciła go za rękę i pozwoliła, żeby pomógł jej wyjść z powozu. Iris i Marie-Claire stały obok siebie, udając, że niczego nie widzą.

– Fleur – rzekł Richard groźnym tonem – chciałbym ci teraz przedstawić twą nową siostrę. Poznaj moją żonę, lady Kenworthy.

Fleur spojrzała na Iris. Nastała chwila przerażającej ciszy.

– Miło mi cię poznać – przerwała ją w końcu Iris, wyciągając ku niej dłoń.

Fleur nie podała jednak swojej.

Pierwszy raz w życiu Richard był bliski uderzenia kobiety.

– Fleur! – rzucił groźnie.

Ta lekceważąco zacisnęła wargi i dygnęła.

– Witam, lady Kenworthy.

– Miło mi – odparła Iris, spoglądając nerwowo to na Richarda, to znów na Fleur. – Mam nadzieję, że zechcesz mi mówić po imieniu.

Fleur rzuciła jej iście miażdżące spojrzenie, a potem zwróciła się do Richarda.

– Nic z tego nie będzie.

– Nie mów tego tutaj, Fleur! – ostrzegł ją.

Wskazała gwałtownym ruchem ręki na Iris.

– Popatrz tylko na nią!

Iris cofnęła się o krok. Richard doznał wrażenia, że zrobiła to całkiem bezwiednie. Spojrzeli na siebie – ona ze zdumieniem, on z wyraźnym już zmęczeniem. Błagał ją w duchu, by go o nic nie spytała. Jeszcze nie teraz.

Za to Fleur mu jednak nie odpuściła.

– Mówiłam już, że…

Richard chwycił ją za ramię i odciągnął na bok.

– To nie czas ani miejsce po temu!

Popatrzyła nań buntowniczo i wyszarpnęła ramię z uścisku.

– Idę do siebie – odparła i sztywnym krokiem poszła w stronę domu. Potknęła się jednak już na pierwszym schodku i byłaby upadła, gdyby Iris nie rzuciła się, by ją podtrzymać.

Przez chwilę obydwie zamarły bez ruchu, całkiem jak na żywym obrazie. Iris

przytrzymała Fleur za łokieć; najwyraźniej dotarło do niej, że młodsza od niej kobieta od tygodni jest wytrącona z równowagi i potrzebuje jakiegoś kontaktu z drugim człowiekiem.

– Dzięki – niechętnie mruknęła Fleur.

Iris cofnęła się i znowu mocno zacisnęła dłonie na piersiach.

– Drobiazg.

– Fleur – odezwał się Richard stanowczym tonem. Nieczęsto go używał w rozmowie z siostrami, ale w tej chwili poczuł się zmuszony.

Fleur z wolna się odwróciła.

– Iris jest moją żoną – oznajmił. – Maycliffe to teraz jej dom, podobnie jak twój.

Fleur spojrzała mu prosto w oczy.

– Zapewniam cię, że nigdy nie przegapię jej obecności.

A wtedy Richard zrobił coś zdumiewającego. Ujął Iris za rękę. I nie po to, żeby ją ucałować lub gdzieś poprowadzić.

Po prostu wziął ją za rękę. Aby poczuć jej ciepło.

Wyczuł, że ich palce splotły się ze sobą, i uścisnął je mocno. Nie zasługiwał na nią. Wiedział o tym.

Iris wiedziała to również. Lecz przez tę jedną jedyną, okropną chwilę, gdy całe jego życie zdawało się walić w gruzy, ujął żonę za rękę, pragnąc stworzyć złudne wrażenie, że nigdy go nie opuści.

# 18

Przez większość życia Iris świadomie wolała wybierać milczenie. Wcale nie dlatego, by nie miała nic do powiedzenia. W obecności licznych kuzynek mogła przegadać cały wieczór. Ojciec raz nazwał ją nawet urodzoną mistrzynią strategii, która zawsze z góry wie, co, jak i kiedy powiedzieć. Może właśnie dlatego ceniła sobie wybór właściwego momentu włączenia się do rozmowy. I nikt nie mógł sprawić, żeby zapomniała języka w gębie. Ani tak ją oszołomić, by nie skończyła rozpoczętego zdania.

Teraz jednak, patrząc, jak Fleur Kenworthy znika w drzwiach Maycliffe, i czując, jak Richard wciąż w niepojęty sposób trzyma ją za rękę, nie mogła nawet jasno myśleć.

Co najmniej przez pięć sekund nikt z obecnych nawet nie drgnął. Pierwsza ocknęła się pani Hopkins, niejasno mamrocząc, że pójdzie się upewnić, czy pokój Fleur jest całkiem gotów, i pośpiesznie weszła do domu. Cresswell też ulotnił się szybko i dyskretnie, a z nim obaj lokaje.

Iris nadal stała zaś bez ruchu, wodząc jedynie oczami od Richarda do Marie-Claire i z powrotem.

Co tu się działo, na miłość boską?

– Przepraszam cię – powiedział Richard, puszczając jej rękę. – Ona zwykle nie jest taka.

Marie-Claire prychnęła:

– Ściślej mówiąc, nie zawsze jest właśnie taka.

– Marie-Claire! – rzucił ostro Richard.

Wyglądał, jak uznała Iris, na wyczerpanego. Na kogoś krańcowo znękanego.

Marie-Claire skrzyżowała ręce na piersi i spojrzała ponuro na brata.

– Richardzie, ona była okropna. Po prostu okropna. Nawet ciotka Milton nie miała już do niej cierpliwości.

Richard odwrócił się gwałtownie w jej stronę.

– Czy ciotka…

Marie-Claire pokręciła głową.

Richard odetchnął z ulgą.

Iris wciąż na nich patrzyła. I słuchała. Coś się tu działo dziwnego, jakby toczono jakąś skrytą rozmowę pomiędzy kolejnymi wrogimi spojrzeniami i wzruszaniem ramion.

– Nie zazdroszczę ci, braciszku. – Marie-Claire skierowała wzrok na Iris. – Ani tobie.

Iris drgnęła nagle. A już myślała, że zupełnie o niej zapomnieli!

– O czym ona mówi? – spytała Richarda.

– O niczym – syknął gniewnie.

No, to już było ewidentnym kłamstwem.

– A sobie też nie zazdroszczę – ciągnęła Marie-Claire. – Bo przecież muszę dzielić z nią pokój. – Westchnęła dramatycznie. – To będzie bardzo długi rok!

– Nie mów tutaj, Marie-Claire! – ostrzegł ją brat.

Obydwoje wymienili spojrzenie, którego Iris nawet nie próbowała zrozumieć. Spostrzegła, że mają oczy tego samego koloru i podobnie je przymrużają, kiedy chcą coś zaakcentować. Fleur robiła tak samo, ale jej oczy były zielonkawe, a Richarda i Marie-Claire ciemnobrązowe.

– Masz śliczne włosy – powiedziała nagle Marie-Claire.

– Dziękuję – odparła Iris, siląc się, żeby nie zdradzić, jak ją zaskoczyła nagła zmiana tematu. – Ty również.

Marie-Claire zaśmiała się z cicha.

– Nie, moje wcale nie są ładne, ale miło mi, że tak twierdzisz.

– Ależ są takie same jak twojego brata – odrzekła Iris i spojrzała z przestrachem na Richarda, gdy dotarł do niej sens tej wypowiedzi. Mąż patrzył na nią dziwnie, jakby nie wiedział, co począć z tym nieoczekiwanym komplementem.

– Zapewne musisz być zmęczona po podróży – powiedziała Iris, chcąc ratować rozmowę. – Nie chciałabyś odpocząć?

– Uhm… owszem, chyba tak – odparła Marie-Claire – choć nie jestem pewna, czy moja sypialnia będzie teraz miejscem sprzyjającym wypoczynkowi.

– Pomówię z nią – mruknął posępnie Richard.

– Teraz? – spytała Iris, niemal podsuwając mu sugestię, żeby poczekał, aż Fleur się uspokoi. Cóż ona jednak wiedziała? Nie umiała rozwikłać tej sytuacji. Jeszcze kwadrans temu spokojnie sobie czytała powieść. A teraz czuła się tak, jakby sama stała się powieściową bohaterką.

Na dodatek jedyną, która nie potrafi się rozeznać w powieściowej intrydze.

Richard popatrzył gniewnie w kierunku domu. Iris widziała, że groźnie zacisnął usta.

– Trzeba to w końcu zrobić – mruknął.

Bez słowa pożegnania ruszył ku dworowi, zostawiając Iris i Marie-Claire same na podjeździe.

Iris odchrząknęła. Sytuacja była doprawdy niezręczna. Uśmiechnęła się do swojej nowej siostry, wprawdzie w sposób niezbyt przekonywający, ale mimo wszystko starając się zrobić dobre wrażenie.

Marie-Claire odwzajemniła się jej dokładnie takim samym uśmiechem.

– Ładny dziś dzień – wydusiła z siebie wreszcie Iris.

– Istotnie. – Marie-Claire skinęła z wolna głową.

– Słoneczny.

– Owszem.

Iris zdała sobie sprawę, że kołysze się na stopach, to stając na palcach, to znów opadając na pięty. Co do licha miała powiedzieć tej dziewczynie?

No i w końcu nie powiedziała nic, bo Marie-Claire popatrzyła na nią w sposób, którego Iris wyraźnie się przestraszyła, a który świadczył o litości.

– O niczym nie wiesz, prawda? – spytała cichym głosem młodsza z sióstr.

Iris pokręciła głową.

Marie-Claire obejrzała się przez ramię, choć nic tam nie było do oglądania, a potem znów spojrzała na Iris.

– Strasznie mi przykro.

A potem i ona poszła w stronę domu.

Iris została zaś sama na podjeździe.

Całkiem osamotniona.

– Otwórz drzwi, Fleur!

Richard uderzył pięścią w drewno, nie dbając o hałas.

Fleur nie odpowiedziała, bo – jak uznał – nie chciała tego zrobić.

– Fleur! – wrzasnął.

Cisza.

– Nie odejdę stąd, póki mi nie otworzysz! – warknął.

W odpowiedzi usłyszał wewnątrz kroki, a później słowa:

– Mam nadzieję, że nie trzeba ci będzie nocnika!

Miał ochotę ją zabić. Z pewnością żaden starszy brat nie był nigdy tak dotkliwie prowokowany.

Nabrał głęboko tchu, a potem odsapnął. Nic mu nie przyjdzie ze złości. Jedno z nich dwojga powinno się zachować, jak przystoi dorosłemu. Na przemian to zaciskał dłonie w pięści, to znów je rozprostowywał. Wbijał w nie paznokcie, co

paradoksalnie przynosiło mu nieraz uspokojenie.

Teraz nie był jednak spokojny. Ani trochę.

– Nie mogę ci pomóc, skoro nie chcesz ze mną mówić – powiedział opanowanym głosem.

Żadnej odpowiedzi.

Był już gotów pójść do biblioteki, skąd sekretnymi schodami wiodło przejście do jej pokoju. Lecz znał Fleur na tyle, by wiedzieć, że i to wzięła pod uwagę. Och, nie pierwszy raz zastawiłaby swoją gotowalnią ukryte drzwi, blokując dostęp; mogła się więc łatwo domyślić, co by zrobił, gdyby odszedł spod drzwi.

– Fleur! – huknął, bijąc w drzwi otwartą dłonią. Uderzył się przy tym i paskudnie zaklął.

– Wyłamię tę przeklętą klamkę!

Znów odpowiedziała mu tylko cisza.

– Zrobię tak! – ryknął ze wszystkich sił. – Nie myśl, że się przed tym cofnę!

Cisza.

Richard przymknął oczy i wsparł się o ścianę. Przerażało go, że wrzeszczał jak szaleniec pod drzwiami sypialni siostry. Nawet nie chciał myśleć, jak to skomentuje służba w pomieszczeniu pod schodami. Musi przecież wiedzieć, że coś jest nie w porządku. Pewnie nawet każdy ze służących snuje jakieś niewesołe przypuszczenia.

Nie dbał wszakże o to, póki nikt nie domyślał się prawdy. A raczej tego, co mogłoby się nią okazać.

Nienawidził siebie za to, co musiało się stać. Cóż jednak innego mógł zrobić? Kiedy zmarł ojciec, jemu powierzono opiekę nad siostrami i troskę o ich dobrobyt. A on przez cały czas chce tylko chronić Fleur. No i Marie-Claire. Czy Fleur jest aż tak samolubna, że tego nie widzi?

– Richardzie…

Nieomal podskoczył. Iris podeszła do niego niepostrzeżenie, gdy miał zamknięte oczy.

– Przepraszam – odezwała się cicho. – Nie chciałam cię wystraszyć.

Stłumił niemądry śmiech.

– Zapewniam cię, że ze wszystkich osób w tym domu akurat ty najmniej mogłabyś mnie wystraszyć.

Była na tyle mądra, żeby mu nie odpowiedzieć.

Jej obecność sprawiła jednak, że z jeszcze większą determinacją zapragnął rozmówić się z siostrą.

– Wybacz mi to, co teraz zrobię – zwrócił się do żony i jeszcze raz huknął:

– Fleur!

A potem uderzył w drzwi tak mocno, że nawet ściana się zatrzęsła.

– Do stu diabłów, rozwalę je kopniakiem!

– Zanim wyłamiesz klamkę czy później? – spytała szyderczo Fleur.

Zacisnął zęby, wciągając nosem powietrze.

– Fleur!

Iris położyła mu łagodnie dłoń na ramieniu.

– Czy mogłabym być w czymś pomocna?

– To sprawa rodzinna – uciął.

Zabrała dłoń, a po chwili się cofnęła.

– Wybacz mi – powiedziała ostro – ale myślałam, że też należę do rodziny.

– Poznałaś Fleur ledwo trzy minuty temu! – odciął się. Był to okrutny komentarz, w dodatku niczym nieusprawiedliwiony, lecz gniew tak nim owładnął, że nie liczył się ze słowami.

– A więc zostawię cię samego – powiedziała Iris wyniośle – skoro tak dobrze sobie radzisz.

– Nie wiesz, o co tu chodzi.

– Aż za dobrze mi o tym wiadomo – odparła, mrużąc oczy ze złości.

O Boże, nie mógł przecież walczyć z obydwiema naraz.

– Bądźże rozsądna – powiedział.

Nigdy nie powinno się tak mówić do kobiety.

– Rozsądna? – spytała. – Chcesz, żebym była rozsądna? Po tym wszystkim, co się działo przez ostatnie dwa tygodnie, dobrze, że w ogóle coś jeszcze czuję!

– Czy ty nie przesadzasz?

– Nie traktuj mnie z góry! – syknęła.

Nie ośmielił się zaprzeczyć.

Z gniewnym obliczem podeszła do niego tak blisko, że prawie się stykali.

– Najpierw wciągnąłeś mnie podstępnie w małżeństwo…

– Wcale cię nie wciągnąłem.

– Ależ tak!

– Dwa dni temu jakoś się na to nie uskarżałaś.

Cała się wzdrygnęła.

Wiedział, że posunął się za daleko, ale poniosło go i nie potrafił się już opanować. Przysunął się ku niej, ona jednak ani drgnęła.

– Na dobre czy złe, jesteś moją żoną.

Czas jakby stanął w miejscu. Iris zacisnęła zęby, chcąc powstrzymać gniew, a Richard nie mógł oderwać oczu od jej warg, różowych i pełnych. Wiedział już, jaki

jest ich smak. Znał go równie dobrze, jak własny oddech.

Cofnął się gwałtownie i zaklął pod nosem. Co z niego za potwór! Wśród tego wszystkiego myśli tylko o tym, żeby ją pocałować.

Żeby ją mieć.

Żeby się z nią kochać, zanim go znienawidzi.

– Chcę wiedzieć, o co tu chodzi – powiedziała Iris głosem nabrzmiałym złością.

– Muszę się teraz rozmówić z siostrą – odparł.

– Nie, teraz musisz mi powiedzieć…

Przerwał jej raptownie.

– Powiem ci wszystko, co powinnaś wiedzieć, dopiero kiedy będziesz musiała o tym usłyszeć.

Zapewne nastąpiłoby to w ciągu najbliższych pięciu minut, zakładając, że Fleur otworzy wreszcie te przeklęte drzwi.

– Ma to coś wspólnego z twoim małżeństwem ze mną, prawda? – spytała Iris.

Odwrócił się, stając z nią twarzą w twarz. Była jeszcze bledsza niż zwykle, choć oczy jej płonęły.

Nie mógł już okłamywać żony. Może wciąż nie był gotów do wyznania całej prawdy, lecz nie potrafił dłużej kłamać.

– Fleur!!! – zawył. Otwórz te choler…

Drzwi rozwarły się z trzaskiem i Fleur stanęła w nich z dzikim spojrzeniem, trzęsąc się ze złości. Richard nigdy jeszcze nie widział jej w takim stanie. Ciemne włosy miała niemal rozpuszczone, bo wypadły z nich szpilki, i sterczące w nieładzie na wszystkie strony, a policzki całe czerwone.

Co się stało z jego łagodną, posłuszną siostrą? Przecież, na miłość boską, bywał z nią nieraz na różnych herbatkach.

– Życzyłeś sobie rozmowy ze mną? – spytała pogardliwie.

– Nie w korytarzu! – syknął ze złością, chwytając jej ramię. Usiłował wepchnąć ją do sypialni, którą dzieliła z Marie-Claire, ale zaparła się nogami.

– Ona też przy tym będzie? – powiedziała, wskazując ruchem głowy na Iris.

– Ona ma imię – warknął Richard.

– Strasznie przepraszam. – Fleur odwróciła się ku Iris i zatrzepotała rzęsami. – Lady Kenworthy jest pokornie proszona o zaszczycenie nas swą obecnością.

Richard parsknął gniewnie:

– Nie mów do niej w ten sposób!

– A w jaki, skoro należy do rodziny?

Richard nie był w stanie odpowiedzieć, wciągnął więc tylko siostrę do pokoju. Iris poszła w ślad za nimi, choć nie wyglądała na przekonaną, że postępuje

właściwie.

– Będziemy sobie niezwykle bliskie, wiesz? – powiedziała do niej Fleur z nieszczerym uśmieszkiem. – Nie masz nawet pojęcia, jak bardzo!

Iris przyjrzała się jej z uzasadnioną obawą.

– Może powinnam przyjść kiedy indziej…

– Och, nie! – ucięła Fleur. – Powinnaś zostać.

– Zamknij drzwi – zażądał Richard.

Iris zrobiła to, a on jeszcze mocniej schwycił za ramię Fleur, usiłując zaprowadzić ją w głąb pokoju.

– Precz ode mnie! – syknęła, usiłując mu się wyrwać.

– Czy będziesz rozsądna?

– Nigdy nie byłam nierozsądna – odszczeknęła.

Mogło to na nowo rozpocząć kłótnię, lecz puścił jej ramię.

Fleur zmieniała go w szaleńca, czego nienawidził.

Ale wtedy Fleur odwróciła się nagle ku Iris. Oczy jej niebezpiecznie błysnęły.

– Czy Richard powiedział ci o mnie?

Iris nie odpowiedziała od razu. Dusiło ją w gardle. Spojrzała na Richarda, nim wreszcie wykrztusiła:

– Trochę.

– Tylko trochę? – Fleur popatrzyła na brata przez ramię, z ironicznie uniesioną brwią. – Ominąłeś to, co najpikantniejsze, prawda?

– Fleur… – rzucił ostrzegawczo.

Ale Fleur znowu skupiła uwagę na Iris.

– Czy mój brat przypadkiem ci nie powiedział, że jestem brzemienna?

Richard poczuł, jak zamiera mu serce. Spojrzał z desperacją na Iris. Cała krew odpłynęła jej z twarzy. Chciał do niej podejść, objąć ją, osłonić; wiedział jednak, że potrzebowała ochrony tylko przed nim samym.

– Wkrótce będzie to po mnie widać – rzekła Fleur z sarkazmem. Wygładziła suknię na brzuchu, przyciskając do niego bladoróżową tkaninę. – Niezły psikus, no nie?

– Na miłość boską, Fleur – wybuchnął Richard – czy ty nie masz ani trochę taktu?

– Ani trochę – odparła Fleur bez cienia skruchy. – Jestem teraz kobietą upadłą.

– Nie mów tak – parsknął jej brat.

– Dlaczego nie? Przecież to prawda! – Teraz Fleur zwróciła się do Iris, pytając: – Nie chciałabyś chyba wyjść za niego, gdybyś wiedziała o jego nieszczęsnej siostrze ze zrujnowaną reputacją, co?

Iris kręciła głową to w jedną, to w drugą stronę, jakby nie poznawała własnych myśli.

– Wiedziałeś o tym? – spytała męża, ale zaraz uniosła dłoń, co wyglądało niczym gest ostrzeżenia. – No jasne, że wiedziałeś…

Richard usiłował spojrzeć jej w oczy.

– Iris, muszę ci coś powiedzieć.

– Z pewnością znajdziemy jakieś wyjście – odrzekła Iris niemal gorączkowo. Patrzyła przy tym na Fleur, na szafę – wszędzie, tylko nie na swego męża. – To rzeczywiście trudna sytuacja, lecz nie jesteś przecież pierwszą młodą kobietą, jaka się w niej znalazła, i…

– Iris – powiedział cicho Richard.

– Rodzina będzie cię wspierać – zwróciła się do Fleur. – Twój brat cię kocha. Wiem, że cię kocha. I ty również to wiesz. Pomyślimy o tym. Zawsze istnieje jakiś sposób, żeby sobie poradzić.

Richard odezwał się znowu.

– Ja już o tym pomyślałem, Iris.

Spojrzała wreszcie na niego.

– Czemu się ze mną ożeniłeś? – wyszeptała.

Nadszedł czas, by powiedzieć jej prawdę.

– Będziesz udawać, że jesteś w ciąży, Iris. A potem wychowamy dziecko Fleur jako naszego prawowitego potomka.

# 19

*I*ris patrzyła na męża z rosnącym niedowierzaniem. Przecież on chyba nie przypuszczał, że… On by nigdy…

– Nie – odparła. Nie, nie chciała tego zrobić. Nie, on chyba nie może tego od niej zażądać?

– Obawiam się, że nie masz wyboru – mruknął posępnie Richard.

Patrzyła na niego z otwartymi ustami.

– Nie mam wyboru?

– Jeśli tego nie zrobimy, reputacja Fleur legnie w gruzach.

– Myślę, że ona już zdołała do tego doprowadzić! – wykrzyknęła, nim zdążyła się powstrzymać.

Fleur parsknęła zgryźliwym śmiechem, niemalże rozbawiona obelgą Iris, ale Richard ostrzegł żonę groźnym spojrzeniem.

– Mówisz o mojej siostrze!

– A ty mówisz do swojej żony! – krzyknęła Iris. Zabrzmiało to tak rozdzierająco, że aż się przeraziła własnego głosu, zakryła więc usta dłonią i odwróciła się tyłem do męża. Nie mogła na niego patrzeć. Przynajmniej w tej chwili.

Wiedziała, że coś przed nią ukrywał. Mimo że się w nim zakochała i usiłowała przekonywać samą siebie, że tylko jej się zdaje. Jakiś sekret musiał się kryć za jego pośpiesznym dążeniem do małżeństwa. Czuła to. Nigdy jednak nie wyobrażała sobie czegoś podobnego. Nie była w stanie.

To było czyste szaleństwo – ale wszystko wyjaśniało. Od pośpiesznego ślubu do jego odmowy dopełnienia małżeństwa… Wszystko nabrało teraz całkowitego i odrażającego sensu. Nic dziwnego, że chciał znaleźć sobie żonę tak szybko. Rzecz jasna, nie mógł też zaryzykować uczynienia jej brzemienną, nim Fleur urodzi swoje dziecko. No, bo jak by to wyjaśnił?

Musieliby zatem utrzymywać, że Iris urodziła dziecko o miesiąc – lub nawet dwa miesiące – za wcześnie. A wtedy, gdy maleństwo pojawiłoby się już na świecie, zdrowe i duże, każdy by przypuszczał, że małżeństwo było wymuszone

okolicznościami, gdyż Richard uwiódł ją przed ślubem.

Iris parsknęła gorzkim śmiechem. Na Boga, nic nie byłoby wówczas dalsze od prawdy.

– Uważasz, że to zabawne? – spytał Richard.

Tuląc ramiona, usiłowała zdusić w sobie narastającą gwałtownie chęć histerycznego wybuchu. Odwróciła się tak, by spojrzeć mu prosto w twarz, i odparła:

– Ani trochę.

Miał na tyle rozsądku, żeby nie domagać się bliższych wyjaśnień. Iris mogła sobie tylko wyobrażać, jak dziko muszą teraz wyglądać jej oczy.

Po chwili Richard odchrząknął i rzekł:

– Zdaję sobie sprawę, że znalazłaś się w trudnej sytuacji…

W trudnej sytuacji? Aż otwarła usta ze zdumienia. Chciał, żeby udawała ciążę, a potem uznała dziecko innej kobiety za swoje. I on śmie nazywać to trudną sytuacją?

– …ale myślę, że sama uznasz to za jedyne możliwe rozwiązanie.

Nie. Pokręciła głową.

– Niepodobna. Musi być jakieś inne wyjście.

– Czy naprawdę myślisz, że łatwo mi było podjąć tę decyzję? – spytał Richard, coraz bardziej podnosząc głos w gniewie. – Czy sobie wyobrażasz, że nie brałem pod uwagę każdego możliwego wariantu?

Iris poczuła, że robi się jej duszno, ale zwalczyła chęć gwałtownego zaczerpnięcia powietrza. Ledwie mogła oddychać. Ledwie mogła myśleć. Kim był ten człowiek? Kimś niemal obcym, kiedy brali ślub; sądziła jednak, że jest dobry i uczciwy. Pozwoliła mu się całować w najintymniejszy sposób, a tymczasem prawie wcale go nie znała.

Myślała też, że mogła się w nim nawet zakochać.

A najgorsze ze wszystkiego było to, że ją do wszystkiego zmusił. Obydwoje o tym wiedzieli. W małżeństwie słowo męża było prawem, a kobieta miała go słuchać. Och, mogła uciec do rodziców, ale oni by ją pewnie odesłali z powrotem do Maycliffe. Mogliby być zszokowani, mogliby uznać, że Richard był szaleńcem, wymyślając podobną intrygę, w końcu jednak powiedzieliby, że jest jej mężem i że jeśli taki był jego wybór, musi się z tym pogodzić.

– Okłamałeś mnie – szepnęła. – Świadomie wciągnąłeś mnie w oszukańcze małżeństwo.

– Przykro mi.

I zapewne było mu rzeczywiście przykro, lecz to go w żaden sposób nie

usprawiedliwiało.

W końcu zadała mu to najbardziej przerażające pytanie:

– Dlaczego właśnie mnie?

Richard zbladł.

Iris czuła, że cała krew odpływa z jej ciała. Cofnęła się niezręcznie, a jego niewypowiedziana replika podziałała na nią jak cios prosto w trzewia. Nie musiał nic mówić; odpowiedź miał jasno wypisaną na twarzy. Richard wybrał właśnie ją, bo mógł tak zrobić. Bo wiedział, że ze skromnym posagiem i przeciętną aparycją nie miała szansy na licznych wielbicieli ubiegających się o jej rękę. Dziewczyna taka jak ona bardzo chętnie wyszłaby za mąż. Nigdy by nie odmówiła takiemu mężczyźnie jak on.

Dobry Boże, czyżby on ją sobie upatrzył? Oczywiście. Musiał tak zrobić. Po cóż innego poszedłby na wieczór muzyczny rodziny Smythe-Smith, jeśli nie po to, by zostać jej przedstawionym?

Nagle przypomniała sobie twarz Winstona Bevelstoke'a i jego wyćwiczony, miły uśmiech, gdy ich ze sobą zapoznawał. Czyżby pomagał Richardowi w wyborze żony?

Niemalże zrobiło się jej słabo ze zgrozy. Richard prosił widocznie przyjaciół, by mu skompletowali listę najbardziej zdesperowanych kobiet w Londynie. A ona zapewne figurowała tam na jednym z pierwszych miejsc.

Została starannie wybrana. Zasługiwała na współczucie.

– Upokorzyłeś mnie – powiedziała, z trudem wydobywając z siebie głos.

Nikt nie mógł nazwać sir Richarda Kenworthy'ego głupcem. Bardzo dobrze wiedział, z kim chce się ożenić – z istotą tak żałosną, że z wdzięczności za propozycję małżeństwa powinna podskoczyć z radości i powiedzieć: „ależ tak, proszę", kiedy on w końcu wyzna jej prawdę.

Tak właśnie o niej myślał.

Iris zakryła usta dłonią, by zdusić płacz narastający jej w gardle.

Fleur wpatrywała się w nią niepokojąco uporczywie, nim zwróciła się do Richarda:

– Doprawdy, powinieneś był powiedzieć jej prawdę, nim poprosiłeś ją o rękę.

– Zamknij się! – warknął.

– Nie mów do niej w ten sposób! – parsknęła Iris.

– Och, jesteś więc teraz po jej stronie?

– No cóż, skoro nikt nie wydaje się być po mojej…

– Powinnaś wiedzieć, że mówiłam Richardowi, że nigdy się nie zgodzę na podobny pomysł – wyjaśniła jej Fleur.

Iris patrzyła na nią, właściwie pierwszy raz tego popołudnia przyglądając się jej uważnie. Usiłowała ujrzeć w niej coś innego niż kapryśną, rozhisteryzowaną dziewczynę, która wysiadła z powozu.

– Czy straciłaś rozum? – spytała. – Co w takim razie zamierzasz zrobić? Kto jest ojcem dziecka?

– Ktoś, kogo z pewnością nie znasz – odburknęła Fleur.

– Młodszy syn miejscowego barona – wyjaśnił bezbarwnym głosem Richard. – Uwiódł ją.

Iris odwróciła się raptem ku niemu.

– No, to czemu nie zmusisz go, żeby ją poślubił?

– On nie żyje – odparł.

– Och. – Iris znów poczuła się tak, jakby ją ktoś uderzył. – Przykro mi.

– A mnie nie – mruknął Richard.

Iris popatrzyła na niego ze zdumieniem.

– Nazywał się William Parnell – fuknął pogardliwie. – Był podłym szubrawcem. Od zawsze.

– Co się z nim stało? – spytała Iris, choć wcale nie była pewna, czy chce o tym wiedzieć.

Richard spojrzał na nią przelotnie, unosząc brwi.

– Spadł pijany z balkonu, wywijając w dodatku pistoletem. Prawdziwy cud, że nikt wtedy nie został postrzelony.

– Byłeś przy tym? – wyszeptała, czując ze zgrozą, że Richard mógł z tym mieć coś wspólnego.

– Jasne, że nie. – Popatrzył na nią z niechęcią. – Ale było sporo świadków tego zdarzenia. W tym trzy prostytutki.

Iris z trudem przełknęła ślinę.

Twarz Richarda przybrała wygląd upiornej maski, gdy wyjaśnił:

– Mówię ci o tym tylko dlatego, żebyś wiedziała, jakiego pokroju był człowiekiem.

Iris w niemym osłupieniu skinęła głową. Nie wiedziała, co ma powiedzieć. Nie wiedziała, co ma odczuwać. Po dłuższej chwili odwróciła się do Fleur – swej nowej siostry, jak musiała sobie przypomnieć – i ujęła ją za dłonie.

– Jakże mi przykro – powiedziała, usiłując mówić ostrożnie i cicho. – Czy… czy on cię skrzywdził?

Fleur odwróciła twarz.

– To nie tak było.

Richard podszedł do niej chwiejnym krokiem.

– Czy chcesz mi powiedzieć, że mu pozwoliłaś…

– Dość! – krzyknęła Iris, odpychając go. – Nic nie zyskamy, oskarżając się wzajemnie!

Richard wprawdzie skinął nieznacznie głową, ale obydwoje z Fleur spoglądali na siebie wrogo.

Iris nienawidziła bezwzględności, nie miała jednak pojęcia, jak bardzo zaawansowana może być ciąża Fleur. Strój, jaki nosiła, był wprawdzie na tyle luźny, by mogła ją jeszcze ukrywać, lecz nie pozostało im zbyt wiele czasu.

– Czy nie ma żadnego mężczyzny, który by się mógł z nią ożenić? – spytała. – Kogoś, kto by…

– Nie wyjdę za obcego mi człowieka – odparła Fleur gwałtownie.

No cóż, Iris właśnie coś takiego zrobiła. Przyszło jej to nieoczekiwanie na myśl. Nieoczekiwanie, choć niewątpliwie zgodnie z prawdą.

Richard wzgardliwie przewrócił oczami.

– Nie mam pieniędzy, żeby kupić jej męża. W żadnym razie.

– Ależ z pewnością mógłbyś kogoś znaleźć…

– Kogoś chętnego do uczynienia jej dziecka własnym spadkobiercą, gdyby był to chłopiec? Wymagałoby to doprawdy niemałego przekupstwa.

– Jednak byłbyś gotów to zrobić?

Richard wzdrygnął się, lecz odpowiedział:

– Dziecko byłoby w końcu moim siostrzeńcem lub siostrzenicą.

– Ale nie naszym synem! – Iris odwróciła się od niego, znowu podkulając ramiona.

– Nie mogłabyś pokochać innego dziecka niż własne? – spytał oskarżycielskim tonem, choć cicho.

– Oczywiście, że mogłabym. Lecz tu chodzi o oszustwo. O coś złego. Dobrze wiesz, że tak jest!

– Może więc byś go o tym przekonała? – odezwała się Fleur.

– Och, na litość boską, zamilcz! – krzyknęła Iris. – Czy nie widzisz, że próbuję wam pomóc?

Fleur raptownie się cofnęła, przestraszona jej wybuchem złości.

– A co zrobisz, kiedy to nam urodzi się syn? – spytała Iris Richarda. – I nie będzie mógł odziedziczyć Maycliffe, bo ty już je komuś dałeś?

Richard nic jej nie odpowiedział, zacisnął tylko wargi tak mocno, że aż mu zbielały.

– Odmówiłbyś własnemu dziecku prawa pierworództwa? – nalegała.

– Poczyniłbym pewne kroki – odparł sucho.

– A jakież tu można poczynić kroki?! – krzyknęła. – Nie przemyślałeś tego należycie. Jeśli uznasz jej syna za naszego, nie będziesz mógł uczynić młodszego dziedzicem!

– Maycliffe nie jest majoratem – przypomniał jej.

Iris gwałtownie wzięła oddech, rozgniewana.

– To jeszcze gorzej. Pozwoliłbyś synowi Fleur wierzyć, że jest pierworodnym, a potem przekazać Maycliffe jego młodszemu bratu?

– Oczywiście, że nie! – niemalże wysyczał Richard. – Za kogo ty mnie masz?

– Szczerze mówiąc, nie wiem.

Cofnął się przed nią, ale mówił dalej:

– Podzieliłbym majątek na pół, gdyby się to okazało konieczne.

– Och, nadzwyczajne – wycedziła przez zęby. – Jedno z dzieci dostanie dom, a drugie oranżerię! Żadne nie zostanie pominięte! Co za pomysł!

– Na miłość boską – wybuchnął – przymknij się wreszcie!

Iris wzdrygnęła się, słysząc jego ton.

– Nie odzywałabym się do niej w ten sposób na twoim miejscu – powiedziała Fleur.

Richard odburknął coś siostrze w odpowiedzi. Iris nie dosłyszała, co – ale Fleur cofnęła się o krok i cała trójka nagle znieruchomiała, póki Richard nie nabrał głośno tchu i nie powiedział wypranym z wszelkiej emocji głosem:

– W przyszłym tygodniu wszyscy jedziemy do Szkocji. Żeby odwiedzić kuzynów.

– Nie mamy kuzynów w Szkocji – odparła równie bezbarwnym tonem Fleur.

– Teraz ich mamy – wyjaśnił jej.

Fleur spojrzała na niego tak, jakby nagle stracił rozum.

– Dopiero co odkryłem ich w drzewie genealogicznym – odpowiedział, nie starając się nawet udawać, że to prawda. – Nazywają się Hamish i Mary Tavistockowie.

– Wymyślasz sobie na poczekaniu krewnych? – zadrwiła Fleur.

Richard zignorował jej sarkazm.

– Tak ci się spodoba ich towarzystwo, że aż postanowisz zostać tam na dłużej. – Uśmiechnął się do niej ironicznie. – Powiedzmy na parę miesięcy.

Fleur skrzyżowała ręce na piersi.

– Nie zrobię tego!

Iris popatrzyła na Richarda. W jego oczach ujrzała tak dojmujący ból, że niemal nie mogła go wytrzymać. Przez chwilę zapragnęła podejść do niego, położyć mu dłoń na ramieniu i pocieszyć.

Ale nie. Nie! On nie zasługiwał na jej pocieszenie. Okłamał ją. Oszukał ją w najgorszy z możliwych sposobów.

– Nie mogę tu zostać – powiedziała nagle. Nie mogła nadal przebywać w tym pokoju. Nie mogła patrzeć na męża. Ani na jego siostrę.

– Nie odejdziesz ode mnie! – rzucił ostro Richard.

Spojrzała na niego, niepewna, czy na jej twarzy nie maluje się przypadkiem niedowierzanie. Lub pogarda.

– Chcę tylko pójść do mojego pokoju – wyjaśniła powoli.

Przestąpił z nogi na nogę. Był zakłopotany. W porządku.

– I nie próbuj mi w tym przeszkodzić – dodała.

Ani on, ani Fleur nie rzekli nawet słowa.

Iris podkradła się do drzwi i otworzyła je gwałtownym szarpnięciem, po to tylko, by niemal wpaść na Marie-Claire, która potknęła się, odskoczywszy od nich nagle, i usiłowała wyglądać na kogoś, kto wcale pod nimi bezwstydnie nie podsłuchiwał.

– Dobry wieczór – powiedziała Marie-Claire, uśmiechając się nerwowo. – Ja właśnie…

– Na litość boską! – parsknęła Iris. – Przecież już wszystko wiesz!

Przeszła tuż obok niej, nic sobie nie robiąc z tego, że to przez nią dziewczyna się potknęła. A kiedy już weszła do swego pokoju, bynajmniej nie trzasnęła donośnie drzwiami. Wręcz przeciwnie, zamknęła je ostrożnie i cicho, a jej ręka na dłuższą chwilę zamarła na klamce. W jakimś dziwnym roztargnieniu patrzyła, jak jej palce najpierw zaczynają drżeć, a następnie się trząść. Później ugięły się pod nią rozdygotane nogi, tak że musiała aż oprzeć się o drzwi, żeby nie upaść. A wreszcie osunęła się w dół, na posadzkę, gdzie skuliła się cała i zaczęła płakać.

Iris wyszła z pokoju dobrą minutę wcześniej, nim Richard był w stanie spojrzeć na siostrę.

– Nie zrzucaj winy na mnie – powiedziała Fleur z zawziętością. – Nie żądałam tego od ciebie.

Richard usiłował powstrzymać się z ripostą. Już i tak był wściekle zmęczony kłótnią z siostrą. Wciąż jednak nie mógł zapomnieć widoku zdruzgotanej Iris i miał nieznośne wrażenie, że między nimi nieodwołalnie zanikła więź, której nigdy już nie zdoła odtworzyć.

Poczuł dziwny, wewnętrzny chłód, jakby całą wściekłość wrzącą w nim od miesiąca zastąpił niszczycielski mróz. Spojrzał ostro na Fleur.

– Twój brak wdzięczności zdumiewa mnie.

– Wcale nie żądałam, by ona popełniła dla mnie to karygodne oszustwo.

Richard tak mocno zacisnął zęby, że aż poczuł ból w szczękach. Dlaczego siostra nie widzi, że próbował przecież ją chronić i dać jej szansę na szczęśliwe, pełne godności życie?

Fleur popatrzyła na niego z pogardą.

– Czy naprawdę sądziłeś, że ona się radośnie uśmiechnie i powie: „jak pan sobie życzy, sir?”

– Będę postępował z moją żoną tak, jak uznam za stosowne – odciął się.

Fleur prychnęła pogardliwie.

– Na Boga! – wybuchnął. – Nie masz absolutnie żadnego… – Urwał i przejechał ręką po włosach, a potem stanął twarzą do okna.

– Czy sądzisz, że to wszystko mi się podoba? – wysyczał nieomal, przytrzymując się parapetu tak kurczowo, że mu zbielały palce. – Czy doprawdy uważasz, że bawi mnie oszukiwanie jej?

– No, to jej nie oszukuj.

– Mleko już się rozlało.

– Możesz to jeszcze naprawić. Wystarczy, że jej powiesz, że wcale nie musi kraść mi dziecka.

Odwrócił się gwałtownie.

– To żadna kradzież – zaczął, ale gdy spostrzegł wyraz triumfu na jej twarzy, skonstatował: – Cieszy się to, prawda?

Fleur obrzuciła go lodowatym wzrokiem.

– Zapewniam cię, że ani trochę.

Przyjrzał się jej z wielką uwagą. Wydała mu się równie załamana, jak Iris. Ten ból na jej twarzy… Czy to on go spowodował? Nie. Nie! Próbował przecież tylko pomóc, ratował ją przed marnym życiem w niesławie – z pamiątką, którą jej zostawił ów diabli pomiot Parnell.

Aż zacisnął pięści. Gdyby ten cholerny szubrawiec nie zdechł sam, on już by się z nim rozprawił. Albo nie, najpierw by go zmusił do poślubienia Fleur, a zabił dopiero potem. Przypomniał sobie, jaka jego siostra była kiedyś… Pełna romantycznych rojeń. Leżała zwykle w oranżerii, oddając się lekturze w blasku słońca. I często się śmiała.

– Spraw, żebym wreszcie pojął, dlaczego się opierasz – poprosił ją. – Czy nie rozumiesz, że to twoja jedyna szansa na godne szacunku życie?

Usta Fleur zaczęły się trząść; pierwszy raz tego wieczoru wyglądała, jakby straciła pewność siebie. Widział w jej twarzy rysy dziecka, którym była w końcu nie tak dawno, i ponownie złamało mu to serce.

– Czemu nie chcesz się zgodzić, żebym poudawała gdzieś młodą wdówkę? – spytała. – Mogłabym pojechać na przykład do Devonu. Albo do Kornwalii. W każdym razie tam, gdzie nie znamy nikogo.

– Nie mamy środków, żeby ci zapewnić przyzwoite lokum – odpowiedział Richard, a że jakoś wstydził się tej swojej niezamożności, głos mu stwardniał. – Ale nie pozwolę ci żyć w ubóstwie.

– Nie trzeba mi zbyt wiele – odparła Fleur. – Tylko jakiś skromny wiejski domek i…

– Naprawdę myślisz, że niewiele potrzebujesz? – zapytał zgryźliwie. – Nie masz o tym pojęcia. Całe życie miałaś służbę. Nigdy nie musiałaś sama kupować jedzenia ani rozpalać ognia.

– Ani ty – odcięła się.

– Ale nie chodzi o mnie. Nie ja będę żył w chatce pełnej dziur albo martwił się o cenę mięsa.

Fleur odwróciła wzrok.

– To właśnie ja – ciągnął łagodniejszym już tonem – muszę się troszczyć o ciebie i zastanawiać się, co zrobić, kiedy zachorujesz albo ktoś dopuści się wobec ciebie nadużycia. A nie mógłbym ci pomóc, gdybyś mieszkała gdzieś daleko.

Fleur przez pewien czas milczała.

– Nie mogę wyjść za ojca mojego dziecka – oświadczyła w końcu. – Ale nikomu dziecka nie oddam.

– Przecież będzie żyło razem ze mną – przypomniał.

– Ale nie będzie moje! – krzyknęła. – Nie zamierzam być jego ciotką!

– Mówisz tak teraz, lecz co będzie za dziesięć lat, kiedy nikt nie zechce się z tobą ożenić?

– Zdaję sobie z tego sprawę już dzisiaj – rzuciła gniewnie.

– Jeśli urodzisz to dziecko i będziesz je samotnie wychowywać, przestaniesz się liczyć dla ludzi z towarzystwa. Nie będziesz mogła tutaj zostać.

Zamilkła na chwilę.

– A więc się mnie wyrzekniesz? – spytała.

– Nie – odparł szybko. – Nigdy. Ale nie będę mógł cię zatrzymać w domu. Przynajmniej dopóki Marie-Claire nie wyjdzie za mąż.

Fleur odwróciła od niego wzrok.

– Twoja zrujnowana reputacja również i jej zrujnuje życie. Z pewnością o tym wiesz.

– Jasne, że wiem – odpowiedziała z gniewem. – Dlaczego sądzisz, że ja…

Urwała, zakrywając ręką usta.

– Co chciałaś powiedzieć? – spytał, nie wiedząc, co miała na myśli.

Pokręciła głową, a potem cichym i zgnębionym głosem odparła:

– Nigdy się co do tego nie zgodzimy.

Richard westchnął.

– Przecież ja tylko próbuję ci pomóc, Fleur.

– Wiem. – Popatrzyła na niego znużonym, smutnym wzrokiem, choć jakby z nieco większą dozą rozsądku.

– Kocham cię – powiedział, z trudem zdobywając się na te słowa. – Jesteś moją siostrą. Przyrzekłem, że cię będę chronił. A jednak mi się nie udało. Poniosłem klęskę.

– Wcale nie poniosłeś klęski.

Wyciągnął rękę, wskazując na jej wciąż jeszcze płaski brzuch.

– Czy chcesz mi powiedzieć, że oddałaś się Parnellowi dobrowolnie?

– Mówiłam już, że to nie…

– Powinienem być wtedy tutaj – odparł. – Powinienem był cię chronić, a nie ochroniłem. A więc na miłość boską, Fleur, daj mi sposobność, bym mógł chronić cię teraz.

– Nie mogę być ciotką własnego dziecka – odrzekła z pełną spokoju determinacją. – Nie potrafię.

Richard wytarł twarz wierzchem dłoni. Był przeraźliwie zmęczony, jak chyba nigdy dotąd w całym życiu. Pomówi z Fleur nazajutrz i wtedy ją przekona.

Podszedł do drzwi.

– Tylko nie zrób czegoś nieodpowiedzialnego. Proszę cię o to.

Kiwnęła głową. Wystarczyło mu to. Ufał jej. Zdumiewające, ale jej jednak ufał.

Wyszedł z pokoju, zatrzymując się tylko na chwilę, co wszakże pozwoliło mu dostrzec w holu Marie-Claire. Nadal stała przy drzwiach, nerwowo splatając palce. Jego zdaniem wcale nie musiała już podsłuchiwać, bo większą część rozmowy prowadzili z Fleur podniesionym głosem.

– Czy mogę tam wejść? – spytała.

Wzruszył ramionami. Nie miał nawet siły jej odpowiedzieć. Poszedł dalej.

Pragnął porozmawiać z Iris. Chciał ująć ją za rękę i sprawić, by zrozumiała, że on też tego wszystkiego nienawidzi i że żałuje swojego oszustwa.

Ale nie tego, że się z nią ożenił. Tego nigdy by nie żałował.

Zatrzymał się pod jej drzwiami. Płakała.

Zapragnął wziąć ją w ramiona.

Choć jakże miał ją pocieszyć, skoro płakała właśnie przez niego?

Poszedł więc dalej, minął własną sypialnię i zszedł na dół schodami. Gdy znalazł

się już w swoim gabinecie, zamknął drzwi. Zerknął na niedopity kieliszek brandy i uznał, że jest jej tam za mało.

Akurat temu problemowi łatwo było zaradzić.

Wylał pozostawioną resztkę i napełnił ponownie kieliszek, unosząc go w milczącym toaście na cześć diabła.

Gdybyż tak wszystkie jego problemy dawały się rozwiązać równie łatwo…

# 20

*M*aycliffe nigdy jeszcze nie było tak zimnym i milczącym domem.

Następnego ranka przy śniadaniu Richard siedział w milczeniu, przyglądając się Fleur, nabierającej sobie jedzenia z kredensu. Siadła naprzeciw niego, ale nie mówili ze sobą, a gdy do jadalni weszła Marie-Claire, usłyszała na powitanie tylko mruknięcia.

Iris nie zeszła na dół.

Richard nie widział jej przez cały dzień, a gdy zadzwoniono na obiad, unosił już rękę, by zastukać do jej drzwi. Nie uczynił jednak tego. Zatrzymał dłoń, nim zdołała dotknąć drewna. Nie mógł zapomnieć wyrazu jej twarzy, gdy powiedział, co musi zrobić. Nie potrafił zapomnieć o tym, że płakała po ucieczce do swego pokoju.

Powinien był wiedzieć, że tak będzie. Powinien był obawiać się tego od chwili, gdy wsunął jej na palec obrączkę. Było to gorsze, o wiele gorsze, niż sobie wyobrażał. Poczucie winy zastąpiła głęboka pogarda dla samego siebie. Doprawdy, nie był wcale pewien, czy jeszcze kiedykolwiek będzie mógł o sobie dobrze myśleć.

Dawniej uważał się za człowieka dobrego. Może nie za najlepszego, ale w gruncie rzeczy dobrego. Czyż nim nie był?

A zatem nie zapukał do drzwi Iris. Zszedł do jadalni sam i zatrzymał się tam tylko na krótko, chcąc powiedzieć służącej, by kolację przyniesiono mu na tacy.

Iris nie zeszła na śniadanie także i następnego dnia, co sprawiło, że Marie-Claire jej pozazdrościła.

– Jakie to niesprawiedliwe, że zamężne kobiety mogą jeść śniadanie w łóżku, a ja nie! – oznajmiła, wbijając nóż w masło. – To naprawdę nie do…

Urwała, bo i Richard, i Fleur spojrzeli na nią z taką złością, że zmusiłoby to do milczenia każdego.

Kolejnego ranka Richard postanowił pomówić z żoną. Wiedział, że zasługiwała na odosobnienie po przebytym szoku, lecz wiedział też równie dobrze jak wszyscy inni, że czas im nie sprzyja. Dał jej trzy dni, bo nie mógł dać ich więcej.

Jeszcze raz jadł śniadanie tylko z siostrami, choć żadna z nich nie odezwała się ani słowem. Próbował właśnie rozstrzygnąć, jaki byłby najlepszy sposób zbliżenia się do Iris, i układał już słowa w pełne perswazji, potoczyste zdania, gdy pojawiła się w drzwiach. Miała na sobie suknię w odcieniu najjaśniejszego błękitu – domyślił się, że to jej ulubiony kolor – a włosy upięte we fryzurę z mnóstwem wstążek i kokard. Doprawdy, sam nie wiedział, jak to określić, ale powiedziałby, że owo ubranie i uczesanie wyglądało jakoś staranniej niż kiedykolwiek przedtem.

Zdał sobie sprawę, że przywdziała ten strój niczym zbroję. I nie mógł jej za to winić.

Zawahała się przez chwilę, a on poderwał się na równe nogi, przy okazji uświadamiając sobie nagle, że się na nią bezwstydnie gapi.

– Witam, lady Kenworthy – powiedział z należną rewerencją.

Było to może zbyt formalne, ale w końcu jego siostry wciąż siedziały przy stole. Nie chciał, by sobie pomyślały, że nie żywi do żony najgłębszego szacunku.

Iris spojrzała na niego lodowato swymi błękitnymi oczami, skinęła łaskawie podbródkiem, by potem zająć się potrawami na kredensie. Richard patrzył, jak nakładała sobie na talerz niewielką porcję jajek, dwa kawałki boczku i plasterek szynki. Ruchy miała pewne, precyzyjne – i musiał podziwiać jej opanowanie, gdy zajmując miejsce, pozdrowiła po kolei wszystkich obecnych: najpierw Marie-Claire, potem Fleur, a na końcu jego, sir Richarda.

– Witam, lady Kenworthy – odpowiedziała uprzejmie Marie-Claire.

Iris nie przypomniała jej, że ma również imię.

Richard gapił się w talerz. Zjadł niewiele. Właściwie nie był wcale głodny, lecz czuł, że może powinien jeść w jej obecności, wziął więc grzankę z talerza pośrodku stołu i zaczął smarować ją masłem. Jego nóż zazgrzytał na niej zbyt mocno, a dźwięk ten rozległ się wyjątkowo głośno w przytłaczającej ciszy.

– Richardzie… – mruknęła Fleur.

Spojrzał na siostrę, która – trzeba to przyznać – wyglądała żałośnie i nieapetycznie.

Richard spiorunował Fleur wzrokiem bez żadnego logicznego powodu i energicznie odgryzł duży kęs. A potem się zakrztusił. Do diabła! Ależ ta grzanka była sucha! Zerknął na talerz. Całe masło, którym wcześniej próbował ją pokryć, przylgnęło do noża niczym bryłka stwardniałej żółtej masy.

Z pełnym irytacji pomrukiem rozprowadził je, gdy już zmiękło na grzance i ugryzł następny kęs. Iris nieustannie wpatrywała się w męża, co było deprymujące, a potem rzekła obojętnym tonem:

– Może dżemu, Richardzie?

Zaskoczył go dźwięk jej głosu, który rozległ się w zupełnej ciszy.

– Dziękuję – odparł i wziął z jej rąk talerzyk. Nie miał pojęcia, jakiego dżemu – było to po prostu coś czerwonego, co zapewne lubił – ale nie dbał o to. Wymówiła jego imię, a było to pierwsze słowo, jakie od niej usłyszał po trzech dniach.

Po jakiejś minucie uznał, że będzie to również jedyne jej słowo przez najbliższe trzy dni. Nie w pełni pojmował, że cisza może w rozmaitym stopniu przerażać, ale milczenie w gronie czterech osób było nieskończenie okropniejsze niż to, które musiałby wycierpieć wyłącznie w towarzystwie sióstr. Na cały pokój spadła jakby zimna zasłona, nie temperatury, lecz nastroju, a każdy odgłos widelca uderzającego o talerz przypominał chrzęst pękającego lodu.

A potem – nagle i na szczęście – odezwała się Marie- -Claire. Richard uznał, że bodaj tylko ona mogła to zrobić. Była jedyną osobą, która nie grała żadnej roli w makabrycznej farsie, jaką stało się jego życie.

– Miło mi, że zeszłaś dziś na dół – powiedziała do Iris.

– Mnie też – odparła Iris, ledwie na nią patrząc. – Czuję się o wiele lepiej.

– Czy byłaś chora? – spytała ze zdziwieniem Marie-Claire.

Iris upiła trochę herbaty.

– Można i tak powiedzieć.

Kątem oka Richard zauważył, że Fleur raptownie uniosła głowę.

– Ale teraz czujesz się już dobrze? – spytał Richard, nie spuszczając wzroku z Iris, tak że w końcu musiała spojrzeć mu w oczy.

– Zupełnie dobrze. – Iris znów skupiła uwagę na grzance, a po chwili odłożyła ją dziwnie powolnym ruchem. – Przepraszam was jednak… – dodała, wstając od stołu.

Richard zaraz zrobił to samo, podobnie jak jego siostry.

– Przecież nic nie zjadłaś – zauważyła Marie-Claire.

– Obawiam się, że żołądek wciąż mi jeszcze dokucza – odparła Iris głosem, który Richard uznał za stanowczo zbyt opanowany. Złożyła serwetkę i położyła ją tuż obok talerza. – Jak mi się zdaje, jest to przypadłość częsta u kobiet w mojej sytuacji.

Fleur wciągnęła gwałtownie dech.

– Czy chcesz mi może powinszować? – spytała Iris męża bezbarwnym głosem.

Richard zdał sobie sprawę, że nie potrafi tego zrobić. Miał teraz, czego chciał – nie, nie chciał tego, to ciągle nie byłoby coś, czego by sobie życzył. Ale dostał, co mu się należało. Iris najwyraźniej dawała do zrozumienia, że jest w ciąży, choć bynajmniej nie była rozpromieniona. Trzem osobom, które doskonale wiedziały, że to kłamstwo, dała do zrozumienia, że zrobi to, czego Richard od niej zażądał.

Wygrał.

Ale nie mógł jej pogratulować.

– Przepraszam was – powiedziała, wychodząc z jadalni.

Stał bez ruchu. A potem zawołał:

– Zaczekaj!

W jakiś dziwny sposób zdołał oprzytomnieć albo przynajmniej zmysły wróciły mu na tyle, że potrafił zmusić nogi do ruchu. Wypadł pośpiesznie z pokoju, całkowicie świadomy, że obydwie siostry wpatrują się w niego z otwartymi ustami, niczym ryby wyjęte z wody i rzucone na ziemię. Zawołał Iris, lecz nigdzie nie było jej widać. Pomyślał z sarkazmem, że jego żona bardzo szybko się rusza. Albo może gdzieś się przed nim ukryła.

– Gdzie jesteś, moja droga?! – zawołał, nie dbając, że cała służba może go usłyszeć.

Zajrzał do salonu, potem do biblioteki. Do diabła! Przyjmował wprawdzie do wiadomości to, że miała prawo robić mu trudności, ale musieli jednak pomówić ze sobą.

– Iris! – zawołał ponownie. – Ja naprawdę muszę z tobą porozmawiać!

Zatrzymał się pośrodku holu, znękany ponad wszelką miarę. A także krańcowo zakłopotany. William, młodszy z dwóch lokajów, stał w drzwiach i gapił się na niego.

Richard spojrzał na niego gniewnie, lecz nie zareagował.

Jednak William nagle zaczął się niespokojnie wiercić.

Richard patrzył na niego jak urzeczony.

Głowa Williama przechyliła się gwałtownie na prawo.

– Co ci jest? – Richard nie mógł już dłużej unikać pytania.

– Chodzi o milady – powiedział wreszcie William donośnym szeptem. – Poszła do salonu…

– Ależ nie ma jej tam.

William przeszedł kilka kroków i zajrzał do salonu.

– Tunel – oznajmił, odwracając się ku Richardowi.

Richard zajrzał Williamowi przez ramię, marszcząc brwi.

– Myślisz, że ona weszła do któregoś z tuneli?

– Przez okno przecież nie wyszła… – odciął mu się lokaj, po czym odchrząknął, zanim dodał: – sir Richardzie.

Richard wszedł do salonu, spoglądając na błękitną sofę. Było to jej ulubione miejsce, gdzie oddawała się lekturze, nim przez ostatnie kilka dni zamknęła się w swym pokoju. W przeciwległej ścianie znajdowały się zręcznie zamaskowane

drzwiczki kryjące wejście do najczęściej używanego sekretnego przejścia w Maycliffe.

– Jesteś pewien, że weszła do salonu? – spytał Williama.

Lokaj skinął głową.

– W takim razie musi być w tunelu. – Richard wzruszył ramionami i przeszedł kilkoma energicznymi krokami przez pokój. – Dziękuję ci, Williamie – powiedział, gdy jego palce poradziły sobie bez trudu z ukrytą klamką.

– Nie ma za co, sir.

– Mimo to dziękuję – odparł Richard i skinął mu głową. Zajrzał w głąb przejścia, mrużąc oczy w ciemności. Zapomniał już, jak zimno i wilgotno było tam w środku. – Iris?! – zawołał. Niemożliwe, żeby uszła zbyt daleko. Wątpił, czy miała czas, by zapalić świeczkę, a w tunelu było coraz ciemniej, w miarę jak się w niego zagłębiało.

Nie usłyszał jednak żadnej odpowiedzi, sam więc zapalił świecę, umieścił ją w małej latarni i wszedł do tunelu.

– Iris? – zawołał ponownie. Nadal nikt nie odpowiadał. Może wcale tam nie weszła? Była wprawdzie rozgniewana, ale nie głupia, i nie chowałaby się w ciemnej jak noc norze tylko po to, żeby go unikać.

Trzymając swą latarnię na tyle nisko, by dobrze widzieć drogę, posuwał się ostrożnie przed siebie. Tunele w Maycliffe nie były wyłożone kamieniem, a grunt miały szorstki i pełen nierówności, odłamków czy nawet gałązek, które czasem przenikały tam z zewnątrz. Nagle wyobraził sobie Iris przewróconą, ze skręconą kostką, albo jeszcze gorzej, ze stłuczoną głową…

– Iris! – krzyknął znowu donośnie i tym razem usłyszał na szczęście słabiutki odgłos, coś pośredniego między pociąganiem nosem a szlochem.

– Dzięki Bogu! – odetchnął. Ulżyło mu tak szybko i gwałtownie, że nie mógł nawet jej pożałować, bo bez wątpienia usiłowała stłumić płacz. Zakręcił za długi róg i zobaczył ją, siedzącą na gołej ziemi, skuloną jak dziecko, z rękami splecionymi na kolanach.

– Iris! – wykrzyknął, zbliżywszy się do niej. – Czy upadłaś? Czy coś ci się stało?

Głowę trzymała na kolanach, nie spojrzała jednak ku górze, tylko pokręciła nią na znak, że nie.

– Czy na pewno? – spytał zaniepokojony. Odnalazł ją wprawdzie, ale nie wiedział, co ma jej powiedzieć. W jadalni była tak imponująco chłodna i opanowana. Tak, z tamtą kobietą mógłby się spierać. Mógłby jej też podziękować za zgodę na to, by matkowała dziecku Fleur. Mógłby wreszcie jej oznajmić, że koniec już z tymi wszystkimi planami. A przynajmniej mógłby sklecić parę

gładkich zdań.

Lecz kiedy ją zobaczył, taką zgnębioną, osamotnioną i skuloną… pogubił się zupełnie. Poklepał ją ostrożnie po ramieniu, boleśnie świadomy, że nie miała ochoty, by ją pocieszał właśnie ten mężczyzna, przez którego znalazła się w tak żałosnym położeniu.

Nie odsunęła się jednak od niego, choć w jakiś dziwny sposób poczuł się z tego powodu jeszcze bardziej niezręcznie. Odstawił latarnię na bezpieczną odległość i przykucnął koło żony.

– Przepraszam cię. – Zdał sobie sprawę, że właściwie nie ma pojęcia, za co konkretnie przeprasza; w końcu dopuścił się względem niej zbyt wielu nadużyć, by wybrać tylko jedno z nich.

– Potknęłam się – powiedziała nagle i spojrzała na niego z wyzwaniem w oczach. W oczach pełnych łez. – Potknęłam się. Dlatego właśnie się martwię. Że się potknęłam.

– Rozumiem.

– Ale nic mi nie jest. Nic złego mi się nie stało.

Powoli skinął głową i wyciągnął ku niej rękę.

– Czy mogę pomóc ci wstać?

Przez chwilę nie zrobiła żadnego ruchu. W słabym świetle dostrzegł, jak wyzywająco zaciska usta, a potem podała mu dłoń.

Podniósł się, pociągając ją za sobą.

– Czy jesteś pewna, że możesz iść?

– Mówiłam już, że nic mi się nie stało – odparła, choć szorstko i jakby z przymusem.

Nic nie powiedział, tylko ujął ją pod ramię, po czym schylił się po latarnię.

– Czy chcesz wrócić do salonu, czy też pójść dalej? – spytał.

– Dalej – odrzekła, choć mimo iście królewskiego tonu zadrżał jej głos.

Skinął głową i puścił ją przodem. Nie wyglądało wprawdzie na to, by kulała, nie był jednak tego pewien: szła w końcu jakoś zbyt sztywno. Wiele razy wspólnie spacerowali podczas kilku krótkich dni, które zaczął wręcz uważać za ich miesiąc miodowy, lecz nie była wówczas taka krucha ani nie miała szklistych oczu.

– Czy to daleko? – spytała.

– Nie. – Usłyszał, że mówi zdławionym głosem, czego nie lubił. – Wyjście znajduje się koło oranżerii.

– Wiem.

Nie spytał nawet, skąd o tym wiedziała. Musiała się dowiedzieć od służby, bo był pewien, że nie rozmawiała z żadną z jego sióstr. Zamierzał pokazać jej kiedyś

tunele i nawet sposobił się do tego, ale w końcu jakoś nie starczyło czasu. Albo on nie zdołał go wygospodarować. Albo może wolał ją zmusić do wysiłku.

– Potknęłam się – powtórzyła. – Byłabym już przy samym wyjściu, gdybym się nie potknęła.

– Niewątpliwie – mruknął.

Zatrzymała się na tyle gwałtownie, by teraz to on się potknął.

– Ależ byłabym na pewno!

– Przecież ja wcale nie ironizowałem.

Zachmurzyła się, a potem odwróciła wzrok tak pośpiesznie, że już wiedział, że była zła na siebie.

– Jesteśmy prawie przy samym wyjściu – powiedział chwilę później, gdy znów zaczęli iść.

Skinęła lekko głową. Richard poprowadził ją przez ostatni odcinek tunelu, a potem puścił jej ramię, by móc pchnąć klapę w suficie. W tej części tunelu zawsze musiał się schylać. Iris zaś, co zauważył z pewnym rozbawieniem, mogła tam stać prosto, choć czubek jej jasnowłosej głowy niemal dotykał sufitu.

– Czy wyjście jest tam w górze? – spytała, przyglądając się klapie.

– Trochę na ukos – odparł, mozoląc się z zamknięciem. – Z zewnątrz wygląda to jak mała budka.

Patrzyła na niego przez chwilę, a potem znowu spytała:

– Czy zamknięcie jest od wewnątrz?

Zacisnął zęby.

– Czy możesz ją potrzymać? – zapytał, podając jej latarnię. – Potrzebuję do tego obu rąk.

Bez słowa wzięła ją od niego. Richard skrzywił się, bo zamek uraził go w palec.

– To bardzo przemyślne urządzenie – powiedział, gdy udało mu się wreszcie z nim uporać. – Można je otwierać z każdej strony, choć trzeba wiedzieć, jak to zrobić. Nie przypomina zwykłego zamka.

– Znalazłabym się w pułapce – skonstatowała z przygnębieniem.

– Skądże. – Pchnął drzwi, mrużąc oczy w słonecznym świetle. – Po prostu byś się odwróciła i poszła z powrotem do salonu.

– Tamte drzwi też zamknęłam.

– Łatwiej je otworzyć niż te – skłamał. Przewidywał, że prędzej czy później trzeba będzie pokazać to Iris dla bezpieczeństwa, na razie jednak wolał pozostawić ją z przeświadczeniem, że poradziłaby sobie sama.

– Nie mogłabym nawet uciec – wyjąkała.

Podał jej rękę, kierując się ku wąskim schodkom.

– Czy to właśnie chciałaś zrobić? Uciec?

– Chciałam stąd zniknąć.

– Skoro tak, to nieźle ci się udało.

Iris odwróciła się ku niemu z nieodgadnioną miną, a potem zręcznie oswobodziła dłoń z jego uścisku, by ocienić sobie nią oczy. On jednak odczuł to jako odrzucenie.

– Och, nie musisz być dla mnie miły – stwierdziła obcesowo.

Otworzył usta ze zdumienia i zajęło mu chwilę, nim to ukrył.

– Nie widzę powodu, dla którego nie miałbym być.

– A nawet nie chcę, żebyś był dla mnie miły!

– Ależ to ty nie…

– Jesteś potworem! – wypaliła, a następnie zakryła usta dłonią, ale on i tak usłyszał, że szlocha.

A potem, już dużo ciszej, spytała:

– Dlaczego nie możesz zachowywać się jak potwór, żebym cię mogła za to znienawidzić?

– Nie chcę, żebyś mnie znienawidziła – powiedział łagodnie.

– To nie od ciebie zależy.

– Istotnie – zgodził się z nią.

Odwróciła od niego wzrok, a poranne światło igrało na wyszukanej fryzurze, którą nosiła jak koronę. Wydała mu się aż do bólu piękna. Chciał podejść do niej, wziąć ją w ramiona i szeptać jakieś nonsensowne słowa prosto w gąszcz tych jej włosów. Chciał, żeby poczuła się lepiej, a potem zapragnął też zyskać pewność, że nikt już więcej nie zrobi jej żadnej krzywdy.

Byłoby to dla niego zaszczytem, pomyślał zgryźliwie.

Czy mu kiedykolwiek przebaczy? Czy go przynajmniej zrozumie? Tak, żądał od niej czegoś niesłychanego, ale robił to dla siostry. Żeby ją ochronić. Z pewnością właśnie Iris była jedynym człowiekiem zdolnym to zrozumieć.

– Chciałabym teraz zostać sama – powiedziała.

Richard milczał przez chwilę, zanim jej odpowiedział:

– Jeśli sobie tego życzysz…

Nie odszedł jednak. Chciał zostać z nią jeszcze choćby przez krótką chwilę, nawet w milczeniu.

Spojrzała na niego tak, jakby mówiła:

– No i co?

Odchrząknął i spytał:

– Czy mogę odprowadzić cię do ławki?

– Nie, dziękuję.

– Chciałbym…

– Dość! – Odskoczyła w tył, wyciągając przed siebie rękę, jakby chciała odpędzić złego ducha. – Przestań być taki miły. Zrobiłeś coś karygodnego!

– Nie jestem potworem – oznajmił.

– A właśnie, że jesteś! – krzyknęła. – Powinieneś nim być!

– Iris, ja…

– Czy nie rozumiesz? – spytała. – Ja cię nie chcę lubić!

Zaświtał mu promyk nadziei.

– Przecież jestem twoim mężem – odparł. Powinna go była lubić. Powinna była zresztą darzyć go też jakimś mocniejszym uczuciem.

– Jesteś moim mężem tylko dlatego, że mnie oszukiwałeś – rzekła półgłosem.

– Ależ to nieprawda! – zaprotestował. Tylko że było właśnie tak, jak powiedziała. Szkopuł w tym, że on to odbierał inaczej. No, trochę inaczej.

– Musisz zrozumieć – próbował jej wytłumaczyć – że przez cały czas w Londynie, kiedy się do ciebie zalecałem… Wszystko, co wtedy o tobie wiedziałem, a co sprawiało, że wydawałaś się dobrym wyborem, zarazem ogromnie w tobie lubiłem.

– Naprawdę? – Nie zabrzmiało to fałszywie, tylko jakby spytała z niedowierzaniem. – Lubiłeś mnie za moją desperację?

– Nie! – Na Boga, o czym ona mówi?

– Wiem, czemu się ze mną ożeniłeś! – odparła zapalczywie. – Potrzebowałeś kogoś, kto jeszcze bardziej potrzebowałby ciebie. Kogoś niezwracającego uwagi na podejrzanie pośpieszne oświadczyny i na tyle zdesperowanego, żeby jeszcze być ci za nie wdzięcznym.

Richard się cofnął. Czuł do siebie nienawiść za to, że właśnie tak sobie wtedy myślał. Nie pamiętał co prawda, by te myśli kojarzyły mu się właśnie z Iris, ale z pewnością myślał w ten sposób, nim ją poznał. W końcu z powodu takich myśli poszedł na wieczór muzyczny tamtego fatalnego dnia.

Słyszał przecież wiele o pannach Smythe-Smith. A desperacja była słowem, które wówczas padło.

Właśnie ono go w to wszystko wciągnęło.

– Potrzebowałeś kogoś – powiedziała Iris z zabójczym wręcz spokojem – kto nie miałby wyboru między tobą a jakimś innym mężczyzną. Potrzebowałeś kogoś, kto musiałby wybierać między tobą a samotnością.

– Nie! – odrzekł, kręcąc głową. – To nie…

– Ależ tak właśnie było! Nie powiesz mi chyba, że…

– Może na początku – przerwał jej. – Może tak właśnie myślałem, kiedy szukałem… Nie, będę szczery – tego właśnie szukałem. Czy jednak możesz mieć mi to za złe? Musiałem…

– Tak! – krzyknęła. – Tak, mam ci to za złe! Byłam najzupełniej szczęśliwa, zanim cię spotkałam.

– Och, doprawdy? – spytał gwałtownie.

– W każdym razie dostatecznie szczęśliwa. Miałam rodzinę, przyjaciółki. I widoki na to, że pewnego dnia trafię może na kogoś, kto… – Głos jej zadrżał. Odwróciła się.

– Kiedy cię poznałem – powiedział cicho – sądziłem, że jest inaczej.

– Nie wierzę ci. – Mówiła ledwie dosłyszalnym głosem, choć w sposób zdecydowany, wyraźnie wymawiając słowa.

Starał się nie poruszać. Bo gdyby choć wyciągnął ku niej palec, nie był pewien, czyby się zdołał powstrzymać od dotknięcia jej. Gorąco tego pragnął. Tak gorąco, że powinno go to było przerazić.

Czekał, żeby się odwróciła. Nie zrobiła tego.

– Trudno mi rozmawiać z twoimi plecami.

Cała w napięciu, powoli zwróciła ku niemu twarz z oczami pełnymi wściekłości. Chciała go nienawidzić, co dawało się zauważyć. Upierała się przy tym. Ale jak długo to mogło potrwać? Parę miesięcy? Całe życie?

– Wybrałeś mnie, bo budziłam w tobie litość – powiedziała ściszonym głosem.

Usiłował nie zżymać się na to.

– Było całkiem inaczej.

– A więc jak? – spytała z rosnącym gniewem i pociemniałymi oczami. – Kiedy poprosiłeś mnie o rękę, kiedy musiałeś mnie akurat pocałować…

– Właśnie że tak! – zawołał. – Nawet nie zamierzałem cię prosić o rękę. Nie sądziłem, że zdołałbym znaleźć kogoś, kogo mógłbym o to prosić po tak krótkim czasie.

– Och, dziękuję – wykrztusiła z trudem, najwyraźniej czując się znieważona jego słowami.

– Nie to miałem na myśli! – parsknął niecierpliwie. – Założyłem sobie, że zdołam znaleźć właściwą kobietę, by w stosownej chwili zaaranżować kompromitującą sytuację z jej udziałem.

Iris spojrzała na niego z takim rozczarowaniem, że wprost nie mógł tego znieść. Ale mówił dalej. Musiał wciąż mówić. Był to bodaj jedyny sposób, który dawał mu szansę, by go zrozumiała.

– Nie jestem z tego dumny – ciągnął – ale myślałem, że tak właśnie będę musiał

postąpić, żeby uratować siostrę. A do tego, choć pewnie myślisz o mnie jak najgorzej, nigdy bym cię nie uwiódł przed ślubem.

– Oczywiście, że nie – odparła i roześmiała się z goryczą. – Bo nie mógłbyś dopuścić, żeby i siostra, i żona zaszły w ciążę jednocześnie.

– Tak… Nie! To znaczy oczywiście nie mógłbym, ale też w głowie mi to nawet nie postało. – Przejechał gwałtownie ręką po włosach. – Czy naprawdę uważasz, że uwiódłbym niewinną dziewczynę po tym, co spotkało moją siostrę?

Widział, jak kurczowo porusza się jej gardło, jak walczy ze słowami.

– Nie – powiedziała w końcu. – Nie. Wiem, że nie zrobiłbyś tego.

– Dzięki, że to powiedziałaś – odparł sucho.

Znów się odwróciła i stuliła ramiona.

– Na razie nie chcę już z tobą mówić.

– Tego akurat jestem pewien, lecz jednak będziesz musiała. Jeśli nie dziś, to wkrótce.

– Przecież ustaliliśmy już chyba, że zgadzam się na ten twój niegodziwy plan.

– Nie powiedziałaś tego jednoznacznie.

Odwróciła się ku niemu błyskawicznie.

– Czy chcesz mnie zmusić, bym powiedziała to wprost? Moje krótkie oświadczenie przy śniadaniu ci nie wystarczy?

– Chcę, żebyś dała słowo, Iris.

Utkwiła w nim wzrok, ale nie mógłby stwierdzić, czy z niedowierzaniem, czy ze zgrozą.

– Chcę, żebyś dała mi słowo, bo mu wierzę.

Zamilkł na moment, żeby miała choć najkrótszy czas do namysłu.

– Jesteś moim mężem – rzekła wyzutym z emocji głosem. – Będę ci posłuszna.

– Nie chcę, żebyś… – Urwał nagle.

– Czego w takim razie chcesz?! – wybuchnęła. – Żeby mi się to spodobało? Żebym ci powiedziała, że moim zdaniem postępujesz słusznie? Tego akurat zrobić nie mogę! Skłamię wobec całego świata, ale nie wobec ciebie.

– Wystarczy, że uznasz dziecko Fleur za swoje – odparł, choć wcale tak nie było. Chciał dużo, dużo więcej, ale nie miał nawet najmniejszego prawa o to prosić.

– Pocałuj mnie – zażądał tak impulsywnie, tak niespodziewanie, że aż sam nie wierzył, że to zrobił.

– Co takiego?

– Nie będę już chciał od ciebie niczego więcej. Ale mnie w tej chwili pocałuj. Tylko raz.

– Dlaczego?

Spojrzał na nią, nie bardzo rozumiejąc, i spytał:

– A czy musi być jakiś szczególny powód do pocałunku?

– Zawsze jest jakiś powód – powiedziała zaskoczona. – Jakaż jestem niemądra, że pozwoliłam sobie o tym zapomnieć.

Poruszył wargami, daremnie usiłując znaleźć właściwe słowa. Nie miał na podorędziu niczego, by mogła zapomnieć; żadnych słodkich rymów. Czuł na twarzy powiew porannego wiatru i patrzył, jak kosmyk włosów, który wymknął się jej z wymyślnej fryzury, połyskuje srebrzyście w blasku słońca.

Jak mogła być taka ładna? Jak mógł tego nie widzieć?

– Pocałuj mnie – i tym razem jego słowa zabrzmiały jak błaganie.

Nie dbał o to.

– Jesteś moim mężem. – Wpatrzyła się w jego oczy. – Będę ci posłuszna.

To go najbardziej ubodło.

– Nie mów tak – syknął.

Zacisnęła wyzywająco usta.

Richard zbliżył się do niej i już miał ją chwycić za ramię, lecz w ostatniej chwili znieruchomiał. Powoli, delikatnie wyciągnął rękę i dotknął jej policzka.

Była tak spięta, jakby zaraz miała się rozlecieć na kawałki, ale potem usłyszał ledwo odczuwalny szmer oddechu i krótki szloch oznaczający zgodę. Zwróciła się ku niemu, pozwalając, by objął dłonią jej policzek.

– Iris – wyszeptał.

Zbliżyła swe jasnobłękitne, niewiarygodnie smutne oczy do jego oczu.

Nie chciał zrobić jej krzywdy. Chciał ją tkliwie kochać.

– Proszę cię – szepnął, gdy już niemal dotykał wargami jej ust. – Pozwól mi się pocałować.

# 21

*M*iała go pocałować?

Iris o mało się nie roześmiała. Myśl o tym pochłaniała ją przez kilka ostatnich dni, ale nie w tej chwili. Nie teraz, gdy miała policzki mokre od łez i pobladłe, a łokieć ją bolał, bo stłukła go sobie o własną stopę, nie umiejąc nawet uciec z godnością. Nie teraz, gdy nie robił jej w tunelu żadnych wyrzutów i był taki nieznośnie uprzejmy!

Niczego nie pragnęła bardziej. A może mniej? Gniew był jedyną rzeczą, która ją podtrzymywała na siłach, a gdyby on ją pocałował… gdyby ona pocałowała jego…

Wtedy mógłby sprawić, że o wszystkim by zapomniała. A potem znów byłaby przegrana i całkowicie zagubiona.

– Tęskniłem za tobą – mruknął, a jego ciepła dłoń tak miło dotykała jej policzka.

Powinna się była cofnąć. Wiedziała, że powinna to zrobić, ale nie potrafiła się ruszyć. W tej chwili nie istniało dla niej nic poza nimi dwojgiem i tym, jak na nią patrzył – jakby była niezbędnym mu do życia powietrzem.

Był doświadczonym aktorem; teraz już o tym wiedziała. Nie zdołał jej w pełni omotać – czerpała niejaką dumę ze świadomości, że coś przed nią ukrywał – ale całkiem nieźle udało mu się przywieść ją do przekonania, że mogłaby się w nim zakochać. A ze wszystkiego, co było jej już wiadome, wnosiła, że teraz udawał.

Może wcale jej nie pragnął. Może wszystkim, czego chciał, była jej uległość.

Nie miała jednak pewności, czy o to mu chodziło. Bo ona go pragnęła. Pragnęła dotyku jego warg na swoich ustach i lekkiego tchnienia jego oddechu na skórze. Pragnęła momentu – tego nieprawdopodobnego momentu jakby zawieszonego poza czasem – nim się jeszcze dotknęli, kiedy jedynie patrzyli na siebie i się pragnęli.

I kiedy siebie potrzebowali.

To wyczekiwanie było niemalże czymś lepszym od pocałunku. Nawet powietrze między nimi, pełne oczekiwań, stało się ciepłe i gęste od ich gorących oddechów.

Iris nie poruszała się, czekając, aż on weźmie ją w ramiona, pocałuje i sprawi, by choć na chwilkę zapomniała, że jest chyba największą naiwniaczką na tym bożym

świecie.

Ale on tego nie robił. Wciąż trwał znieruchomiały jak statua, nie spuszczając z niej ciemnych oczu. Zamierza jej coś powiedzieć. Zdała sobie z tego sprawę. Nie pocałuje jej, póki nie uzyska od niej pozwolenia.

Póki ona sama nie przyzna, że go pragnie.

– Nie mogę – wyszeptała.

Nic nie powiedział. Nawet nie drgnął.

– Nie mogę – powtórzyła, niemal dławiąc się tym krótkim zdaniem. – Wszystko mi zabrałeś.

– Nie wszystko – przypomniał jej.

– Och, tak. – Prawie się zaśmiała, słysząc w jego głosie ironię. – Zostawiłeś mnie nietkniętą. Bardzo to uprzejme z twojej strony.

Cofnął się.

– Och, na miłość boską, Iris, przecież wiesz, dlaczego…

– Dość! – przerwała mu. – Dość. Czy nie rozumiesz? Nie życzę sobie tej rozmowy.

I rzeczywiście jej sobie nie życzyła. On chciał się przed nią tylko wytłumaczyć, a ona nie chciała tego słuchać. Powiedziałby jej, że nie miał wyboru, że zrobił tak z miłości do siostry. I może wszystko to było prawdą, lecz Iris wciąż czuła ogromny gniew. Nie zasługiwał na jej przebaczenie. Nie zasługiwał na jej zrozumienie.

Upokorzył ją. Nie skorzystał ze sposobności, żeby z nią pomówić, kiedy tego gniewu nie czuła.

– To tylko pocałunek – rzekł miękko, choć nie był przecież naiwny. Musiał wiedzieć, że chodzi tu o coś więcej.

– Odebrałeś mi wolność – powiedziała, zła, że głos jej drży. – Odebrałeś mi godność. Nie odbierzesz mi jednak szacunku dla samej siebie.

– Wiesz, że nie było to moim zamiarem. Co mam zrobić, żebyś mnie zrozumiała?

Iris pokiwała ze smutkiem głową.

– Może później… – Spojrzała na swój brzuch. Pod jej ubraniem kryło się puste łono. – Może pokocham dziecko Fleur. Może też uznam, że wszystko to warto było zrobić, że taki był boski plan. Ale teraz… – Przełknęła ślinę, usiłując ukryć współczucie dla niewinnego dziecka, które było osią całej sprawy. Czy to coś tak nienaturalnego, że nie umiała sobie z tym poradzić? A może była tylko samolubna, zbyt mocno zraniona manipulacjami Richarda, by samej sobie zadać pytanie, co byłoby tu większym dobrem?

– W tej chwili – powiedziała ściszonym głosem – tak to właśnie odczuwam.

Cofnęła się o krok. Czuła się niczym dwa kawałki rozerwanego sznurka. Nabrała wprawdzie wiary we własne siły, ale zarazem była nieskończenie bardziej przygnębiona.

– Powinieneś pomówić z siostrą – stwierdziła.

Spojrzał jej na chwilę w oczy.

– Chyba że uzyskałeś w końcu jej zgodę – odpowiedziała na pytanie, którego nie zadał.

Richard był z lekka zaniepokojony, że go o to pyta.

– Fleur już więcej nie spierała się ze mną o tę kwestię od swego przyjazdu.

– A ty uznałeś to za zgodę. Och, że też mężczyźni muszą być tacy naiwni.

Zmarszczył brwi.

– Nie byłabym taka pewna, czy ona podziela twoje zdanie – zauważyła.

Richard spojrzał na nią ostro.

– Czy z nią rozmawiałaś?

– Wiesz bardzo dobrze, że nie rozmawiałam z nikim.

– W takim razie nie powinnaś snuć przypuszczeń – powiedział głosem, który ona uznała za wyjątkowo oschły.

Wzruszyła ramionami.

– Może i nie powinnam.

– Nie znasz Fleur – upierał się. – Odbyłaś z nią zaledwie jedną rozmowę.

Iris przewróciła oczami. Rozmowa stanowczo nie była tym słowem, którym określiłaby tę scenę w sypialni Fleur.

– Nie wiem, czemu tak się upiera przy tym, żeby nie oddać dziecka – odrzekła. – Może to coś takiego, co tylko matka potrafi zrozumieć.

Richard drgnął gwałtownie.

– To nie miał być przytyk – wyjaśniła mu zimnym tonem.

Richard spojrzał jej w oczy, a potem mruknął:

– Wybacz mi.

– Niezależnie od tego – ciągnęła Iris – nie uważam, byś mógł mieć zupełną pewność, póki Fleur nie wyrazi jednoznacznej zgody.

– Ona to zrobi.

Iris ze zwątpieniem uniosła brwi.

– Nie ma wyboru – dodał.

Jakiż on był naiwny, znowu. Popatrzyła na niego z politowaniem.

– Tak ci się tylko zdaje.

Spojrzał na nią badawczo.

– Jesteś innego zdania?

– Wiesz już chyba, że nie pochwalam twojego planu. Choć to nie ma większego znaczenia.

– Czy to ma znaczyć – spytał przez zaciśnięte zęby – że twoim zdaniem ona sama może wychować dziecko?

– Nieważne, jakie jest moje zdanie – odparła, chociaż w tym jednym punkcie akurat się z nim zgadzała. Fleur była szalona, jeśli sądziła, że wytrzyma niedostatek i pogardę, jakie musiałaby wycierpieć, będąc niezamężną matką. Prawie tak samo szalona jak Richard, który sądził, że może sprawić, by jej dziecko uchodziło za jego dziecko – i nie ściągnie to na nie później nieszczęścia. Gdyby okazało się dziewczynką, cała rzecz nawet mogłaby się udać, ale gdyby Fleur urodziła chłopca…

Najwyraźniej trzeba było tej dziewczynie znaleźć męża. Iris wciąż nie mogła zrozumieć, dlaczego nikt inny nie potrafi tego dostrzec. Fleur jednoznacznie odmówiła wzięcia tej możliwości pod uwagę, a Richard zadowolił się stwierdzeniem, że nie znalazłby nikogo odpowiedniego. Iris jakoś nie mogła jednak w to uwierzyć. Może brakło im pieniędzy, by kupić Fleur odpowiednio ustosunkowanego męża, który na dodatek zgodziłby się na dziecko, lecz czemuż nie miałaby poślubić jakiegoś pastora? Albo żołnierza? Albo nawet kupca?

Naprawdę nie było już czasu na snobizmy.

– Liczy się to – ciągnęła Iris – co sobie Fleur myśli, a ona wyraźnie pragnie być matką.

– Cóż za niemądra dziewczyna – mruknął Richard z wyraźną goryczą.

– Z tym się muszę zgodzić – odrzekła Iris.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Nie poślubiłeś bynajmniej chodzącego wzorca chrześcijańskiego miłosierdzia i wybaczania – powiedziała sardonicznie.

– Najwyraźniej.

Iris milczała przez chwilę, a potem odezwała się takim tonem, jakby nieomal uznała to za swój obowiązek:

– Ale nadal będę ją wspierać. I kochać jak siostrę.

– Tak jak Daisy? – zażartował.

Iris wpatrzyła się w niego, a potem parsknęła śmiechem. Albo może prychnęła. W każdym razie świadczyło to o niewątpliwym rozbawieniu – tak że aż uniosła do ust jedną z dłoni, ledwie dowierzając sobie samej.

– Ja kocham Daisy – odparła, opuszczając dłoń gdzieś w pobliże obojczyka. – Naprawdę.

Richard uśmiechnął się słabo.

– Masz w sobie więcej zdolności do miłosierdzia i wybaczania, niż przypuszczasz.

Iris ponownie prychnęła. Bo też Daisy była doprawdy nieznośna.

– Jeśli Daisy dała ci jakiś powód do śmiechu – powiedział łagodnie – to i ja muszę ją pokochać.

Iris spojrzała na niego i westchnęła. Wyglądał na zmęczonego. Co prawda oczy zawsze miał głęboko osadzone, lecz cienie pod nimi zaznaczyły się wyraźnie. A zmarszczki w kącikach oczu, które tak wesoło wyglądały, gdy się uśmiechał, teraz przeobraziły się w świadczące o znużeniu bruzdy.

Wszystko to i dla niego nie było łatwe.

Odwróciła wszakże od niego wzrok. Nie chciała mu współczuć.

– Iris – zaczął Richard – ja chciałem tylko… och, do licha!

– Co się stało? – odwróciła się, podążając za jego wzrokiem ku ścieżce wiodącej do domu.

– Och…

Zbliżała się do nich gwałtownie Fleur, sadząc zamaszyste kroki.

– Nie wygląda na szczęśliwą – zauważyła Iris.

– Nie, stanowczo nie – mruknął Richard, a potem westchnął. Był to odgłos raczej smętny i świadczący o wyczerpaniu, a Iris w duchu surowo upomniała samą siebie, bo poczuła, że zaczyna go szczerze żałować.

– Jak śmiałaś! – krzyknęła Fleur, gdy tylko zbliżyła się do nich na tyle, żeby była słyszana. Po jej kolejnych krokach stało się całkiem jasne, do którego z nich dwojga kieruje pretensję.

Do Iris.

– Co ty u diabła robiłaś podczas śniadania? – spytała ją Fleur.

– Jadłam – odcięła się Iris, choć niezbyt zgodnie z prawdą. Przeraziło ją to, bo wiedziała, że właśnie splamiła się bodaj największym w swym życiu kłamstwem. Była wtedy zresztą prawie niezdolna do zjedzenia czegokolwiek.

Fleur spojrzała na nią spode łba.

– Mogłaś równie dobrze zachować się całkiem jednoznacznie i po prostu oznajmić, że jesteś w ciąży.

– Ależ zachowałam się przecież całkiem jednoznacznie, mówiąc to, co powiedziałam – odparła Iris. – Sądziłam, że tego się ode mnie oczekuje.

– Nie oddam ci dziecka! – syknęła Fleur ze złością.

Iris popatrzyła na Richarda, a jej wzrok zdawał się wyraźnie mówić: „to już twój problem”.

Fleur stanęła pomiędzy nimi, nieomal kipiąc ze złości. Zwróciła się do Iris:

– Jutro oznajmisz, że poroniłaś.

– A niby komu mam to oznajmić? – odcięła się Iris. W jadalni, kiedy wygłaszała swą dwuznaczną uwagę, była tylko jej rodzina.

– Ona niczego takiego nie zrobi – warknął Richard. – Czy ty nie masz w sobie ani trochę współczucia? Nie rozumiesz, co twoja nowa siostra robi dla ciebie?

Iris skrzyżowała ręce na piersi. Był już czas, żeby ktoś w końcu docenił jej poświęcenie.

– Nie prosiłam jej o to! – zaprotestowała Fleur.

Richard był jednak nieprzejednany.

– Nie potrafisz trzeźwo myśleć.

Fleur nabrała gwałtownie tchu.

– Jesteś najbardziej protekcjonalnym, najokropniejszym…

– Jestem twoim bratem!

– Ale nie prawnym opiekunem!

Ton Richarda stał się lodowaty.

– Przepisy prawne mówią coś zgoła przeciwnego.

Fleur cofnęła się, jakby dostała w twarz. Kiedy jednak znów przemówiła, nie posiadała się ze złości.

– Wybacz, ale trudno mi ufać twojemu poczuciu obowiązku.

– Co u diabła przez to rozumiesz?

– Zostawiłeś nas! – krzyknęła. – Zostawiłeś nas po śmierci ojca!

Twarz Richarda, przedtem czerwona z wściekłości, nagle zbladła, jakby odpłynęła z niej cała krew.

– Nie mogłeś się doczekać, żeby tylko się nas pozbyć! – ciągnęła Fleur. – Ojciec jeszcze nie ostygł w grobie, kiedy kazałeś się nam pakować i jechać do ciotki Milton.

– Nie mogłem się wtedy wami zająć – wyjaśnił.

Iris przygryzła wargę, uważnie patrząc na niego. Głos mu się trząsł i wyglądał…

Na zdruzgotanego. Wyraźnie zdruzgotanego, całkiem jakby Fleur znalazła jątrzącą się ranę w jego duszy i nieubłaganie wsadzała w nią palec.

– Mógłbyś chociaż spróbować – szepnęła Fleur.

– Nie udałoby mi się.

Fleur zacisnęła usta. Może po prostu nie chciała pokazać, że trzęsły się jej wargi? Nawet Iris nie potrafiłaby powiedzieć, co siostra Richarda teraz czuje.

Richard poruszał nerwowo grdyką i musiało upłynąć dobrych kilka sekund, nim odparł:

– Czy sądzisz, że jestem dumny ze swojego zachowania? Przez parę ostatnich lat

nieustannie próbowałem wynagrodzić wam tę krzywdę. Ojciec równie dobrze mógł umrzeć po śmierci matki. A ja… – Zaklął i przejechał dłonią po włosach. Gdy znów zaczął mówić, głos miał niemal spokojny. – Nieustannie próbowałem być lepszy, niż w istocie byłem, i lepszy od niego.

Iris otwierała oczy coraz szerzej.

– Czułem się tak wściekle nielojalny i… – Richard urwał nagle.

Iris zamarła w oczekiwaniu. Fleur również. Całkiem, jakby udzieliło im się znieruchomienie Richarda. Wszyscy troje stali zesztywniali, czekając w napięciu.

– Ale to nie ma nic wspólnego z ojcem – powiedział wreszcie Richard. – Ani ze mną.

– Czemu jednak ja mam o tym decydować? – spytała ostro Fleur.

Och, Fleur, pomyślała Iris i westchnęła w duchu. Siostrzyczka pokazała pazury właśnie wtedy, gdy wszystko zaczęło się jakoś układać.

Richard rzucił okiem na Iris, zauważył jej zgnębioną minę, a potem spiorunował wzrokiem siostrę.

– Zobacz, co narobiłaś! – rzucił gniewnie.

– Ja?! – wrzasnęła Fleur.

– Tak, ty. Postąpiłaś wyjątkowo egoistycznie. Czy naprawdę myślisz, że chciałbym oddać Maycliffe synowi Williama Parnella? Czy masz pojęcie, jaką to budzi we mnie odrazę?

– Powiedziałeś, że będziesz kochał to dziecko – odezwała się spokojnie Iris – bez względu na to, kto je spłodził.

– Tak, będę! – Richard nieomal eksplodował. – Co nie znaczy, że będzie to łatwe. A ona – machnął ręką ku Fleur – wcale mi w tym nie pomaga!

– Nie żądałam tego od ciebie! – krzyknęła Fleur. Głos jej drżał, lecz już nie ze wściekłości, tylko – Iris zdawała sobie z tego sprawę – jak głos kobiety na skraju załamania.

– Dosyć, Richardzie – powiedziała nagle.

Odwrócił się ku niej zirytowany i oszołomiony.

– Co takiego?

Iris objęła Fleur ramieniem.

– Ona musi się położyć.

Fleur kilkakrotnie odetchnęła z trudem, a potem osunęła się na ziemię koło Iris, łkając.

Richard oniemiał.

– Przecież dopiero co wrzeszczała na mnie – poskarżył się nie wiedzieć komu. A potem zwrócił się tymi samymi słowami do Fleur.

– Wynoś się – zaszlochała Fleur, co Iris odczuła wręcz boleśnie.

Richard przez dłuższą chwilę mierzył wzrokiem obydwie, a potem zaklął pod nosem.

– Widzę, że jesteś teraz po jej stronie.

– Tu nie ma żadnych stron – odparła Iris, mimo że nie miała pojęcia, kto według niego jest po czyjej stronie. – Nie rozumiesz? To okropna sytuacja. Dla każdego z nas. Nikt z niej nie wyjdzie bez szwanku.

Oczy ich się spotkały; nie – raczej zderzyły, a Richard w końcu obrócił się na pięcie i odszedł. Iris patrzyła, jak znika za wzniesieniem, a potem odetchnęła drżącą piersią, długo i głęboko.

– Czy dobrze się czujesz? – zwróciła się z pytaniem do Fleur, która nadal zanosiła się płaczem w jej ramionach. – Nie, lepiej nie odpowiadaj. Rzecz jasna, że wcale się dobrze nie czujesz. Jak zresztą każde z nas.

– Dlaczego nie chciał mnie usłuchać? – szepnęła Fleur.

– Uważał, że działa w twoim dobrze pojętym interesie.

– Ależ wcale tak nie jest.

Iris nabrała tchu, usiłując mówić spokojnym, zrównoważonym głosem.

– Z pewnością nie działał w swoim dobrze pojętym interesie.

Fleur opanowała się i spojrzała na nią.

– Ani też w twoim.

– Z pewnością nie w moim – odrzekła Iris tonem w najlepszym razie kostycznym.

Fleur skrzywiła się z ponurą miną.

– On mnie nie rozumie.

– Ale ja też nie – przyznała Iris.

Fleur dotknęła dłonią swego wciąż jeszcze płaskiego brzucha.

– Kocham, nie… kochałam jego ojca. Dziecko zrodziło się z tej miłości. Nie mogę oddać go ot, tak.

– Kochałaś go? – spytała Iris. Jak to możliwe? Jeśli choćby połowa z tego, co powiedział Richard, była prawdą, William Parnell musiał być iście przerażającym indywiduum.

Fleur, patrząc w ziemię, wyjąkała:

– Niełatwo to wytłumaczyć.

Iris pokiwała głową.

– Nawet nie próbuj. Chodź, czy nie powinnyśmy już wracać do domu?

Fleur zgodziła się z tym i obie ruszyły w kierunku dworu. Po kilku minutach Fleur powiedziała tonem całkowicie pozbawionym zaciekłości:

– Wiesz, że ja cię wciąż jeszcze nienawidzę.

– Wiem – westchnęła Iris. A potem ścisnęła ją za rękę. – Ja także wciąż cię jeszcze czasami nienawidzę.

Fleur spojrzała na nią niemalże z nadzieją.

– Naprawdę?

– Czasem. – Iris nachyliła się, zerwała źdźbło trawy i przesunęła je między kciukami, usiłując na nim zagrać. – Bo wiesz, tak naprawdę to ja wcale nie chcę twojego dziecka.

– Nie mogę sobie nawet wyobrazić, żebyś go chciała.

Szły obie dalej. Iris po paru krokach spytała:

– Nie zamierzasz mnie przypadkiem zapytać dlaczego?

Fleur wzruszyła ramionami.

– Przecież to chyba nieważne.

Iris zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Myślę, że istotnie nie jest to chyba ważne.

– Wiem, że miałaś dobre intencje.

Iris skinęła machinalnie głową, wspinając się nadal na wzgórze.

– Czy nie zamierzasz odwzajemnić tego uczucia? – spytała Fleur.

Iris raptownie odwróciła głowę.

– To ty miałabyś wobec mnie dobre intencje?

Fleur zacisnęła z niechęcią wargi.

– Przypuszczam, że je masz. – Iris w końcu skapitulowała. – Muszę ci wyznać, że uważam twoje motywy za krańcowo zaskakujące, choć przypuszczam, że naprawdę masz dobre intencje.

– Nie chcę wychodzić za obcego mi człowieka.

– Ja to zrobiłam.

Fleur stanęła jak wryta.

– No, w każdym razie za prawie obcego – ciągnęła Iris.

– Lecz nie zaszłaś w ciążę z innym.

O Boże, ta dziewczyna mogła doprowadzić do rozpaczy.

– Nikt nie mówi, że powinnaś okłamywać swego małżonka – powiedziała do Fleur. – Z pewnością znajdzie się ktoś, kto skorzysta z szansy, żeby się skoligacić z Maycliffe.

– A ja powinnam być mu za to wdzięczna przez resztę życia? – stwierdziła Fleur z goryczą. – Wzięłaś to pod uwagę?

– Nie – odparła cicho Iris – nie wzięłam.

Dotarły wreszcie do skraju zachodniego trawnika i Iris spojrzała w niebo. Nadal

było zaciągnięte chmurami, choć już nie tak ciężkimi. Słońce mogło jeszcze wyjrzeć spoza nich.

– Zostanę na powietrzu – powiedziała.

Fleur też spojrzała w górę.

– Nie chciałabyś czasem szala?

– Chyba tak.

– Mogę zlecić którejś ze służących, żeby go przyniosła.

Był to jawny gest przyjaźni; taki, jakiego Iris jeszcze nie doznała.

– Bardzo by mi się przydał, dziękuję ci.

Fleur skinęła jej głową i weszła do domu.

Iris podeszła do ławki i siadła na niej, czekając na słońce.

# 22

Z nastaniem nocy Iris poczuła się nieco swobodniej. Spędziła resztę dnia sama i czuła nieznaczne tylko wyrzuty sumienia, gdy postanowiła zjeść wieczorny posiłek w swoim pokoju. Po porannych utarczkach z Richardem i Fleur uznała, że zasłużyła na to, by powstrzymać się od rozmów przez dzień lub dwa, jako że cała ta wymiana zdań była dla niej wyczerpująca.

Sen jednak nie nadchodził, mimo że czuła się znużona, i koło północy dała sobie spokój z próbami zaśnięcia. Odrzuciła kołdrę i podeszła do małego biureczka, które Richard wstawił do jej sypialni kilka dni wcześniej.

Przejrzała niewielki stosik książek leżących na blacie. Przeczytała już wszystkie z nich prócz historii Yorkshire, która uparcie nie potrafiła jej choćby w najmniejszym stopniu zainteresować, nawet w rozdziale o wojnie dwóch róż. Nie miała pojęcia, w jaki sposób autor zdołał ją uczynić tak nudną, ale chwilowo musiała zaprzestać wysiłku rozwiązywania tej zagadki.

Trzymając w ramionach plik książek, wsunęła stopy w ranne pantofle i skierowała się ku drzwiom. Nie chciała nikogo budzić, schodząc do biblioteki.

Służba dawno poszła spać i w domu panowała cisza. Iris starała się więc iść, nie robiąc hałasu, zadowolona, że miękkie chodniki tłumią jej kroki. W swym londyńskim domu znała każdą trzeszczącą klepkę i skrzypiący zawias. Nie zdołała jeszcze poznać tak dobrze Maycliffe.

Zatrzymała się nagle, zaniepokojona. Coś tu było nie w porządku. Powinna przestać myśleć o domu rodziców jak o swoim. Teraz było nim Maycliffe. Musi się do tego przyzwyczaić.

Przypuszczała, że już zaczyna to robić, przynajmniej w pewnym stopniu. Nawet mimo swego strasznego dramatu – doprawdy ogromnego – zaczynała powoli lubić Maycliffe. Sofa w salonie była już bez wątpienia jej sofą i zaczynał się jej podobać śpiew ptaszków o żółtych dziobkach, które uwiły sobie gniazdo koło jej okna. Nie miała pojęcia, jak się nazywają, wiedziała tylko, że w Londynie ich nie było.

Choć wydawało się to dziwne, zaczynała już czuć się tutaj zadomowiona. Mimo że mąż nie chciał z nią dzielić łoża; mimo że siostra jej (czasami) nienawidziła za

to, że ona, Iris, chciała ratować od zrujnowania jej reputację; mimo że druga siostra, która… która…

Zamyśliła się nad tym. Nie, doprawdy niewiele mogła powiedzieć o Marie-Claire. Zamieniła z nią ledwie parę słów od tamtego pierwszego dnia. Powinna to naprawić. Byłoby dobrze, gdyby przynajmniej jedna z sióstr Richarda nie widziała w niej (czasami) wcielonego diabła.

Gdy zeszła ze schodów, skierowała się na prawo, ku bibliotece, która znajdowała się na samym końcu holu, za salonem i gabinetem Richarda. Iris doszła do wniosku, że całkiem lubi ten pokój. Nie miała co prawda ostatnio zbyt wielu okazji, by wejść do tego męskiego azylu, ale był on ciepły, wygodny i miał okna tak samo wychodzące na południe, jak jej sypialnia.

Zatrzymała się na chwilę, by mocniej uchwycić trzymany w ręku lichtarzyk, gdy nagle spojrzała uważniej przed siebie. Czy w holu coś się świeciło, czy też tylko blask jej świecy powoduje tę irytującą grę świateł i cieni? Przystanęła na chwilę, wstrzymując oddech, a potem znów ruszyła ostrożnie dalej.

– Iris?

Zamarła bez ruchu, chociaż nie było po temu żadnego powodu, a po chwili zmusiła się, by podejść do gabinetu Richarda i zajrzeć tam. Siedział w fotelu przy kominku z na wpół opróżnionym kieliszkiem jakiegoś trunku w dłoni.

Zwrócił ku niej głowę ze zmierzwionymi włosami.

– Pomyślałem, że to musisz być ty.

– Przepraszam. Czy ci przeszkadzam?

– Bynajmniej – odparł i uśmiechnął się do niej z głębi swego wygodnego siedziska. Iris uznała, że musi być trochę wstawiony. Nie wstał, kiedy kobieta weszła do pokoju, co było całkiem do niego niepodobne. Dziwne było również, że się do niej uśmiechnął, zważywszy, w jaki sposób się rozstali.

Przycisnęła plik książek kurczowo do piersi.

– Chciałam poszukać czegoś do czytania – wyjaśniła, wskazując ku bibliotece.

– Tak przypuszczałem.

– Nie mogłam zasnąć – dodała.

Wzruszył ramionami.

– Ja również.

– Owszem, widzę to.

Uśmiechnął się leniwie.

– Jesteśmy doprawdy mistrzami konwersacji.

Iris zaśmiała się lekko. Jakie to dziwne, że zdołali odzyskać humor teraz, kiedy wszyscy w domu śpią. A może nie ma w tym nic dziwnego? Była przez cały dzień

w nastroju kontemplacyjnym, od czasu nieoczekiwanego spoufalenia z Fleur. W niczym się wprawdzie z Fleur nie zgadzały, ale doszła do wniosku, że mimo wszystko mogą odnaleźć w sobie coś dobrego.

Na pewno powinna być zdolna do tego samego, jeśli chodzi o Richarda.

– Założę się o pensa, że wiem, o czym myślisz – zaczął.

Iris szczerze się zdziwiła.

– Mam pensów pod dostatkiem, dzięki.

Położył rękę na sercu.

– Przegrałem. I to grając na pieniądze!

– W tej grze szczęśliwie obeszło bez nich – poprawiła go Iris. Brak precyzji zawsze ją bardzo raził.

Uśmiechnął się.

– Należy się wyrażać ściśle – zauważyła, choć też się uśmiechnęła.

Zaśmiał się, słysząc tę uwagę, a potem uniósł kieliszek.

– Napijesz się?

– A co to jest?

– Whisky.

Zdumiała się. Nigdy nie słyszała, żeby mężczyzna proponował kobiecie whisky.

Ale natychmiast zapragnęła się jej trochę napić.

– Tylko odrobinę – poprosiła, odkładając książki na stolik. – Nie wiem, czy mi zasmakuje.

Richard z rozbawieniem nalał jej trochę złocistego płynu do kieliszka.

– Jak nie będzie ci smakować, to znaczy, że nie lubisz whisky.

Spojrzała na niego pytająco, siadając naprzeciwko na krześle z prostym oparciem.

– Mam tu najlepszą – zaznaczył bez fałszywej skromności. – Nietrudno w tych stronach o prawdziwie dobrą whisky, bo do Szkocji stąd bardzo blisko.

Zerknęła na kieliszek i powąchała trunek.

– Nie miałam pojęcia, że jesteś takim koneserem.

Wzruszył ramionami.

– Cóż, sporo jej ostatnio pijałem.

Iris wolała na niego nie patrzeć.

– Nie traktuj tego jak wyrzutu, nawiasem mówiąc. – Urwał, zapewne po to, żeby pociągnąć łyk. – Uwierz mi, znalazłem się naprawdę w wielkim kłopocie, i to z własnej winy.

– I Fleur – powiedziała po cichu.

Spojrzał jej w oczy, unosząc nieznacznie kącik warg – na tyle jednak, by

uśmiechem wyrazić jej wdzięczność za to stwierdzenie.

– I Fleur – zgodził się.

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu. Richard odstawił swój kieliszek. Iris ostrożnie upiła nieco ze swojego. Uznała, że lubi whisky. Była ona jednocześnie gorąca i zimna. Bo czy można w inny sposób określić coś, co zarazem piecze i powoduje dreszcze?

Dłużej patrzyła na swój kieliszek niż na męża, uważniej przyglądając się mu tylko wtedy, gdy z zamkniętymi oczami wspierał głowę na oparciu fotela. Czyżby zasypiał? Nie przypuszczała. Nikt przecież nie może zasnąć tak szybko, i to w siedzącej pozycji.

Uniosła kieliszek do warg, próbując pociągnąć większy łyk. Poszło jej z tym nawet łatwiej niż przedtem, choć mogło to być konsekwencją tego, co wypiła już wcześniej.

Richard miał nadal oczy zamknięte, ale uznała, że na pewno nie śpi. To zaciskał, to znów rozchylał usta, a ona zdała sobie sprawę, że wie dlaczego. Robił tak, gdy myślał. Oczywiście, on zawsze myślał, podobnie jak wszyscy ludzie, lecz ten wyraz twarzy pojawiał się u niego, gdy myślał o czymś, co go dręczyło.

– Czy jestem bardzo złym człowiekiem? – spytał, nie otwierając oczu.

Iris rozchyliła wargi ze zdumienia.

– Oczywiście, że nie.

Westchnął lekko i wreszcie otworzył oczy.

– Nie zwykłem tak o sobie myśleć.

– No, oczywiście – powtórzyła.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, a potem skinął głową.

– Dobrze o tym wiedzieć.

Iris nie wiedziała, co na to odrzec, pociągnęła więc jeszcze jeden łyk whisky, przechyliwszy kieliszek, tak by opróżnić go aż do dna.

– Jeszcze? – zapytał Richard, ujmując za butelkę.

– Chyba już nie powinnam – odrzekła, choć jednocześnie podsunęła kieliszek.

Napełnił go, tym razem nalewając jej dwa razy tyle.

Spojrzała na kieliszek, podniósłszy go na wysokość oczu.

– Czy od tego się upiję?

– Zapewne nie. – Przechylił głowę i poruszył wargami, jakby liczył coś w pamięci. – Zresztą może i tak? Jesteś drobnej budowy. Jadłaś kolację?

– Jadłam.

– W takim razie pozostaniesz względnie trzeźwa.

Iris skinęła głową i spojrzała znów na kieliszek, a potem zakręciła nim w

palcach.

– Nie powinieneś myśleć, że jesteś zły…

Popatrzył na nią pytająco.

– Jestem na ciebie ogromnie zła i uważam, że robisz błąd, ale przynajmniej rozumiem twoje motywy. – Spojrzała raz jeszcze na swoją whisky, jakby zahipnotyzowana sposobem, w jaki połyskiwała w blasku świecy. Gdy odezwała się ponownie, rzekła z zadumą: – Nikt, kto tak kocha siostrę, nie może być złym człowiekiem.

Richard przez chwilę milczał, a potem powiedział:

– Dziękuję ci.

– To chyba dobrze o tobie świadczy, że byłeś zdolny aż do takiego poświęcenia.

– Coś mi się zdaje – odparł przyciszonym głosem – że jednak nie wypada uznawać tego za poświęcenie, póki nie wezmę na ręce tego dziecka.

Iris odparła z trudem, bo zaczęło ją dławić w gardle:

– I mnie się tak zdaje.

Richard pochylił się nagle i wsparł ręce na kolanach. Jego głowa znajdowała się teraz niżej niż głowa Iris; spojrzał na nią przez te swoje gęste, ciemne rzęsy.

– Naprawdę mi przykro, wiesz przecież.

Nie odezwała się ani słowem.

– Z powodu tego, co będziesz musiała zrobić – wyjaśnił, całkiem niepotrzebnie. – To chyba bez znaczenia, ale bałem się powiedzieć ci o tym.

– No, pewnie! – odcięła się, nim zdołała pomyśleć, że lepiej byłoby to powiedzieć łagodniejszym tonem. Pewnie, że się bał. Któż by się mógł z czegoś takiego cieszyć?

– Nie, miałem na myśli co innego. Wiedziałem, że mnie znienawidzisz. – Przymknął oczy. – Nie bałem się tego, co miałem powiedzieć i nawet o tym nie myślałem. Tylko nie chciałem, żebyś mnie znienawidziła.

Westchnęła.

– Wcale cię nie nienawidzę.

Spojrzał na nią.

– A powinnaś.

– No cóż, co najmniej przez parę dni tak właśnie było.

Skinął głową.

– To dobrze.

Iris nie umiała ukryć uśmiechu.

– Dość paskudnie się zachowałem, wypominając ci to – powiedział z przygnębieniem.

– Mój gniew?

Uniósł kieliszek. W geście toastu? Być może.

– Miałaś się o to nie gniewać.

Iris przytaknęła mu po chwili, a potem pomyślała: Co u licha – i też uniosła kieliszek.

– Za co właściwie wznosimy toast? – zapytał.

– Nie mam pojęcia.

– W porządku. – Przechylił na bok głowę. – W takim razie za twoje zdrowie.

– Za moje zdrowie? – spytała z rozbawieniem. – Na Boga, co za pomysł! To z pewnością będzie najmniej zagrożona ciąża w całej historii – dodała.

Spojrzał na nią zaskoczony, a potem uśmiechnął się niepewnie.

– I nie będzie żadnej gorączki połogowej – uzupełnił.

Pociągnęła łyk whisky.

– A także odzyskam smukłą figurę z nadnaturalną szybkością.

– Inne kobiety będą ci zazdrościły – powiedział ze śmiertelną powagą.

Iris zaśmiała się, mrużąc z rozbawienia oczy, a potem znów spojrzała na niego. Wpatrywał się w nią z napiętą uwagą, a wyraz jego twarzy nie mówił ani o miłości, ani o pożądaniu. Był… pełen wdzięczności.

Odwróciła wzrok, zastanawiając się, dlaczego owa wdzięczność tak ją rozczarowuje. W końcu powinien być jej wdzięczny za to, co robiła, a jednak…

Nie wydawało jej się to czymś słusznym.

Czegoś tu jeszcze brakowało.

Zakręciła kieliszkiem w palcach. Niewiele w nim zostało.

Usłyszała jego głos; w mroku wydał się jej łagodny, lecz smutny.

– Co my właściwie mamy robić, Iris?

– Robić?

– Całe małżeńskie życie przed nami.

Iris raz jeszcze wpatrzyła się w kieliszek. Czy Richard chciał w ten sposób prosić ją o przebaczenie? Nie była pewna, czy jest do tego gotowa, a jednak jakoś dziwnie czuła, że owszem. Czy to znaczyło, że się zakochała? Że wybaczyłaby rzecz niewybaczalną? Gdyby coś podobnego przydarzyło się którejś z jej sióstr lub kuzynek, Iris nigdy by przecież takiemu mężowi nie wybaczyła.

Ale to był Richard. A ona go kochała. Nic innego się ostatecznie nie liczyło.

Ostatecznie.

Choć może jeszcze nie teraz.

Prychnęła lekko. Jakie to było do niej podobne. Wiedziała, że powinna mu przebaczyć, lecz dotąd mu tego odmawiała. Nie dlatego jednak, by mu sprawiać

cierpienie. Nawet nie dlatego, by mieć do niego żal. Po prostu nie była jeszcze gotowa. Uważał, że zasłużył na jej gniew – i miał rację.

Skierowała na niego wzrok. Patrzył na nią cierpliwie.

– No, dobrze – powiedziała. – W porządku. – Było to wszystko, co mogła mu dać. Miała nadzieję, że ją zrozumie.

Skinął głową, a potem wstał i podał jej dłoń.

– Czy mogę cię odprowadzić do twojego pokoju?

Jakaś jej część tęskniła do ciepła jego ciała, nawet gdyby miała je odczuć tylko dzięki dotknięciu go ręką. Nie chciała już jednak ulec miłości do niego. A przynajmniej nie tego wieczoru. Uśmiechnęła się do niego ze smutkiem, wstając.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

– To może chociaż do drzwi?

Iris rozchyliła usta i spojrzała na niego zdumiona. Przecież te drzwi znajdowały się ledwie jakieś trzy jardy dalej. Był to zatem gest zaskakująco zbyteczny, a jednak nie mogła mu się oprzeć. Podała Richardowi dłoń.

Uścisnął ją lekko i uniósł nieco, jakby miał zamiar podnieść ją do ust. Ale potem widocznie zmienił zamiar, bo splótł tylko jej palce ze swoimi, podchodząc z nią ku drzwiom.

– Dobranoc – powiedział, lecz nie puścił jej ręki.

– Dobranoc – odparła, nie próbując jednak odejść.

– Iris…

Przyjrzała mu się. Zamierzał ją pocałować. Widziała to w jego wzroku, pełnym pożądania.

– Iris – powtórzył, a ona nie powiedziała „nie”.

Ciepłą dłonią dotknął policzka żony, kierując jej twarz ku swojej. Nadal czekał, aż wreszcie nie mogła już zrobić nic innego poza bardzo nieznacznym skinieniem podbródkiem, co on odebrał jako zgodę.

Powoli, tak powoli, że – jak sądziła – cały świat obrócił się chyba ze dwa razy wokół osi, twarz Richarda zbliżyła się do niej. Ich wargi się zetknęły, a było to zetknięcie miękkie i elektryzujące. Musnął jej usta swoimi i to ledwie odczuwalne dotknięcie wniknęło w nią aż do samego rdzenia ciała.

– Richardzie – szepnęła. Może zdolny był wyczuć miłość w jej głosie? Zresztą w tej chwili nie dbała o to.

Rozchyliła wargi, ale nie pocałował jej głęboko i tylko wsparł się czołem o jej czoło.

– Powinnaś już pójść – powiedział.

Pozwoliła sobie trwać tak przez moment, a potem się cofnęła.

– Dziękuję ci – dorzucił.

Kiwnęła głową, kładąc dłoń na futrynie drzwi, i jeszcze się na chwilę odwróciła.

– Dziękuję – powtórzył.

Coś w niej drgnęło. Już wkrótce, pomyślała. Już wkrótce gotowa będzie mu wybaczyć.

Richard patrzył w ślad za nią, gdy odchodziła.

Patrzył, jak kieruje się ku holowi i znika za zakrętem schodów. Było tam ciemnawo, lecz zdołał jeszcze dostrzec błysk jej jasnych włosów.

Była istnym splotem sprzeczności. Tak eteryczna z wyglądu i tak pragmatyczna pod względem umysłu. Podobało mu się w niej to, że była wręcz nieustępliwie rozsądna. Może zresztą ta właśnie cecha pociągała go od samego początku. Czyżby sądził, że wrodzony racjonalizm pozwoli jej poradzić sobie z równie elementarną zniewagą, jaką było całe ich małżeństwo? Że Iris jedynie wzruszy ramionami i powie: „W porządku, to jest całkiem dorzeczne”?

Jakiż był z niego naiwniak.

Nawet gdyby mu wybaczyła – a zaczynał już myśleć, że mogłaby to zrobić – on nigdy by nie wybaczył sobie.

Zranił ją głęboko. Wybrał ją na żonę z powodu godnego najsurowszego potępienia, jest więc czymś właściwym, że ją teraz pokochał tak gorąco.

I tak beznadziejnie.

Nie przypuszczał bowiem, by mogła go kiedykolwiek pokochać po tym wszystkim, co jej uczynił. Winien jednak nie szczędzić wysiłków, by ją do tego skłonić. Może mu się to uda, skoro już ją pokochał.

Może się uda.

# 23

***Następnego ranka***

*I*ris! Iris!

Iris otworzyła nieznacznie tylko jedno oko; drugie było mocno zamknięte i przyciśnięte do poduszki.

– Och, świetnie, obudziłaś się!

To Marie-Claire, pomyślała Iris, jak zwykle skłonna rankiem do rozdrażnienia. Chryste Panie, któraż to może być godzina i dlaczego Marie-Claire znalazła się w jej sypialni?

Zamknęła oko.

– Już wpół do dziesiątej – oznajmiła pogodnie Marie-Claire – a na dworze jest niezwykle ciepło.

Iris nie mogła sobie wyobrazić, czemu miałoby ją to obchodzić.

– Myślałam, że mogłybyśmy pójść na spacer.

Aha.

Materac ugiął się pod ciężarem Marie-Claire, gdy siadła na brzegu łóżka.

– Nie miałyśmy jeszcze sposobności, żeby się wzajemnie poznać.

Iris westchnęła, co zwykle towarzyszyłoby zamknięciu przez nią oczu, mimo że i tak nie mogły być otwarte, bo wtuliła twarz w poduszkę. Myślała już o tym poprzedniego wieczoru, lecz nie miała najmniejszej ochoty wracać do owych rozmyślań przed południem.

– No, co? Pójdziemy? – zapytała Marie-Claire, kipiąc irytującą wręcz energią.

W odpowiedzi Iris wydała nieartykułowany dźwięk, coś pośredniego między mamrotaniem a burknięciem.

Po krótkiej chwili usłyszała:

– Że co, proszę?

Iris mruknęła coś raz jeszcze, rozdrażniona. Nie sądziła doprawdy, by w bardziej dobitny sposób mogła dać do zrozumienia swój brak zainteresowania.

– Iris, czy źle się czujesz?

Iris w końcu przewróciła się na bok i zmusiła do powiedzenia:

– Rano nie czuję się zazwyczaj zbyt dobrze.

Marie-Claire spojrzała na nią ze zdziwieniem.

Iris przetarła oczy.

– A gdzie niby… miałybyśmy iść? – spytała dość zgryźliwie.

– Ehm… – Uśmiech Marie-Claire był dziwnie podobny do grymasu. – Co się stało z twoim policzkiem?

Iris westchnęła głęboko.

– Pewnie odgniotła mi się na nim fałda poduszki.

– Och, naprawdę? – Marie-Claire zadała to pytanie w taki sposób, że Iris poczuła szczerą chęć, żeby jej przyłożyć, ale spytała jedynie:

– Co, nigdy czegoś takiego nie widziałaś?

– Nie. – Marie-Claire zmarszczyła brwi. – Ja zawsze śpię na plecach. A Fleur chyba też.

– A ja śpię w różnych pozycjach – mruknęła niechętnie Iris – ale na ogół… do późna.

– Widzę – odparła Marie-Claire i głośno przełknęła ślinę, choć była to jedyna oznaka jej zakłopotania, bo zaraz dodała: – No, ale w końcu się zbudziłaś, możesz więc wstać. Nie przypuszczam, żeby w jadalni zostało coś ze śniadania, na pewno jednak pani Hopkins zrobi ci jakąś zimną przekąskę. Mogłabyś zabrać ją ze sobą.

Iris popatrzyła tęsknie na łóżko. Jakżeby się w nim wygodnie jadło śniadanie na tacy! Lecz Marie-Claire już zapraszała ją życzliwym gestem, a Iris wiedziała, że musi to zaproszenie przyjąć.

– Dziękuję ci – odrzekła, mając nadzieję, że wyraz jej twarzy nie zdradza, z jaką niechęcią wypowiada te słowa. – To będzie całkiem miłe.

– Wspaniale! – Marie-Claire wprost promieniała. – Czy mogę się z tobą spotkać na podjeździe, powiedzmy za jakieś dziesięć minut?

Iris chętnie by wytargowała kwadrans, a jeszcze chętniej dwadzieścia minut, stwierdziła jednak, że jest już całkowicie obudzona. Choć gdy się powiedziało „A”, trzeba też powiedzieć „B”. Dziesięć minut, mój ty Boże!

Do Marie-Claire zwróciła się wszakże ze słowami:

– Czemu nie?

Dwadzieścia minut później Iris i Marie-Claire szły powoli ku zachodnim polom Maycliffe. Iris nadal nie była całkiem pewna, dokąd właściwie zmierzają. Marie-Claire wspomniała wcześniej o zbieraniu jagód, ale chyba jeszcze nie nadeszła na nie pora. Iris nie dbała zresztą o to. Trzymała w ręce ciepłą bułeczkę z masłem,

zupełnie pewna, że nigdy nie jadła nic lepszego. Ktoś w kuchni musiał widocznie pochodzić ze Szkocji. Wydawało się to jedynym wyjaśnieniem.

Nie mówiły ze sobą wiele, schodząc ze wzgórza. Iris delektowała się śniadaniem, a Marie-Claire była najwyraźniej całkiem rada, wywijając w podskokach koszykiem. Gdy jednak znalazły się już na dole i weszły na mocno zarośniętą ścieżkę, Marie-Claire odchrząknęła i powiedziała:

– Nie wiem nawet, czy ci ktoś należycie podziękował.

Iris zaniemówiła i na chwilę przestała jeść bułeczkę. Niewiele jak dotąd rozmawiała z Marie-Claire, a obecne słowa szczerze ją zaskoczyły.

– Za… – Marie-Claire wskazała ręką na brzuch Iris, zakreślając dłonią kółko w powietrzu – …no, za to.

Iris wpatrzyła się w ścieżkę, po której obie szły. Richard jej podziękował. Wprawdzie zrobił to dopiero po trzech dniach, ale szczerze powiedziawszy, nie dała mu po temu sposobności aż do ich rozmowy zeszłego wieczoru. Gdyby nawet próbował zrobić to wcześniej, gdyby zamknął z trzaskiem drzwi do jej pokoju i zażądał, by go wysłuchała, byłoby to daremne, bo wcale nie chciałaby go słuchać. Nie była gotowa do tego, żeby mu pozwolić na szczerą, poważną rozmowę.

– Nie ma za co – odparła, udając, że w skupieniu wydłubuje rodzynkę z bułeczki. Doprawdy nie miała wielkiej ochoty rozmawiać o tym akurat z Marie-Claire.

Choć Marie-Claire uważała inaczej.

– Wiem, że Fleur może ci się teraz wydawać niewdzięczna – ciągnęła z uporem – lecz z czasem pewnie zmieni swoje nastawienie.

– Obawiam się, że nie mogę podzielać twojego zdania – odparła Iris. Wciąż nie rozumiała, jak Richard mógł myśleć, że zdoła sobie ze wszystkim poradzić bez współdziałania Fleur.

– Ona nie jest wcale głupia, nieważne, w jaki sposób się teraz zachowuje. Na ogół nie bywa taka… no… jakby to ująć… gwałtowna. – Marie-Claire ściągnęła usta z troską. – Widzisz, ona była niezwykle przywiązana do naszej matki, dużo bardziej niż Richard i ja.

Iris nie wiedziała o tym. Richard nie powiedział jej o matce zbyt wiele, prócz tego, że już nie żyje i że mu jej brakuje.

– Może właśnie dlatego macierzyństwo ma dla Fleur tak wielkie znaczenie – ciągnęła Marie-Claire. Spojrzała na Iris, a potem lekko wzruszyła ramionami. – I może dlatego tak bardzo jej zależy na dziecku.

– Może – przytaknęła Iris i westchnęła, spoglądając na swój brzuch. Już wkrótce będzie musiała jakoś sprawić, żeby wyglądał na wypukły. Nie zrobiła tego jeszcze

wyłącznie z tej racji, że Yorkshire i Londyn dzieliło aż trzysta mil. Damy nie ubierały się tutaj wedle najnowszej mody i śmiało mogła chodzić w swych sukniach z zeszłego roku. W stolicy nosiło się już stroje o dużo niżej zaznaczonym stanie; luźne i fałdziste ubiory w stylu Regencji ustępowały miejsca znacznie sztywniejszym i bardziej niewygodnym. Iris przypuszczała, że około 1840 roku kobiety będą paradować ciasno opięte gorsetami.

Przez kilka chwil szły w milczeniu, aż wreszcie Marie-Claire się odezwała:

– No cóż, ja ci w każdym razie jestem wdzięczna.

– Nie ma za co – powtórzyła Iris, tym razem odwracając się ku Marie-Claire ze smutnym uśmiechem. Młodsza z sióstr była doprawdy męcząca. Jej wdzięczność zresztą także.

– Wiem, co mówi Fleur: że chce być matką – ciągnęła Marie-Claire beztrosko – ale to doprawdy egoistyczne z jej strony. Czy wiesz, że dotychczas nawet mnie nie przeprosiła?

– Ciebie? Za co? – mruknęła Iris, sądząc, że raczej ona sama zasługuje na to w pierwszej kolejności.

– Przecież zniszczyła mi życie – odparła Marie-Claire. – Nie wiesz? Gdybyś nie zrobiła tego, co zrobiłaś…

„…nie zrobiła tego, co zrobiłaś”… Och, jakaż urocza oględność – pomyślała Iris.

– …a gdyby ona szczęśliwie donosiła ciążę i urodziła to nieprawe dziecko, nikt by mnie wtedy nie zechciał.

Marie-Claire obróciła się ku Iris z niemalże wojowniczą miną.

– Pewnie powiesz, że jestem samolubna, lecz wiesz dobrze, że tak właśnie będzie.

– Wiem – odrzekła ściszonym głosem Iris. Może gdyby Richard wysłał Marie-Claire na sezon do Londynu… Zapewne znaleźliby wówczas dla niej kogoś zamieszkałego z dala od tego zakątka Yorkshire. Plotki co prawda lubią się rozchodzić, ale na ogół nie aż tak daleko.

– Jakie to nielojalne z jej strony. Ona popełniła błąd, a ja miałabym być tą, która za niego płaci!

– Nie przypuszczam jednak, aby Fleur sądziła, że ujdzie jej to bezkarnie – zauważyła Iris.

Marie-Claire zacisnęła z irytacją wargi.

– Niby tak, ale ona na to zasłużyła, a ja nie!

Nie było to podejście zbyt życzliwe, lecz Iris musiała przyznać, że Marie-Claire miała słuszność.

– Wierz mi, tu się aż roi od dziewcząt, które wprost umierają z ochoty, żeby mi utrzeć nosa – westchnęła Marie-Claire, tracąc swój zuchowaty nastrój. Spojrzała na Iris z przygnębieniem. – Znasz może takie dziewczyny?

– Nawet kilka – przyznała Iris.

Uszły jeszcze parę kroków, gdy nagle Marie-Claire powiedziała:

– No, ostatecznie mogłabym jej trochę wybaczyć.

– Trochę? – Iris zawsze sądziła, że wybaczać można albo całkowicie, albo wcale.

– Nie jestem przecież pozbawiona rozsądku! – parsknęła Marie-Claire. – Przyznaję, że znalazła się w trudnej sytuacji. Byłoby inaczej, gdyby mogła wyjść za ojca dziecka.

Była to prawda, Iris wciąż jednak uważała, że Fleur w sposób krańcowo krótkowzroczny zapatruje się na tę kwestię. Choć bynajmniej też nie sądziła, by Richard miał w tym względzie rację. Każdy przyznałby pewnie, że jedynym wyjściem jest znalezienie męża dla Fleur. Nie mogłaby się wprawdzie spodziewać kogoś o znaczącej społecznej pozycji – Richard mówił już, że nie ma tyle pieniędzy, by zapewnić Fleur małżonka skłonnego przymknąć oko na jej stan – z pewnością wszakże ktoś w okolicy chętnie by się skoligacił z rodziną Kenworthych. Może na przykład jakiś pastor, który nie musiałby się martwić, że jego posiadłość odziedziczy syn innego mężczyzny. Albo któryś z niedawno tu osiadłych właścicieli ziemskich pragnących poprawić swój status.

Iris wyciągnęła rękę, by dotknąć delikatnego białego kwiatka kwitnącego w żywopłocie. Chętnie by poznała jego nazwę, bo nie widziała go nigdzie na południu Anglii.

– Cóż, raczej trudno wyjść za zmarłego! – próbowała zażartować. Wypadło to wszakże niezbyt przekonująco, bo w jej głosie słychać było zbyt wiele rozgoryczenia.

Marie-Claire parsknęła tylko lekceważąco.

– Co chciałaś przez to powiedzieć? – Iris spojrzała na nią zaskoczona. Bo w reakcji Marie-Claire niewątpliwie było coś znaczącego.

– No, proszę – odparła Marie-Claire z ironią – jaka to z tej naszej Fleur urocza kłamczuszka…

Iris zamarła z ręką wciąż przy żywopłocie.

– Słucham?

Marie-Claire nerwowo przygryzła dolną wargę, jakby dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę z wagi wypowiedzianych słów.

– Marie-Claire! – Iris chwyciła ją za ramię. – Co masz na myśli? Czemu tak

brzydko nazywasz Fleur?

Marie-Claire nerwowo przełknęła ślinę i spojrzała na zaciśnięte palce Iris. Ale ta wciąż trzymała ją mocno.

– Marie-Claire! – odezwała się stanowczym tonem. – Mów zaraz!

– A czy to ma jakieś znaczenie? – odrzekła ze złością Marie-Claire, usiłując wyszarpnąć ramię z uścisku. – Oj tam, zaszła w ciążę i nie zamierza wyjść za mąż, i to tylko będzie się liczyło. Dla każdego.

Iris miała ochotę wrzasnąć z całej siły.

– Czego miałoby dotyczyć jej kłamstwo?

– Ojca dziecka, a czego by innego! – burknęła Marie-Claire, nadal usiłując się jej wyrwać. – Puścisz mnie czy nie?

– Nie! – wypaliła Iris prosto z mostu. – To nie był William Parnell?

– Gdzie tam! Nawet Fleur miała tyle oleju w głowie, żeby się trzymać od niego z daleka! – Marie-Claire wzniosła oczy do nieba. – Niech spoczywa w pokoju… – Zastanowiła się przez chwilę. – No, może i w pokoju…

Iris ścisnęła jej rękę jeszcze mocniej.

– Nie dbam o spokój duszy Williama Parnella – syknęła. – Chcę wiedzieć, dlaczego Fleur skłamała? Czy ci o tym powiedziała? Że wcale nie Parnell był ojcem dziecka?

Marie-Claire uznała to niemal za obelgę.

– Jasne, że nie!

– No, to kto nim jest?

Marie-Claire wybrała tę właśnie chwilę, żeby zademonstrować stosownie wyniosłą minę.

– Nie mnie należy o to pytać.

Iris przyciągnęła ją do siebie tak gwałtownie, że Marie-Claire prawie zabrakło tchu, by po chwili, gdy już ich twarze niemal stykały się nosami, wysyczeć:

– Marie-Claire Kenworthy, w tej chwili wyjaw jego nazwisko, bo w przeciwnym razie, jak mi Bóg miły… jeśli cię nie zabiję, to wyłącznie z obawy przed stryczkiem!

Marie-Claire gapiła się na nią bez słowa.

Ręka Iris jeszcze mocniej zacisnęła się na jej ramieniu.

– Mam cztery siostry, Marie-Claire, w tym jedną wyjątkowo nieznośną. Wierz mi, że potrafiłabym zmienić twoje życie w prawdziwe piekło!

– Ale co to ma…

– Mów mi zaraz! – krzyknęła Iris z całych sił.

– John Burnham! – wywrzeszczała w końcu Marie-Claire.

Iris puściła ją.

– Co takiego?

– To był John Burnham! – stęknęła Marie-Claire, rozcierając posiniaczone ramię. – Jestem prawie pewna.

– Prawie?

– Ona się zawsze wymykała z domu na spotkania z nim. Myślała, że nie mam o tym pojęcia, ale ja…

– Jasne, że rozumiałaś, co się święci – mruknęła pod nosem Iris. Wiedziała, jak to bywa między siostrami. Nie było sposobu, żeby Fleur mogła się wyśliznąć na spotkanie z mężczyzną bez wiedzy Marie-Claire.

– Chyba będę musiała nosić rękę na temblaku. – Marie-Claire skrzywiła się żałośnie. – Spójrz, jakie mam przez ciebie siniaki. Nie musiałaś być taka bezwzględna.

Iris zignorowała jej skargi.

– Czemu nikomu o tym nie powiedziałaś?

– A komu miałam mówić? – spytała Marie-Claire. – Mojemu bratu? Myślisz, że byłby bardziej zadowolony, gdyby chodziło o Johna Burnhama niż o Williama Parnella?

– Ale John Burnham przynajmniej żyje! – krzyknęła Iris. – Fleur może za niego wyjść i zatrzymać swoje dziecko.

Marie-Claire popatrzyła na nią z pogardą.

– On jest tylko farmerem, Iris. W dodatku małorolnym. Nie jest właścicielem ziemi, na której gospodarzy.

– Czy z ciebie naprawdę aż taka snobka?

– A ty niby kim jesteś?

Iris po takim oskarżeniu aż się cofnęła z wrażenia.

– A cóż to ma za znaczenie?

– Niewiele o tym wiem! – odszczeknęła się jej Marie-Claire, z pełnym goryczy jękiem. – Odpowiedz mi tylko, czy twoja rodzina byłaby rada, gdybyś to ty wydała się za dzierżawcę? Czy może by się wcale nie liczyło, że twój dziadek był hrabią?

Iris miała już tego naprawdę dosyć. Ta dziewczyna doprowadzała ją do ostateczności.

– Zamknij się! – syknęła. – Gdyby tytuł mego dziadka dawał mi prawo do bezwstydnego zachowania, to pewnie bym nie poślubiła twojego brata.

Marie-Claire spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Richard pocałował mnie i dlatego byłam zmuszona stanąć z nim przed ołtarzem! – wybuchnęła Iris. Nie cierpiała przypominać sobie o swych

deliberacjach, czy Richard jej wtedy pragnął, czy też tylko pożądanie wzięło nad nim górę i nic na to nie mógł poradzić. Lecz prawda nie była wcale romantyczna, bo – jak już zdołała się o tym przekonać – nigdy taką nie bywa.

Spojrzała na Marie-Claire z błyskiem w oczach, który – jak uznała – musiał być nie do zniesienia.

– Mogę cię zapewnić, że gdybym sama zaszła w ciążę z jakimś dzierżawcą, to chciałabym go poślubić. – Przerwała na moment. – Oczywiście, gdybym to z nim zrobiła za obopólną zgodą.

Marie-Claire nie odpowiedziała nic, więc Iris dodała:

– Sądząc z tego, co mi mówiłaś, twoja siostra i Burnham zrobili to za obopólną zgodą.

Marie-Claire nieznacznie skinęła głową.

– Choć, rzecz jasna, nie było mnie przy tym – mruknęła.

Iris zgrzytnęła zębami i zacisnęła mocno dłonie w nadziei, że uchroni ją to od chęci uduszenia Marie-Claire. Nie mogła wprost uwierzyć, że przeprowadziła z nią tę rozmowę. Nie chodziło jej wcale o to, czy Marie-Claire miała pewność, że właśnie John Burnham jest ojcem dziecka Fleur, ani nawet nie o to, że postanowiła nikomu nic nie mówić. Najbardziej ją nękało, że Marie-Claire zdawała się uważać swe milczenie za rzecz całkiem właściwą.

Dobry Boże, czy ona, Iris, naprawdę żyje między samymi durniami?

– Wracam do domu! – oznajmiła i zaczęła wspinać się na wzgórze. Słońce stało niemal w zenicie, powietrze było ciepłe i świeże, lecz ona pragnęła tylko znaleźć się w swoim pokoju, zamknąć drzwi na klucz i nie mówić absolutnie z nikim.

– Iris – zaczęła Marie-Claire, a coś w jej głosie sprawiło, że Iris się zatrzymała.

– No, co? – spytała ze znużeniem.

Marie-Claire na kilka sekund zamarła bez ruchu, mrugając tylko, a potem powiedziała:

– Richard by nie… To znaczy, on by nigdy nie…

– Oczywiście, że nie! – krzyknęła Iris z oburzeniem. Co za sugestia! Richard mógł ją zaskoczyć niespodziewanym okazaniem względów, ale nigdy by tego nie zrobił przemocą. Na to był zbyt porządnym człowiekiem.

Zaczęło ją boleśnie dławić w gardle. Nie miała już ochoty rozpamiętywać zalet swojego męża.

– Ale ty go kochałaś – powiedziała przyciszonym głosem Marie-Claire. – Prawda?

Iris zacisnęła wargi. Nie mogła temu zaprzeczyć, choć też nie chciała mówić tego głośno. Na to miała za wiele dumy.

– Zmęczyłam się – powiedziała.

Marie-Claire przytaknęła jej ruchem głowy i obie zawróciły w stronę domu. Ledwie jednak uszły kilka kroków, gdy Iris coś nagle przyszło na myśl.

– Zaczekaj chwilę – odezwała się. – Dlaczego Fleur nic nie powiedziała?

– Przepraszam, o co ci chodzi?

– Czemu skłamała?

Marie-Claire wzruszyła ramionami.

– Chyba musi jej zależeć na Burnhamie? – naciskała na nią Iris.

Marie-Claire znów tylko wzruszyła ramionami. Iris miała szczerą chęć ją uderzyć.

– Mówiłaś, że wymykała się na spotkania z nim – przypomniała. – Co chyba świadczy, że jakoś jej na nim zależało.

– No cóż, o to jej akurat nie pytałam – odparła Marie-Claire. – Wyraźnie jednak wolała się z tym kryć. A ty byś nie wolała?

Iris westchnęła.

– Czy chcesz wiedzieć, co o tym myślę? – spytała tak powoli, że zabrzmiało to prawie obraźliwie. – Czy mogę się domyślać, dlaczego twoja siostra skłamała co do tożsamości ojca swego nienarodzonego jeszcze dziecka?

Marie-Claire spojrzała na nią tak, jakby ją uważała za idiotkę.

– Przecież mówiłam ci już, że to tylko farmer.

Iris aż świerzbiła ręka, żeby jej dać kuksańca.

– Rozumiem, że nie jest to może ktoś, za kogo spodziewała się wyjść, ale skoro jej na nim zależy, z pewnością lepiej byłoby go poślubić niż rodzić dziecko z nieprawego łoża.

– Ależ ona tego nie zrobi – upierała się Marie-Claire – tylko odda je tobie.

– Nie jestem taka pewna – mruknęła Iris. Fleur nigdy przecież nie zgodziła się jawnie na plan Richarda. On mógł co prawda uważać jej milczenie za zgodę, lecz Iris wcale nie miała tej pewności.

Marie-Claire westchnęła.

– Z pewnością rozumie, że nie może wyjść za Johna Burnhama. Nieważne, co do niego czuje. Nie chcę, żeby to wyglądało na brak współczucia z mojej strony, bo wcale tak nie jest. Ale ty nie pochodzisz z tych stron, Iris. Nie wiesz, jak to wygląda. Fleur nazywa się Kenworthy. Przez całe wieki byliśmy największą ziemiańską rodziną we Flixton. Czy masz pojęcie, jaki to byłby skandal, gdyby poślubiła miejscowego farmera?

– Nie gorszy niż urodzenie nieślubnego dziecka – stwierdziła cierpko Iris.

– Ale ona z pewnością myśli, że gorszy – odparła Marie-Claire. – I to jej zdanie

się liczy, nie uważasz?

Iris patrzyła na nią przez dłuższą chwilę, a potem powiedziała: „masz rację", odwróciła się i szybko odeszła. Kiedy znajdzie Fleur, ta będzie mogła liczyć już tylko na łaskę niebios!

– Zaczekaj! – Marie-Claire aż uniosła spódnicę, biegnąc za nią. – Gdzie tak pędzisz?

– No, jak myślisz, gdzie?

– Nie wiem! – Słowa Marie-Claire zabrzmiały niemal sarkastycznie i wystarczyło to, żeby Iris się zatrzymała. Kiedy obejrzała się za siebie, Marie-Claire spytała: – Idziesz do Fleur, czy do Richarda?

Iris jakby wrosła w ziemię. Nawet jej nie przyszło do głowy, żeby iść z tą wiadomością do Richarda. Choć może powinna postąpić właśnie w ten sposób? W końcu był jej mężem. Nie powinna go chyba okłamywać?

Nie powinna… tylko że tu chodziło o sekret Fleur, a nie jej tajemnicę.

– No? – zapytała Marie-Claire.

– Do Fleur – rzuciła krótko Iris. Gdyby jednak ta nie zachowała się, jak należy, i nie wyjawiła Richardowi prawdy, Iris z całą satysfakcją zrobiłaby to za nią.

– Naprawdę? – spytała Marie-Claire. – Myślałam, że idziesz prosto do Richarda.

– Po co w takim razie pytasz? – odrzekła zgryźliwie Iris i znów zaczęła wspinać się na wzgórek.

Marie-Claire nie przejęła się wcale.

– Fleur nic ci nie zechce powiedzieć.

Iris zatrzymała się na dostatecznie długą chwilę, by oszczędzić Marie-Claire morderczego spojrzenia.

– Akurat.

Marie-Claire zdrętwiała.

– Nie zdradzisz chyba, że to ja się wygadałam?

Iris odwróciła się z niedowierzaniem w oczach, a potem wypowiedziała pewne słowo, którym nigdy się jeszcze w życiu nie posłużyła, i ruszyła dalej.

– Iris! – wrzasnęła Marie-Claire, biegnąc tuż za nią. – Ona mnie przecież zabije!

– Naprawdę się tego boisz?

Marie-Claire zwolniła kroku.

– Tak, masz rację – stwierdziła, a potem jeszcze powtórzyła: – Masz rację.

– Mam wprost cholerną rację! – mruknęła Iris pod nosem, nie zatrzymując się. Dziwne, jak łatwo jedno brzydkie słowo może podnieść człowieka na duchu…

– A co jej powiesz?

– Och, sama jeszcze nie wiem. Może: „czyś ty całkiem rozum postradała?"

Marie-Claire otwarła usta ze zdumienia. A potem, starając się nadążyć za Iris, spytała:

– Będę mogła popatrzeć?

Iris odwróciła się i zmierzyła ją tak złowrogim spojrzeniem, że Marie-Claire pośpiesznie się cofnęła.

– Najchętniej bym cię zdzieliła kijem od krykieta – syknęła. – Nie, nie będziesz mogła popatrzeć!

Marie-Claire zrobiła minę świadczącą niemal o szacunku.

– Czy mój brat wie, jaką masz gwałtowną naturę?

– Dowie się o tym jeszcze przed wieczorem – mruknęła Iris, przyśpieszając kroku.

– Pójdę z tobą! – krzyknęła Marie-Claire za jej plecami.

Iris prychnęła tylko gniewnie i nie pofatygowała się, by jej odpowiedzieć.

Marie-Claire dopędziła ją.

– Nie chcesz czasem wiedzieć, gdzie ona jest?

– W oranżerii.

– W jaki spo… skąd wiesz?

– Widziałam, jak tam szła, kiedy wychodziłyśmy z domu – odparła z irytacją Iris. A potem, czując nonsensowną potrzebę usprawiedliwienia się, dodała: – No, bo jestem spostrzegawcza. I tyle.

Choć najwyraźniej nie tak znów bardzo spostrzegawcza. A może po prostu Fleur umiała kłamać jak z nut? Tak czy inaczej, prawda wyszła w końcu na jaw. Iris zamierzała zaś poznać ją gruntownie.

# 24

**R**ichard nie spał w nocy. A przynajmniej tak mu się zdawało. Raz czy dwa przymknął nawet oczy, ale jeśli już w ogóle spał, to niespokojnie. Chyba się zdrzemnął przed świtem; tak czy owak zdołał się zwlec z łóżka wpół do dziesiątej, a dopiero o jedenastej był gotów do zejścia na dół.

Lokajowi udało się wprawdzie nadać mu pozór kogoś zbliżonego do dżentelmena, lecz już jedno spojrzenie w lustro powiedziało Richardowi, że wygląda prawie tak źle, jak się czuje. A to znaczyło, że był znużony.

I zgnębiony.

Przede wszystkim zaś ponury.

Przechodząc koło otwartych drzwi sypialni Iris, słyszał w środku krzątaninę służącej, co wskazywało, że żona już wstała. Gdy jednak wszedł do jadalni, jednak jej tam nie zobaczył.

Śniadania też nie, choć to akurat rozczarowało go mniej.

Zabębnił palcami po blacie kredensu, namyślając się, co powinien teraz zrobić. Pewnie wziąć się do rachunków. Burczało mu w żołądku, lecz mógł z jedzeniem poczekać aż do obiadu. Zresztą nie miał ochoty jeść.

– Ach, to ty, chłopcze?

Spojrzał na drzwi do kuchni.

– Dzień dobry, pani Hopkins. – Uśmiechnął się.

Nazywała go chłopcem tylko wtedy, kiedy nikt nie słyszał. Lubił to. Przypominało mu jego dzieciństwo.

Spojrzała na niego surowo.

– O tej porze? Przez całe lata nie wylegiwał się pan tak długo w łóżku.

– Nie mogłem zasnąć – przyznał zakłopotany.

Skinęła głową ze zrozumieniem.

– Pańska żona też.

Serce mu drgnęło raptownie na wzmiankę o niej, ale zmusił się, żeby nie było to zauważalne.

– Widziała pani lady Kenworthy dziś rano?

– Przez chwilę. Wyszła z domu razem z pańską siostrą.

– Z Fleur? – Trudno mu było w to uwierzyć

Pani Hopkins pokręciła głową.

– Z Marie-Claire. Coś mi się zdaje, że lady Kenworthy wcale nie miała ochoty wstawać i iść na spacer tak wcześnie.

Wcześnie? Iris?

– No, moim zdaniem to nie było znowu tak wcześnie – ciągnęła pani Hopkins. – Zobaczyłam ją dobrze po wpół do dziesiątej. Wyszła bez śniadania.

– Nie zaniesiono jej tacy do pokoju?

Pani Hopkins cmoknęła z dezaprobatą.

– Marie-Claire wprost wyciągnęła ją za drzwi. Ale na szczęście dałam jej coś do przegryzienia na spacerze.

– Dziękuję pani. – Richard zastanawiał się, czy ma jakoś skomentować uwagę gospodyni, bo troskliwy mąż powinien to chyba zrobić.

Niespodziewanie dla siebie samego spytał jedynie:

– Czy powiedziały, dokąd idą?

– Myślę, że wybrały się tylko na przechadzkę. Bardzo mnie cieszy, że były tak zgodne, jak siostry – dodała z ciepłym, macierzyńskim uśmiechem. – Lubię pańską żonę, sir.

– Ja także – mruknął Richard, myśląc o ich nocnym spotkaniu. Z początku wcale nie zamierzał iść na ten wieczór muzyczny. Zresztą nie miał nawet zaproszenia. Dopiero gdy Winston Bevelstoke mu go zarekomendował, pomyślał, że może będzie to sposobność do poszukania sobie żony.

Iris Smythe-Smith była z pewnością czymś najlepszym, co go spotkało w życiu.

Kiedy ją pocałował zeszłego wieczoru, zżerała go wręcz tęsknota, a nie tylko pożądanie, choć i jego z pewnością nie brakowało. Czuł przemożną potrzebę, by doznać bliskości jej ciepłego ciała, by oddychać tym samym co ona powietrzem. Pragnął jej bliskości. Pragnął być z nią w każdym znaczeniu tego słowa.

Kochał ją. Kochał Iris Kenworthy całą duszą, a mógł zmarnować tę jedyną szansę na ich wspólne szczęście.

Jakże był przy tym pewien, że robi rzecz najsłuszniejszą pod słońcem. Że próbuje ochronić siostrę. Że gotów jest poświęcić nawet prawo pierworództwa, by tylko uratować jej reputację.

Tylko że teraz Fleur najwyraźniej dążyła do zniszczenia siebie samej. Nie miał pewności, czy zdoła uratować kobietę, która nie chce być ratowana. Musiał jednak przynajmniej próbować. Był jej bratem, przyrzekł się nią opiekować. A może istniało jakiś inne wyjście z tej sytuacji?

Coś takiego po prostu musiało istnieć.

Za bardzo kochał Iris, żeby nie istniało.

Iris przebiegła przez pola Maycliffe w rekordowym tempie, lecz gdy dotarła do oranżerii, nie znalazła tam już Fleur. Być może tak właśnie było najlepiej. Zajęło jej prawie godzinę uwolnienie się od obecności Marie-Claire, która najwyraźniej nie potraktowała groźby użycia przez Iris kija do krykieta na tyle poważnie, by trzymać się od niej z daleka.

Gdy wreszcie odnalazła Fleur, ta metodycznie przycinała gałązki w altance na południowym krańcu posiadłości. Ubrała się stosownie do swego zajęcia, bo miała na sobie znoszoną brązową suknię, a włosy byle jak upięte z tyłu głowy; kilka pasm opadło jej już na ramiona. Na kamiennej ławie leżał złożony niebieski koc, a na nim trzy niezupełnie dojrzałe pomarańcze i trochę chleba z serem.

– Znalazłaś mój sekretny zakątek – odezwała się, spojrzawszy na nią przelotnie. Popatrzyła uważnie na ciernisty krzak, sięgając po długie nożyce, a następnie z ostrym świstem ścięła nimi jedną z gałązek.

Iris nie pojmowała, jak ktokolwiek mógłby uważać takie zajęcie za satysfakcjonujące.

– Moja matka założyła ten ogród – powiedziała Fleur, wyciągając nożycami odciętą gałązkę i kładąc ją na stosiku innych.

Iris rozejrzała się wokoło. Róże rosły tu na kolistym, małym i zacisznym spłachetku gruntu. Nie w pełni jeszcze rozkwitły. Iris mogła sobie wyobrażać, jak wspaniale tu będzie wszystko wyglądało i pachniało za kilka miesięcy.

– Jak tutaj miło – odrzekła. – Co za spokój.

– Wiem o tym – rzuciła obojętnym tonem Fleur. – Często tu przychodzę, żeby pobyć trochę w samotności.

– Jakie to miłe z twojej strony. – Iris uśmiechnęła się przy tych słowach niepewnie i weszła głębiej w altankę.

Fleur przyjrzała się jej, zaciskając wargi.

– Musimy obie porozmawiać – wyrzuciła z siebie raptownie Iris.

– Naprawdę? – spytała Fleur, szczękając nożycami. – A o czym?

– O ojcu twojego dziecka.

Ręce Fleur zastygły bez ruchu, ale otrząsnęła się szybko z zaskoczenia, sięgając nożycami ku wyjątkowo nieładnej gałązce.

– Nie wiem, co masz na myśli.

Iris milczała. Dobrze wiedziała, co ma na myśli. Aż za dobrze.

Fleur nie odwróciła się wcale, jednak po jakichś dziesięciu sekundach

powtórzyła:

– Powiedziałam, że nie wiem, o czym mówisz.

– Słyszałam.

Szczęk nożyc przybrał na sile.

– Więc po co… auu!

– Ukłułaś się? – zapytała Iris.

– Mogłabyś okazać mi trochę współczucia – mruknęła gniewnie Fleur, ssąc skaleczony palec.

Iris tylko prychnęła.

– Prawie wcale nie krwawisz.

– Ale mnie boli.

– Doprawdy? – Iris spojrzała na nią spokojnie. – Mówiono mi, że poród boli dużo bardziej.

Fleur spiorunowała ją wzrokiem.

– Rzecz jasna, nie mój – ciągnęła Iris pogodnie. – Mój pierwszy poród będzie całkiem bezbolesny. Myślę, że nietrudno urodzić poduszkę.

Fleur zamarła bez ruchu. Potem powoli wyjęła skaleczony palec z ust i odezwała się stanowczym, pełnym dumy tonem:

– Nie oddam ci dziecka.

Iris wpatrzyła się w nią z równą stanowczością i syknęła:

– A czy ty naprawdę myślisz, że ja tego chcę?

Fleur rozchyliła wargi ze zdumienia, choć nie zdumiały jej wcale, jak sądziła Iris, same słowa. Przecież już wcześniej dawała wyraźnie do zrozumienia, jak bardzo jest niechętna zamiarom Richarda. Ale ton, którego obecnie użyła, bynajmniej nie był uprzejmy. Choć szczerze mówiąc, nie miała pewności, czy podczas takiej rozmowy sama zdobyłaby się na uprzejmość.

– Jesteś wyzuta z uczuć! – rzuciła oskarżycielsko Fleur.

Iris o mało nie przewróciła oczami.

– Ależ skąd, chciałabym być bardzo serdeczną i kochającą ciotką.

– To znaczy, że chcemy tego samego! – wykrzyknęła Fleur. – Zatrzymałabym dziecko! Czemu się więc ze mną spierasz?

– A czemu ty mi wszystko utrudniasz? – palnęła w odpowiedzi Iris.

Fleur uniosła wyzywająco podbródek, choć jakby z nieco już mniejszą zawziętością. Spojrzała najpierw gdzieś w bok, a potem na trawę pod swymi stopami.

– Żądam prawdy – oznajmiła Iris.

Fleur milczała.

– Prawdy, Fleur.

– Nie wiem, o co ci chodzi?

– Przestań kłamać! – syknęła Iris. – Marie-Claire powiedziała mi wszystko.

Fleur uniosła głowę, lecz wyglądała już tylko na zgnębioną. I dopiero w tej chwili do Iris dotarło, że Fleur być może nie miała pojęcia o tym, co jej siostra wiedziała. Iris nie wyciągnęłaby z niej wszakże żadnej odpowiedzi, gdyby nie zadała jej pytania prosto z mostu.

– Marie-Claire powiedziała mi, kto jest ojcem. Ona wie. A teraz ja również.

Fleur zbladła, choć wciąż nie zamierzała się przyznać. Iris niemalże podziwiała jej upór.

– Dlaczego nie powiedziałaś Richardowi, że ojcem dziecka jest John Burnham? – spytała. – Dlaczego, na miły Bóg, kazałaś mu myśleć, że to ten szubrawiec William Parnell?

– Bo William Parnell nie żyje! – wybuchnęła Fleur, cała czerwona, chociaż w jej oczach widać było tylko przygnębienie i desperację. – Richard nie mógł mnie przecież wydać za umarłego.

– Ale John Burnham żyje. I to on jest ojcem twojego dziecka.

Fleur pokręciła gwałtownie głową, jednak nie w geście przeczenia.

– Nie o to chodzi – odparła. – Naprawdę nie o to.

– Fleur…

– Przecież mogę się przenieść gdzie indziej. – I jakby chcąc wskazać kierunek, histerycznym ruchem zatoczyła ręką krąg. Nie zauważyła nawet, że Iris musiała odskoczyć w tył, by uniknąć kontaktu ze szpicem nożyc. – Mogę też udawać wdowę. Czemu Richard nie chce mi na to pozwolić? Nikt by o niczym nie wiedział. No, bo niby skąd?

Iris skuliła się, bo nożyce ponownie świsnęły jej koło nosa.

– Odłóż wreszcie to paskudztwo!

Fleur wciągnęła raptownie dech, patrząc na nożyce ze zgrozą.

– Prze… praszam – wyjąkała. – Byłam tak… tak bardzo… – Drżącymi rękami odłożyła niebezpieczne narzędzie na ławkę, robiąc to powolnym, ostrożnie odmierzonym ruchem.

– Wyjechałabym daleko stąd – ciągnęła cicho, choć wciąż nerwowo. – Udawałabym wdówkę. Tak byłoby chyba najlepiej.

– Na miłość… – Iris urwała, usiłując pohamować gniew. Raz i drugi nabrała w płuca powietrza, a potem odetchnęła powoli. – Mówisz bez sensu. Wiesz równie dobrze jak każdy, że jeśli chcesz być naprawdę dobrą matką tego dziecka, to powinnaś wyjść za mąż.

Fleur stuliła ramiona i popatrzyła w dal, gdzieś ponad wejściem do altanki, ku horyzontowi.

Iris wydusiła z siebie w końcu to pytanie, które należało zadać.

– A czy on w ogóle o tym wie?

Zesztywniała Fleur zadrżała i ledwo zauważalnym ruchem pokręciła głową.

– Nie uważasz, że powinnaś mu powiedzieć?

– Złamałoby mu to serce – szepnęła Fleur.

– A dlaczego? – zapytała przynaglająco Iris. Zabrzmiało to wprawdzie nieco szyderczo, ale choć nie miała zbyt wiele cierpliwości na początku tej rozmowy, teraz szło jej jak z płatka.

– Dlatego że on mnie kocha – odparła Fleur.

Iris przymknęła oczy, usiłując zdobyć się na cierpliwość i opanowanie, a potem spytała:

– A ty go kochasz?

– Oczywiście, że kocham! – krzyknęła Fleur. – Za kogo ty mnie masz? Może za taką kobietę, co…

– Nie wiem – odparła Iris otwarcie i szczerze. A gdy Fleur się cofnęła z oburzeniem w oczach, dodała lekko poirytowanym głosem: – A za jaką kobietę uważasz mnie?

Fleur stała nieruchomo jak statua, aż wreszcie wykrztusiła z trudem:

– Za całkiem porządną.

– Jeśli kochasz Johna Burnhama – ciągnęła Iris z cierpliwością, w tym wypadku raczej wymuszoną okolicznościami niż prawdziwie szczerą – to z pewnością zrozumiesz, że musisz mu powiedzieć o dziecku, żeby mógł się z tobą ożenić. Pojmuję, że nie jest to narzeczony, którego życzyłaby sobie twoja rodzina, ale…

– To dobry i przyzwoity człowiek! – przerwała Fleur. – Nie pozwolę ci go szkalować!

Iris w duchu wezwała bożej pomocy. Jak mogła mówić do rzeczy, skoro każde zdanie Fleur przeczyło poprzedniemu, jakby z negacji uczyniła sobie oręż.

– Ani mi się śniło źle o nim mówić – zaczęła ostrożnie – chciałam tylko powiedzieć, że…

– On jest wspaniałym człowiekiem… – Fleur wojowniczo skrzyżowała ręce na piersi, a Iris zastanawiała się, czy ona w ogóle pojmuje, że nikt się z nią o to nie spiera – …honorowym i szczerym.

– Oczywiście, ale…

– Lepszym niż każdy z tych – Fleur wymówiła to z sarkazmem – dżentelmenów, których spotykałam na miejscowych zabawach.

– W takim razie powinnaś za niego wyjść.

– Nie mogę!

Iris westchnęła donośnie i długo, żeby się uspokoić. Nigdy nie była typem kobiety, co kołysze w ramionach zrozpaczone przyjaciółki lub siostry, szepcząc: „No dobrze już, dobrze”.

Uznała więc, że nie warto się przejmować.

Postanowiła natomiast zagrać w otwarte karty i palnęła energicznie:

– Na miłość boską, Fleur, co ty wyrabiasz?

Fleur, zaskoczona, cofnęła się o krok. Z niekłamanym przestrachem w oczach.

Iris zacisnęła mocno zęby.

– Zrobiłaś już jeden błąd. Nie pogarszaj sytuacji, robiąc kolejny.

– Jednak…

– Mówisz, że go kochasz, a nie masz dla niego nawet tyle szacunku, żeby mu oznajmić, że zostanie ojcem?

– Nieprawda!

– Mogę się domyślać, że twoja niechęć ma coś wspólnego z jego pozycją społeczną.

Fleur kiwnęła głową. Z wyraźnym rozgoryczeniem.

– No cóż, w taki razie – syknęła Iris, grożąc Fleur palcem niebezpiecznie blisko jej nosa – stanowczo powinnaś była wziąć to pod uwagę, nim się mu oddałaś.

Fleur zadarła energicznie podbródek.

– Było inaczej.

– Skoro nie byłam przy tym, nie mogę się z tobą spierać. Ale w takim razie – szybko dodała, widząc, że Fleur już otwiera usta, by się jej sprzeciwić – nie powiedziałaś mu prawdy, a teraz jesteś w ciąży.

– Czy myślisz, że tego nie wiem?

Iris postanowiła nie odpowiadać na to zupełnie zbędne pytanie.

– Pozwól mi tylko spytać – odrzekła zamiast tego – czemu, skoro tak ci zależy na twoim statusie, sprzeciwiasz się Richardowi, który chce adoptować twoje dziecko? Z pewnością rozumiesz, że to jedyny sposób ochronienia twej reputacji.

– Bo to moje dziecko! – wybuchnęła Fleur. – Nie chcę go nikomu oddawać!

– Przecież nie wziąłby go nikt obcy. – Iris powiedziała to najzimniejszym tonem, na jaki mogła się zdobyć. Musiała sprawić, żeby Fleur poczuła się przyparta do muru, bo w inny sposób by jej nie przekonała.

– Czy nie widzisz, że to coś jeszcze gorszego? – Fleur ukryła twarz w dłoniach i zaczęła szlochać. – Ten przymus, by uśmiechać się słodko, kiedy moje dziecko będzie mnie nazywać ciocią Fleur? Albo udawać, że nie czuję bólu za każdym

razem, kiedy ono nazwie cię mamą?

– No, to wyjdźże już za tego Burnhama – powiedziała błagalnie Iris.

– Nie mogę.

– A dlaczegóż to, do diabła ciężkiego, nie możesz?

Brutalne słowa Iris sprawiły, że Fleur drgnęła raptownie i nerwowo zamrugała.

– Czy chodzi o Marie-Claire? – spytała Iris.

Fleur z wolna uniosła twarz. Miała zaczerwienione, pełne łez oczy i minę tak zgnębioną, że aż serce się krajało. Nie skinęła głową, ale też nie musiała tego robić. Iris znała odpowiedź.

Marie-Claire mówiła jej wcześniej o tym całkiem wyraźnie. Gdyby jej siostra wyszła za dzierżawcę brata, byłby to straszliwy skandal. Fleur nie chciano by przyjmować w żadnym z okolicznych „dobrych domów". Wszystkie znane jej przedtem rodziny zaczęłyby ją traktować jak powietrze i udawałyby, że jej nie widzą, gdyby przypadkiem spotkały ją gdzieś na swej drodze.

– My, Brytyjczycy, nie traktujemy życzliwie tych, co ośmielają się przejść do innej sfery – stwierdziła zgryźliwie Iris – obojętne, czy to w górę, czy w dół po drabinie społecznej.

– Ano, właśnie – odparła Fleur, niepewnie uśmiechając się drżącymi wargami. Dotknęła nierozkwitłego jeszcze pączka róży, przesuwając palcem po bladoróżowych płatkach. Nagle odwróciła się i spojrzała na Iris wzrokiem zaskakująco wyzutym z emocji. – Czy wiesz, że istnieje ponad sto rozmaitych odmian róż?

Iris przytaknęła.

– Moja matka je hodowała. Nauczyła mnie o nich mnóstwa rzeczy. Te – Fleur wskazała na pnące róże koło niej – są różami pełnymi. Ludzie je lubią, bo mają naprawdę dużo płatków. – Nachyliła się i powąchała jeden z kwiatów. – A także bardzo intensywnie pachną.

– Centyfolie – mruknęła Iris.

Fleur uniosła brwi z uznaniem.

– Wiesz co nieco o różach.

– Ale tylko trochę – przyznała Iris. Nie wiedziała, dokąd zmierza ta rozmowa, lecz przynajmniej Fleur już nie płakała.

Fleur milczała przez chwilę, przyglądając się kwiatom. Większość była dopiero w pąkach, ciemniejszego koloru niż te, które już zaczynały rozkwitać.

– Spójrz na nie – powiedziała. – To wszystko róże biskupie. Jedna w drugą. Wszystkie mają ten sam różowy odcień. – Spojrzała przez ramię na Iris. – Matka lubiła tę jednolitość.

– Bo jednolitość jest piękna.

– Prawda? – Fleur zrobiła jeszcze kilka kroków bez wyraźnego celu i zatrzymała się, żeby znów powąchać różę. – Choć różnorodność też służy ogrodom. Mogłabym wybrać pięć odmian centyfolii. Albo i dziesięć. Mogłabym też hodować, powiedzmy, purpurowe. Albo te w rozmaitych odcieniach różu. W końcu kto powiedział, że wszystkie muszą być jednakie.

Iris skinęła głową bez słowa. Dobrze rozumiała, że Fleur mówi nie tylko o kwiatach.

– Mogłabym ponadto zasadzić róże kosmate. Albo francuskie. Nikt by się tu ich pewnie nie spodziewał, lecz rosłyby bez najmniejszych przeszkód.

– Mogłyby się nawet pięknie rozkrzewić – dodała cicho Iris.

Fleur odwróciła się gwałtownie i popatrzyła na nią.

– Tak, mogłyby – powtórzyła. A potem westchnęła ze znużeniem i usiadła na małej kamiennej ławce. – Cóż, to przecież nie róże są przyczyną kłopotów, tylko ludzie, którzy je oglądają.

– Tak zwykle bywa – potwierdziła Iris.

Fleur uniosła wzrok. Nie było już w nim ani śladu smutku.

– Aż dotąd moja młodsza siostra była panną Kenworthy z Maycliffe, siostrą Richarda Kenworthy'ego, baroneta. Może nie zwróciłaby na siebie wielkiej uwagi w Londynie, ale tu, w tym zakątku Yorkshire, stanowiłaby jedną z najlepszych partii, kiedy dorośnie.

Iris przytaknęła.

Nagle Fleur wstała, odwróciła się tyłem do niej i stuliła ramiona.

– Bo tutaj także miewamy przyjęcia, jak sama wiesz. Są też bale i zabawy. Marie-Claire miałaby więc sposobność spotkania wcale licznych młodych mężczyzn gotowych do żeniaczki. Mam nadzieję, że w którymś by się zakochała. – Spojrzała przez ramię na Iris, odwracając głowę na tyle, by widzieć jej twarz z profilu. – Gdybym jednak ja wyszła za Johna…

– Powinnaś za niego wyjść – powiedziała łagodnie Iris.

– Gdybym wyszła za Johna – powtórzyła Fleur, tym razem głośniej, jakby koniecznie chciała się sprzeciwić Iris nie tyle słowami, co samym tonem głosu – Marie-Claire zostałaby siostrą „tej Kenworthy" co poślubiła wieśniaka. Nikt by jej nie zapraszał, no i nie miałaby okazji poznać wszystkich tych młodych dżentelmenów. A gdyby już wyszła za mąż, to pewnie za jakiegoś starego i grubego kupca, któremu zależałoby tylko na jej nazwisku.

– Założyłabym się, że niektórzy z tych gotowych do żeniaczki dżentelmenów też byliby starzy i grubi – odparła Iris – i z pewnością zależałoby im na jej nazwisku.

Fleur odwróciła się szybko z gniewnym spojrzeniem.

– Ale nie musiałaby wychodzić właśnie za nich! To nie to samo. Nie widzisz różnicy? Gdybym wyszła za Johna – nie, gdybym choćby postanowiła za niego wyjść – Marie-Claire nie miałaby żadnego wyboru. Kim bym się wtedy okazała?

– Ale to właśnie ty nie masz wyboru – wytknęła jej Iris. – A przynajmniej takiego, którego byś sobie życzyła. Możesz albo wyjść za Johna Burnhama, albo pozwolić, byśmy udawali, że dziecko jest nasze. Gdybyś wyjechała stąd po kryjomu jako fałszywa wdowa, zaraz ktoś by to odkrył. Czy naprawdę sądzisz, że nikt nie dojdzie prawdy? A jeśli się tak stanie, zrujnujesz matrymonialne szanse Marie-Claire o wiele skuteczniej, niż gdybyś została panią Burnham.

Iris skrzyżowała ręce na piersi i czekała, by Fleur rozważyła jej słowa, choć może lekko przesadziła. Anglia nie była może dużym krajem, a przynajmniej nie tak dużym, jak Francja czy Hiszpania, lecz jednak podróż z jednego jej krańca na drugi trwałaby ponad tydzień. Gdyby Fleur osiadła gdzieś na południu, mogłaby pewnie spędzić tam resztę życia, udając wdowę, i nikt z okolic Maycliffe nie poznałby prawdy.

Z pewnością nie było to wszakże najlepsze rozwiązanie.

– Chciałabym… – Fleur uśmiechnęła się ze smutkiem – chciałabym, żeby tak się stało. – Westchnęła. – Gdybym pochodziła z twojej rodziny i gdyby mój kuzyn był hrabią, a inny poślubił jakąś…

Nie byłoby żadnej różnicy, pomyślała Iris, dla dobrze urodzonej lady, pragnącej poślubić dzierżawcę. Na głos jednak powiedziała:

– Będę cię wspierać.

Fleur popatrzyła na nią z zagadkowym wyrazem twarzy.

– Richard także – ciągnęła Iris, modląc się w duchu, by zdołała mu o tym wszystkim powiedzieć. – Owszem, wybuchnie skandal i niektórzy ludzie nie będą cię chcieli przyjmować, ale Richard i ja staniemy za tobą murem. I ty, i twój mąż będziecie zawsze mile widziani w naszym domu, a kiedy już urządzimy jakąś zabawę, będziesz naszym najgoręcej przyjmowanym gościem.

Fleur uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– To bardzo miłe z twojej strony – odparła, choć nie wyglądała może na całkowicie przekonaną.

– Jesteś moją siostrą – rzekła Iris szczerze.

Fleur uniosła brwi i choć skinęła głową, to w taki sposób, jakby niezupełnie jej wierzyła. Wreszcie, gdy Iris miała już nadzieję, że ich rozmowa dobiega końca, Fleur spojrzała na nią i rzuciła nieoczekiwanie:

– Nigdy nie byłam w Londynie.

Iris zdumiała się tą nagłą zmianą tematu.

– Przepraszam… o co ci chodzi?

– Nigdy nie byłam w Londynie – powtórzyła Fleur. – Wiesz o tym?

Iris pokręciła głową. Londyn był tak pełen ludzi – i tak dla nich atrakcyjny. Wydawało się wręcz niemożliwe, że ktoś mógł nigdy go nie odwiedzić.

– Zresztą nigdy tego nie pragnęłam. – Fleur wzruszyła ramionami, patrząc wymownie na Iris. – Wiem, myślisz, że jestem bezmyślną i frywolną dziewczyną, ale mnie wcale nie potrzeba jedwabi, atłasów i zaproszeń na najlepsze przyjęcia. Chcę mieć tylko miły dom, przyzwoite jedzenie, no i oczywiście męża, który zdoła mi zapewnić jedno i drugie. Ale Marie-Claire…

– …może pojechać do Londynu! – wpadła jej nagle w słowo Iris. – O Boże, dlaczego nie pomyślałam o tym wcześniej?

Fleur spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Nie rozumiem.

– Wysłalibyśmy Marie-Claire do mojej matki – powiedziała z przejęciem Iris. – Mogłaby się zająć dziewczyną podczas sezonu.

– Zechciałaby?

Iris zbyła ją lekceważącym machnięciem ręki. Co za pytanie! Kiedy Marie-Claire osiągnie odpowiedni wiek, Daisy wyjdzie już za mąż i opuści dom. A jej matka zanudzi się na śmierć, nie mając więcej córek do wyswatania.

O tak, na pewno Marie-Claire świetnie by tam pasowała.

– Pojechałabym z nią najpierw na część sezonu – sprecyzowała Iris – co nie będzie wcale trudne.

– Choć z pewnością ludzie by plotkowali… nawet w Londynie… gdybym rzeczywiście wyszła za Johna… – Fleur nie dokończyła zdania, lecz po raz pierwszy, odkąd Iris się z nią zetknęła, zdawała się mówić z jakąś nadzieją w głosie.

– Ludzie będą wiedzieć tylko tyle, ile im powiemy – odrzekła stanowczym tonem Iris. – A przez ten czas twój John Burnham stanie się szanowanym właścicielem gruntów, jeśli nawet nie nazbyt rozległych. Poważnym i statecznym młodym mężczyzną, za jakiego taka dziewczyna jak ty powinna wyjść.

Może rzeczywiście kimś takim się stanie? Iris uznała, że Mill Farm to całkiem solidny majątek i solidne wiano, które sprawi, że John Burnham przedzierzgnie się z dzierżawcy w średniorolnego właściciela ziemskiego; a do tego jako mąż Fleur Kenworthy będzie na dobrej drodze do zyskania statusu dżentelmena.

Pewnie, że i wtedy skandalu się nie uniknie, bez dwóch zdań, ale to nic w porównaniu ze skandalem, który wybuchłby wówczas, gdyby Fleur urodziła

nieślubne dziecko. A jeśli do tego Marie-Claire znajdzie się daleko w Londynie, wspierana przez całą rodzinę Iris…

– No, idź i powiedz mu o tym – zwróciła się do Fleur.

– Już teraz?

Iris o mało się nie roześmiała z radości.

– A czy jest jakikolwiek powód, żeby zwlekać?

– Cóż, zapewne nie ma, tylko… – Fleur popatrzyła na nią z niemal zrozpaczoną miną – …czy jesteś pewna?

Iris chwyciła ją za obie dłonie.

– Idź i znajdź go. I powiedz, że zostanie ojcem.

– Będzie okropnie zły – wyszeptała Fleur. – O to, że mu nic nie powiedziałam. Wścieknie się.

– Cóż, ma po temu wszelkie powody. Lecz jeśli cię kocha, to zrozumie.

– Och, niewątpliwie – odparła Fleur, co zabrzmiało, całkiem jakby próbowała przekonać samą siebie.

– No, to już idź. – Iris ujęła Fleur za ramiona i skierowała ją ku wyjściu z altanki. – Idź!

Fleur podniosła się i obróciła nagle wokół własnej osi, a potem zarzuciła Iris ręce na szyję. Ta próbowała odwzajemnić uścisk, lecz nim zdołała to zrobić, Fleur już odbiegła, przytrzymując suknię, z włosami rozsypanymi na ramionach, gotowa rozpocząć nowe życie.

# 25

**R**ichard uznał, że jest w tym wszystkim jakaś ironia. Gotów był oświadczyć, że całkowicie odmieni swoje życie i zdać się na łaskę i niełaskę żony – a nie mógł jej, jak na złość, nigdzie znaleźć.

– Iris! – krzyknął donośnie. Przeszukał zachodnie pola, gdyż jeden ze stajennych powiedział mu, że widział, jak szła w tamtym kierunku, ale jedynym tego świadectwem okazała się nadgryziona bułeczka leżąca koło żywopłotu, zawzięcie rozdziobywana przez stadko wygłodniałych wron.

Bardziej zirytowany niż zmęczony powlókł się ku domowi i przeszukał go w rekordowym tempie, otwierając gwałtownie różne drzwi i przerażając śmiertelnie co najmniej trzy służące. Wreszcie natrafił na Marie-Claire, która stała, cała nadąsana, w głównym holu. Ledwie rzucił okiem na jej pozę – miała skrzyżowane na piersi ręce i wręcz kipiała ze złości – ale doszedł szybko do wniosku, że nie ma ochoty wiedzieć, kto ją doprowadził do takiego stanu.

Potrzebował jednak jej pomocy.

– Gdzie jest moja żona? – zapytał.

– Nie mam pojęcia.

Wydał z siebie coś zbliżonego do wściekłego pomruku.

– Ależ ja naprawdę nie wiem! – zaprotestowała Marie-Claire. – Byłam z nią na spacerze, lecz potem gdzieś odbiegła.

Richard poczuł, że serce w nim zamiera.

– Odbiegła?

– Potknęłam się nawet przez nią! Popchnęła mnie! – oznajmiła Marie-Claire, wyraźnie urażona.

– Zaraz, zaraz… – Richard usiłował coś z tego zrozumieć. – Popchnęła cię?

– Właśnie! Wychodziłyśmy akurat z oranżerii, a ona mnie popchnęła. Mogło mi się naprawdę coś stać.

– A stało ci się?

Marie-Claire spojrzała na niego ponuro i wydusiła bardzo niechętnie:

– Nie.

– A gdzie poszła?

– Nie patrzyłam! – rzuciła opryskliwie Marie-Claire. – Bo musiałam się upewnić, czy będę mogła nadal chodzić.

Richard otarł czoło. Doprawdy, powinien już się bez trudu domyślić, gdzie Iris mogła się podziać.

– Po co poszłyście do oranżerii? – spytał.

– Żeby poszukać Fle… – Marie-Claire nagle zamilkła, choć Richard nie miał pojęcia dlaczego. Kiedy indziej wzbudziłoby to w nim nieufność. Teraz stracił jedynie cierpliwość.

– A czego Iris chciała od Fleur?

Marie-Claire zacisnęła usta tak mocno, że utworzyły jedną cienką linię.

Richard westchnął zniecierpliwiony. Nie miał czasu na podobne bzdury.

– No, dobrze. Jeśli ją zobaczysz, powiedz, że jej szukałem.

– Fleur?

– Nie, Iris.

– Och! – prychnęła z urazą Marie-Claire. – Oczywiście.

Richard kiwnął głową i skierował się ku drzwiom frontowym.

– Czekaj! – zawołała Marie-Claire.

Nie posłuchał.

– Gdzie lecisz?

Richard się nie zatrzymał.

– Do oranżerii!

– Ależ jej tam już nie ma! – Marie-Claire powiedziała to zadyszana. Richard zrozumiał, że musiała biec, żeby się z nim zrównać.

– Nie ma jej i w holu. – Richard wzruszył ramionami. – Mógłbym więc równie dobrze zajrzeć do oranżerii.

– Czy mogę pójść z tobą?

To wystarczyło, żeby się zatrzymał.

– Co takiego? A dlaczego?

Marie-Claire kilka razy na przemian otwierała i zamykała usta.

– No, ja tylko… No cóż, nie mam po prostu nic innego do roboty.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Jesteś strasznie marną kłamczuchą.

– A właśnie że nie! Umiem kłamać bardzo dobrze.

– To tak się rozmawia ze starszym bratem i opiekunem?

– Nie, ale… – Wciągnęła nagle dech. – Fleur tu idzie!

– Gdzież ona jest? – Richard skierował wzrok na lewo, tam, gdzie patrzyła

Marie-Claire. I rzeczywiście zobaczył Fleur. Pędziła przez pole najszybciej, jak mogła.

– Diabeł w nią wstąpił czy co? – wymamrotał Richard.

Marie-Claire znów wciągnęła dech, tym razem robiąc to głośno, prawie jak akordeon.

Richard ocienił oczy ręką i ponownie spojrzał w kierunku Fleur.

Wyglądała na przygnębioną. Chyba powinien wyjść jej naprzeciw.

– Idę sobie, na razie!

Nim Richard zdołał się zorientować, Marie-Claire pobiegła ku Fleur.

Richard skręcił w stronę oranżerii, a potem zastanowił się. Iris zapewne była tam, gdzie wcześniej znajdowała się Fleur. Zwrócił się więc na południe, tam gdzie wznosił się pagórek, i jeszcze raz zawołał Iris.

Nie znalazł jej. Wybrał ścieżkę wśród grządek z truskawkami, bo, jak wiedział, Fleur lubiła schodzić nią ku strumykowi, okrążając rozarium matki, i znalazł tam oznaki czyjejś niedawnej bytności. A potem dał sobie spokój i zawrócił w stronę domu. Jego groteskowa wędrówka sprawiła, że poszukiwanie Iris przestało być na razie kwestią niecierpiącą zwłoki. Gdy już zamknął za sobą drzwi swej sypialni, był bardziej rozdrażniony niż zdesperowany. Obliczał, że ma w nogach dobre trzy mile, z czego połowa była jedynie kręceniem się w kółko, a teraz na szczęście jest w sypialni i nic już…

– Richardzie?

Odwrócił się gwałtownie.

– Iris?

Stała w drzwiach łączących ich sypialnie, z ręką wspartą na framudze, jakby czymś podenerwowana.

– Pani Hopkins mówiła, że mnie szukałeś.

O mało się nie roześmiał. Szukał jej, owszem! W jakiś niepojęty sposób wydało mu się to iście monstrualnym eufemizmem.

Przyglądała mu się, przechylając głowę z zaciekawieniem i troską jednocześnie.

– Czy coś się stało?

– Nie.

Patrzył wciąż na nią, nie wiedząc, czy kiedykolwiek odzyska zdolność mówienia inaczej niż tylko monosylabami. Kiedy stała tam, na tle łagodnych barw swej sypialni, różowej niczym poranny obłoczek, była niebywale wprost piękna.

Nie, więcej niż piękna. To słowo tutaj stanowczo nie wystarczało.

Nie mógł znaleźć właściwego określenia. Nie wiedział, czy w ogóle jakieś słowo

może oddać to, co czuł w tej chwili i co działo się w jego sercu, kiedy ich oczy się spotkały.

Zwilżył wargi językiem, ale nie był zdolny wymówić ani słowa i nawet tego nie próbował. Poczuł za to gwałtowną, choć kłopotliwą chęć, żeby uklęknąć przed nią niczym średniowieczny rycerz, ująć jej dłoń i wyjawić swe całkowite oddanie.

Zrobiła jeden krok, a potem drugi, wchodząc do jego pokoju, choć później się jednak zatrzymała.

– W tej chwili – powiedziała, a słowa szybko płynęły z jej ust – ja też chciałam pomówić z tobą. Nie uwierzysz, jak bar…

– Przepraszam! – wyrzucił z siebie.

Zdumiała się i spytała zaniepokojona:

– Co takiego?

– Przepraszam – powtórzył, niemal dławiąc się tym słowem. – Przepraszam. Kiedy układałem mój plan, nie sądziłem, że… – Przejechał ręką po włosach. Dlaczego mówienie było takie trudne? Miał przecież czas, żeby przemyśleć to, co jej powie. Przez te wszystkie godziny, gdy krążył po polach i głośno wykrzykiwał jej imię, powinien był przecież ułożyć sobie ten tekst w głowie i wypróbować go, sylaba po sylabie. A teraz, wobec jasnobłękitnych oczu żony, pogubił się zupełnie.

– Richardzie – zaczęła – muszę powiedzieć, że…

– Nie, błagam cię. – Przełknął ślinę. – Pozwól mi, żebym mówił dalej. Proszę o to.

Zamilkła, a on mógł ujrzeć w jej oczach zaskoczenie jego pokorą.

Wypowiedział na głos jej imię albo przynajmniej pomyślał, że je wypowiedział. Nie pamiętał, w jaki sposób przeszedł przez pokój, dość, że nagle znalazł się tuż przed nią i ujął jej dłonie w swoje.

– Kocham cię – rzekł. Nie to miał zamiar jej powiedzieć, w każdym razie jeszcze nie teraz, ale właśnie tak zrobił, a było to ważniejsze i cenniejsze niż cokolwiek innego.

– Kocham cię. – Osunął się przed nią na kolana. – Kocham cię tak bardzo, że niekiedy aż mnie to boli, ale gdybym nawet wiedział, jak położyć temu kres, nie chciałbym tego, bo ten ból jest przynajmniej czymś, co czuję.

W jej oczach błysnęły łzy. Ujrzał, jak pulsuje żyłka na jej szyi.

– Kocham cię – powtórzył raz jeszcze, bo już nie wiedział, jak przestać. – Kocham cię, a jeśli mi pozwolisz, spędzę całą resztę mojego życia, udowadniając ci to. – Wstał, nie wypuszczając jej dłoni, a ich oczy się spotkały w uroczystym przyrzeczeniu. – Chcę zasłużyć na twoje przebaczenie.

Zwilżyła językiem drżące wargi.

– Richardzie, ty nie…

– Nie, ja to zrobię. Zraniłem cię. – Sprawiło mu ból wypowiedzenie tych słów na głos, przyznanie się do winy. – Okłamałem cię, wywiodłem w pole i…

– Dość – prosiła. – Błagam.

Czy to, co ujrzał w jej oczach, było przebaczeniem? Albo choćby jego cieniem?

– Posłuchaj – zaczął, ściskając mocno jedną z jej dłoni. – Nie musisz tego robić. Znajdziemy inny sposób. Przekonam Fleur, żeby za kogoś wyszła, albo jakoś zdobędę niezbędne pieniądze, żeby mogła uchodzić za wdowę. Nie będę mógł jej widywać tak często, jakbym chciał, ale…

– Dość – przerwała mu znowu, kładąc mu palec na wargach. Uśmiechała się. Najwyraźniej się uśmiechała, choć drżącymi wargami. – Dosyć.

Pokręcił głową. Nie rozumiał jej.

– Fleur skłamała – powiedziała.

Zdrętwiał.

– Co takiego?

– Nie o tym, że spodziewa się dziecka, ale o jego ojcu. To wcale nie był William Parnell.

Richard, zdumiony, usiłował coś z tego zrozumieć.

– W takim razie kto?

Iris przygryzła wargę i popatrzyła gdzieś w bok. Wahała się.

– Na miłość boską, Iris, jeśli mi nie powiesz…

– John Burnham! – rzuciła gwałtownie.

– Co?

– To John Burnham, twój dzierżawca.

– Wiem, kim on jest – odparł raptowniej, niż zamierzał. – Ja tylko… – Zmarszczył brwi i rozchylił usta, pewien, że wygląda teraz niczym jakiś beznadziejny idiota w oślej czapce. – John Burnham? Naprawdę?

– Marie-Claire powiedziała mi o tym.

– To Marie-Claire wiedziała?

Iris przytaknęła.

– Ja ją chyba uduszę!

Iris z wahaniem zmarszczyła brwi.

– Prawdę mówiąc, nie była pewna…

Patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Fleur jej nie powiedziała – wyjaśniła. – Marie-Claire domyśliła się wszystkiego sama.

– Domyśliła się – powtórzył, czując jeszcze wyraźniej oślą czapkę na głowie – a

ja nie?

– Ty nie jesteś jej siostrą – powiedziała, jakby to mogło wszystko wyjaśnić.

Przetarł oczy.

– Wielkie nieba, John Burnham! – Patrzył na nią, starając się, żeby wyraz niedowierzania zniknął z jego twarzy. – John Burnham.

– Pozwolisz jej go poślubić, prawda?

– A mam jakiś wybór? Dziecko potrzebuje ojca. I ma go przecież. – Nagle spojrzał na nią ostro. – Ale nie zrobił tego przemocą?

– Nie – odparła. – W żadnym razie.

– No jasne, że nie. – Pokręcił głową. – On nigdy by się do czegoś takiego nie posunął. Na tyle go znam.

– Lubisz go, prawda?

– Tak. Przecież już mówiłem. Tylko że… on… – Westchnął. – Przypuszczam, że właśnie dlatego mi nie powiedziała. Czuła, że się nie zgodzę.

– Owszem, a do tego martwiła się o Marie-Claire.

– Och, Boże – jęknął. Że też od razu nie pomyślał o Marie-Claire. – Po czymś takim nie wyjdzie już dobrze za mąż.

– Nie martw się – odezwała się z ożywieniem. – Już ja się tym zajmę. Wszystko dobrze obmyśliłam. Poślemy ją do Londynu. Moja matka wprowadzi ją tam w odpowiednie towarzystwo.

– Czy jesteś tego pewna? – Richard nie mógł określić tego czegoś, co tak dziwnie ściskało go w piersi. Podbiła go całkowicie swoją bystrością i czułym sercem. Miała wszystko to, czego pragnął u kobiety, nawet sobie tego nie uświadamiając, i w jakiś zadziwiający, cudowny sposób należała do niego.

– Och, moja matka swatała córki od 1818 roku – odrzekła z dyskretnym uśmiechem. – Nie będzie wiedziała, co z sobą począć, kiedy już i Daisy odejdzie z domu. Wierz mi, z mamusią doprawdy trudno wytrzymać, kiedy się nudzi. Staje się wtedy zupełnie nie do wytrzymania. – Richard roześmiał się. – Wcale nie żartuję.

– Nie wątpię. Pamiętaj, że zdążyłem ją przecież poznać.

Usta Iris wygięły się z rozbawieniem.

– Ona i Marie-Claire będą do siebie świetnie pasować.

Kiwnął głową. Pani Smythe-Smith w roli opiekunki Marie-Claire z pewnością sprawi się lepiej od niego. Spojrzał znów na Iris.

– Czy wyobrażałaś sobie, że będę miał szczerą ochotę zabić Fleur, nim jej pozwolę wyjść za Johna?

Jego żona tylko się uśmiechnęła, usłyszawszy podobny nonsens.

– Wystarczy, jak jej wybaczysz. Ja to już zrobiłam.

– Chyba mi raz mówiłaś, że nie czujesz się chodzącym wzorcem chrześcijańskiego miłosierdzia i wybaczania.

Wzruszyła ramionami.

– Właśnie zamierzam się zmienić.

Richard ujął jej dłoń i uniósł ją do warg.

– A czy uważasz, że byłabyś zdolna wybaczyć mnie?

– Już ci wybaczyłam – szepnęła.

Poczuł tak niesłychaną ulgę, że ledwie mógł się utrzymać na nogach. Potem spojrzał jednak w jej oczy o jasnych rzęsach, wilgotnych jeszcze od łez i jakoś wytrwał. Ujął jej twarz w dłonie i przybliżył ku sobie, całując ją z gwałtownością człowieka, który stanął oko w oko z niebezpieczeństwem, lecz zdołał je przetrwać.

– Kocham cię – rzekł, całując ją gwałtownie. – Strasznie cię kocham.

– I ja cię kocham.

– Nigdy nie sądziłem, że usłyszę to od ciebie.

– Kocham cię.

– Jeszcze raz! – zażądał.

– Kocham cię!

Uniósł jej dłonie do ust.

– Uwielbiam cię.

– Czy jedno drugiemu przeczy?

Powoli pokręcił głową.

– Zamierzam cię wielbić od zaraz.

– Od… zaraz? – Spojrzała na okno. Popołudniowe słońce świeciło w nie bez przerwy; promienne, pełne blasku i przychylne.

– Czekałem o wiele za długo – wymruczał, biorąc ją w ramiona. – I ty również.

Iris jęknęła cicho, zaskoczona, gdy rzucił ją na łóżko. Materac miał ledwie parę cali grubości, ale wystarczyło to, by się na nim zakołysała, a jemu pozwoliło nakryć ją swoim ciałem, ona zaś jeszcze raz doznała jakiegoś wręcz pierwotnego wrażenia, że przygwoździł ją do łóżka.

Znalazła się na jego łasce.

Była jego. A on ją kochał.

– Jesteś cudowna – wymruczał, kryjąc twarz w zagłębieniu jej szyi. Ucałował delikatny dołeczek nad obojczykiem, a ona aż jęknęła z rozkoszy. Jego palce odnalazły obszyty koronką brzeg stanika sukni.

– Marzyłem o tym.

– Ja także – powiedziała drżącym głosem, z trudem chwytając oddech, gdy

usłyszała niepozostawiający wątpliwości dźwięk rozdzieranej tkaniny.

– Przepraszam – szepnął, spoglądając na niewielką dziurkę.

– Nie żałuj tego.

– Nie żałuję. – Przystał na to z radością, chwytając zębami rąbek tkaniny.

– Richardzie! – nieomal krzyknęła.

Przeniósł na nią wzrok.

Boże, zachowywał się niczym pies nad kością i wcale o to nie dbał.

Wygięła wargi w uśmiechu.

– Tylko nie zrób gorszej dziury.

Uśmiechnął się lubieżnie i pociągnął lekko zębami za tkaninę.

– Czy tak?

– Dość!

Dał spokój brzegowi stanika i zaczął zdzierać z niej strój rękami, odsłaniając jedną z idealnie krągłych piersi.

– A może tak?

Jedyną jej odpowiedzią był przyśpieszony oddech.

– Czy w ten sposób? – spytał gardłowo, ujmując czubek piersi ustami.

Iris wydała przenikliwy okrzyk i kurczowo zanurzyła palce w jego włosach.

– A więc stanowczo tak – mruknął, dotykając jej lekko językiem.

– Dlaczego czuję się aż tak?… – wyszeptała bezsilnie.

Spojrzał na nią rozbawiony i zawtórował:

– A dlaczego ja też się tak czuję?

Zaczerwieniła się po szyję, a także i niżej.

– Czemu czuję coś takiego… tam w dole?

Może był rozpustnikiem. Może był bardzo perwersyjny i zepsuty, lecz mógł jedynie zwilżyć językiem wargi i wyszeptać:

– Gdzie?

Zadrżała z pożądania, ale nie odpowiedziała.

Ściągnął jej ze stopy pantofelek.

– Czy tutaj?

Pokręciła głową.

Przesunął rękę po smukłej łydce, aż po wewnętrzną stronę kolana.

Tutaj?

– Nie.

Uśmiechnął się do siebie. A i jej też podobała się ta zabawa.

– Czy może… – sunął palcami ku górze, póki nie zatrzymał ich na miękkim wgłębieniu między jej udem a biodrem – …tu?

Z trudem przełknęła ślinę i ledwie dosłyszalnym głosem wyszeptała:

– Prawie.

Zbliżył się jeszcze bardziej do celu, przesuwając końcami palców po miękkim meszku pokrywającym jej łono. Pragnął tam spojrzeć i zobaczyć te niewiarygodne jasne kędziorki w świetle dnia, ale to musiało poczekać. Był zbyt zaabsorbowany patrzeniem w jej twarz, gdy wsuwał palec do wewnątrz.

– Richardzie – szepnęła zdławionym głosem.

Znalazł ją tam tak wilgotną i gotową na niego, że aż jęknął głucho. Lecz, o czym oboje dobrze wiedzieli, Iris była drobna. Dlatego chciał się z nią kochać bardzo ostrożnie, powolnymi ruchami, co kompletnie się nie zgadzało ze spopielającym go od środka żarem.

– Co ty ze mną robisz najlepszego – szepnął, usiłując choć w części odzyskać panowanie nad sobą.

Uśmiechnęła się do niego, a w jej wyglądzie było coś zadziwiająco pogodnego i otwartego. Odczuł echo tej promienności na własnej twarzy, póki nie uśmiechnął się szeroko, jak ostatni głupiec, szczerze uradowany tym, że znajduje się tak blisko przy niej.

– Richardzie… – powiedziała, a w jej głosie zabrzmiało coś całkiem podobnego do jego uśmiechu.

– Jestem taki szczęśliwy. – Usiadł, żeby ściągnąć z siebie koszulę przez głowę. – Nic na to nie poradzę.

Dotknęła jego twarzy małą delikatną dłonią o jasnej skórze i powiodła nią wzdłuż jego podbródka.

– Wstań – powiedział nagle.

– Co ty mówisz?

– Wstań. – Zsunął się z łóżka, a potem pociągnął ją za rękę, chcąc, żeby zrobiła to samo.

– Co robisz?

– Coś mi się zdaje – odparł, ściągając jej suknię z bioder – że cię rozbieram.

Spojrzała na przód jego spodni.

– Och, zabiorę się i do tego – obiecał jej. – Ale najpierw… – Odnalazł delikatne wiązadła jej koszuli i pociągnął za nie. Wstrzymał dech, gdy opadła na podłogę niby obłoczek z białego jedwabiu. Iris wciąż jeszcze miała na nogach pończochy, choć nie był pewien, czy mógłby czekać aż tak długo, by zdjąć z niej również i to. W każdym razie jej sprawne ręce pośpiesznie rozpinały mu pozostałe jeszcze guziki.

– Jesteś zbyt powolny – wymruczała, niemal zdzierając z niego spodnie.

Jego pożądanie wzmagało się w niesłychanym tempie.

– Usiłowałem być delikatny.

– Nie chcę, żebyś taki był.

Schwycił ją więc mocno za pośladki i uniósł, tak by się z nim zetknęła, a potem obydwoje padli na łóżko. Rozchyliła nogi, a on niemal bez żadnego trudu znalazł się tuż przy samym celu, z wielkim trudem usiłując się powstrzymać przed wtargnięciem do wewnątrz.

Spojrzał na Iris, pytając ją wzrokiem:

– Czy już?

Schwyciła go tak energicznie jak on przedtem ją i wydała pełen desperacji krzyk. Mogło to być jego imię, nie wiedział tego na pewno; zresztą nie słyszał niczego prócz odgłosu pulsowania własnej krwi, gdy zagłębiał się w jej ciele.

Wszystko stało się niezwykle szybko. Czuł nawet, że cała sztywnieje, i uniósł się ku górze najbardziej, jak mógł.

– Czy cię nie zraniłem? – spytał.

– Nie przerywaj – wyjąkała, a potem już nie mogła wcale mówić. Zanurzał się w nią coraz głębiej, wiedziony jakąś nieodpartą siłą, której w pełni nie pojmował. Wiedział tylko jedno: że jej pożąda. Że pragnie znaleźć się w niej, być przez nią pochłoniętym. Że chce, by go obejmowała udami, by mógł się znaleźć między jej biodrami, gdy unosiła się, wychodząc mu na spotkanie.

Była go spragniona, może nawet tak samo jak on był spragniony jej, a to tylko rozpalało jeszcze bardziej jego pragnienia. Znalazł się blisko kresu, tak blisko, że ledwie mógł zapobiec temu, by cały nie eksplodował. A potem – dzięki Bogu, bo nie sądził, by mógł jeszcze wytrzymać choćby sekundę dłużej – poczuł, że Iris zaciska się wokół niego niby pięść i wydaje z siebie krzyk. Dotarł do samego kresu błyskawicznie; wciąż jeszcze cała pulsowała wokół niego, gdy się to stało.

Opadł bezwładnie na nią i leżał tak przez chwilę, by potem, po dwóch gwałtownych wdechach, obrócić się na bok, nie chcąc jej przygniatać swoim ciężarem. Leżeli tak przez jakiś czas, pozwalając ciałom ochłonąć, aż wreszcie Iris westchnęła cicho:

– Och, jej.

Poczuł, że się uśmiechnęła, powoli i z zadowoleniem.

– To było… – Nie zdołała dokończyć.

Obrócił się na drugi bok i wsparł na łokciu.

– To było… jakie?

Pokręciła jedynie głową.

– Nie wiem nawet, jak to opisać. Nie wiedziałabym, od czego zacząć.

– Od tego – powiedział i nachylił się, żeby ją lekko pocałować – że cię kocham.

Przytaknęła mu, a jej ruchy wciąż jeszcze były powolne i pełne znużenia.

– Myślę, że kończy się to tak samo.

– Nie – odparł łagodnie, choć stanowczo.

– Nie?

– To się wcale nie skończy – wyszeptał. – Nigdy.

Dotknęła jego policzka.

– Chyba rzeczywiście się nie skończy.

A wtedy pocałował ją jeszcze raz. Bo chciał ją pocałować. Bo musiał to zrobić.

Przede wszystkim jednak wiedział, że nawet jeśli oderwie od niej swoje usta, ich pocałunek wciąż jeszcze będzie trwać.

I że również on nie będzie miał końca.

# *Epilog*

***Maycliffe, 1830***

**C**o czytasz?

Iris uśmiechnęła się do męża, podnosząc wzrok znad listu.

– Napisała do mnie matka. Donosi, że Marie-Claire w ostatnim tygodniu była na trzech balach.

– Na trzech? – Aż się wzdrygnął.

– Ty byś pewnie uznał to za torturę – roześmiała się – ale Marie-Claire jest w siódmym niebie.

– No, niewątpliwie. – Usiadł koło niej na małej ławeczce, której używała przy swoim stoliku do pisania. – Czy ma już może jakichś wielbicieli?

– Na razie żadnych poważnych, choć czuję, że moja matka wciąż nie stara się tak, jak by mogła. Myślę, że chce, żeby Marie-Claire została u niej jeszcze na kolejny sezon. Twoja rodzona siostra okazała się najwyraźniej dużo chytrzejszą debiutantką niż którakolwiek z moich czterech.

Richard przewrócił oczami.

– Panie Boże, miej je obie w opiece.

– Są i inne dobre wieści – dodała z rozbawieniem. – Marie-Claire trzy razy w tygodniu bierze lekcje gry na altówce.

– Na altówce?

– Może też z tego powodu matka nie chce jej od siebie puścić. Marie-Claire ma występować w przyszłym roku na wieczorach muzycznych.

– Boże, miej nas w opiece.

– O, tak. Nie mamy żadnych szans, żeby się wykręcić od chodzenia na nie. Wolałabym być w dziewiątym miesiącu ciąży niż…

– No, to powinniśmy zaczynać już teraz – odparł Richard z entuzjazmem.

– Poczekaj! – zaprotestowała Iris, choć zaśmiała się, gdy mąż odnalazł ustami wyjątkowo wrażliwe miejsce tuż nad jej obojczykiem. Zawsze dobrze wiedział, gdzie ma ją pocałować…

– Zamknę tylko drzwi – mruknął.

– A co, czy są otwarte? – jęknęła, lecz zamilkła natychmiast.

– Czułem, że nie powinienem o tym wspominać – rzucił.

– Później – obiecała mu Iris. – Teraz nie mamy na to czasu. Absolutnie.

– Potrafię się szybko sprawić – powiedział Richard z nadzieją w głosie.

Iris pocałowała go powoli, bez pośpiechu.

– Nie chcę, żebyś sprawiał się szybko.

– Dobijasz mnie – jęknął.

– Obiecałam Berniemu, że zabierzemy go nad staw, żeby mógł wypróbować swą nową łódeczkę.

Richard zgodził się, najpierw z uśmiechem, a potem z westchnieniem. Iris wiedziała, że to zrobi. Ich synek miał już trzy lata i był uroczym, pulchnym dzieckiem z okrągłymi, różowymi policzkami oraz ciemnymi oczami po ojcu. Znajdował się w centrum ich świata, nawet jeśli nie oni byli centrum jego świata. Bo ten zaszczyt przypadł w udziale jego kuzynowi Samuelowi, o rok odeń starszemu, wyższemu i sprytniejszemu. Drugi syn Fleur, Robbie, był od Berniego o pół roku młodszy i dobrze uzupełniał to psotne trio.

Pierwszy rok małżeństwa nie był łatwy dla Fleur i Johna Burnhamów. Jak się można było spodziewać, ich ślub wywołał niemały skandal, a mimo że Mill Farm stała się ich własnością, niektórzy ciągle nie pozwalali Johnowi zapomnieć, że nie urodził się dżentelmenem.

Fleur mówiła wszakże szczerą prawdę, kiedy wyznała, że wcale nie pragnie bogactw. I ona, i John żyli w bardzo szczęśliwym domu, a Iris cieszyła się, że jej dzieci będą rosły razem z kuzynami mieszkającymi tuż obok. Wprawdzie Bernie wciąż był jeszcze jedynakiem, ale miała nadzieję, sądząc po pewnych oznakach, że…

Odruchowo dotknęła dłonią brzucha. Już wkrótce zyska pewność…

– Cóż, myślę, że będziemy musieli pójść i zwodować wreszcie ten statek – stwierdził Richard, ujmując ją za rękę, a potem sam wstał. – Muszę ci coś powiedzieć – dodał, gdy Iris wzięła go pod ramię – miałem podobną łódeczkę jako chłopiec.

Iris skrzywiła się, słysząc jego ton.

– Coś mi się zdaje, że to się nie skończy dobrze.

– Obawiam się, że Kenworthy nie mają żeglowania we krwi.

– To mnie akurat cieszy. Zanadto by mi ciebie brakowało, gdybyś wyruszał na morze.

– Och, byłbym zapomniał! – Richard puścił jej rękę. – Mam coś dla ciebie.

– Naprawdę?

– Zaczekaj tutaj. – Wyszedł z pokoju, a chwilę później wrócił, trzymając coś za plecami.

– Zamknij oczy.

Iris wzniosła je ku górze, ale zaraz posłusznie zamknęła.

– Otwórz!

Gdy to uczyniła, zaparło jej dech. Richard trzymał w ręce pojedynczy irys na długiej łodydze, najpiękniejszy, jaki kiedykolwiek widziała. Kolor kwiatu był wspaniały – ani całkiem fioletowy, ani całkiem czerwony.

– Pochodzą z Japonii – powiedział Richard, niezwykle z siebie zadowolony. – Zasadziliśmy je w oranżerii. Ach, jak strasznie długo musieliśmy pilnować, by trzymać cię od niej z daleka.

– Z Japonii, no, no. – Iris pokręciła głową z niedowierzaniem. – Aż nie mogę uwierzyć…

– Poszedłbym na koniec świata – zamruczał Richard i nachylił się, by musnąć jej wargi ustami.

– Po kwiat?

– Po ciebie.

Spojrzała na niego rozjaśnionymi oczami.

– Nie chciałabym tego.

– Żebym szedł na koniec świata?

Skinęła głową.

– Chyba że zabrałbyś mnie ze sobą.

– Rozumie się.

– No i Berniego.

– Och, oczywiście.

– I… oj!

– Iris – spytał z niepokojem. – Czy może chcesz mi coś powiedzieć?

Uśmiechnęła się niepewnie.

– W tej podróży będą nam potrzebne cztery miejsca.

Po chwili na jego twarzy powoli pojawił się uśmiech.

– Nie mam jeszcze całkowitej pewności – uprzedziła go. – Choć wydaje mi się… – Urwała. – A gdzie właściwie jest ten koniec świata?

– Czy to ważne? – roześmiał się.

Ona też się roześmiała. Nie mogła się wprost powstrzymać.

– Chyba nie bardzo.

Ujął Iris za rękę, ucałował jej dłoń i poprowadził do holu.
– Nieważne, gdzie się znajdziemy, dopóki będziemy razem. Tylko to się liczy.

# *Przypisy*

[1] Jane Austin *Duma i uprzedzenie*, przeł. A. Przedpełska-Trzeciakowska (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

[2] Imiona sióstr Smythe-Smith to po angielsku nazwy kwiatów: irys, stokrotka, róża, nagietek.

[3] *fleur* (fr.) – kwiat.

[4] Mowa o wojnach napoleońskich, zakończonych ustaleniami kongresu wiedeńskiego (1814–1815).

[5] Ameryka Rosyjska to posiadłości Imperium Rosyjskiego w Ameryce Północnej (m.in. Alaska, sprzedana przez Rosję w 1867 roku).

[6] Był to region brytyjskiej Ameryki Północnej (do 1870 roku).

[7] dymienice – ropiejące opuchnięcia węzłów chłonnych w pachwinach i pod pachami.

[8] słodki william – *sweet william* (ang.) to kwiat po polsku zwany goździkiem brodatym.

[9] *hydrangea* (ang.) – hortensja.